

**Andre Norton**

# **Zapach magii**

**Przekład Ewa Witecka  
Tytuł oryginału Scent Of Magic**

*Dziękuję Rose Wolf, Ann Crispin, Mary Schaub, Eluki Bes  
Shahar, Lyn Mc Conchie, Mary Krueger i Caroline Fike  
za poparcie, które tak wiele dla mnie znaczyło w ubiegłym roku*

Wielki dzwon na głównej wieży strażniczej Kronengredu zaczął bić jak na trwogę. Nawet najbardziej pracowici uczeni nie pamiętali, od ilu lat tak było. Silny wibrujący dźwięk przeniknął wszystkie sfłoczone obok siebie stare budowle. Docierał nawet do zamku znajdującego się na wzgórzu rywalizującym wysokością z dzwonnica. Choć mrok mijającej zimy nadal czał się czarnymi plamami wokół alei i drzwi, dzwon wzywał teraz wszystkich solidnych obywateli — tych, którzy zapewniali Kronengredowi dostatek i bezpieczeństwo — aby wstali i powrócili do codziennych zajęć.

Jego Wysokość książę Kronengredu mógł wsunąć się głębiej pod kołdrę na swoim wielkim łożu, ale w maleńkiej spiżarni (na pewno nie można było zaszczyścić jej mianem „pokoju”) przylegającej do ogromnej kuchni Karczmy Wędrowców, Willadene usiadła z westchnieniem: przy każdym ruchu zbutwiałe źdźbła słomy jak zwykle drapały ją poprzez wystrzępiony siennik.

Po przebudzeniu zawsze robiła to samo. Zanim sięgnęła po długą koszulę, jej ręce wędrowały do maleńkiego woreczka, ogrzanego przez jej małe piersi, i podnosiły go do udreżonego nosa. Głęboko wciągała w nozdrza woń pokruszonych przypraw i ziół, które rozjaśniały jej w głowie. Tym razem tępy ból po długiej służbie ostatniej nocy w szynku nie ustąpił.

Teraz ubrała się pośpiesznie, wkładając odzienie przerobione po znacznie większej osobie, tak znoszone, że miało jednolitą brudnoszarą barwę. Zapachy — każdego ranka musiała się mobilizować, by wytrzymać ohydne wonie. Była pewna, że czasami nawiedzały ją w snach jako nocne koszmary. Ta kuchnia to nie ogród kwiatowy stworzony dla umiłania życia córce jakiegoś wielmoży. Właśnie wsuwała gładkie włosy pod chustkę, kiedy usłyszała szcęk rondli stawianych na długim stole. Zadrżała z niepokoju. Tylko ciotka Jacoba ma odwagę używać tych naczyń jak popadnie, a sądząc po odgłosach, tego ranka ponosi ją jej krewki temperament i musi się na kimś wyładować.

— Willa, chodź tu, ty leniwa flądrow! — Chrapliwy głos, którego brzmienie przypominało czyszczenie zapuszczonego kotła, podniósł się po kolejnym szcęknięciu garnka. Pewnie ciotka Jacoba popchnęła wielki kocioł do owsianki z takim rozmachem, że odbił się od poczerniałych od dymu kamieni wielkiego ogniska.

Willadene (czasami zapominała, że niegdyś tak ją nazywano — upłynęło bowiem wiele lat, odkąd straszliwa zaraza zdziesiątkowała mieszkańców miasta, a kuzynka jej ojca — na rozkaz sędziego grodzkiego — niechętnie przyjęła ją na pomywaczkę czy raczej na popychadło) pobiegła do kuchni.

Na szczęście miała się na baczności i dlatego uchyliła się przed wielkim, ciężkim kuflem; gdyby w nią trafił, mogłaby stracić przytomność. Powitanie Jacoby nie należało do przyjemnych, kiedy była w tak złym humorze. Willadene szybko ściągnęła na dół kawał słoniny. Ze wszystkich sił musiała się bronić przed mdlącym smrodem, gdyż mięso tutaj nigdy nie było dobrej jakości: zawsze przetrzymywano je zbyt długo. Jacoba żałowała każdego pensa, jeśli chodziło o pożywienie dla większości klientów jedzących wczesnym rankiem. Może byli tak senni, że połykali je na wół śpiąc.

Jacobą znów zaczęła mieszać w wielkim kotle z owsianką, który zawiesiła nad ogniem minionej nocy, żeby jego zawartość powoli się gotowała. Obsługujący klientów chłopak imieniem Figis z niedomytą twarzą ze szczękiem ustawiał miski na tacy. Nie podniósł wzroku, ale Willadene zauważyła, że ma podbite oko. Było to

świadectwo nigdy nie kończącego się konfliktu między Figisem a stajennym Jorgiem.

Willadene zabrała się do krojenia słoniny nożem, który Figis powinien był wczoraj naostrzyć. Nie pokroiła słoniny na gładkie paski, lecz na postrzępione kawałki, które zamierzała włożyć do rondla o trzech nóżkach i długiej rączce. Ukłękła więc w popiele i przysunęła ciężki garnek na tyle blisko ognia, aby jego zawartość zaczęła się smażyć.

Z całej duszy pragnęła wyjąć swój woreczek z ziołami i użyć go do ochrony przed ostrym odorem skręcającego się mięsa. Jednak zgarbiła się i cierpiała w milczeniu, bojąc się zwrócić na siebie uwagę Jacoby.

Ta duża kobieta kroїła wczorajszy czarny chleb — teraz twardy, prawie jak kamień. Talerze już czekały na smażoną słoninę i ser. Wikt ten może był trzeciej lub nawet czwartej kategorii, za to Jacoba nie skąpiła jedzenia.

Później kucharka odwróciła się, by nalać chochlą owsiankę do pięciu misek. Willadene skuliła się przy ognisku.

Jak dotąd, szczęście jej nie dopisywało. Wyche został na noc. Kiedy wymknęła się chyłkiem — dwie ostatnie świece właśnie się dopalały — Wyche nadal tkwił w szynku: jego olbrzymie cielsko wylewało się z jedynego wielkiego krzesła, jakie posiadała karczma. Zapach najmocniejszego zaprawionego korzeniami jabłecznika nie mógł ukryć smrodu bijącego od Wyche'a. Nie był to tylko odór niemytego ciała i brudnego odzienia, ale jeszcze czegoś, co dziewczyna wyczuwała, lecz czego nie umiała nazwać — choć od czasu do czasu karczma gościła i innych klientów wydzielających taką samą nieprzyjemną woń. Przeważnie były to typy spod ciemnej gwiazdy. Musi zapytać Halwice...

— Kiedy to spalisz, dopiero poczujesz, jak ogień parzy! Willadene szybko cofnęła rondel, którego trzy nóżki zgrzytnęły na kamieniach ogniska. Owinęła szmatą rękę najciaśniej, jak mogła, by chronić ją przed żarem rozgrzanego naczynia. A mimo to rączka nadal ją parzyła, gdy podeszła do stołu, usiłując utrzymać ciężki rondel w pozycji poziomej. Jacoba długo przyglądała się smażonej słoninie.

Wreszcie ułożyła przyrumienione kawałki na pokrojonym chlebie, starając się dzielić sprawiedliwie. Podwoiła tylko ostatnią porcję. To oczywiście dla Wyche'a. Willadene przechyliła ostrożnie rondel i nalała trochę syczącego tłuszczu na każdą kromkę.

W międzyczasie Figis zdążył już odejść z tacą pełną misek i z garnkiem miodu do postłodzenia ich niesmacznej zawartości. Teraz wrócił po resztę posiłku.

— Ten kupiec z Bresty — rzekł, przezornie trzymając się z dala od Jacoby — oświadczył, że znalazł karalucha w swojej misce. Spójrz... — Figis postawił miskę na stole kuchennym; wyraźnie widać w niej było czarnego owada. — Dodał też, że zamierza porozmawiać z tutejszym sędzią o mięsie, którego nie zamówił... — Chłopiec zachichotał i z łatwością uchylił się przed pięścią Jacoby. Chwycił drugą z chlebem, mięsem i dużą gomółką sera i odszedł, zanim kucharka zdołała okrążyć stół.

Figis postąpił nierozsądnie, pomyślała Willadene. Jacoba jest bardzo pamiętliwa. Wcześniej czy później chłopak zapłaci za swoje zuchwalstwo. Chociaż jego ostrzeżenie może być prawdziwe — jeszcze kilka skarg do sędziego i Jacoba wpadnie w tarapaty.

W rzeczy samej Willadene od początku służby w kuchni zajazdu zastanawiała się, dlaczego Jacobie tak długo udaje się uniknąć reprimendy za brud i podejrzaną jakość potrawy.

Teoretycznie Karczma Wędrowców jest własnością Jacoby, ale w rzeczywistości każdy budynek w Kronengredzie należy do księcia, choć ta sama rodzina może w nim mieszkać przez wiele pokoleń. Książę bez wątpienia ma na głowie ważniejsze sprawy niż zaniedbania i porywcze usposobienie jakiejś karczmarki.

Minęło pięć lat od zarazy morowej, która otworzyła Uttobricowi drogę do władzy nad Kronenem. Przedtem był mało znanym, dalekim krewnym rodziny książęcej, lecz zrządzeniem losu jako jedyny mężczyzna z tego rodu uniknął okropnej śmierci w męczarniach. Żył jednak ktoś, kto był znacznie bliżej tronu — pani Saylana, córka ostatniego księcia. Straszliwa zaraza zabrała także jej małżonka, ale Saylana miała syna; na swoje szczęście znajdował się on z dala od miasta, gdy zaatakowała je śmiertelna choroba. Wśród wielmożów nie brakowało takich, którzy znacząco unosili brwi lub nawet ośmielili się szeptać po kryjomu, kiedy w rozmowie wymieniano jego imię. Uttobric miał więc rywala — lub kogoś, kto mógł się nim stać — choć kroneńskie prawo sukcesji nie uległo zmianie i tron należał do niego.

— Idź do szynku, flejtuchu! — warknęła Jacoba. — Wyche chce przepłukać sobie gardło. Pewnie przyciągasz klientów... Hmm... — W głosie Jacoby zabrzmiała nuta, która powstrzymała Willadene od natychmiastowego wykonania rozkazu.

— Brakuje ci tylko dwadzieścia jeden dni do chwili, gdy sędzia ogłosi cię dorosłą kobietą, choć jesteś głupia i chuda jak szczapa. Wyrzucasz dobre jedzenie i mówisz, że doprowadza cię do mdłości. Mdłości! Próbujesz okłamać lepszych od siebie, bo jesteś okropnie uparta. Nie odznaczasz się urodą... Ale jesteś młoda i możesz lepiej trafić. Spodobałaś się Wyche'owi, dziewczyno. Nie obrzucaj go złymi spojrzeniami. Jako twoja opiekunka z woli sędziego mam prawo wybrać mężczyznę, który zdejmie mi cię z karku. Wyche musi być niespełna rozumu, skoro ciebie pragnie. Idź teraz do izby i, jak powiedziałam, bądź dla niego miła. Ciesz się, że dostaniesz mężczyznę z pełnym trzosem — ofiarował przecież dostatecznie wysoką opłatę ślubną. Z jakiegoś powodu ta przemowa wprawiła karczmarkę w dobry humor. A na zakończenie Jacoba ryknęła głośnym śmiechem. Willadene doskonale zdawała sobie sprawę, że z jej twarzy można wyraźnie wyczytać obłądne przerażenie, jakie budził w niej taki los.

Halwice — gdyby tylko udało się jej dotrzeć do Halwice! Wiedziała, iż nie może mieć żadnej pewności, że zielarka choćby tylko wysłucha jej prośby. Z tęsknotą pomyślała o tamtym spokojnym sklepie i o wszystkim, co los zdawał się jej obiecywać, odkąd po raz pierwszy tam trafiła. Gdyby tak mogła służyć jako kucharka u Halwice, czułaby się jak w niebie. Przecież umie gotować i robi to dobrze, kiedy ma po temu okazję. Ale od dorosłości i możliwości wyboru dzieli ją dwadzieścia jeden dni. Na razie Wyche czeka, Jacoba zaś zbliża się do niej z podniesioną wielką pięścią. Willadene odeszła, przyciskając do piersi ręce, jakby słaby zapach nadal bijący od jej woreczka z ziołami mógł ją uchronić przed straszną przyszłością.

Przemknęła obok wielkich drzwi z zamiarem dotarcia do półki obok już odszpuntowanej beczki, żeby jak najszybciej napełnić dzbanek. Zerknęła szybko za siebie i zobaczyła, że wielkie krzesło jest puste. Nieco przestraszona spojrzała jeszcze raz — miała nadzieję, iż Wyche już sobie poszedł.

Ale to jego szerokie plecy zasłaniały największe okno w szynku, nie dopuszczając światła do tych, którzy znajdowali się za nim. Było ich czterech — wszyscy ubrani w noszone zazwyczaj przez obcych kupców, sfatygowane podróżne stroje ze skóry i grubych tkanin. Nosili odznaki swego zawodu, co znaczyło, że są legalnie zarejestrowanymi podróżnymi, chronionymi przez tradycję przed wszelkimi kłopotami na terenie Kronenu — oczywiście nie przed tymi mieszkańcami księstwa, którzy stali poza prawem.

Najstarszy z tej czwórki dziobał noszonym zwykle u pasa specjalnym nożem na poły zwęgloną słoninę; na jego twarzy wyraźnie malował się niesmak. Miał na sobie schludną odzież, a krótkie, kręcone siwe włosy wystawały mu spod czapki w kształcie miski. Na prawej ręce połyskiwał pierścień i widać było, że kupiec jest zamożnym człowiekiem. Odepchnął od siebie kawałek polanego tłuszczem chleba i wydał gardłowy dźwięk, który zwrócił na niego uwagę towarzyszy. Najmłodszy z nich miał

taki sam szeroki nos nad wyjątkowo małymi ustami. Rysami twarzy przypominał starszego kupca do tego stopnia, że mogli być ojcem i synem. Dwaj pozostali wyglądali na niższych rangą w swojej gildii.

— Coraz mniej jest straży drogowej — w głosie starszego mężczyzny zadźwięczał gniew. — Kiedy jechaliśmy tu z zachodnich wzgórz, spotkaliśmy chyba z pół kompanii uzbrojonych strażników. Sprawiali wrażenie, jakby opuszczali swoje posterunki. Powiadam wam, że ten, kto wydaje takie rozkazy, oddaje nas w ręce rozbójników jak gęsi handlarzowi drobiu!

Siedzący po obu stronach mówiącego mężczyźni milcząco przytaknęli. Najmłodszy jednak popatrzył na dowódcę i leciutko pokręcił głową, jakby próbował zaprzeczyć.

— Interesy wielmożów — zauważył jeden z pozostałych — zawsze przeważały nad naszymi. Pamiętajcie, że istnieje wiele zagrożeń. Nigdy dotąd Kroneńcycy nie walczyli między sobą. Tym niemniej ... — zawiesił głos i wzruszył ramionami.

Dzbanek w dłoniach Willadene był już pełen po brzegi, ale wzdragała się przed podejściem do zwalistego mężczyzny przy oknie, czując buchający od niego smród. Ponieważ Wyche nie zmienił pozycji, uznała, że całkowicie pochłania go to, co widzi poprzez nierówne szybki największego okna z zastygłymi wewnątrz bąbelkami powietrza. Zbierała w sobie odwagę, aby podejść do stojącego pod ścianą stolika, który znajdował się niemal w zasięgu jego ręki, napełnić kufle i wymknąć się, zanim Wyche ją zauważy.

Los znów ją zawiódł. Wyche wzruszył ramionami i odwrócił głowę. Małeńkie ciemne oczka w jego tłustej obrzmiałej twarzy wyglądały jak para rodzyneków. Usta mężczyzny wykrzywił grymas, który musiał uważać za powitany uśmiech.

— Mój brzuch chce czegoś dobrego, dziewczko! — Odwrócił się od okna i wyciągnął ku Willadene włochatą łapę. Dziewczyna szybko podała mu kufel. Kiedy jednak Wyche podniósł naczynie do ust i łykał jego zawartość, rozmyślnie oparł drugą dłoń o ścianę, odcinając Willadene drogę ucieczki. Ściągnął grube wargi i postawił kufel na stoliku, jednocześnie mierząc przestraszoną dziewczynę taksującym spojrzeniem od stóp do głowy i z powrotem.

Smród, którego nigdy nie umiała zidentyfikować, stał się tak silny, że Willadene chwyciły mdłości.

— Chuda jesteś — zauważył Wyche — ale młoda, i Jacoba przysięga że nadal pozostajesz dziewicą. Już długo nie przetrwasz w tym stanie.

Willadene przycisnęła się do ściany, odruchowo szukając rękami amuletu, lecz zanim go znalazła, ogromna gęba Wyche'a zbliżyła się do jej twarzy. Dostała gęsiej skórki od szorstkiego dotknięcia jego ust. — Tak, myślę, że się nadasz. Żadne młokosy nie będą się tu kręciły i gapiły na kogoś takiego jak ty. Jacoba twierdzi, że umiesz gotować, a każdy mężczyzna pragnie suto zastawionego stołu i kobiety ogrzewającej mu łożo. Jesteś płochliwa jak jagnię urodzone na wiosnę. — Czubkiem języka oblizał grube wargi, które — czuła to! — zostawiły coś w rodzaju piany na jej skórze. — Lubię takie, oswojenie ich nie trwa długo...

Willadene nie wiedziała, co jeszcze strasznego zamierzał dodać. Zrobiło się jej niedobrze już od tego, co usłyszała. Ale Wyche przestał się jej przyglądać. Po omacku sięgnęła do drzwi na lewo, prowadzących na dwór. Czy ma jakiś wybór? Ucieczka bez opiekuna to szaleństwo. Mogą ją nazwać włóczęgą i wypędzić z Kronengredu, chociaż była pewna, że Jacoba dobrowolnie nie zrezygnuje z opłaty ślubnej. Usłyszała srebrzysty dźwięk dzwoneczka, do karczmy weszły dwie kobiety w opończach, z zasłoniętymi twarzami. Odziana w brązowy płaszcz dziewczyna o dziecinnym wyglądzie szła tuż za nimi, dźwigając duży koszyk już tak pełny, że ugiwała się pod jego ciężarem.

— Pokarm dla głodnych, jak głosi drugie przykazanie. Kobieta, która pierwsza przeszła przez próg, znów zadzwoniła dzwoneczkiem. Identyczny dzwonek jej towarzyszki odpowiedział jak echo.

Krzesała zgrzytnęły na kamiennej podłodze, gdy czterej kupcy wstali i złożyli głęboki ukłon. Ich przywódca podszedł do nowo przybyłych, grzebiąc rękaw trzosie. Willadene dostrzegła błysk srebrnej monety.

— Wasza Wielka Pani była dla mnie łaskawa.

Jedna z kapłanek Jasnej Gwiazdy wysunęła spod oponczy dużą sakiewkę, do której wrzucił swoją ofiarę, a jego towarzysze szybko poszli w ślady swego zwierzchnika.

— O co mamy się modlić dla ciebie? — spytała pierwsza siostra. Twarz miała tak osłoniętą welonem, że trudno było dostrzec jej rysy.

— O bezpieczną podróż — dla mnie, Jaskara z Bresty, i tu obecnych moich towarzyszy. W naszych czasach takie modły są bardzo potrzebne, siostró.

— Zło zawsze czyha poza zasięgiem światła — odparła kapłanka w chwili, gdy Jacoba weszła do głównej izby.

— Co się dzieje... ? — zaczęła karczmarka i urwała, gdy zobaczyła kapłanki. — Ty — zwróciła się do Willadene — sprzątnij ze stołu, jeśli goście już skończyli posiłek.

Willadene z wdzięcznością przeszła na drugą stronę izby, jak najdalej od Wyche'a. Towarzysząca kapłankom dziewczyna postawiła koszyk na ladzie i Willadene pośpiesznie włożyła do niego polane tłuszczem kromki chleba. Sądząc po zawartości kobiałki, siostróm zebrzącym w okolicznych zajazdach i w domach wielmożów powiodło się tego ranka.

— Oby los ci sprzyjał, dobra kobieto — powiedziała pierwsza siostra. Kiedy mała służąca usiłowała podnieść koszyk, omal go nie upuściła i nie rozsypała jego zawartości.

— Wielkiej Pani na pewno się spodoba, jeśli pozwolisz, by twoja służka nam pomogła. Musimy udać się jeszcze tylko do jednego miejsca z prośbą o jałmużnę i dziewczyna szybko tu wróci.

Willadene świetnie zdawała sobie sprawę, że rozgniewana Jacoba chciała odpowiedzieć na tę prośbę negatywnie. Nikt jednak nie odmawiał kapłance Jasnej Gwiazdy, gdyż wszyscy wiedzieli, że Wielka Pani rządzi samym losem.

— Wracaj jak najprędzej, dziewczko — zagroziła karczmarka. — Próżnowaliśmy niemal do drugiego dzwonu i nic nie zrobiliśmy.

Willadene chętnie chwyciła rączkę koszyka z drugiej strony. Kobiałka zakołysała się, kiedy pomywaczka Jacoby wyszła z wielkiej izby razem ze służebnicą kapłanek. O dziwo, Wyche znów podszedł do okna, jakby chciał odprowadzić je spojrzeniem.

Willadene dyszała szybko. Tak jak zło ma własne zapachy, tak są też wonie towarzyszące dobru. Wielokrotnie wdychała je w sklepie Halwice. Poczwała zapach kwiatów — zwykły powiew — kiedy niosąc koszyk wraz ze służką siostr z klasztoru Gwiazdy, wychodziła z karczmy.

Wyche znów je obserwował. Willadene domyślała się, do jakiego domu kierują się siostry — miejscowy sędzia grodzki mieszkał trzy domy dalej. Wszyscy wiedzieli, że jego żona jest pobożna i szczodra. Willadene pomyślała, że może przejść na drugą stronę ulicy obok kamienicy sędziego i — choć zbliżał się czas drugiego dzwonu, wzywającego wszystkich stołecznych kupców do pracy — niepostrzeżenie dotrzeć do sklepu zielarki.

Nie wiedziała, co się stanie. W przeszłości Halwice była dla niej dobra i uczyła ją od czasu, gdy raz w miesiącu Jacoba zaczęła ją posyłać po niewielkie ilości przypraw, które miały ukryć smród nieświeżego mięsa.

Willadene posłusznie szła za zebrzącymi siostrami, równając krok z dziewczyną, z

którą dźwigała ciężki koszyk. Służka spojrzała na nią tylko raz, gdyż wedle nakazów Jasnej Gwiazdy miała zawsze patrzeć tylko w ziemię i nie rozglądać się na boki na doczesny świat.

Skręciły na rogu ulicy, by zgodnie ze zwyczajem podejść do kuchennych drzwi domu sędziego. Kiedy Willadene usłyszała srebrzysty dźwięk dzwonek, napięła wszystkie mięśnie. W chwili gdy drzwi się otwały i zabrzmiały powitalne słowa, spojrzała na swoją towarzyszkę.

Nie było czasu na wyjaśnienia — po prostu musi odejść! Puściła rączkę kobiałki tak nagle, że druga dziewczyna musiała oprzeć się o ścianę domu, aby nie upaść, i szybko pobiegła.

Myślała, że usłyszy za sobą wołanie i zdumiała się, gdy się nie rozległo. Może Najświętsza i Najjaśniejsza Gwiazda rozpostarła swój świecący płaszcz między mieszkańcami domu a uciekinierką...

Musi skręcić w lewo — tak, widziała wielki dom Maningerów. Dwie ulice dalej i za zakrętem jest sklep Halwice. Nigdy nie szła tam tą drogą, ale była pewna, że nie zabłądzi.

Owionął ją poranny chłód i zmroził palce stóp odsłonięte w domowych sandałach. Willadene dyszała ciężko; dostrzegała każde oświetlone okno, każdy ruch na ulicy. Starła się biec wolniej, iść normalnym krokiem, ale po chwili znów przyśpieszała. Nie mogła sobie teraz przypomnieć, kiedy odkryła to schronienie. Na pewno w mgliście zapamiętanych dniach sprzed zarazy morowej, gdyż zna zielarkę od bardzo dawna.

Halwice zasiadała w Radzie Gildii. Znacznie lepiej znała właściwości swoich ziół niż wielu lekarzy, którzy przybywali, krocząc dumnie, na wezwanie chorego. Wtedy ich pięknie skrojone szaty z oznaką zawodu i zdobionymi brzegami rozwiewały się, a z szerokich kapeluszy zwisały maski, jakich używali, kiedy musieli wejść do skażonego zarazą pomieszczenia. Czasami byli tak dumni ze swojej profesji, że — w większości przypadków — graniczyło to z arogancją. A przecież ci „mistrzowie uzdrawiania” musieli właśnie do Halwice ślać szybko posłańców po mieszanki ziołowe.

Lecnicze zioła — choć Willadene wiedziała, jak wielką wagę przywiązuje do nich Halwice — nie były jedynym towarem sprzedawanym w jej sklepie, gdzie woń przypraw rywalizowała z aromatami pachnidła i ostrymi zapachami olejków. Same te wonie również zasługiwały na uwagę.

Willadene potarła kciukiem nos. Już niemal wyczuwała ucztę zapachów, która na nią czeka. Zawsze stała długą chwilę lub dwie w drzwiach sklepu Halwice, wciągając w płuca tą wonną mieszankę. Miała wtedy wrażenie, że kąpie się w najświeższym wiosennym powietrzu, w najmocniejszych woniach lata i zapachach jesieni. Czuła, że przenikają przez jej spoconą skórę i zlepione potem włosy — uwalniając ją spod władzy Jacoby, nasuwając nowe myśli i odświeżając dobre wspomnienia.

Willadene bowiem „miała nos”. Wprawdzie każdy osobnik jej gatunku posiada ten narząd, ale niewielu los obdarzył takim przywilejem jak ją — zdolnością rozpoznawania i nazywania najsubtelniejszych zapachów. Krtusiła się i dostawała mdłości od ohydnych odorów przesycających kuchnię Jacoby, natomiast wonie zręcznie przyrządzonego kremu, paczuszki suszonych liści i płatków, i płynów tak cennych, że dozowano je po kropelce z małych szklanych fiolek, dawały jej poczucie wolności i sprawiały przyjemność.

Pamiętała, jak Halwice po raz pierwszy testowała jej węch — trzymała słoiczek z kremem, od którego biła wilgotna, rozkoszna woń, bogata jak skarb ze szkatułki na klejnoty. I Willadene z dużą pewnością siebie zidentyfikowała każdy składnik tego smarowidła — miarkę tego i owego.



Książęcy dworzanie i dworki dobrze płacili za produkty wybrane spośród buteleczek i słoiczków Halwice. Wprawdzie Jacoba posyłała Willadene tylko po najtańsze i najpospolitsze przyprawy, ale dziewczyna pozostawała w sklepie tak długo, jak się odważyła. Chłoneła woń jakichś właśnie destylowanych perfum, słuchała wyjaśnień Halwice i patrzyła tęsknie na szeregi fiolek i buteleczek oraz na rzędy wąskich szufladek, z których każda była podzielona na przegródki i wypełniona sproszkowanymi liśćmi, płatkami i skrawkami suszonej skórki owoców. Dziewczyna przypomniła sobie nawet prawie zapomnianą umiejętność czytania, przyglądając się symbolom wypisanym na każdym naczyniu.

Gdyby Jacoba tylko zechciała... Frustracja wywołana koniecznością pełnienia posług nigdy nie opuszczała dziewczyny, niczym przewlekły ból. Już od dwóch lat Halwice regularnie składała propozycje odkupienia Willadene. Karczmarka zawsze jednak odpowiadała złośliwie, że sędzia grodzki oficjalnie właśnie jej przyznał pomywaczkę spośród dzieci osieroconych przez straszliwą zarazę i że jako krewna zaakceptowała wyznaczoną zapłatę za wzięcie takiej niezręcznej pomocnicy.

Willadene nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego Jacoba chce zatrzymać pomywaczkę, która zawsze zasługuje na karę i jest tak chorowita jak urodzone w zimie jagnię. Wiadomo, że Halwice musiałyby drogo za nią zapłacić, ale przecież zawsze chciała pokryć te koszty. Czy chodziło o to, co usłyszała dzisiaj, że Jacoba liczy na opłatę ślubną za Willadene?

Dziewczyna myślała czasami, że kucharka nie chce jej odstąpić z czystej złośliwości, Jacoba bowiem lubiła dręczyć ludzi. Willadene przypuszczała, że karczmarka posyła ją po drobne zakupy do sklepu zielarki tylko po to, aby zadawać jej cierpienia.

Wszystko jednak ma swój kres. Za dwadzieścia jeden dni będzie dorosła i Jacoba nie zdoła jej zatrzymać wbrew jej woli. A wtedy... Jeszcze nie ośmieliła się zaproponować Halwice, żeby ją zatrudniła. Nie oczekiwała nawet, że zostanie uznana za pełnoprawną uczennicę. Pragnęła tylko pracować w sklepie przez cały czas, a jedyną zapłatę stanowiłaby sama możliwość przebywania w nim i nauki — jeżeli Halwice uzna ją za godną tego wysiłku.

Zielarka miała spokojne i pogodne usposobienie, nie przyjaźniła się jednak z żadną ze swych sąsiadek. Była miła dla wszystkich, lecz nie lubiła plotkować. Przez większość czasu milczała, jak gdyby jej myśli zajmowały ją bardziej niż klienci. A przecież gotowa była służyć wszystkim, wysłuchiwała skarg chorych, mieszała kordiały i balsamy, które tak dobrze działały, że wszyscy Kroneńscy znali ich wartość.

Halwice z pewnością nie pochodziła ze szlacheckiego rodu. Jednakże choć ubierała się i zachowywała skromnie, wielokrotnie, jak Willadene widziała na własne oczy, zmusiła do okazania szacunku niejedną drażliwą lub zadzierającą nosa panią domu. Miała do czynienia zarówno z dworzanami, jak i z kramarzami, i traktowała ich wszystkich równie uprzejmie.

Willadene drgnęła, gdy usłyszała bicie drugiego dzwonu, ogłaszającego początek dnia pracy. Wymknęła się z bocznej alejki i pośpieszyła w dół ulicy. Słyszała coraz głośniejszy stukot i szcęk, gdy kupcy otwierali swoje sklepy, witając się głośno.

Sklep Halwice znajdował się na parterze dwupiętrowego budynku. Podczas gdy sąsiednie kamienice obwieszane były chorągwiami zachwalającymi ten lub inny towar ewentualnym nabywcom, okna jej sklepu zdobiły skrzynki — jedno z zielonymi, podobnymi do koronki paprociami, drugie mieniące się różnobarwnymi kwiatami; Nawet na dachu znajdowały się półki z tacami, na których rosły różne rośliny, a tylne drzwi wychodziły na spłachetek dobrze nawiezionej i uprawionej ziemi. Wydawała ona znacznie zdrowsze plony i można by się spodziewać w samym sercu miasta.

Willadene zwolniła kroku. Jacoba może się domyślić, dokąd udała się jej pomywaczka. I niewykluczone, iż już doniosła do biura sędziego, że oddana pod jej opiekę dziewczyna wałęsa się bez zezwolenia. Czy złośliwa karczmarka mogłaby narobić kłopotów Halwice?

Żaluzje sklepu zielarki nadal były opuszczone i nic nie wskazywało na to, że jego właścicielka rozpoczyna nowy dzień pracy. Willadene nagle przystanąła. Ten zapach... Zły zapach oznaczał tarapaty.

Podbiegła do wejścia. Skobel był podniesiony — dlaczego więc żaluzje pozostały zamknięte? Dziewczyna ostrożnie zbliżyła rękę do drzwi. Wyczuła, że coś jest nie w porządku — wysiłkiem woli stłumiła mdłości.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, popchnęła drzwi, które otwarły się powoli. Powietrze przesyciły wszystkie te zapachy, które tak lubiła — rozróżniła jednak wśród nich coś złego i niebezpiecznego, czego nie umiała nazwać... Halwice?

W sklepie z zamkniętymi żaluzjami panował półmrok. Widziała jedynie ciemne zarysy lady i półek. Weszła do środka ostrożnie, jakby była pewna, że ktoś zastawił tam pułapkę.

Pierwsze dźwięki wielkiego dzwonu nie obudziły mężczyzny. Kiedy już otworzył oczy i wygrzebał się z pościeli, podszedł do okna, rozsunał ciężkie kotary i wyjrzał na szare o brzasku miasto w dole. Uttobric z Kronenu nigdy nie był imponującą postacią, nawet wtedy, gdy miał na sobie ceremonialne szaty. Tym bardziej teraz, gdy zagryzł dolną wargę, pochłonięty myślami, które nie dały mu spać minionej nocy.

Przetykane siwizną kasztanowate włosy księcia stały dęba nad jego wąską twarzą pooraną zmarszczkami; dwie bruzdy biegły po bokach jego cienkich ust, a pozostałe żłobiły czoło. Wbił krótkowzroczne oczy w mrok, gdzie nieliczne mrugające światełka zapowiadały nadejście nowego dnia...

Oczywiście Uttobrica, jak każdego człowieka, martwiła śmierć ludzi zabitych przez zarazę, na pewno jednak nie był odpowiedzialny za to, że pozostał jedynym mężczyzną z linii panującej. Teraz mógł sobie powiedzieć w duchu, że zarówno obawiał się swego poprzednika na tronie, jak i zazdrościł mu z całego serca. Wubric miał te wszystkie cechy, którymi on sam nigdy nie mógł się pochwalić — był władcą tak pewnym siebie, że potrafił poświęcić uwagę innym sprawom.

Uttobric nie musiał odwracać głowy i patrzeć na stół, gdzie szybko wypalały się dwie świece, żeby przypomnieć sobie, co tam leży: raporty — i to stanowczo za dużo... Wszyscy oni rozszarpaliby go na kawałki, gdyby mogli.

Komu może zaufać? Czasami nawet podejrzewał Vazula — chociaż kanclerz, w razie upadku Uttobrica, na pewno utraciłby stanowisko, ponieważ nie pochodził ze starej arystokracji, tylko z kupieckiej rodziny. Vazul był bardzo inteligentnym i przebiegłym człowiekiem, pozornie bezgranicznie oddanym księciu.

To Vazul minionej nocy wysunął propozycję, która początkowo zaszokowała Uttobrica. Księżę nadal uważał swoją córkę za małe dziecko, które bawiło się z garstką starannie dobranych towarzyszek i do niczego nie było mu potrzebne z powodu swojej płci. Ale na co zwrócił mu uwagę Vazul? Że właśnie płeć księżniczki może teraz okazać się użyteczna.

Uttobric puścił zasłonę i podreptał z powrotem do swojego wysokiego łóża. Podniósł świecznik z nie zapaloną świecą i leżącą obok niego na półce miniaturę. Później zapalił świecę od gasnącego ogarka, opadł na stojące w pobliżu krzesło i zbliżył do oczu portret swojej córki.

W głębi duszy wierzył, że portreciści zawsze pochlebiali swoim klientom; dla nich to przecież tylko dobry interes. Vazul jednak zapewnił go — i było to prawdą — że Mahart odziedziczyła wiele cech jego żony z wygasłego już rodu. Widział teraz miękkie, kasztanowate loki, lekko trójkątną twarzyczkę z nieco wystającym podbródkiem. Usta ponad nim były kształtne, wygięte w lekkim uśmiechu.

Delikatne łuki brwi i gęste rzęsy ocieniały duże oczy o niespotykanej zielonej barwie. Tak, to nie jest już twarz dziecka i musiał przyznać, że jeśli artysta nie upiększył portretu, księżniczkę Mahart można nazwać urodziwą.

Piękno może zauroczyć, ale każdy mężczyzna dostatecznie bystry, by zaoferować to, czego on, Uttobric, akurat potrzebuje, zażąda czegoś więcej niż ślicznej twarzyczki i zalotów niedojrzałej panny. I księżę Kronenu powinien mu to dać. Posag...

Uttobric rzucił miniaturę na stół między papiery. Niższe opłaty portowe? To zbyt mało. Nie, będzie musiał dać jasno do zrozumienia, że w dniu ślubu ogłosi pana młodego swoim następcą.

Niski mężczyzna siedzący w krześle o wysokim oparciu westchnął. Czy jest w stanie to zrobić? Los pobłogosławił króla Hawknera zbyt wieloma synami, to prawda.

Może zechce wywianować w ten sposób, powiedzmy, trzeciego lub czwartego, a Kronengred to łakomy kasek. Po wejściu w tę koligację z władcą sąsiedniego państwa będzie można bezpiecznie przeprowadzić niezbędne zmiany. Armia Hawknera bowiem próżnuje, a próżnującym żołnierzom koniecznie trzeba znaleźć jakieś zajęcie, żeby nie rozejrzeli się po otoczeniu i nie podjęli niewygodnych dla królestwa decyzji.

Uttobric spiorunował spojrzaniem chwiejny stos dokumentów. Oczywiście wiedział, że ogołaca zachodnią granicę księstwa i jego górzyste terytorium z wyćwiczonych żołnierzy. Przez cały czas kupcy skarżyli się coraz głośniejszymi głosem. Niech więc któryś z królewiczów przyprowadzi ze sobą dostatecznie dużo swoich gwardzistów i w ten sposób będzie można poprawić tę niebezpieczną sytuację.

Gdyby tylko... książę znów zagryzł wargi. Gdyby tylko mieli dość czasu! Saylana... Wykrzywił teraz usta, jakby chciał splunąć. Jej zwolennicy... Nawet doskonale wyszkoleni szpiedzy Vazula nie mogli dostatecznie głęboko przeniknąć w szeregi jej popieczników, by dowiedzieć się na pewno, kto ją poprze, gdy dojdzie do otwartej konfrontacji. Saylana, córka Wubrica, której prawo nie pozwalało na objęcie tronu, miała syna, Barbrica — i to dla niego knuła wszystkie spiski.

Jeśli Mahart poślubi królewicza, który w razie potrzeby będzie mógł wezwać na pomoc zastępy Hawknera, Saylana poważnie się zastanowi, zanim przyłoży rękę do zdrady. Spojrzał na miniaturę. Tak naprawdę nigdy nie rozumiał kobiet. Matkę Mahart po raz pierwszy zobaczył na swoim weselu — była dostatecznie ładna. Zawsze jednak dokuczała mu myśl, że żona prowadzi własne, potajemne życie, do którego on nie ma dostępu. A potem nastąpił atak zarazy i wszystkie jego wątpliwości zniknęły. Fakt, że jego córka przeżyła, to kaprys losu, figiel szalejącej w mieście śmiertelnej choroby.

Nie oczekiwał, że Mahart sprawi mu jakieś kłopoty. Przez te wszystkie lata dziewczyna była tak pilnie strzeżona, że z pewnością nie mogła się zainteresować żadnym chłopcem w tym samym wieku. Myśl, że zostanie żoną królewicza, olśni ją wystarczająco, aby bez sprzeciwu wypełniła wolę ojca. Tak, wezwie Vazula i...

Zaskoczyło go dyskretne pukanie do drzwi. Chociaż nie był doświadczonym wojownikiem, w jednej chwili zerwał się z krzesła i sięgnął po miecz, który, wedle wymogów ceremoniału dworskiego, co noc leżał w nogach jego łoża. Poczzerwieniał, gdy uświadomił sobie, że musiał odchrząknąć, zanim odpowiedział chrapliwie:

— Wejść!

Drzwi uchyliły się tylko na tyle, aby bardzo wysoka i chuda postać z szatami podkasnymi dla uzyskania większej szybkości ruchów mogła się przez nie prześliznąć. Strój nowo przybyłego załśnił w słabym świetle świec, w którym zabłysnął również ciężki, ozdobiony drogimi kamieniami łańcuch, spoczywający na jego wąskich ramionach. Wisior z oznaką urzędu kołysał się w pobliżu pasa mężczyzny.

— O co chodzi, Vazulu?

Kanclerz, przychodząc do władcy w ten sposób, postąpił wbrew wszelkim obyczajom. Teraz zaś ostrożnie zamykał za sobą drzwi, jakby bał się, że ktoś za nim idzie.

— Jaka jest decyzja Waszej Książęcej Mości?

W mroku Uttobric niemal nie widział twarzy mówiącego, tylko jego wysoką postać. Vazul podszedł do stołu i stanął, górując wzrostem nad swoim panem, co księcia zawsze wpędzało w kompleksy.

— Dlaczego musiałeś przyjść po odpowiedź właśnie o tej porze? — spytał gniewnie.

— Czas nigdy nie czeka na ludzi, to oni są jego sługami — powiedział kanclerz głębokim głosem zawodowego mówcy, który w razie potrzeby potrafi pokierować

słuchaczami wedle swojej woli. — A czas ucieka, Wasza Książęca Mość. Nietoperz nie wrócił.

Uttobric mocniej ścisnął w rękę miecz, którego jeszcze nie odłożył.

— Pojmali go?

— Któż to wie? — Vazul wzruszył ramionami. — W każdym razie do tej pory zawsze składał meldunki w umówionym wcześniej terminie.

Wprawdzie zablokowaliśmy jego umysł najlepiej, jak umieliśmy, ale nie wiemy, jakimi środkami dysponują nasi przeciwnicy. Mamy informacje, że w minionym roku Jej Wysokość Saylana kilkakrotnie kontaktowała się z przybyszami zza morza. Każdy kraj ma swoich wywiadowców i część z nich znają tylko ci, którzy się nimi posługują. Ale to znaczy, Wasza Książęca Mość, że musisz działać szybko.

Kanclerz stał teraz w pełnym blasku świecy. Był prawie tak chudy jak szkielet, a jego szata, ozdobiona na piersi książęcym herbem, wydawała się niemal za ciężka dla niego. Miał krótko obcięte włosy, jakby był wojownikiem, ale jego zapadnięte policzki porastała krótka broda, a w jasnoszarych oczach krył się stalowy błysk obnażonego miecza. Książę ufał Vazulowi tylko dlatego, iż wiedział, że kanclerz doszedł do władzy i upadnie wraz z nim. Vazul był niezwykle przebiegły, czasami niemal wydawało się, że umie odgadywać przyszłość — a przynajmniej dostrzec pewne niebezpieczne problemy, które mogły się pojawić.

— Ale jeśli Nietoperz się nie zameldował... — powiedział powoli książę.

— Dlaczego wnioskuję, że dzwon bije na alarm? — Kanclerz wzruszył ramionami. — Ponieważ znam go tak dobrze, jak ty powinienes go znać, Wasza Książęca Mość. Jest najlepszym z naszych oczu i uszu i nigdy dotąd nie dostarczył fałszywej informacji. Wiemy, że dwa dni temu przekroczył granicę — skontaktował się tam z naszym człowiekiem. Powinien był się zameldować wczoraj o zachodzie słońca. Cokolwiek go zatrzymało, znajduje się na terenie twojego państwa, Wasza Książęca Mość, może nawet tutaj, w Kronengredzie.

Uttobric z całej siły wsunął miecz do pochwy i wydawszy nagle wargi, wrócił do krzesła, z którego przed chwilą wstał, ruchem ręki wskazując Vazulowi drugą stronę stołu.

Zanim kanclerz przyłączył się do księcia, podniósł trójramienny świecznik, zapalił wszystkie trzy świece, a wtedy stało się tak jasno, że mogli dobrze się widzieć.

— Wygląda na to, że teraz nawet nie wiemy, czy ten plan można wprowadzić w życie — zaczął książę, mrugając w silnym blasku świec. — Nietoperz miał nam powiedzieć, jakie stanowisko zajmuje Hawkner. Co teraz zrobimy? Czy mamy otwarcie zwrócić się z tym do króla? Jeżeli akurat będzie w złym humorze, co mu się często zdarza, może uznać naszą propozycję za żart, i to niestosowny.

Uttobric niespokojnie poruszył się w krześle. Spotkał się z królem Hawknerem tylko dwukrotnie — w tym raz na swoim weselu — i w obu wypadkach czuł się przytłoczony przez potężnego sąsiada, miał wrażenie, że jest niemal lokajem czekającym na jego rozkazy, chociaż Kronen nie należy do państwa Hawknera — Oberstrandu — i nigdy nie należał.

O dziwo, dostrzegł jakiś ruch na barku kanclerza, coś niewidocznego przesunęło się w dół ramienia Vazula, aż spod grubo haftowanego szerokiego rękawa wysunęła się gładka, czarna główka. Porastające ją futro było tak ciemne, że żółte światło świec tylko od czasu do czasu odbijało się od pary oczu osadzonych nad wąskim, spiczastym pyszczkiem. Książę patrzył ze wstrętem, aż z rękawa wyłoniło się całe ciało ulubienicy Vazula. Stworzenie sprawiało wrażenie, że jest czymś więcej niż zwykłym zwierzęciem. Na pewno w Kronenie nigdy nie widziano takiego gibkiego, długiego zwierzątka o krótkich łapkach z ostrymi pazurami. Uttobric nienawidził tego stworzenia, lecz coś powstrzymywało księcia przed wydaniem rozkazu, by kanclerz

trzymał je z daleka od niego. Zwierzątko usiadło teraz i polizało się po klatce piersiowej.

Książę zignorował je wysiłkiem woli. Zamiast tego podjął napastliwym tonem przerwana wcześniej przemowę.

— Czy mam pójść z czapką w rękę i zwrócić się do Hawknera za pośrednictwem pana Perfera? Nasz ambasador jest głupcem i nie wiemy, na ile można mu ufać.

— Jeszcze nie. — Vazul przesunął dłonią po grzbiecie swojej ulubienicy. — Czy Wasza Książęca Mość już rozmawiał z panną Mahart? Na pewno jest dostatecznie dorosła, by myśleć o małżeństwie z przystojnym księciem...

— Mahart trajkocze bezmyślnie jak szczebiotnik, jeśli mam cierpliwość jej słuchać! — Burknął książę. — W jednej chwili wypaplałaby wszystko pani Zucie i wszyscy by się o tym dowiedzieli.

— Niestety tak. Jednakże... — Kanclerz nie przestawał głaszać dziwnego stworzenia. — Nie chodziło mi o wyjawienie jej szczegółów tej sprawy, tylko o ogólną rozmowę na temat małżeństwa. Kto wie, może takie pogłoski zwrócą uwagę pani Saylany i zmuszą jej zwolenników do ujawnienia się, co wyjdzie ci tylko na korzyść, Wasza Książęca Mość.

Książę zaczął obgryzać paznokieć; przeniósł spojrzenie z kanclerza na stosy raportów. Tak, jeśli trochę zamieszają w tym garncu, na pewno buchnie zeń nieco więcej pożytecznej pary.

— No, dobrze — oznajmił. — To na pewno da się zrobić. Wezwij Burrisa — możemy zaraz się tym zająć.

Kanclerz pociągnął za sznur dzwonka, by przywołać osobistego sługę księcia. Sam ani się nie uśmiechnął, ani nie zmienił obojętnego wyrazu twarzy. Z coraz większą łatwością narzucał Uttobricowi swój sposób myślenia — ale zbytnia pewność siebie jest grzechem.

Głos wielkiego dzwonu wdarł się w najprzyjemniejszy sen księżniczki. Odkąd Mahart przestała być bardzo małą dziewczynką, nigdy nie oglądała świata poza starymi murami pałacu, ale dzisiaj w nocy wymknęła się ze swojej wieży do miejsca, które ledwie sobie przypominała po obudzeniu — na wielką, rozległą łąkę, gdzie kwiaty ugiwały się pod ożywczym tchnieniem wietrzyku niosącego zapach samego lata.

Zapach lata — zmarszczyła lekko brwi, wracając myślą do jakiegoś bladego wspomnienia. Oczywiście! Teraz wysunęła się z rozburzonej, uszytej z jedwabiu i aksamitu pościeli, i usiadła na łożu. Skupiła uwagę na małym, przenośnym piecyku stojącym na brzegu jej toaletki. Nie unosił się zeń wonny dym, ale kiedy się przeciągnęła, rozkładając szeroko ramiona, miała wrażenie, że mogłaby zamruczeć jak jeden z kotów strzegących zamku przed myszami i szczurami.

Ta Halwice to rzeczywiście prawdziwa mistrzyni w swoim fachu — stworzyła dla niej kadzidło, które sprowadzało spokojne i błogie sny. Ludzie mówili, iż Halwice sprzedaje pachnidła tak pełne mocy, że mogą one przyciągnąć lub odstraszyć innego człowieka. Niezadowolone spojrzenie Mahart powędrowało do baterii ozdobnych buteleczek na tej samej toalecie. W wielu z nich kryły się rzadkie zamorskie perfumy — jej ojciec trafił w sedno, ofiarowując jej na Święto Środka Zimy nowy rodzaj wody kwiatowej. Wydawało się, że w jego pojęciu buteleczka perfum doskonale zastępuje lalki, które dawał jej wcześniej — chociaż obdarowywał ją nimi tak długo, aż w końcu ktoś, prawdopodobnie Vazul, zwrócił mu uwagę, że Mahart wreszcie dorosła.

Nie zadzwoniła po Jultę, swoją pokojówkę. Uwolniła się z kokonu pościeli, wsunęła stopy w czekające futrzane kapcie i usiadła przed toaletką, nachylając się nad nią, by wciągnąć w nozdrza pozostałości zapachu spalonego kadzidła.

Świece ledwie się nadpały i zapaliła je teraz zapalniczką — wszystkie cztery — by przyrzuć się swemu odbiciu w dużym zwierciadle. Włosy nadal miała zaplecione w warkocze, jak zwykle na noc, lecz ich matowa, brązowa barwa nie dodawała jej urody. Zazdrościła Zucie gładkich, czarnych włosów, które wyglądały jak atlasowe. Ale przecież ona sama wcale nie jest brzydka! Po raz pierwszy Mahart pozwoliła sobie w to uwierzyć.

Dysponowała pewną ilością pudrów i kremów. Wiedziała, że Zuta chętnie ich używa, ale sama miała wątpliwości, czy powinna pójść w jej ślady. Cały czas bowiem myślała o chichoczących służebnych, które zawsze obmawiają swoje panie za ich plecami. Bała się, że może nawet rozbawi Zutę, a ta będzie zbyt uprzejma, by powiedzieć jej całą prawdę. Co ona sama zrobiłaby bez Zuty!

Mahart odnosiła wrażenie, że ta dama do towarzystwa już od urodzenia wiedziała, czego jej pani powinna się nauczyć. Zawsze umiała powiedzieć to, co należało w danej chwili, zachować się uprzejmie, a kiedy Mahart była młodsza, szybko tuszowała niezręczne słowa lub uczynki dziewczyny. Czasami Mahart pragnęła, by nadal opiekowała się nią jej piastunka.

Piastunka służyła jeszcze matce Mahart i była dla małej księżniczki pocieszycielką w dzieciństwie, wynagradzała obojętność ojca, bo księżę, zniecierpliwiony, unikał towarzystwa córki. Ale piastunka odeszła wraz z dzieciństwem. Otrzymała wysoką emeryturę i zajęła się swoją rodziną w Breście. Później pojawiła się Zuta, olśniewająca Mahart obyciem i mądrością, choć była od niej tylko o trzy lata starsza. Zucie zaraza odebrała nie jedno, lecz oboje rodziców, ale nowa dworka Mahart pochodziła z wysokiego rodu i wydawała się całkiem zadowolona ze swego obecnego położenia.

To właśnie Zuta opowiedziała jej o zielarce Halwice. Mahart, chociaż tak pilnie strzeżona w tym luksusowym więzieniu, z westchnieniem zapragnęła je opuścić pomimo otaczającego ją komfortu; może kiedyś uda jej się spotkać tę dostarczycielkę snów i panią pachnideł.

Tylko że... Mahart jest taka zmęczona... zmęczona... zmęczona. Wykrzywiła usta w podkówkę i znów owładnęła nią depresja, która dokuczała jej przez ostatnich kilka miesięcy. Była zmęczona takim życiem, niekiedy wydawało się jej, że się dusi. Gdyby nie odkryła przed kilku laty wielkiej biblioteki zamkowej, co wiedziałaby o zewnętrznym świecie poza skorupą, w której zamknął ją ojciec?

Strona za stroną zawędrowała do dalekich krajów, stawiała czoło dziwnym zwierzętom i jeszcze dziwniejszym ludom — i poznała przeszłość Kronenu oraz rolę, jaką w niej odegrała jej rodzina. Sądziła, iż ojciec nigdy nie przychodzi do wielkiej biblioteki; była głęboko przekonana, że pani Saylana również tego nie robi, choć od czasu do czasu któryś z jej sług przychodził poszukać jakiejś książki, zawsze na półkach najstarszej części, gdzie skórzane okładki pozostawiały kurz na rękach niedoszłych czytelników.

Oczywiście, codziennie wychodziła na spacer, ale mogła zawitać jedynie do maleńkiego ogródka, z którego na ten czas usuwano ogrodników. A posiłki jadła w okazałej, majestatycznej jadalni, gdzie jej ojciec przełykał pokarm w pośpiechu, czasami w towarzystwie Vazula, i żaden z nich nie zwracał uwagi na Mahart.

Zachęcała Zutę do kontaktów z innymi damami dworu. Plotki, które Zuta przynosiła z takich spotkań, zawsze były interesujące. Naturalnie dworki Mahart nie mogły się spotykać ze sługami Saylany. Chociaż liczba tych ostatnich zmalała od śmierci poprzedniego księcia, jego córka nadal miała swoich zwolenników i gości.

Mahart widziała z daleka Barbrica, syna Saylany, i nie wywarł na niej wielkiego wrażenia. Ten powłóczący nogami i śmiejący się głupkowato i piskliwie młodzik na pewno nie nadaje się na przyszłego księcia, który powinien mieć odpowiednią

prezencję, godną władcy Kronenu. Ale w takim razie... co z ojcem?

Przy każdym posiłku siedział pod oficjalnym portretem dalekiego kuzyna i różnica między nimi wydawała się coraz większa za każdym razem, gdy ich ze sobą porównywała.

Potężna postać zmarłego księcia na pewno zaćmiewała większość znanych jej mężczyzn. Najbardziej przypominał go kapitan Rangle z gwardii książęcej: miał podobnie energicznie zarysowaną szczękę, dumną postawę wojownika i głowę trzymał równie wysoko. Czy Wubric rzeczywiście onieśmiał swoich poddanych, czy też tylko tak mu się wydawało?

Mahart nie odrywała oczu od zwierciadła. Widziała, jak wygląda. Czy inni również uważali ją za takie zero? Gdyby utraciła pozycję księżniczki, kto wtedy składałby jej ukłony i prawil zdawkowe komplementy?

W zamyśleniu potarła dłonią czoło. Nigdy dotąd nie zadała sobie samej tylu pytań. Miała wrażenie, jakby sen — choć nie uwolnił ciała — zapalił wieloramienny świecznik w ciemnym zakątku jej umysłu.

Jeszcze raz nachyliła się nad przenośnym piecykiem, by sprawdzić, czy nie uchwyci jakiejś pozostałości tamtego niezwykłego zapachu. W tej samej chwili dyskretne pukanie do drzwi uświadomiło księżniczce, że właśnie traci swoją prywatność i że nie będzie jej miała do końca tego długiego dnia.

Oczywiście to była Julta, której bezszelestny, posuwisty krok kontrastował ze sztywną postawą. Pokojówka umiała wyrazić swoją reakcję na wszystko wykrzywieniem warg lub uniesieniem brwi. Zuta powiedziała jednak, że Julta milczy w towarzystwie innych służebnych tak samo jak w obecności swojej pani i że jest spokojna, zręczna i czasami zdaje się znikać w tle, jakby wtopiła się w jeden z wyblakłych ze starości gobelinów.

Julta postawiła srebrną tacę na toaletce i naląła ze srebrnego dzbanka poranny napar z ziół, który miał poprawić humor na cały dzień.

— Czy Wasza Wysokość dobrze wypoczęła?

— Jak zawsze, Julto.

— Jest posłanie od Jego Książęcej Mości. Życzy sobie zobaczyć się z tobą w swoim gabinecie przed drugim dzwonem.

— Dziękuję ci — odparła Mahart, sącząc ziołową herbatkę. No cóż, ten dzień zaczyna się od zaskoczenia. Mogła policzyć na palcach okazje, kiedy ojciec wzywał ją do komnaty będącej centralnym ośrodkiem jego niełatwego życia. — Włożę zieloną suknię haftowaną w pędy winorośli, Julto.

Pokojówka już odwróciła się do wysokiej szafy. Ta suknia — zielona jak liść i obramowana srebrnym haftem w kształcie gałązek winnej latorośli — zawsze dodawała księżniczce odwagi. Szczególnie dzisiaj miała w sobie coś świeżego, ożywczego, co kłóciło się z ponurą atmosferą starej komnaty i przypominało Mahart sen o rozległej łące usianej różnokolorowymi kwiatami.

Julta uczesała jej włosy w nową fryzurę zaproponowaną przez Zutę. Mahart cierpliwie wytrzymała szarpanie i upinanie. Dwa warkocze zostały zwinięte nad uszami i osłonięte cienkimi srebrnymi siatkami, choć przytrzymujące je szpilki czasami kłuły boleśnie. Później nastąpił zwykły rytuał mycia i ubierania. Julta jak zawsze milczała, co pozwoliło Mahart spokojnie pomyśleć.

Co ostatnio zrobiła takiego, iż ojciec nie tylko przypomniał sobie, że w ogóle ma córkę, lecz także wezwał ją o tej porze na rozmowę? Ma jednak dość czyste sumienie. W takim razie nie chodzi o jakieś złe sprawowanie z przeszłości, ale będzie musiała stawić czoło nowym, nieznanym nakazom na przyszłość.

Kiedy wyjmowała z trzymanej przez Jultę otwartej szkatułki z klejnotami skromny naszyjnik ze srebrnych liści, który zawsze nosiła do swojej ulubionej sukni, usłyszała



znów stukanie do drzwi. Mahart musiała sama zapiąć naszyjnik, gdyż Julta poszła, by wpuścić do komnaty Zutę — choć jak na nią było to naprawdę wcześniej.

Księżniczka od razu poczuła się szara i brzydka. Ciemnoniebieska, atlasowa suknia Zuty otulała jej postać tak ciasno, jakby dwórka nie miała pod nią koszuli. Zuta nie nosiła jednak głębokiego dekoltu, jak to lubiły otaczające Saylanę damy, a podobny do torby, haftowany złotem czepiec niemal całkowicie okrywał jej włosy.

Wykonała głęboki dyg i powiedziała z uśmiechem:

— Dobrze wybrałaś, Wasza Wysokość. Wstałaś rześka tego ranka. — Przeniosła wzrok z Mahart na przenośny piecyk.

— To prawda — zgodziła się z nią księżniczka. — Wszystko było tak, jak obiecałaś, Zuto. Na pewno tamta zielarka ma wielką wiedzę w swoim zawodzie. Chciałabym... — wyrwało się jej bez zastanowienia i nagle z jakiegoś powodu uznała, że nie chce z nikim dzielić się tą myślą. Ale skoro już zaczęła... — Chciałabym sama odwiedzić ten słynny sklep.

Zuta spochmurniała lekko i pokręciła głową.

— Nie wypada, Wasza Wysokość. Jeśli chcesz się dowiedzieć, co ta zielarka ma jeszcze do zaferowania, wezwij ją i rozkaż, żeby przyniosła próbki — jeżeli Jego Książęca Mość się zgodzi. Przecież ojciec zawsze pozwalał ci wybierać najlepsze materiały na twoje suknie u mistrza Gorgiasa i czy na ostatnie imienniny nie ofiarował ci perfum o zapachu lilii, które tak ci się spodobały? Przypomnij mu o tym, kiedy poprosisz o pozwolenie na spotkanie z zielarką, gdyż to właśnie ona je stworzyła. A teraz... czego sobie życzysz?

Czekała przy drzwiach. Mahart wyrzekła się ostatniego spojrzenia w zwierciadło i odrzekła:

— Jego Książęca Mość chce się ze mną zobaczyć w swoim gabinecie przed drugim dzwonem. Śniadanie zjem więc później, Zuto.

Na moment wydało się jej, że usta dworki rozchyliły się, jakby chciała zadać pytanie. Jeżeli jednak dama do towarzystwa chciała poznać powód tego niezwykłego wezwania, zbyt dobrze znała etykietę dworską, by to pytanie nie padło.

Dlatego Mahart sama zeszła po schodach do pełnej krzątaniny części zaniku. Gwardziści, których prawie nie zauważała, stawali na baczność, gdy ich mijała. Wreszcie dotarła do drzwi książęcego gabinetu. Tam gwardzista stuknął w podłogę paradną włócznią tak głośno, jakby walnął pięścią w drzwi.

Z wewnątrz dobiegła przytłumiona odpowiedź i gwardzista, porzucając na moment obowiązkową pozę, otworzył drzwi i zaanonsował:

— Jej Wysokość wielmożna pani Mahart, Wasza Książęca Mość.

Mahart wzięła głęboki oddech i zrobiła krok do przodu. Wszystkie ciężkie draperie przy oknach były odsunięte i nieco dziennego światła wpadało do wnętrza gabinetu, rozjaśniając je wraz z blaskiem świec stojących na szerokim biurku. Książę nie był sam; obok niego, zgięty w ukłonie, stał Vazul.

Zaskoczona księżniczka otworzyła szerzej oczy, ale złożyła ceremonialny, głęboki ukłon swemu ojcu. Obecność kanclerza jeszcze bardziej ją zdziwiła.

— Życzę ci, ojcze, miłego dnia i oby los ci sprzyjał. Ucieszyła się, że głos jej nie zadrżał.

— Tak, tak... — Książę niecierpliwie machnął ręką. Na pewno nie wyglądał na zadowolonego z tego spotkania, ale spojrzał na nią dziwnie. Otworzył jeszcze szerzej oczy, jakby córka była ciekawostką, na którą ktoś zwrócił jego uwagę.

— Siadaj... — Znów machnął ręką, tym razem w stronę krzesła, które przysunął kanclerz.

Usiadła więc, lecz ogarnął ją głęboki niepokój. Czego od niej chcą? Nie wątpiła, że znalazła się tutaj przez Vazula.

— Jesteś dorosła. — Urto blic przerzucał teraz papiery na biurku, jakby zdał sobie sprawę, że trudno mu znaleźć odpowiednie słowa. — Dorosła na tyle — powtórzył szybko — żeby się zareczyć.

Mahart zacisnęła oparte na kolanach dłonie. Dobrze wiedziała, że w tej sprawie nie ma nic do powiedzenia.

Ojciec znieruchomiał i patrzył na nią wyczekująco.

— Tak, ojcze — wykrztusiła. Książę chyba czekał na tę odpowiedź, gdyż mówił dalej:

— Jako kobieta nie masz pojęcia o sprawach państwowych. Ale to jest coś, co musisz zrozumieć, gdyż chodzi tu o bezpieczeństwo księstwa. Dobrze wiesz, że nie byłem następcą tronu, gdyż pochodzę z bocznej linii książęcego rodu. Los uczynił mnie władcą Kronenu, gdy zaraza pochłonęła mojego bliżej spokrewnionego kuzyna i innych prawowitych dziedziców księstwa. Prawo nie pozwoliło pani Saylanie wstąpić na tron, gdyż żadna kobieta nigdy nie rządzi w Kronenie. Jej synowi — wykrzywił usta, jakby chciał dodać kilka obraźliwych słów na określenie Barbrica — również nie, ponieważ ja przeżyłem. Lecz choć wtedy los okazał się dla mnie łaskawy, nie poszczęściło mi się pod innym względem. Twoja matka urodziła mi tylko córkę.

Powiedział to tak, pomyślała Mahart, jakby matka, którą ledwie pamiętała, w jakiś sposób zrobiła to celowo.

— A teraz posłuchaj uważnie, dziewczyno, tego, co nasz zacny kanclerz odkrył podczas długich poszukiwań w kodeksach prawnych, gdyż pewne zmiany i odpowiednie interpretacje starych dekretów mogą przynieść właściwe rozwiązania.

Vazul podszedł do okna. Wpadające przez rozsunięte draperie światło oświetliło go w pełni, jakby chciał w ten sposób skupić na sobie uwagę Mahart. Wydawało się, że jedno ramię ma wyższe od drugiego i dopiero po chwili księżniczka dostrzegła czarne jak atrament zwierzątko, bez którego nigdy go nie widziano i którego nie cierpiał cały dwór.

— Za rządów księcia Kathbrica II — głos kanclerza wywierał hipnotyczny wpływ na dziewczynę, która, o dziwo, zapragnęła, żeby mówił dalej — powstała podobna sytuacja. Miał on tylko córkę, Jej Wysokość Rothannę. Drugi z kolei następcą tronu, daleki kuzyn, łajdackimi uczynkami wielokrotnie zhańbił swoją książęcą krew. Książę Kathbric zwrócił się o pomoc do Domu Jasnej Gwiazdy. Siostry modliły się, prosząc Gwiazdę o natchnienie. Bogini zesłała wizję ówczesnej ksieni przy swoim ołtarzu. Inne kapłanki widziały snop srebrzystego światła, lecz tylko ich zwierchniczka ujrzała Tę, Która w nim stała. I rzekła zjawa tak: jeżeli pani Rothanna poślubi równego jej urodzeniem młodzieńca, który przybędzie do Kronenu nie jako gość, lecz mieszkaniec, by spędzić tu resztę życia, wówczas książę, po ślubie córki lub przed swoją śmiercią, może oficjalnie uznać zięcia za swego rodzzonego syna. Poszukano więc takiego młodzieńca i znaleziono go w Arsenie za morzem. Wygnał go tam wielki zdobywca cesarz Lantee, który wcielił jego państwo do swojego imperium. Młodzian ów był najstarszym synem swego ojca, a teraz ostatnim z rodu. Przybyli z Kronenu wysłannicy potwierdzili jego królewskie pochodzenie. Sprowadzono go tutaj, ożeniono z Rothanną, a później ogłoszono prawowitym następcą tronu, synem Kathbrica.

Ręka Vazula, podniesiona, gdyż chciał pogłaskać swoją ulubienicę, zdawała się poruszać w rytmie jego słów. Teraz urwał.

Dziwne uczucie ogarnęło Mahart, jakby drugie ja otworzyło się w jej jaźni, dodając odwagi.

— Jeżeli to już raz się zdarzyło... dlaczego nie miałyby się powtórzyć? Jej Wysokość Saylana...

— Jej Wysokość Saylana — w chrapliwym głosie ojca zabrzmiała groźba — na

swoje nieszczęście ma silną wolę. Nie posłuchała rozkazu swego ojca i poślubiła pana Alikena — oczarowała ją jego uroda i sława, jaką się cieszył po zdobyciu twierdzy banitów w Volonie. Po ataku zarazy na swoje nieszczęście zrozumiała, jak wielki błąd popełniła. Jej ojciec i mążonek zmarli, a ten ostatni był szlachcicem zaledwie od pięciu pokoleń, dlatego więzy pokrewieństwa nie łączyły go z żadnym rodem panującym. Nic równie głupiego i szalonego już się nie powtórzy — mówił dalej książę. — Jak sama słyszałaś, dzięki Jasnej Gwieździe Vazul znalazł ten wspinały precedens — a teraz to ty spełnisz swoją powinność.

Mahart nagle zadrżała. Dla kobiet z wysokich rodów małżeństwo zawsze było loterią jak gra w Kości Losu. Tylko nieliczne panny widziały swoich narzeczonych przed dniem ślubu. Ale taka nieoczekiwana perspektywa naprawdę ją przeraziła.

— Kto... — zaczęła, lecz ojciec uciął krótko:

— Dowiesz się wszystkiego we właściwym czasie.

— Wasza Książęca Mość — powiedział z naciskiem Vazul, jakby chciał o czymś przypomnieć księciu.

— Tak, tak. — Uttobric uderzył w usłane papierami biurko. — Jeszcze nie możesz pokazać się na dworze. Będziesz pobierała nauki. Później zaś zjawi się gość, którego powitasz życzliwie. A teraz odejść — mam dużo pracy.

Odprawił córkę machnięciem ręki. Vazul dwoma szybkimi krokami znalazł się przy drzwiach i otworzył je z ukłonem. Kiedy Mahart mijała kanclerza, dobiegł ją jego cichy szept:

— Będziesz miała teraz więcej swobody, Wasza Wysokość... Uważaj, jak będziesz z niej korzystać.

Zapach, od którego Willadene dostała gęziej skórki, był naprawdę silny. Zamrugła oczami, żeby lepiej widzieć w mroku panującym w sklepie zielarki. Lampa, zawsze przez całą noc paląca się w przeciwnym krańcu pomieszczenia, stanowiła teraz jedyne migotliwe źródło światła oprócz smugi słonecznego blasku wpadającego przez uchylone drzwi.

Willadene omal nie trąciła sandałem skulonej postaci leżącej na podłodze... Czy to Halwice? Podniosła ręce do ust, nie krzyknęła jednak, choć przerażenie chwyciło ją za gardło. Nie wiedziała dlaczego, ale zrozumiała — jakby ktoś wydał jej taki rozkaz — że teraz niezbędny jest spokój.

Przeniosła wzrok poza skulone ciało na krzesło, którego przedtem nie było w sklepie; widocznie zostało przyniesione z wewnętrznej izby. Siedziała w nim zielarka, nieruchoma i milcząca. Martwa?

Ręce Willadene drżały jak osika, lecz w jakiś sposób zdołała obejść leżące na podłodze ciało i dojść do jednej z mocno świecących lamp, których Halwice używała przy mieszaniu proszków. Na szczęście zapalniczka była obok i po dwóch nieudanych próbach dziewczyna zdołała zapalić knot.

Willadene, z lampą w drżących dłoniach, odwróciła się w stronę siedzącej na krześle milczącej postaci. Spojrzały na nią oczy zielarki. Wydawało się, że czegoś od niej żądają. Halwice żyła, lecz coś ją paraliżowało i czyniło bezsilną. Mógł to sprawić ktoś za pomocą pewnej zakazanej mieszanki ziołowej, ale Halwice nigdy czegoś takiego nie używała.

Te oczy... Willadene w jakiś sposób zdołała wyszeptać:

— Co się...?

Oczy Halwice ponaglały ją, zdawało się, że usiłują napisać jakieś przesłanie w powietrzu. A potem przeniosły się z dziewczyny na półprzymknięte drzwi i z powrotem. Żądały, domagały się czegoś. Willadene zdała sobie sprawę, że musi zareagować. Ale jak...? Czy Halwice chce, by wezwała pomoc?

— Możesz odpowiedzieć? — Zadała, najważniejsze w tej sytuacji pytanie. — Zamknij oczy...

Powieki zielarki natychmiast opadły, a potem znów się uniosły. Willadene odetchnęła głęboko, prawie z ulgą. Wiedziała, że mogą się porozumieć.

— Mam pójść po doktora Reymondę?

Był to najbliższy mieszkający lekarz, który korzystał z medykamentów wytwarzanych przez Halwice.

Powieki zielarki opuściły się nagle, uniosły i znów opadły.

— Nie? — Willadene starała się trzymać lampę nieruchomo. Prawie zapomniała o ciele leżącym na podłodze.

Wbiła wzrok w Halwice tak mocno, jakby chciała wymusić potrzebną odpowiedź. Zauważyła, że zielarka przeniosła spojrzenie poza nią i utkwiała je w podłodze.

Milcząca kobieta znów zamrugła dwa razy z taką powagą, jakby to był rozkaz.

Willadene próbowała domyśleć się, o co chodzi.

— Zamknąć drzwi? — spytała. W odpowiedzi Halwice zamrugła szybko, twierdząco. Dziewczyna ostrożnie obeszła nieruchome, skulone na podłodze ciało i spełniła polecenie. Halwice nie chce pomocy z zewnątrz... ale co złego tu się stało? Czy ten milczący kształt na podłodze to sprawca obecnego położenia zielarki?

Po zamknięciu drzwi dziewczyna, podnosząc wysoko lampę, drugą ręką instynktownie zatrzasnęła zasuwę. Gdy się odwróciła, znów ujrzała wbiły w siebie

uwagę, wymowny wzrok Halwice. Zielarka zamruwała. Tak, Willadene zrozumiała, że Halwice nie chce tu nikogo innego.

Później spojrzenie zielarki powędrowało w stronę podłogi i zatrzymało się na nieruchomym ciele. Willadene ostrożnie postawiła lampę obok niego, a potem uklękła. Był to mężczyzna leżący twarzą do podłogi. Miał na sobie podróżny strój z wełny i skóry, jakby właśnie przybył z jakąś karawaną. Halwice często miała do czynienia z kupcami handlującymi przyprawami i dziwnymi korzeniami; do jej sklepu regularnie docierały też pokruszone liście różnych rodzajów. Ale co się stało...?

Długoletnia praca w kuchni Jacoby, przenoszenie żelaznych garnków i rondli oraz ogromnych przyborów kuchennych sprawiły, że Willadene, choć mała i chuda, miała więcej siły, niż się wydawało. Zdołała przewrócić nieznajomego na plecy. Jego ciało było zimne i nie widziała ani rany, ani żadnego innego urazu. Odniosła wrażenie, że powaliła go momentalnie jedna z tych niesamowitych mocy, o których opowiada się w bajkach dla dzieci.

Był młody i miał ciemne, kędzierzawe włosy. Willadene delikatnie dotknęła jego głowy, szukając obrażeń, które mogły ukrywać gęste kędziory. Na chudej twarzy o regularnych rysach zaczynał sypać się pierwszy zarost. W sumie nie miał w sobie nic, czym różniłby się od innych drobnych kupców, których obsługiwała w Karczmie Wędrowców. Willadene wytarła rękę o wystrzępiony fartuch.

Była prawie pewna, że nieznajomy nie żyje, ale nie jest przecież lekarką. Podniosła pytające spojrzenie na Halwice.

Znow nie mogła oderwać wzroku od szeroko otwartych oczu zielarki. Później zaś Halwice, jakby upewniwszy się w ten sposób że dziewczyna skupiła na niej całą uwagę, ponownie spuściła oczy na ciało na podłodze. Następnie znow popatrzyła na Willadene i tym razem niespiesznie, jakby całym wysiłkiem woli, przeniosła wzrok z dziewczyny i nieruchomego mężczyzny na kotarę zasłaniającą wejście do izby na zaplecze sklepu.

Zielarka trzykrotnie powtórzyła ten manewr. Willadene ponownie musiała zgadywać.

— Mam go zabrać na zaplecze... tego właśnie chcesz? — Wskazała na drzwi prowadzące do izby.

W odpowiedzi Halwice mrugnęła tak gwałtownie, jakby był to rozkaz. Tak, tego właśnie chce. Trzeba ukryć nieznajomego przed ewentualnymi nieproszonymi gośćmi, takimi jak sama Willadene.

Dziewczyna postawiła lampę na ladzie, po czym precyzyjnie się między leżącym na podłodze mężczyzną a krzesłem Halwice. Chwyciła pod pachy bezwładne ciało — choć wszystko w niej się wzdrgało przed tym, co robi. Z trudem zdołała zaciągnąć nieznajomego na zaplecze, zatrzymując się od czasu do czasu, a potem uparcie ciągnąc dalej. Izba za sklepem była duża, gdyż jednocześnie pełniła rolę sypialni i kuchni, znacznie czystszej i ładniej pachnącej niż królestwo Jacoby.

Willadene stała, wpatrując się w ciało. Pomyślała, że nierozsądnie jest pozostawić je tak na widoku. Halwice spała na składanym łożu i nic nie udało się pod nim ukryć. Dziewczyna rozejrzała się wokoło i ujrzała obok ogniska ławę ze schowkiem. Był to masywny mebel o głębokim siedzisku. Jeżeli przestrzeń pod nim jest równie szeroka... Na szczęście tylne okna okazały się otwarte; napływała przez nie mieszanina zapachów ziół z dużego ogrodu ukrytego za sklepem; Willadene poczuła się odświeżona, jakby owe wonie rozjaśniły jej w głowie, mogła więc myśleć rozsądnie. W takim razie pozostaje ława ze schowkiem.

Z trudem ukryła tam ciało i upewniła się, że nie dostrzeże go nikt, kto przelotnie zajrzy do izby. Stała, dysząc tak ciężko, jak gdyby galopowała niczym kłacz wyścigowa.

Musiała oprzeć się ręką o framugę drzwi, żeby nie upaść, gdy podwiązywała kotarę. Potem wróciła do Halwice. Stała tuż przed zielarką i poinformowała ją o wszystkim.

— Jest pod ławą ze schowkiem, nie znalazłam lepszego miejsca do ukrycia.

Znów odpowiedziało jej pojedyncze mrugnięcie. Mówiła dalej:

— Czy mogę zrobić coś dla ciebie, pani?

Halwice zamrugnęła twierdząco, a Willadene uważnie przyjrzała się jej wędrującemu spojrzeniu. Dziewczynie wydało się, że Halwice skupiła uwagę na szufladach w wysokiej szafie. Przesuwała po nich dłonią, aż zatrzymało ją kolejne mrugnięcie zielarki. Wiedziała, że są tam rzadkie zioła, niektóre pochodzące z krajów tak dalekich, że niewielu Kroneńczyków o nich słyszało. Wysunęła szufladę. Znalazła trzy małe paczuszki, każda owinięta w chroniącą przed wilgocią natłuszczoną skórę. Podnosiła je po kolei dopóty, dopóki Halwice nie mrugnęła na znak, że to ta właściwa.

Teraz oczy zielarki powędrowały dalej, tym razem do baterii buteleczek z olejkami i flakoników z perfumami. Willadene znów powtórzyła cały proces, dotykając wszystkich po kolei, aż otrzymała znak.

Czekała na dalsze wskazówki. Zdała sobie sprawę, że Halwice spogląda teraz na przenośny piecyk stojący na niższej półce. Willadene postawiła go na ladzie. Nie, oczy zielarki zatrzymały się tuż przed krzesłem, na którym siedziała. Willadene przesunęła piecyk w to miejsce.

Później sięgnęła po wybraną buteleczkę i paczuszkę. Mrugnięcie — tak! Otworzyła pakiecik. Zapach, który owionął dziewczynę, zaskoczył ją. Przypominał woń napływającą od zebrzących sióstr, którym towarzyszyła tego ranka. Był całkowitym przeciwieństwem ohydny, słabnącego teraz smrodu, który wyczuła wcześniej w tym pomieszczeniu.

Dobrze wiedziała, że wszelkich pachnideł trzeba używać ostrożnie. Zapaliła przygotowane drewnka na dnie piecyka, a potem podniosła otwartą papierową torebkę do góry, aby zielarka mogła wszystko widzieć. Wyjęła z torebki szczyptę ziarnistego proszku. Mrugnięcie odpowiedziało: tak. Willadene wrzuciła to, co trzymała, do ognia i szybko chwyciła buteleczkę.

Był to jeden z tych flakoników, które Halwice specjalnie zamówiła na własny użytek z zastrzeżeniem, że za każdym razem może wypłynąć zeń tylko jedna kropla. Oczy zielarki nakazały Willadene wlać trzy krople do tego, co już buchało wonnym dymem z przenośnego piecyka.

Dym zgęstniał. Przybrał kształt liny i tężał coraz bardziej. Kiedy stał się tak długi, jak wysoka była Willadene, zaczął się zwijać w spiralę i spirala ta otuliła Halwice, zasłaniając ją przed wzrokiem dziewczyny.

Willadene cofnęła się o krok i oparła o ladę. Zapach dymu wypełnił sklep; był tak silny, że zdawał się dusić. Przez chwilę, która dłużyła się niczym godzina, dym przesłaniał Halwice, a potem zniknął jak zdmuchnięty. Zielarka poruszyła się, podniosła dłonie z kolan i pokręciła głową, jakby sprawdzała, czy kłępujące ją niewidoczne więzy zginęły bez śladu. A potem przemówiła:

— Gwiazda przysłała cię tu dzisiaj. Ale ten węzeł jeszcze nie został rozwiązany do końca. — Spróbowała wstać, lecz znów osunęła się na krzesło. — Czas, potrzebuję czasu i myślę, że pozostało mi go bardzo mało. Dziecko, sprzątnij to wszystko... — Skinieniem głowy wskazała na przenośny piecyk, flakonik i paczuszkę. Możemy przynajmniej mieć nadzieję, iż ten, kto rzucił ten ciemny czar, nie dowie się — a przynajmniej nie w najbliższym czasie — że pod tym dachem znajdują się środki, które mogą go zniszczyć.

— Przysłaś po przyprawę. — Z każdym słowem głos zielarki ożywił się coraz

bardziej. — Będą cię szukać?

Willadene wydała się, że uciekła bardzo dawno temu, gdyż wydarzenia, które miały miejsce w sklepie zielarki, przyćmiły pamięć o tym, co zrobiła.

— Nie wysłano mnie, pani, ja... ja uciekłam — wyznała.

— Od kogo?

— Od Jacoby. Chciała mnie sprzedać Wyche'owi za wysoką opłatę ślubną... myślę, że właśnie dlatego mnie zatrzymała. — Willadene zawinęła ręce w postrzępiony fartuch. — I ma do tego prawo, pani, sam sędzia tak powie.

— Ach, Wyche... — Halwice powiedziała to tak, jakby mówiła o śmieciu. — Jacoba nie jest członkinią rady miejskiej i nie ma prawa twierdzić, że sędzia pozwoli jej zadysponować tobą w taki sposób. To nie takie proste, jak jej się wydaje. Nie występowałam przeciwko niej przez ostatnich kilka lat, z powodów nie mających nic wspólnego z tą sprawą, ale teraz sama się tym zajmę! — Powiedziała to tonem osoby przyzwyczajonej do wydawania rozkazów, które natychmiast są wykonywane. — Najpierw jednak musimy odegrać pewną scenę. — Znowu spróbowała wstać, ale widać było, że jakaś słabość nie pozwala jej na to, i jej zwykle beznamietna twarz chmurniała coraz bardziej.

— A co z tym martwym mężczyzną? — Willadene wskazała na kurtynę zasłaniającą wejście na zaplecze.

Halwice z wielką determinacją zdołała stanąć na nogi i Willadene pośpiesznie ją podtrzymała, nie otrzymawszy odpowiedzi. Dopiero kiedy zielarka, opierając się ciężko na ramieniu dziewczyny, doszła do lady, której się szybko uchwyciła, przemówiła do niej tak:

— On żyje i można się nim zająć później. Teraz jednak... Czy zdołasz otworzyć żaluzje? — Skinieniem głowy wskazała na nadal zamkniętą witrynę sklepową. — Postaraj się zwrócić na siebie jak najmniej uwagi. Każdemu obserwatorowi musi się wydawać, że wszystko jest jak zawsze gotowe do przyjęcia klientów. — Na twarzy Halwice malowało się teraz zmęczenie i mocno trzymała się lady.

Nerwy Willadene były równie napięte. Nie miała najmniejszego pojęcia, co się stało lub co może się wydarzyć, ale gotowa była wykonać każdy rozkaz, który sprawi przyjemność kobiecie o wychudłej twarzy toczącej swój własny bój.

Po wyjściu na ulicę starała się dobrze wykonać to nowe dla niej zadanie. W pobliżu były trzy inne sklepy, ale na szczęście nie dostrzegła ich właścicieli, tylko zaledwie kilku przechodniów, z których żaden, jak się upewniła, od czasu do czasu omiatając otoczenie spojrzeniem, nie zwracał na nią uwagi.

Kiedy wreszcie odsunęła te nocne zapory, gotowe do przymocowania od wewnątrz, wśliznęła się przez szparę, którą sobie pozostawiła, i szybko wcisnęła sworznie na miejsce. Przed sobą miała teraz witrynę sklepową, na której znajdowały się najbardziej poszukiwane towary — buteleczki, szkatułki z wieczkami wysadzonymi drogimi kamieniami, kulki aromatyczne gotowe do zawieszenia na szyi lub u pasa — wszystkie skarby czekające tylko na napełnienie ich wyrobami Halwice, rzucające się w oczy na tyle, by przyciągnąć klientów do sklepu.

Zrobiło się już dostatecznie jasno. Halwice zdmuchnęła lampę i odstawiła ją na miejsce. Ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na krzesło, które nie tak dawno ją więziło.

— Odstaw je w najdalszy kąt — rozkazała. — Musi wyglądać jak część tego, co tu powinno być, kiedy oni przyjdą.

Willadene, ciągnąc ciężkie krzesło, chciała zapytać, kim są ci tajemniczy „oni”, ale uznała, że Halwice jest już w pełnej formie i że najlepiej zrobi, spełniając bez pytania jej polecenia.

Kiedy umieściła krzesło w zacienionym tylnym rogu pomieszczenia, jak rozkazała

jej Halwice, zwróciła uwagę na kolorową isierkę na podłodze w pobliżu miejsca, z którego odciągnęła bezwładne ciało mężczyzny. Podniosła coś, co początkowo uznała za pieniądz, gdyż było okrągłe i duże jak moneta o sporej wartości. Po odwróceniu znaleziska zobaczyła na jego brzegu mały haczyk; najwidoczniej była to ozdoba przeznaczona do wieszania na łańcuszku. Nie miała też do czynienia z monetą, jak początkowo myślała, gdyż na obu stronach znajdował się jakiś symbol — szeroko rozpostarte skrzydła z tarczą, w środku, na której wyryto miecz skrzyżowany z berłem. Kilkakrotnie widziała tę odznakę — należała do kanclerza Vazula.

— Daj mi to! — Halwice nie podniosła głosu, ale widać było, że jeszcze bardziej się zaniepokoiła. Kiedy Willadene podała zielarce znalezisko, ta jedną ręką puściła się lady i szybko ukryła je w staniku.

— Nie wolno ci o tym mówić...

Dziewczyna skinęła głową. Może znaleziona odznaka należała do trupa (nadal nie mogła uwierzyć w zapewnienia Halwice, że niezajomy mężczyzna żyje) i spadła, gdy Willadene zaciągnęła go za kotarę.

— A teraz posłuchaj mnie uważnie, dziewczyno, i udowodnij, że masz w sobie to, czego w tej chwili potrzebuję. Do mojego sklepu przyjdą strażnicy miejscy, już wkrótce tu będą. To, co tutaj znalazłaś, to pułapka zastawiona na mnie i na mężczyznę, którego ukryłaś na zapleczu. Dlatego jestem przekonana, że odwiedzi nas straż z polecenia sędziego. Ty jak zwykle przyszłaś po przyprawę dla Jacoby. Odmierz te same co zazwyczaj w odpowiednich ilościach...

Zielarka znów oburącz chwyciła się lady. Dziewczyna wzięła z półki arkusik papieru, wygładziła go na wierzchu kontuaru i zdjęła stojącą w pobliżu skrzynkę. Ostrożnie nabrała małą szufelką tę samą ilość przyprawy co zawsze i nasypała na papier. Ledwie zdążyła wsunąć ową skrzynkę na miejsce, kiedy z ulicy dobiegł ją odgłos kroków maszerujących mężczyzn w ciężkich butach. Halwice miała rację! To na pewno strażnicy. Willadene obesła ladę i stanęła przed zielarką. Poczwała, że musi przytrzymać się wypolerowanego kontuaru, tak jak Halwice.

Jeżeli Jacoba zgłosiła już jej ucieczkę, szybko zostanie schwytana. Jeśli mogła mieć nikłą nadzieję, że tak się nie stanie, to tylko dlatego, że karczma znajdowała się w innej dzielnicy i że sędzia, któremu podlega tamta część miasta, nie zdołał jeszcze przekazać tej nowiny swoim kolegom.

W drzwiach stanął jakiś mężczyzna, ale Halwice nie spojrzała na niego, tylko patrzyła ponuro na Willadene.

— Powiedz Jacobie, iż na całym świecie nie ma takiej przyprawy, która sprawi, że jej pomyje będą się nadawały do jedzenia. Wzięła ich już dużo na kredyt — kiedy zamierza za nie zapłacić?

Willadene, całą sobą wyczuwając obecność mężczyzny, który stał teraz blisko niej, starała się opanować drżenie głosu.

— Pani, ja jezdem tylko podkuchenna. Karczmarka nic mi nie mówi, każe tylko iść i przynieść przyprawy do mięsa. Proszę, o pani! — Zgarbiła się, jakby już czuła uderzenie laski Jacoby na kościstych barkach. — Pozwól mi wziąć to, co mi każała przynieść, bo już i tak się złości.

— Coś ty za jedna? — usłyszała nad uchem chrapliwy głos, a na jej ramię opadła ciężka ręka. Na pewno będzie miała siniaka.

Willadene nie musiała udawać, że jest przerażona. Mężczyzna, który przycisnął jej plecy do kontuaru, rzeczywiście był strażnikiem. Kolczuga, hełm ocieniający górną część twarzy, na której dziko jeżyły się wąsy, to coś więcej niż ostrzeżenie — raczej zapowiedź katastrofy.

— Jest podkuchenną w Karczmie Wędrowców — powiedziała Halwice tak spokojnie, jakby wymieniała grzeczności na temat pięknego dnia. — Przysłano ją



tutaj po przyprawach...

Willadene nie ośmieliła się poruszyć. Mężczyzna obrzucił zielarkę krótkim spojrzeniem; omiatał teraz szybko oczami wnętrze sklepu, a dwaj towarzysze tłoczyli się za nim.

— Dzielnicowy sędzia dobrze mnie zna — podjęła znów Halwice — i zasiadam w radzie miejskiej. Dlaczego poczynacie sobie tak ostro? Czy nie zaopatruję Jego Książęcej Mości i członków wszystkich innych znanych rodów...? — W jej głosie brzmiał teraz gniew; tak właśnie zareagowałby każdy uczciwy kupiec, potraktowany podobnie. — Zapłaciłam podatki — dałam je osobiście samemu sędziemu. Nikogo nie obraziłam i przestrzegam praw gildii...

Dowódca strażników znów na nią spojrzął. Wskazał kciukiem na zasłonięte kotarą wejście do wewnętrznej izby.

— Co tam jest, pani? — zapytał mniej agresywnie niż przedtem.

— Moje mieszkanie, a za nim ogród, w którym hoduję niektóre zioła. Zobacz sam. Ale czego szukasz? Jestem uczciwą kobietą i nie przywykłam do takiego traktowania. Bądź pewny, że poskarżę się sędziemu...

Strażnik nie odrywał od niej wzroku.

— Złożono nam doniesienie o tym sklepie, o tobie — powiedział flegmatycznie.

— Otrzymaliśmy wiarygodną informację, że znajdziemy tutaj pewnego poszukiwanego przez nas oszusta, pani, zabitego... — Jego wąsy nastroszyły się jak szczecina dzika. — Podobno podano mu zatruty napój.

Halwice wyprostowała się, jej twarz stężała.

— Cóż to za ohydne oszczerstwa?! Czy widzisz tu martwego mężczyznę? Popatrz, przyjrzyj się dobrze!

Serce Willadene waliło młotem; bała się, że zacznie się trząść, gdyż Halwice właśnie wskazywała na zasłonięte kotarą drzwi drugiej izby.

— Posłuchaj mnie uważnie, sierzancie! Jeżeli ty sam albo któryś z twoich niezdarnych podwładnych uszkodzicie choćby jeden z moich towarów, nie tylko złożę skargę do samego sędziego, lecz także do Jego Książęcej Mości. Spójrz tu... — Wskazała na spoczywającą pod szklanym kołpakiem szklaną buteleczkę w kształcie róży, tak małą, że Willadene bez trudu mogłaby ją ukryć w dłoni. — To jest Tchnienie Róż dla Jej Wysokości Mahart. Czy znasz jego cenę? Warte i jest więcej niż twoja półroczna pensja, a w dodatku naraziłbyś się na gniew tej wysoko urodzonej damy!

— Nasze informacje... — próbował kontynuować, ale przyjrzał się ostrożnie buteleczce i odszedł od niej kilka kroków — ...pochodzą ze źródła, które nie jest plotkarskie. Skoro sama każesz nam i szukać, zrobimy to.

Minął Willadene i szarpnięciem odsunął kotarę. Dziewczyna wbiła wzrok w ladę, w pakiecik przypraw, które rzekomo kupowała; czekała, aż sierżant znajdzie ukrytego mężczyznę. Ale on chwilę później wrócił do sklepu wielkimi krokami. Może ostrzeżenie Halwice wywarło pożądaną wpływ.

— No więc? — zapytała zielarka. — Gdzie jest twój martwy mężczyzna? Poszukaj w ogrodzie, jeśli musisz. Nie zobaczysz tam niedawno skopanej ziemi. Bądź pewny, że wpiszę do księgi sędziego moją odpowiedź na ten zarzut i skargę na przeszkody w prowadzeniu interesów. Dlaczego jakiś martwy mężczyzna miałby się znaleźć akurat w moim sklepie? Złożyłam przysięgę przed ołtarzem Jasnej Gwiazdy i moje serce zbadała najwyższa kapłanka, która dzięki swej mocy umie wykryć zło w ludziach. Oświadczyła, że jestem niezdolna do machinacji mogących wyrządzić zło komukolwiek. Odważysz się podważyć ten osąd? Gdyby w nocy ktoś próbował ukraść moje towary, gdzie mógłby je sprzedać? Zresztą, czy władze miasta nie pozwoliły mi umieścić dzwonka alarmowego, by wezwać w takim wypadku straż?

Kto słyszał mój dzwonek? Gdzie jest jakiś intruz? Czy złożyłam skargę?

Mówiła coraz ostrzejszym głosem, zarzucając strażnika pytaniami. Pełne policzki mężczyzny płonęły czerwienią, a jego dwaj podwładni wycofali się do drzwi wejściowych, zerkając na boki, jakby obawiali się, że mimo woli wyrządzą jakąś szkodę. Widać było, że sierżant jest rozgniewany. Willadene niemal czuła żar jego gniewu. Na własne oczy przekonał się jednak, że w sklepie zielarki nie ma niczego niezwykłego. I na pewno wzmianki Halwice o wpływach, jakie zyskała u sędziego tej dzielnicy i nawet u samego księcia, trafiły w czuły punkt. Nie groziłaby mu, gdyby nie mogła poprzeć gróźb czynami.

— Złożę meldunek, pani. — Strażnik najwyraźniej próbował ratować twarz, mówiąc ostrzegawczym tonem.

— Zrób to i zajmij się swoimi sprawami. Nie przeszkadzaj mi w moich — odrzekła ostro.

Strażnik opuścił sklep. Szedł w odległości kilku kroków od swoich podwładnych, którzy teraz znajdowali się na ulicy. Kiedy już nie można go było zobaczyć przez małe szybki wystawy, Halwice odwróciła się do Willadene. Dziewczyna zdążyła wyjąć ze stosu inny kawałek papieru i właśnie go zwijała.

— W porządku, poszli na zachód. A teraz posłuchaj mnie uważnie. Weź to, jakbyś rzeczywiście wracała z zakupów, które jakoby miałaś zrobić. Kiedy znajdziesz się za drzwiami, idź w przeciwną stronę — na wschód. Wiesz, gdzie jest dom doktora Dobbliera?

Willadene skinęła głową.

— Pójdź tą alejką na tyły tego domu i podejdź do płotu otaczającego mój ogród. Nalicz pięć sztachet, a potem naciśnij na dwie następne; otworzą się przed tobą. Zastukaj trzy razy do tylnych drzwi.

Willadene odetchnęła głęboko.

— Mam tu wrócić? — szepnęła. Halwice zmierzyła ją spojrzeniem.

— Czy nie tego właśnie chciałaś?

— Och, tak, tak!

— W takim razie wracaj szybko. Mamy dużo do zrobienia. Willadene wybiegła na ulicę, jakby się obawiała, iż zostanie surowo ukarana za to, że późno wróciła z zakupów.

Życie Mahart, które kiedyś przyrównywała ona do wegetacji więźnia stanu, zmieniło się bardzo szybko. Wprawdzie nadal uniemożliwiano jej bliskie kontakty z dworzanami i dworkami Saylany, ale coraz częściej odwiedzał ją Vazul, który przyprowadzał ze sobą po kilka dam ze starszego pokolenia. Księżniczka spędzała z nimi parę godzin w swojej bawialni, prowadząc nudne rozmowy i przestrzegając bardzo sztywnej etykiety. Wiedziała, że większość z nich bardzo się nią interesuje i choć wzdragała się w duchu, starała się zachować obojętną minę wobec taksujących spojrzeń, jakimi mierzyły ją damy spoza wachlarzy. Zuta zawsze uczestniczyła w tych wyczerpujących spotkaniach. Potem nader chętnie rozmawiała o każdym gościu — czasami przekraczając granice tego, co wedle obowiązujących zwyczajów mogła usłyszeć młoda dziewczyna. Takie rewelacje przypominały Mahart historie, o jakich czytała w książkach, ale których nigdy dotąd nie kojarzyła z żywymi osobami.

Księżniczka miała teraz mnóstwo nowych strojów — szwaczki pracowały codziennie od rana do wieczora. Musiała stać przez wiele godzin, gdy jedna lub druga mierzyła brzeg bluzki, zaznaczając miejsce na szew.

Chociaż Zuta nadal zachęcała ją do noszenia jaskrawszych kolorów i droższych materiałów, Mahart trzymała się barw, w których czuła się najlepiej: bladych odcieni zieleni, błękitu i żółci. Nie pragnęła też nadmiernej ilości haftów ani obszyć z futra i metalowych nici.

O tym, co jest powodem tej całej chwały, która na nią spłynęła wbrew jej woli, dowiedziała się podczas jednej z porannych wizyt Vazula. Kanclerzowi towarzyszył gwardzista niosący sporą skrzynię. Z miną magika, który zamierza zadziwić publiczność, Vazul otworzył skrzynię, odsłaniając prawdziwy skarb. Klejnoty zdawały się świecić niemal równie jasno jak lampa i Mahart utkwiała w nich wzrok, czując dziwny wstręt. Było ich zbyt dużo, żeby mogły być prawdziwe. Vazul szybko zapewnił ją, że klejnoty te nie są własnością kogoś z członków rodu panującego, lecz samego księstwa, i że nosi się je z okazji ważnych uroczystości państwowych.

Jedna z takich ceremonii właśnie miała się odbyć. Od lat — a ściślej mówiąc od czasu zarazy — nigdy nie było uroczystości, podczas której córki i synowie szlacheckich rodów po raz pierwszy spotykali się ze swoim władcą. Uttobric uważał to za stratę cennego czasu, gdyż przygotowania do takiego spotkania zajmowały większości mieszkańców zamku kilka tygodni; w dodatku nigdy nie miał przekonania do tych ceremonii, bo nie dowierzał wielmożom.

Tym razem jednak to nie Uttobric miał być ośrodkiem zainteresowania. Książę oświadczył bowiem, że skoro Jej Wysokość księżniczka Mahart dorosła, takie właśnie wydarzenie stanie się najlepszym wstępem do przypadających na nią obowiązków.

Vazul i Zuta zaznajomili księżniczkę ze szczegółami ceremoniału audiencji. Wyglądało na to, że będzie to dla niej gorsze niż zapraszanie na herbatki starszych dam dworu. Jednakże Mahart zmusiła się do nauczenia roli, której nie chciała odgrywać, ale która była częścią jej niepewnego dziedzictwa.

— Będzie obecna Jej Wysokość Saylana — oznajmiła Zuta. — Zajmie niższe krzesło. To ty, Wasza Wysokość, wejdiesz pierwsza, a ona, zanim usiądzie, musi złożyć ci ukłon, choć z pewnością nie tak głęboki jak inni. Mają jej asystować co najmniej trzy ulubione damy dworu, które staną na najniższym stopniu na prawym krańcu podium.

— Ja będę twoją główną damą dworu, oczywiście jeśli wyrazisz zgodę. — Urwała, a Mahart szybko skinęła głową. — Mają ci też towarzyszyć pani Famina z Domu

Ranavice, który jak dotąd nie opowiedział się otwarcie po żadnej ze stron w naszym zadawnionym sporze o następstwo tronu, oraz pani Geuverir z Krutzu — jej ojciec jest bardzo lojalny w stosunku do Jego Księżęcej Mości. Te dwie damy zaproszono na dziś i zostaną ci przedstawione. A czy pamiętasz panią Honorę? — Zuta uśmiechnęła się złośliwie.

Mahart przypomniała sobie tę postać z irytacją. Ta wyniosła dama przyzeglowała do jej bawialni przed kilkoma tygodniami, wyraźnie dając do zrozumienia, że spełnia tylko swój obowiązek i że nie ceni wysoko osoby, której ma złożyć hołd.

— Pani Honora jest matką pani Geuverir. Mówi się, że pani Geuverir odziedziczyła niektóre cechy charakteru swojej rodzicielki — dodała dworka.

Mahart uśmiechnęła się szeroko.

— Bardzo ci dziękuję, Zuto, za to ostrzeżenie.

W odpowiednim czasie spotkała się ze swymi nowymi damami dworu.

Księżniczka uznała, że są przesadnie wystrojone. Zauważyła też, że pani Geuverir z ukosa, nieprzychylnie spojrziała na jej strój. Podobny wyraz odmalował się na niesympatycznej twarzy pani Honory. Pani Famina miała okrągłe policzki i mokre od potu włosy nad czołem. Kiedy się odezwała w odpowiedzi na jakieś bezpośrednie pytanie, okazało się, że lekko się jąka.

Krótkotrwałe, lecz bogate doświadczenie wyniesione przez Mahart z kontaktów z dworem, umocniło jej zdolność przeczuwania niektórych sytuacji, dlatego była pewna, że dworki pani Saylany na pewno zaćmią tę ostatnią dwójkę. Mogła jednak liczyć na to, że przynajmniej Zuta przyciągnie wzrok obecnych — o ile nie skupi go na sobie bez reszty!

Uroczystość ta rzeczywiście była dla księżniczki próbą cierpliwości. Odbędzie się, jak zwykle, po południu przed ostatnim dzwonem, tak że wielką salę tronową oświetlał nie tylko las świec w wysokich stojących kandelabrach, lecz także promienie zachodzącego słońca wpadające przez umieszczone pod sufitem okna.

Mahart nie włożyła co najmniej jednej trzeciej biżuterii, którą jej zalecano, ale nawet teraz, gdy zerknęła w swoje zwierciadło, pomyślała, że wygląda jak wystrojona mała mieszcza. Jej kremową atłasową suknię pokrywała jasnozłota siatka, w której lśniło mnóstwo brylantów. Szeroki naszyjnik z tych samych kamieni zasłaniał większą część szyi odsłoniętej przez wycięty nisko dekol, a błyszcząca tiara ciążyła na głowie tak, że obawiała się o jej bezpieczeństwo. Unosiła więc głowę wysoko, by ta ciężka ozdoba nie ześliznęła się na podłogę. Ze wszystkich tych wspaniałości Mahart naprawdę cieszył tylko zapach wydobywający się z otrzymanej niedawno od ojca, ozdobionej drogimi kamieniami buteleczki w kształcie rozkwitłej róży, najpiękniejszej, jaką miała w swojej kolekcji.

Zapach nowych perfum umocnił jej determinację, by ta właśnie uroczystość utkwiała obecnym w pamięci. Zuta szła o dwa kroki za nią, ubrana w swój ulubiony różowy kolor, a dalej kroczyły pozostałe dwie damy dworu tak przesadnie wystrojone w falbanki, koronki i drogie kamienie, że Mahart szybko odwróciła od nich wzrok.

Weszła majestatycznym krokiem, którego uczyła się przez wiele godzin w swojej komnacie, odpowiedziała uniesieniem ręki na głęboki ukłon kanclerza. Później oparła dłoń na jego ramieniu i Vazul poprowadził ją po pięciu stopniach do księżęcego tronu. W tym momencie była wybraną przedstawicielką ich władcy, dlatego wszyscy zgromadzeni w sali tronowej słusznie okazywali jej szacunek.

Drugie krzesło, ustawione stopień niżej niż tron, było puste, lecz pani Saylana właśnie nadchodziła na czele licznego orszaku. Większość z towarzyszących jej osób wtopiła się w tłum czekających dworzan, ale eskortowały ją trzy dojrzałe piękności, odziane w wytworne szaty.

Sama Saylana wybrała atłas na suknię, która miała białoszary kolor księżycowych

promieni, a w przejrzystej, pokrywającej spodnią szatę siatce połyskiwały rubiny. Szeroki naszyjnik z tych samych kamieni okalał jej szyję. Wysuwały się z niego niewielkie fałdki tłuszczu i żadne kosmetyki nie mogły ukryć bruzd wokół ust i kurzych łapek w kącikach oczu. Oczy miała tak błyszczące i rozżarzone jak rubiny. Nie pochyliła głowy, na której zdobne drogimi kamieniami przepaski podtrzymywały jej włosy. Patrząc przed siebie, z kpiącym uśmiechem na uszminkowanych ustach złożyła głęboki ukłon, który, jak się zorientowała Mahart, miał w subtelny sposób znieważać ją samą, czyli córkę uzurpatora. Kroczące za Saylana trzy odziane w szerokie suknie damy również ukłoniły się zamasyście.

Wszystko to było bardzo męczące. Jeden z heroldów przyprowadził kolejno do stóp tronu co najmniej dwadzieścia szlachetnie urodzonych panien, wymieniając głośno imię i ród każdej z nich. Mahart usiłowała zmusić się do życzliwego i przyjaznego uśmiechu i prawidłowo wymówić półgłosem imię każdej młodej damy zgiętej w możliwie najniższym ukłonie. Musiała wysłuchać i zapamiętać te imiona, upewnić się, że nikt nie poczuł się urażony i zlekceważony. Później ta część uroczystości wreszcie się skończyła i stojący przy najdalszych drzwiach sali herold zapowiedział przybycie dziedziców poszczególnych rodów.

Podczas tego nawału obowiązków Mahart udawało się ignorować Saylanę, teraz jednak zauważyła, że rywalka jej ojca nachyliła się nieco do przodu.

I nic dziwnego, bowiem pierwszym wystrojonym gogusiem, który stanął przed Mahart, był Barbric, syn Saylany. Ten wysoki młodzik trzymał się niezdarne i miał obwisłe usta — na pewno nie wyglądał na księcia z dziewczęcych marzeń. Księżniczce nie spodobał się też sposób, w jaki zerknął na nią, prostując się z ukłonu — jakby była łupem, który zamierzał zdobyć. W zamku krążyło wiele opowieści o Barbricu i żadna z tych, które opowiedziała jej Zuta, nie przysparzała mu chwały. Ucieszyło ją, że kuzyn odszedł na bok. Co do pozostałych, byli dla niej tylko twarzami, jedna lub dwie wydały się jej urodziwe, zaś resztę Mahart, przyzwyczajona do widoku swego ojca i Vazula uznała za zbyt młode.

Ceremonia wreszcie dobiegła końca i Mahart mogła opuścić salę tronową, schodząc ze stopni, obawiała się, że nadejnie skraj swojej długiej, szerokiej sukni. Wystarczy, że się potknie, by dla Saylany obecność na tej uroczystości z obowiązku zamieniła się w przyjemność.

Po powrocie do swojej komnaty Mahart ostrzej niż dotąd zwróciła się do Julty:  
— Uwolnij mnie od tego!

Sama już ścierała tiarę, gdyż nie wątpiła, że właśnie od niej tak rozboleła ją głowa. Potem musiała stać cierpliwie, gdy Julta i Zuta zdejmowały z niej klejnoty i suknię. Tutaj, w swojej komnacie, gdzie nie było tak wiele zapachów, które mogłyby go zaćmić — gdyż odniosła wrażenie, że wszyscy dworzanie i dworki zlali się perfumami o kontrastujących woniach — znów czuła znajomy, orzeźwiający różany aromat.

W porządku: odegrała rolę, której wymagali od niej jej ojciec i Vazul. Czy ośmieli się poprosić o coś w zamian? Zuta powiedziała, że można by wezwać zielarkę na zamek. Ale, na Najjaśniejszą Gwiazdę, Mahart czuła się śmiertelnie zmęczona tym luksusowym więzieniem i obowiązkami, jakie nakładało na nią jej pochodzenie!

Na Gwiazdę! Kiedy siedząc na ławie czekała, aż Julta i Zuta ponownie zaplotą jej włosy w warkocze, nowa myśl przyszła jej do głowy.

— Zuto — powiedziała żywo — czy byłaś kiedyś w klasztorze Gwiazdnych Sióstr? Wiem, że gościnnie przyjmują one tych, którzy szukają odpowiedzi...

— Nigdy, Wasza Wysokość. Ale... — zaszczyliła Mahart przenikliwym spojrzeniem — ... kilka księżnych i wysoko urodzonych dam odwiedziło je w przeszłości.

— Zatem to dozwolone! — wykrzyknęła księżniczka. Dlaczego nigdy dotąd o tym nie pomyślała? — Tak, poproszę mego ojca, by pozwolił mi tam się udać. Byłoby dobrze — ponieważ chce mi przekazać część swoich oficjalnych obowiązków — żebym poznała tę, która podobno wie o wszystkim, co się dzieje na świecie — księżę Gwiazdy.

Vazul, z siedzącą mu na karku swoją ulubienicą o ciemnym jedwabistym futerku, złożył księciu głęboki ukłon. Teraz, po wzięciu udziału we wspaniałej uroczystości dworskiej, kanclerz w głębi duszy uznał władcę Kronenu za jeszcze chudsze i bez preencji.

— No więc?! — warknął książę, gdy Vazul się wyprostował. — Jak poszło? Czy zrobiła głupców ze mnie i z siebie i teraz pół dworu śmieje się z nas ukradkiem?

Kanclerz pozwolił sobie na lekki uśmieszek zadowolenia.

— Wasza Książęca Mość, Jej Wysokość wspaniale wywiązała się ze swego zadania. Zachowała się tak, jakby spełniała ten obowiązek już wielokrotnie.

Książę spojrział na niego spode łba.

— Czy oczy i uszy, które opłacasz, zameldowały o jakichś późniejszych komentarzach?

— Tylko o bardzo pochlebnych, Wasza Książęca Mość. W dworskim stroju Jej Wysokość sprawiała wrażenie, że naprawdę dobrze czuje się na tronie.

Uttobric przesunął papiery, zawsze gromadzące się wokół niego.

— A wilczyca się pokazała?

— Jej Wysokość Saylana pojawiła się, jak należy, Wasza Książęca Mość. Uznała wyższą rangę twojej córki w najbardziej poprawny sposób. Ale wśród młodzieńców z wysokich rodów, których przedstawiono księżniczce, Barbric był pierwszy.

— Demonstrowała go jak nowego rumaka bojowego, prawda? O ile wiem, tylko w niewielkim stopniu przypomina z wyglądu swego ojca.

— W niczym, co można by dostrzec podczas takiej prezentacji,

Wasza Książęca Mość. — Vazul pogłaskał swoją ulubienicę. — Na pewno nie wygląda na wodza dzielnych mężów.

— Jeżeli zdoła utrzymać się na koniu i pomachać mieczem, Saylana ogłosi, że jest prawdziwym synem swego bohaterskiego ojca! — prychnął książę. — A teraz... — pogrzebał wśród papierów, aż znalazł jeden, który zbliżył do oczu — ...widzę, że Nietoperz okazał się użyteczny jak zwykle. Ale dlaczego spóźnił się z tym meldunkiem? Och, usiądź, człowieku, masz chyba do opowiedzenia całą historię. — Skinieniem ręki polecił kanclerzowi siąść na drugim krześle.

Uśmieszek zniknął z ust Vazula.

— Myślę, Wasza Książęca Mość — powiedział powoli — że mamy wśród nas jakiegoś Nietoperza, który służy innemu panu.

Książę hałaśliwie zgniół dokument, który trzymał w dłoni.

— Został pojmany? — spytał, podnosząc głos.

— Nasi wrogowie podjęli próbę, która prawie się powiodła. Nietoperz ma znajomych, a ci w razie potrzeby go ukryją. Należy do nich dobrze znana ci kobieta — zielarka Halwice. Ma własną siatkę informatorów. Bardzo dobrze przysłużyli się jej w przeszłości, gdyż nie wszystkie jej wyroby pochodzą z Kronengredu, lecz większości sprowadza z za granicy.

— Nietoperz otrzymał paczuszkę, którą miał jej oddać, i poznał, albo tak mu się wydało, umieszczoną na niej pieczęć. Z tego właśnie powodu ukrył się w domu zielarki do chwili, aż zdoła skontaktować się ze mną. Ale ktoś manipulował przy tym pakiecie. Kiedy Halwice go otworzyła, Nietoperz runął na podłogę jak martwy, a ona sama stała się bezsilnym więźniem we własnym ciele. Gdyby nie szczęśliwy traf,

karczenna pomywaczka, która przyszła do niej po pomoc, zielarka zostałaby pojmana wraz z Nietoperzem przez strażników sędziego.

— To on zastawił tę pułapkę? — Twarz księcia poczerwieniała z gniewu. — Na Jasną Gwiazdę! — Walnął pięścią w stół. — Bez względu na prawo miejskie każę wziąć go na przesłuchanie, aż wszystko wyśpiewa!

— Sam sędzia był tylko narzędziem — wyjaśnił Vazul, kręcąc głową. — Przysłano do niego list, który miał wszelkie pozory autentyczności. Dotyczył napadu na sklep zielarki i nosił moją pieczęć lub jej lichą kopię. Dzięki temu jednak dowiedzieliśmy się czegoś... — urwał — ...niepokojącego. Gdzieś tam jest ktoś, kto zna się na ziołach, ale działa poza prawami gildii, których każdy jej członek przysięga przestrzegać. Halwice ostrzegła mnie o tym. Dwukrotnie, jeśli pamiętasz, rozpoznała niezamówione substancje wśród tych, jakie jej dostarczono. Halwice twierdzi, że ten atak był silniejszy, niż uważała to za możliwe. Jako osoba mająca do czynienia z napojami z ziół uodporniła się na znane trucizny, bo wie, że może się z nimi zetknąć. A jednak ta trucizna powaliła ją tak, jakby była całkowicie bezbronna. I udało się jej obudzić Nietoperza dopiero po długich i żmudnych próbach. Mówi otwarcie, że nie zdołałaby tego dokonać bez pomocy kuchty z karczmy.

Książę spochmurniał.

— A ta mogła zostać podstawiona.

— Halwice za nią poręczyła, Wasza Książęca Mość. Wiadomo, że ta dziewczyna nigdy nie miała kontaktów z ludźmi, którzy chcieliby nam zaszkodzić. Przed atakiem zarazy mieszkała z rodzicami, jej ojciec służył w straży granicznej i przez długi czas przebywał z dala od rodziny. Matka zaś była położną i do dziś ubolewają nad jej brakiem ocaleli z zarazy mieszkańcy Kronengredu. Jako sierotę zabrano ją do przytułku i arbitralnie przydzielono kucharce z Karczmy Wędrowców. To nieprzyjemne miejsce, ale straż grodzka nie może nic zarzucić karczmarce, zwłaszcza że jest krewną dziewczyny. Karczmarka uwielbia dręczyć swoje ofiary i znęcała się nad sierotą od samego początku. Grozi teraz, że wyda ją za podejrzanego typa, którego ostrożnie obserwujemy, gdyż chce otrzymać opłatę ślubną. Dziewczyna uciekła do Halwice, ta zaś poddała ją próbie i odkryła, że posiada ona wrodzony talent do zawodu zielarki. Dlatego zwróciła się do sądu grodzkiego o przyznanie jej opieki nad dziewczyną i dzięki sugestii pewnej wysoko postawionej osobistości — tu Vazul się uśmiechnął — stało się to faktem. Nie, nie obawiaj się, panie, ona nie należy do tych, którzy tkają pajęczę sieci.

— Skoro tak mówisz... — Książę wzruszył ramionami. — Przejdźmy do nowin z zagranicy. To prawda, że książę Lorien posprzeczał się ze swoim ojcem, królem Hawknerem?

— Do tego stopnia — odparł Vazul — że wraz ze swymi zwolennikami — a wszyscy to wycwiczeni w rzemiośle wojennym mężowie, niektórzy byli strażnicy graniczni — wycofał się do twierdzy Keesal.

Książę upuścił dokument, który trzymał, odsunął go na bok wraz z innymi, odslaniając jakąś mapę. Wziął z biurka okrągłe szkło i przyłożył je do północno-zachodniego krańca mapy.

— W pobliżu granicy — skomentował.

— W pobliżu czegoś jeszcze, Wasza Książęca Mość — zauważył Vazul. — Spójrz na lewo od góry Nastor...

— Jest tam czerwona kropka — odrzekł Uttobric, a potem szybko podniósł głowę i spojrzał kanclerzowi w oczy. — To nora Czerwonego Wilka!

— Właśnie. — Vazul skinął głową z aprobatą. — Ostatnio Czerwony Wilk miał marne łupy. Ale odkąd wycofałeś garnizon z Krantzu...

— Musiałem to zrobić! — warknął książę. — Jeżeli nie zabezpieczymy głównych

dróg przed rozbójnikami, kupcy znów zaczną zadawać kłopotliwe pytania.

— Tak, Wilk zaczyna odczuwać głód, a księciu Lorienowi towarzyszy niewielki orszak. Czerwony Wilk jest na tyle zuchwały, że może zaplanować szybki atak na drugą stronę granicy. Prawdopodobnie sądzi, iż nikt nie będzie go ścigał i że wysłanie tam naszych sił zajmie sporo czasu.

— Mówisz, że ludzie Loriena to weterani, prawda? — Książę odchylił się w krzesło i potarł ręką podbródek.

— Książę Lorien nie jest berserkerem walczącym na wszystkich frontach — odparł kanclerz. — Dobrze jednak wiadomo, że podziwiał czyny zbrojne i że dobrowolnie przez dwie kadencje służył ze strażnikami granicznymi. W rzeczy samej, jego spór z ojcem zaczął się od tego, że za długo przebywa poza dworem i ludzie zaczęli porównywać go z następcą tronu, który ma dość leniwe usposobienie.

— Sądzisz, że moglibyśmy... — Książę pochylił się do przodu w krzesło.

— Warto się nad tym zastanowić — odparł Vazul, gdy nagle rozległo się nieśmiałe stukanie w drzwi.

— Wejść! — zawołał książę, dostatecznie głośno, by go usłyszano. Drzwi uchyliły się na tyle, żeby przepuścić pazia; chłopak miał szeroko otwarte oczy jak szczenię osaczone przez złe psy myśliwskie. Srebrna tacka, którą niósł, zadrżała, złożony papier omal nie spadł na podłogę.

— Do Waszej Książęcej Mości — podał list z ukłonem.

— W porządku, w porządku. Możesz odejść, chłopcze, nie wolno mi przeszkadzać.

Wdzięczny paź pośpiesznie zamknął za sobą drzwi tak głośno, jakby nimi trzasnął.

Książę już rozwinął list. Zacerwienił się jeszcze bardziej i rzucił go na biurko.

— Z kobietami zawsze tak jest. Nigdy nie można ich zadowolić. Vazul podniósł list, przeczytał kilka linijek znacznie spokojniej niż książę, a potem powiedział ku całkowitemu zaskoczeniu swego pana:

— Świetnie. Dobrze nauczyła się swojej roli. Wasza Książęca Mość, to prawda, że wszystkie damy z książęcego rodu spotykały się z księżną Domu Jasnej Gwiazdy. W istocie to one dostarczają funduszy dla ubogich. Tak, klasztor leży w obrębie murów miejskich, ale twoja córka, panie, uda się tam oficjalnie, pozwalając, by pospólstwo ją ujrzało. Położy to kres plotkom, że jest kulawa lub potwornie brzydka...

— Co takiego?! — Książę zacerwienił się tak bardzo, że mogło to zaniepokoić postronnego widza. Poderwał się z krzesła i opierając zaciśnięte pięści na biurku, pochylił się ku kanclerzowi. — Kto tak powiedział o mojej córce?! Połknie te wszystkie kłamstwa, gdy zadynda z muru północnego!

— Plotka tak głosi. Przyczyniły się do tego pewne osoby, które możemy nazwać po imieniu. Tak długo trzymałeś córkę w zamknięciu, że tylko nieliczni ją widzieli. Teraz, gdy przedstawiłeś ją dworowi i szlachcie, niech ją pozna i zobaczy twój lud.

Mahart siedziała, trzymając oburącz ten tak ważny dokument. Nie mogła jeszcze uwierzyć, iż fakt, że odważyła się zwrócić z prośbą do ojca, przyniósł jej tak wiele. Potarła teraz kciukiem jego pieczęć w dole krótkiego arkusza papieru i przeszła do drugiej fazy swego planu. Nigdy nie nauczono jej jeździć konno, pozostawałaby więc podróż w lektyce, której zasłony ukrywają ją przed oczami przechodniów. Ale lektura ksiąg z zamkowej biblioteki dostarczyła jej argumentu przeciwko takiemu rozwiązaniu. Pielgrzymka — to jest to!

Oczywiście nie długa, trwająca wiele dni piesza wędrówka do gór na zachodzie, gdzie najpierw pojawia się na niebie Jasna Gwiazda. Nie, ale Mahart zna cytat, który potwierdzał, że jej pierwsza podróż do najważniejszego klasztoru w państwie może być uważana za pielgrzymkę.



Z całą pewnością w przeszłości inne księżne i wysoko urodzone damy z książęcego rodu szły pieszo z zamku do klasztoru Gwiazdy i uważano za właściwe i odpowiednie, że dotarły do największej świątyni Kronenu w ten pozornie pokorny sposób. Mahart dobrze wiedziała, że ojciec nie pozwoli jej odbyć tej podróży samotnie — czyli kroczyć ulicami miasta, które w minionych latach widziała tylko z balkonu jako zgromadzenie dachów w dole.

Będą ją eskortować książęcy gwardziści. Orientowała się również, że jako uzbrojeni mężczyźni nie będą mieli prawa wejść na wewnętrzne dziedzińce klasztoru. Zabierze ze sobą Zutę — na szczęście nikt nie nalegał, aby dwie damy, które dodano do jej dworu, towarzyszyły jej codziennie. Zresztą, zaakceptowałyby nawet ich obecność, gdyby było to konieczne. Wątpiła jednak, czy któraś z nich jest dobrze znana za murami klasztoru.

— Pójdę tam jako pątniczka — wypowiedziała na głos swoją decyzję.

— Ależ Wasza Wysokość, Jego Książęca Mość nigdy nie pozwoli ci iść ulicami!  
— zaprotestowała szybko Zuta.

— Nawet ojciec nie może przeciwstawić się odwiecznemu zwyczajowi. Moja matka udała się w taki sposób do klasztoru, by spotkać się z ksienią Gofrerą przez wybuchem zarazy. Nie, pozwól, żeby Julta wybrała dla mnie szarą wierzchnią szatę i najskromniejszy z moich płaszczy. Myślę, że odbędę tę pielgrzymkę dzisiaj. — Zanim, do dała w duchu, mój ojciec zmieni zdanie.

Decyzja księżniczki na pewno wywołała poruszenie wśród osób tworzących teraz, odkąd zaczęła uczestniczyć w życiu publicznym księstwa, jej miniaturowy dwór. Ale precedens zwyciężył. W razie protestów Mahart mogła wymienić po imieniu niemal wszystkie damy z książęcego rodu, które zrobiły to w przeszłości. Musiała jednak odłożyć wizytę w klasztorze o jeden dzień, gdyż dowódca gwardii książęcej powiedział jej osobiście, że trzeba przygotować dla jej orszaku ulice, którymi będzie przechodziła.

— To konieczne, Wasza Wysokość. Ci, którzy żyją pod książęcym berłem, będą chcieli zobaczyć Waszą Wysokość i musimy przygotować się do odparcia naporu tłumów. Inaczej Jego Książęca Mość nie wyrazi zgody.

Spędziła dwa wypełnione nudą dni, przez cały czas obawiając się, że jej ojciec zmieni zdanie. Zuta, która potrafiła niezwykle zręcznie zdobywać informacje, doniosła, że w gabinecie księcia odbywają się ważne narady. Wysłano posłańców i podobno wezwano na przynajmniej jedną naradę starszych stopniem oficerów. Ponieważ wszystko to zdawało się nie mieć nic wspólnego z Mahart, pobłogosławiła w duchu sprawy, które po raz kolejny spowodowały, że książę zapomniał, iż ma córkę.

Wreszcie czwartego dnia, odziana w najskromniejszą suknię ze swojej garderoby, niosąc szkatułkę z darem, który siostry przeznaczą na jałmużnę, po raz pierwszy w życiu postawiła stopę na ulicy Kronengredu.

Z obu stron widziała tłumy, jak przewidział to dowódca gwardii. Ludzie powitali ją głośnymi okrzykami i przez chwilę lub dwie nie mogła uwierzyć, że to na jej cześć. Dzieci wierciły się i biegały wzdłuż brzegów dywanu tuż poza zasięgiem rąk gwardzistów. Mahart zdała sobie sprawę, że z całego serca śmieje się z ich figłów i że odważyła się uśmiechnąć do mieszkańców miasta.

Był to świat całkiem odmienny od ponurego zaniku i cieszyła się wszystkim, co widziała. Wołano:

— Niech Jasna Gwiazda błogosławi Waszą Wysokość!

Orszak przebył już kilka ulic. Mahart dostrzegła przelotnie sklepy za plecami tłumów i zapragnęła odwiedzić je osobiście. Ujrzała jednak przed sobą — stanowczo

za wcześniej — klasztor Gwiazdy.

Tu również czekał na nią tłum, lecz nie byli to dobrze ubrani, wyglądający na zamożnych ludzie, którzy wcześniej zgromadzili się, by wiwatować na jej cześć. Nie, tutaj stał zgięty niemal wpół stary mężczyzna podpierający się dwoma kijami; kobieta, której suknia składała się z łąt naszywanych na łąty; ślepiec prowadzony przez małą, żółtooką dziewczynkę, która wyglądała na zbyt młodą, by powierzono jej tak ciężkie brzemię — i im podobni nieszczęśnicy. Cofnęli się na widok gwardzistów, gdy Mahart podeszła do otwartej przed nią wielkiej bramy klasztoru.

— To żebracy — wyjaśniła Zuta, która stanęła tuż za księżniczką. — Przychodzą tu codziennie po chleb.

Mahart nie miała czasu na odpowiedź, nawet na uporządkowanie myśli o nieszczęśnikach czekających przed bramą. W odległości zaledwie kilku kroków od wrót stało wysokie, podobne do tronu krzesło. Siedziała na nim kobieta w szarej szacie i płaszczu z błyszczącym kryształowym wisiosem w kształcie gwiazdy na piersiach, i bił od niej taki sam lub nawet większy majestat jak od władcy Kronenu podczas oficjalnych uroczystości.

Mahart przypomniała sobie to, co przeczytała o takich spotkaniach, i złożyła ukłon równie głęboki jak przed samym księciem podczas audiencji w sali tronowej.

Siedząca na bogato zdobionym krześle kobieta wyciągnęła srebrną różdżkę, która sama zdawała się świecić, i księżniczka pocałowała kryształową gwiazdę na jej czubku.

Twarz ksieni, widoczna w fałdach zawoju zasłaniającego kompletnie jej włosy, była pomarszczona i pobrużdżona przez czas, lecz jej wargi rozchylił szczerzy i przyjazny uśmiech.

— Witam Waszą Wysokość w przybytku Gwiazdy — powiedziała zaskakująco serdecznym tonem. — Dobrze się stało, córko, że postanowiłaś przyjść do mnie.

Mahart odwróciła się lekko i podała szkatułkę innej zakapturzonej postaci w fałdzistej opanczy, której kaptur był tak bardzo nasunięty na twarz, że wcale jej nie widziała.

— To dla biednych — zaczęła księżniczka, a potem dodała bez zastanowienia: — Czcigodna ksieni, biedni właśnie czekają przy bramie. Niech nie ucierpią z powodu mojego przybycia. Pozwól mi również służyć tym, których skrzywdził los.

Ksieni skinęła głową. Mahart wyrwała rękaw z ręki Zuty i rozejrzała się wokoło, a jej pozostałe dworki szybko się wycofały. Koło bramy stały teraz siostry, każda z koszem w dłoniach. Mahart, muskając w przelocie swoje damy dworu, machnięciem ręki wezwała gwardzistów.

— Cofnijcie się! — rozkazała. — Niech siostry zrobią to, co do nich należy, wedle praw nadanych nam przez Gwiazdę.

Mężczyźni wycofali się, choć z wyraźną niechęcią. Mahart sięgnęła do koszyka najbliższej stojącej siostry, wyjęła bochenek chleba i podała dziewczynce uczeponiej połatanej sukni kobiety. Dziecko chwyciło dar tak, jakby się obawiało, że zostanie mu odebrany. Matka ukłoniła się niezdarne.

— Niech Jasna Gwiazda otoczy cię swym blaskiem, Wasza Wysokość. — Patrzyła teraz na Mahart z wyraźnym zdumieniem i lękiem.

— Ciebie również, dobra kobieto — odparła Mahart.

W ten sposób, na oczach tłumów w Kronengredzie, stało się jasne tego dnia, że córka księcia Uttobrica, o której krążyły ohydne plotki, ma piękną twarz, proste ciało i dobre serce. Rada Vazula okazała się skuteczniejsza, niż mógł przypuszczać.

Na dźwięk pierwszego dzwonu Willadene obudziła się w gnieździe uwitym z pościeli na składanym łóżku. Pościel ta, czysta i pachnąca lawendą i koniczyną, zdawała się wygładzać jej skórę i zsyłać sny, w których nie czaiły się groźne cienie. Tak wiele się zmieniło w ciągu ostatnich dwudziestu dni — miała wrażenie, że przeszła przez jakieś drzwi do nowego, wspaniałego świata.

Potarła dłonie. Kremy, przyrządzane przez Halwice, szybko usuwały z nich drobne blizny i chropowatość skóry, dziedzictwo wieloletniej pracy w kuchni.

A wszystko zaczęło się od tego, że posłuchiwała rozkazów Halwice i opuściła jej sklep tamtego ranka, który teraz wydawał się taki odległy. Bała się wtedy, ale poszła wskazaną aleją, znalazła ruchome deski w płocie i w ten sposób przybyła do tego pobłogosławionego przez Gwiazdę miejsca.

Wśliznęła się do domu zielarki i natychmiast usłyszała głosy w sklepie, choć ukryty pod ławą w wewnętrznej izbie mężczyzna nadal tam przebywał. Coś więcej niż zwykła ciekawość kazało Willadene odsunąć lekko brzeg kotary i zajrzeć do środka.

Wprawdzie Halwice stała za ladą, ale nadal się jej trzymała. A mimo to jej głos był tak silny i dźwięczny jak zwykle.

— Niestety nie, rządcu — mówiła właśnie zielarka. — Tak, od czasu do czasu otrzymujemy takie pachnidła zza morza. Ale jak sam dobrze wiesz, karawany kupieckie nie przybywają teraz tak licznie jak niegdyś — a większość tego, na co czekam, jest krucha i łatwo pęka. Niestety, nie mogę ci sprzedać tego, o co prosisz na życzenie twojej pani. — Postukała lekko palcem w szklany korek buteleczki w kształcie róży. — Jego Książęca Mość już to zamówił na imieniny swojej córki.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Miał na sobie ciemnoniebieską liberię, a na piersiach i plecach splecione srebrne symbole, których Willadene nie mogła rozróżnić.

— Jej Wysokość dobrze płaci. Słyszała też, że ty, pani, umiesz destylować perfumy w pełni dorównujące zamorskim.

— Każdy ma swoje zajęcie, rządcu. Stworzenie nowego olejku lub perfum często wymaga lat pracy. Niestety, w Kronenie nie ma dużych ogrodów. Większość roślin, które się tu uprawia, używana jest w medycynie i w kuchni. — Uśmiechnęła się do rozmówcy niezbyt przyjaźnie, jak trafnie osądziła Willadene. — Oczywiście, jeśli kiedyś Jasna Gwiazda okaże się dla mnie tak łaskawa, że znajdę Władcę Serc, wtedy rzeczywiście mogłabym zaoferować prawdziwy skarb.

— Władcę Serc — powtórzył mężczyzna. — Módl się, żeby tak się stało.

— Opowieść o nim jest bardzo stara, obecnie niemal zapomniana — Halwice wzruszyła ramionami. — Kiedyś mówiło się, że pewna pobłogosławiona przez Gwiazdę uzdrowicielka przypadkiem znalazła kwiat o tak doskonałym kształcie, tak kojącym zapachu, że zakonserwowała go w oleju, skutecznie chroniąc przed dostępem powietrza. Przekonała się też, że ci, którzy nań spojrzeli, musieli przychodzić raz po raz, więc jej interesy szły coraz lepiej. Aż wreszcie pod koniec roku zesłano jej sen, z którego się dowiedziała, że Władca Serc nie może być źródłem dochodów. Dlatego rankiem udała się do Haskeru i złożyła go w ofierze.

— W Haskerze!

— Ten klasztor, jak mówiono, zaatakowali w nocy rozbójnicy. Jego skarby zagrabiono, kapłanki Gwiazdy zaś zginęły od miecza. A wszystko to stało się ponad trzysta lat temu. Od tej pory nigdy nie znaleziono Władcy Serc. Pozostały jednak opowieści o pewnej damie, która czubkiem palca dotknęła oleju, w którym ten

cudowny kwiat był zakonserwowany. Podobno miała ona tak wielu zalotników, że poślubiła mężczyznę znacznie wyższego od niej stanem i małżonek był jej wierny przez całe życie. Ale to wszystko jest teraz legendą. A wracając do twojej oferty, rządco... Jeśli dostanę następne Tchnienie Róż, wyślę wiadomość do Jej Wysokości Saylany. Daję ci na to moje słowo.

Widać było, że musiał się tym zadowolić, choć marszczył brwi gdy wyjął srebrne monety z sakiewki u pasa i rzucił je na ladę. Ale ostrożnie wziął do ręki owinięty w papier pakiecik, który otrzymał od Halwice. Zielarka poruszyła się dopiero po kilku chwilach od jego odejścia. Zwróciła głowę ku otwartym drzwiom, jak gdyby w jakiś sposób mogła odprowadzić go wzrokiem poza mury domu.

Wtedy powoli podeszła do drzwi, zamknęła je, a potem wywiesiła na zewnątrz małą tabliczkę. Dopiero kiedy dodatkowo zaryglowała wejście, odwróciła się w stronę wewnętrznej izby.

Odsunęła kotarę i bez słowa skinęła głową na powitanie Willadene, jakby wiedziała, że ją tam znajdzie.

— Zapal lampy — rozkazała. — Musimy wszystko dobrze widzieć.

Dziewczyna pośpiesznie wykonała jej rozkaz i po zapaleniu pięciu lamp wszystkie cienie zniknęły. Widziała teraz dobrze skulone ciało pod ławą. Halwice powiedziała, że mężczyzna żyje, ale na pewno się nie poruszył od chwili, kiedy Willadene wepchnęła go tam z takim trudem.

— Wyciągnij go stamtąd. — Zielarka osunęła się na taboret, pozostawiając otwartą przestrzeń na podłodze.

Łatwiej było rozkazać, niż wykonać rozkaz, ale w końcu Willadene wyciągnęła mężczyznę spod ławy, twarzą do góry. W bardzo jasnym świetle lamp lepiej widziała jego oblicze. Uznała, że jest znacznie młodszy, niż początkowo przypuszczała, i dość przystojny. Miał delikatne rysy, a jego skóry nie pokrywały plamy i pryszcze jak u Figisa w Karczmie Wędrowców.

Halwice przyjrzała mu się uważnie, jakby był skomplikowanym połączeniem cenionych przez nią substancji. Westchnęła.

— No, cóż, weźmy się do niego. Podejź do składanego łoża, przyciśnij dwukrotnie dłońią miejsce tuż za zasuwanyimi drzwiami, w stronę tylnej ściany izby.

Willadene zawahała się i przelotne dotąd spojrzenie Halwice przeszło ją jak nóż.

— Co cię zatrzymuje, dziewczyno? Czas jest teraz naszym wrogiem.

— Pani, tak łatwo wyjawiasz mi swoje tajemnice — odparła powoli Willadene. — A jeszcze nawet oficjalnie nie wstąpiłam do ciebie na służbę.

— Ale przecież w głębi serca właśnie tego pragniesz — powiedziała zielarka z uśmiechem — i tego chciałaś, prawda?

Kiedy Willadene energicznie skinęła głową, Halwice mówiła dalej:

— Można temu zaradzić. Tak, wyjawiam ci moje tajemnice, ale robię to dlatego, że — na Gwiazdę! — wiem, z jakiego jesteś tworzywa. Niektóre z nas mają wrodzone zdolności. Jeżeli naprawdę chcemy służyć tak, jak nam przeznaczone, wtedy ich używamy...

— Na przykład wężu — wtrąciła Willadene.

— Tak. Twój nos nadaje się nie tylko do wachania tego, co znajduje się obok ciebie we flaszce lub w dzbanku, garnku i misce, lecz także czegoś więcej. Co poczułaś dziś rano, gdy otworzyłaś drzwi?

— Zło! — Słowo to wyrwało się z ust dziewczyny, zanim zdążyła się zastanowić.

Halwice skinęła głową, najwyraźniej zadowolona z odpowiedzi.

— Wyczuwasz teraz coś takiego?

Willadene zbadała powietrze wokół siebie, przesycone takim bogactwem zapachów, że długo by musiała wymieniać ich nazwy. Ale smród, o którym

wspomniała zielarka, zniknął.

— Rozumiesz? — Halwice nie czekała na jej odpowiedź. — Ja również, z łaski Gwiazdy, posiadam ten sam dar. Można ci zaufać; i będę musiała to zrobić, gdyż zostałam wciągnięta w sprawy jednocześnie wielkie i niebezpieczne. A teraz przynieś mi to, co znajdziesz w tamtej niszy.

Willadene zrobiła, co jej kazano, i pozornie masywna półka ustąpiła, odsuwając się tak jak zewnętrzne drzwi szafy, w której tkwiło składane łoże. Wewnątrz znajdowała się niewielka skrzyneczka, z której ulatniał się jakiś zapach. Willadene nigdy nie spotkała się z czymś takim — był ostry i silny, prawie jak świeża, szczypiąca solanka. Przyniosła skrzyneczkę zielarce, która położyła ją na kolanach przed otwarciem.

Tak jak półki w szafach sklepowych, wewnątrz skrzyneczki podzielone było na wiele przegródek, każda z własną przykrywką, a do jej wieka przymocowano płaską, podobną do talerza tacę, nie większą od dwóch złożonych dłoni.

— To — Halwice wysunęła tackę z uchwytów — trzeba umieścić na jego piersi na wysokości serca.

Willadene szybko to zrobiła, bacząc, by tacka leżała równo. Tymczasem Halwice już zabrała się do otwierania przegródek. Nad jedną czy dwiema zawahała się i ponownie je zamknęła, ale z przymocowanego do paska łańcuszka odczepiła inną, małą, lecz głębszą miarkę i przyczepioną do niej łyżką wsypała do jej wnętrza najpierw odrobinę tego, a potem tamtego...

Drażniący ostry zapach stawał się jeszcze mocniejszy, choć nie był nieprzyjemny. Wręcz przeciwnie, zdawał się rozjaśniać w głowie, sprawił, że Willadene w niespotykany dotychczas sposób lepiej postrzegła otoczenie.

Halwice wymieszała łyżeczką wsypany do miarki proszek. Ponieważ miała zajęte ręce, wskazała ruchem podbródka.

— Pod poduszką jest woreczek. Przynieś go!

Woreczek był mniejszy od sakiewki i wypełniało go coś, co w dotyku przypominało kamyki.

— Otwórz — Halwice nadal mieszała — ale uważaj.

Willadene rozwiązała sznurek i wytrząsnęła na dłoń przedmioty, które zalśniły w świetle lamp, jakby świeciły wewnętrznym blaskiem. Były to drogie kamienie, ale żaden nie został oszlifowany. Wyglądały jak odłamki większych sztuk, które specjalnie roztrzaskano.

— A teraz — Halwice przysunęła nieco bliżej stołek, na którym siedziała — musisz ułożyć z nich bezbłędnie pewien wzór, dokładnie tak, jak ci powiem, gdyż można to zrobić tylko dwukrotnie. Odszukaj dwa białe kryształy i umieść je nad czubkiem głowy Nicolasa.

Willadene wykonała polecenie; poznała przynajmniej imię nieznanego mężczyzny.

— A teraz wybierz niebieskie i umieść każdy z nich w połowie odległości między tymi, które już ułożyłaś — mówiła dalej zielarka.

Na samym końcu Halwice wyciągnęła w stronę dziewczyny miarkę, której zawartość przez cały czas energicznie mieszała.

— Strząśnij to wszystko na leżącą na sercu tackę, ale ostrożnie. Nie może zbyt szybko się rozsypać.

Dziewczyna zrobiła dokładnie to, co jej polecono. Proszek nie buchnął na boki, jak powinna się zachować każda podobna do popiołu substancja, lecz utworzył niewielki stosik.

— Poszukaj teraz gwiaździstego kryształu — rozległ się następny rozkaz. Wykonała go posłusznie.

Kryształ ten nie był taki niekształtny jak pozostałe i miał gładze brzegi, a w jego

środku znajdowało się jądro w kształcie gwiazdy.

— Włóż go do proszku!

Willadene posłuchała. Stało się tak, jakby przyłożyła do proszku zapalniczkę, gdyż zaczął się z niego unosić dym. Na wysokości dłoni nad wzniesieniem podzielił się na sześć równych smug i każda z nich dotknęła jednego klejnotu.

Ostry, ożywczy zapach sprawił, iż Willadene wydało się, że mogłaby, gdyby zechciała, unieść się z podłogi, na której przycupnęła, i pofrunąć wysoko ponad światem, który zawsze znała. Halwice znów coś mówiła, ale nie wydała jej żadnego rozkazu.

Głos zielarki unosił się i opadał w śpiewie podobnym do pieśni; nie potrzebowała harfy, by utrzymać melodię. Słowa były dziwne i czasami zlewały się w jęklwym zawodzeniu. Tymczasem aromatyczny dym utkał chmurę zasłaniającą prawie połowę leżącego nieruchomo ciała. Willadene już nie widziała twarzy mężczyzny. Halwice, kołysząc się lekko, nie przestawała śpiewać. Dziewczyna dostrzegła przełomie wyraz twarzy zielarki. Halwice najwyraźniej była bardzo zmęczona, ale dziewczyna nie ośmieliła się jej pomóc.

Dym, z którego powstał całun zasłaniający ciało mężczyzny, znów się poruszył. Willadene była pewna, że zauważyła mgliste macki cofające się do jego źródła. I miała rację. Ale na srebrnej tacy nie pozostało nic, ani śladu spalenizny. I blask drogich kamieni przygasł.

Halwice zwiesiła głowę, jakby nie miała sił utrzymać jej prosto. Willadene bez rozkazu zebrała klejnoty i z powrotem wsypała je do woreczka. Potem głowa mężczyzny o ciemnych włosach poruszyła się, a szare jak stalowy brzeszczot oczy spojrzały groźnie na dziewczynę.

— Na Rogi Gratcha, kim jesteś? — syknął cicho, niczym kot rzucający wyzwanie rywalowi.

Willadene pośpiesznie się skuliła, gdy mężczyzna oparł się na łokciach i prawie usiadł. Rozejrzał się po izbie, zauważył Halwice i znieruchomiał w tej niezdarnej pozycji. Potem znów odwrócił głowę, by spojrzeć na Willadene, która nagle uświadomiła sobie, co widzi nieznajomy — brudną, odzianą w łachmany kuchenną pomywaczkę. Później poruszył się niesłychanie szybko. Zanim zdołała się cofnąć, chwycił ją za włosy i pociągnął do góry, sprawiając dziewczynie ból. Ostrożnie zbadał wzrokiem izbę i trafił na zielarkę.

— Coś ty tu narobiła?! — Szarpnął Willadene za włosy i wbił w nią groźne spojrzenie stalowoszarých oczu.

— Zostaw ją! — Halwice wyprostowała się na stołku. — Zawsze zbyt szybko szukasz odpowiedzi. Kiedy zrozumiesz wreszcie, że to głupota, Nicolasiu. Puść Willadene! Gdyby nie jej pomoc... Ile czasu może przeżyć człowiek pogrążony w Głębokim Śnie?

— Co ona tutaj robi? — zapytał Nicolas, ale rozluźnił uścisk i dziewczyna zdołała uwolnić głowę i cofnąć się od tak niebezpiecznego sąsiada.

— Taka była wola Jasnej Gwiazdy — odparła Halwice ostrym tonem dorosłej osoby rozmawiającej z dzieckiem. — Gdyby z woli Gwiazdy nie przyszła do mojego sklepu, oboje ugrzęźlibyśmy w sieci tej zmił. — Szybko opowiedziała, co odkryła Willadene i jakie wysiłki dla ich ratowania podjęła od tamtej chwili. Dziewczyna chciała wtrącić, że obchodziło ją tylko dobro Halwice, a nie tego gbura.

— Przyniosłem paczkę od Arwana, jak zwykle. Spotkał się ze mną w karczmie Na Rozstajach na granicy i pokazał mi pieczęć, gdyż wiedział, że udaję się do Kronengredu. Wszystko było jak zawsze... — Potem urwał i zmarszczył brwi. — Oni się mną posłużyli, prawda? — Arwan... — Oparł rękę na rękojęści wiszącego u pasa noża, który był znacznie dłuższy od używanych do jedzenia.

— W odpowiednim czasie dowiemy się, jaką rolę odegrał w tym wszystkim Arwan. — W głosie Halwice nadal brzmiało zniecierpliwienie. — Najważniejsze jest tu i teraz. Przeszedłeś przez granicę z pewnym posłaniem. Już wtedy byłeś spóźniony, na długo po pierwszym dzwonie. Proponuję, żebyśmy zaczęli wszystko we właściwej kolejności. A to, jak sądzę — sięgnęła między piersi i wyjęła pieczęć w kształcie monety, którą Willadene znalazła na podłodze — należy do ciebie. Lepiej ruszaj dalej swoją drogą.

Wyglądało jednak na to, że Nicolas nie chciał posłuchać polecenia Halwice.

— Ta dziewczyna... — Jeszcze raz utkwiał wzrok w Willadene.

— To moja sprawa, Nicolasie. Ostrzegam cię, nie należy igrać z losem. A teraz już idź.

I mężczyzna odszedł, nie przez sklep, lecz tylnymi drzwiami przez pełen ziół ogród, najwyraźniej szukając tej samej furtki, przez którą wcześniej weszła Willadene.

— Nicolas dobrze służy swemu panu — zaczęła zielarka po jego odejściu. — A teraz... zapomnij o nim!

Willadene zamrugła i skinęła głową. Paliła ją ciekawość, ale miała dość rozsądku, by wiedzieć, że nie jest to odpowiednia pora na zadawanie pytań. Halwice zmierzyła ją spojrzeniem od stóp do głowy i dziewczyna znów uświadomiła sobie, jak niechlujnie w tej chwili wygląda.

— Przynieś kocioł, ten największy — Halwice gestem wskazała na ognisko — i postaw go na ogniu. Więc Jacoba chciałyby otrzymać za ciebie opłatę ślubną od Wyche'a? To można szybko załatwić. Dla twojego własnego dobra, dziewczyno, musisz się znaleźć pod moją opieką. Ponieważ są tacy, którzy zapłaciliby złotem za informację o tym, co tu się stało, gdyby usłyszała to właściwa osoba.

Willadene zeszytywniała. Nicolas mógł być szpiegiem — niewykluczone nawet, że i Halwice też tym się trudni — ale ona sama nie jest papłą i nigdy nią nie była. Wie też — dzięki swemu tajemniczemu darowi — że w siedzącej naprzeciw niej kobiecie nie ma zła i że cokolwiek zrobiła ona wcześniej, zawsze może to wyznać Jasnej Gwiazdzie i nie lękać się wyrzutów.

— Tak — ciągnęła Halwice. — Obie należymy do tego samego rodzaju ludzi, dziewczyno, tylko że ja zostałam zahartowana jak doskonały oręż przez kowala, natomiast ty jesteś tylko nieobrobionym surowcem. Wiem, że od dawna chciałaś przybyć do mnie, ale z pewnego powodu nie mogłam zwrócić złości Jacoby przeciwko nam obu. Dzisiaj wszystko się zmieniło. Przynieś mi teraz jedną z małych miarek i trzecią butelkę z lewej na drugiej półce w pobliżu wystawy.

Po powrocie Willadene Halwice spróbowała wziąć od niej oba przedmioty, ale ręce zielarki drżały tak bardzo, że nie zdołała ich bezpiecznie utrzymać.

— Starość przychodzi do nas wszystkich — powiedziała Halwice smutno, jakby myślała na głos. — Weź to, nalej płynu z butelki do miarki, aż do linii wydrapanej na szkle. Zrób to!

Dziewczyna współczująco kiwnęła głową i tak ostrożnie, jak podpatrzyła to u zielarki przyrządzającej wszystkie mieszanki, nałała tylko parę kropeł zielonkawego płynu do miarki. Otoczył ją świeży, orzeźwiający zapach, którego nie umiała nazwać, zapragnęła jednak, by zmył z jej ciała wszelki brud, każdy siniak, każdą bliznę, czuła bowiem, że jest on w stanie właśnie to zrobić.

Halwice ujęła miarkę drżącymi rękami i przyłożyła do ust. Wypiła wszystko, do ostatniej kropli. Później przez moment siedziała spokojnie, a potem wstała tak energicznie, jak zawsze to robiła na oczach Willadene.

— No, dobrze. — Wyjęła butelkę z rąk dziewczyny. — Teraz możemy zająć się własnymi, nie cierpiącymi zwłoki sprawami.

Postawiła butelkę ostrożnie na stole i podeszła do kufra tak starego, że czas starł zeń niemal wszystkie malowane wzory. Kiedy podniosła wieko, buchnął stamtąd zapach ziół używanych do ochrony odzieży przed molami i pleśnią. Halwice wyjęła pęk ubrań przewiązanych wąskim paskiem materiału. Położyła je na stole, a potem wskazała na bardzo dużą i głęboką miednicę, opartą o tylną ścianę izby.

— Nie potrzebuję pomywaczki — oświadczyła Halwice. — Ci, którzy mi służą od czasu do czasu, lepiej wyglądają. Weź wrzátka z kotła, dolej zimnej wody z wiadra i zobaczymy, co się kryje pod tym wszystkim, co się teraz do ciebie lepi. A potem ubierz się w to. — Uderzyła rękaw odzież. — W tamtej skrzyneczce jest mydło. Wymyj nim porządnie zarówno ciało, jak i włosy. Nikt z takim węchem jak twój nie zechce pozostać w równie kiepskim stanie. Ja idę do sklepu. Za długo był zamknięty. Zbliża się południowy dzwon, a kiedy mam coś do załatwienia, rzadko wychodzę później.

Halwice podwiązała kotarę, Willadene zaś zabrała się do wykonywania jej rozkazów. Chociaż głęboka miednica nie była wanną, w której mogłaby się kąpać szlachcianka, dziewczyna przekonała się, że może przykucnąć w wodzie. Dołała wrzátka z kotła i zabrała się do tak gruntownego mycia miękkim mydłem ze skrzyneczki, na jakie nie mogła sobie pozwolić od lat. Umyła włosy raz, a potem drugi, i przypomniała sobie czasy, kiedy — tak jak teraz — nie musiała oszczędzać ani wody, ani mydła.

Obok znalazła szorstki ręcznik. Wytarła się nim do sucha i podeszła do maleńkiego ognia, wstydząc się popękanej skóry na rękach i wijących się na nich szarych linii brudu, którego, choć bardzo się starała, nie zdołała zmyć. Wśród podanych przez Halwice ubrań znalazła koszulę dostatecznie szeroką, aby mogła otulić jej ciało. Później włożyła bluzkę z krótkimi rękawami przeznaczoną dla osoby, która potrzebuje przy pracy pełnej swobody ruchów. Bluzka była ozdobiona zieloną wstążką i Willadene pogładziła palcem tę ozdobę. Na samym końcu przysła kolej na spódnice, fałdzistą i nieco za szeroką w pasie, ale dziewczyna przewiązała ją tym samym paskiem materiału, który przytrzymał podarowane przez Halwice ubrania. Były czyste, pachnące suszonymi kwiatami. Płatki rozsypywały się w powietrzu, kiedy Willadene wyciągała po kolei wszystkie części stroju.

Tak zaczęło się jej życie w sklepie i w domu Halwice. I zdaniem Willadene dorównywało ono żywotowi w jasności i pięknie, jaki Gwiazda obiecała swym wyznawcom.

Oczywiście, pojawił się wysłannik sędziego. Willadene i Halwice zostały wezwane, by stawić czoło majestatowi prawa, które dotychczas stało po stronie Jacoby. Ale ku zdumieniu dziewczyny karczmarka przycichła, ukrywając gniew, nawet jeżeli nadal w niej szalał. Usiłowała udowodnić, że Willadene jest zaręczona, ale po kilku podchwytliwych pytaniach prawda wyszła na jaw i okazało się, iż dziewczyna nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia.

Po raz ostatni widziałam Jacobę, pomyślała Willadene z ulgą i poczuciem, że wreszcie uwolniła się od przytłaczającego ją brzemienia. Odeszła razem z Halwice, a dwóch sędziów grodzkich — jeden z dzielnicy Jacoby, drugi zaś ten, który czuwał nad utrzymaniem pokoju w tej części Kronengredu, gdzie mieszkała zielarka — potwierdziło, że wedle prawa jest teraz jej uczennicą.

Podczas tego spotkania stało się jasne, że Halwice jest ważną osobą w Kronengredzie i akceptuje się jej słowo bez zastrzeżeń.

Jednak w następnych dniach pytania, które nawet sama sobie w głębi duszy bała się postawić, od czasu do czasu nie dawały dziewczynie spokoju. W sklepie panował ruch, obcy kupcy lub ich pomocnicy przybywali co jakiś czas, dostarczając towary daleko spoza granic Kronenu. Niektóre Willadene z czasem uznała za wyjątkowe. Dwa z nich dostarczono pewnego razu po zapadnięciu zmroku tylnym wejściem i ci,



którzy je przynieśli, po otrzymaniu zapłaty szybko ukryli ją pod ubraniem. Większość z tych gości prawie nie zdawała sobie sprawy z obecności dziewczyny, która siedziała cicho jak mysz pod miotłą, zajmując się sortowaniem towarów, naklejaniem etykietek lub po prostu robiąc porządek w sklepie.

Chociaż bardzo usiłowała usunąć się w cień, ich mieszkanie było niewielkie i nie pozwalało na zachowanie prawdziwej prywatności, mimo woli więc słuchała. Kontakty Halwice z wieloma z tych gości wydawały się Willadene bardzo tajemnicze i pozbawione sensu, lecz do żadnego z nich nie lgnął charakterystyczny dla zła silny smród zgnilizny.

Nicolas pojawił się dwukrotnie — raz otwarcie w sklepie, a nosił wtedy piękny ciemnoczerwony kaftan z herbem kanclerza na piersi i na plecach — ze zwykłym zamówieniem na lek, który działa uspokajająco na nerwy i pozwala zasnąć. Spochmurniał, kiedy Halwice gestem poleciła Willadene, by odmierzyła odpowiednią dawkę. Widać było, że wciąż jeszcze nie dowierza tej dziewczynie.

— Słyszałam, że Jej Wysokość Mahart świetnie się spisała na ostatniej uroczystości dworskiej — powiedziała Halwice. — Jest dostatecznie urodziwa i zdaje się dobrze sobie radzić z obowiązkami, jakie nakłada na nią jej pozycja społeczna.

— Tak, to było ładne przedstawienie — prychnął Nicolas. — O ile wiem, nawet jaśnie wielmożna pani Saylana niewiele mogła jej zarzucić. Ale prawda jest jedna, pani: chociaż Jego Książęca Mość doszedł do władzy krętą ścieżką, zrobi wszystko, by ją utrzymać. A dziecko mogło odziedziczyć to, co ma w sobie jego ojciec.

— Czy pani Zuta nadal jest jej prawą ręką? Nicolas zmarszczył brwi.

— A jak mogłoby być inaczej? Jego Książęca Mość trzymał z dala od swojej córki wszystkie inne damy. Ale pozycja pani Zuty jest taka sama jak pana kanclerza — będzie im się dobrze wiodło tylko wtedy, gdy Jego Książęca Mość pozostanie u władzy i nie przestanie darzyć ich łaskami.

— Zza granicy docierają jakieś dziwne opowieści — ciągnęła spokojnie Halwice. — Podobno tamtejsza rodzina królewska również ma swoje problemy.

— Kronenu to nic nie obchodzi. — Nicolas wzruszył ramionami. A potem nagle zmienił temat rozmowy. — Czy to prawda, pani, że istnieją zapachy, które mogą usidlić człowieka, nie zabić go, tak jak próbowano tu uczynić, ale zmusić do działania na czyjąś korzyść bez jego wiedzy?

— Mówi się, że istnieją... To kobieca broń... — odrzekła zielarka.

Nicolas wyszczerzył zęby w bardzo nieprzyjemnym uśmiechu.

Halwice nie odrywała od niego wzroku, aż uśmiech znikł z jego twarzy.

— Kto jak kto, ale ty dobrze powinieneś wiedzieć, co to znaczy wpaść nawet w najmniej niebezpieczną z takich pułapek. Na twoim miejscu dobrze bym się zastanowiła nad taką możliwością.

Nicolas znów się uśmiechnął, lecz tym razem był to prawdziwie młodzieńczy uśmiech.

— Dobrze, dobrze, zawsze krążą plotki, które mogą zmylić człowieka... Kto miałby w nie wierzyć? Mój pan dziękuje ci za twoje usługi...

W międzyczasie Willadene starannie wypchała ziołami poduszeczkę, a teraz właśnie mazała ją klejem, który nigdy nie pozwoli jej rozerwać. Później przesunęła ją po ladzie w stronę Nicholasa.

Książęcy szpieg wybrał się w następne odwiedziny trzy dni później, tym razem w nocy, i cicho zastukał do tylnych drzwi. Willadene spojrzała na zielarkę i na jej znak otworzyła zasuwę. Nicolas nie miał na sobie dopasowanego, pięknego kaftana z herbem kanclerza. Zamiast tego długa czarna opończa z odrzuconym do tyłu kapturem otulała go od podbródka aż do kostek.

Halwice bez słowa podeszła do jednej z szafek i wyjęła stamtąd sakiewkę zbyt wypchaną, by mogły się w niej kryć pieniądze; nic w tym woreczku nie zabrzęczało, gdy wzięła go do ręki. Nicolas chwycił sakiewkę i ukrył pod opończą.

— Granica? — Nie było to stwierdzenie, lecz raczej pytanie.

— Pani, nikt nie może dobrze wyśledzić nocnego ptaka — roześmiał się Nicholas, niemal tak radośnie jak dziecko, które chce splatać figła. — Jeśli temu oto się powiedzie, wkrótce usłyszysz dziwne wieści...

I odszedł bez pożegnania. Halwice powoli usiadła na krześle, na którym wcześniej uwięziły ją czary, a potem z powrotem zaciągnęły do sklepu. Pokiwała głową nie nad Willadene, lecz nad czymś, co tylko sama mogła dostrzec.

— Oby blask Gwiazdy oświetlił mu drogę! Można tak igrać z losem, ale nie zawsze. — Westchnęła, a potem zwróciła się bezpośrednio do Willadene. — Przynieś mi księgę, która stoi w najdalszym końcu półki wiedzy, ale uważaj: jest tak stara, że pewnego dnia może rozsypać się w proch w czyichś rękach.

Willadene szybko posłuchała. Księga dziwnie pachniała rozkładającą się starą skórą i pergaminem. Wydzielała też mieszankę innych zapachów, których dziewczyna nie zdążyła zidentyfikować, gdyż Halwice wzięła ją od niej i położyła na stole między dwiema lampami, tak że ich blask padał na kruche karty. Zielarka przerzucała je j ostrożnie.

— Można tylko spróbować — mruzczała, szukając czegoś. — Och, idź do łóżka, Willadene. Będę się zajmować tą sprawą przez pół nocy.

I znów, choć pytania cisnęły się jej na usta, dziewczyna posłuchała.

Gdyby była młodsza, dzieliłbym ją laską po plecach! — warknął książę Uttobric. — Zrobiła z siebie przedstawienie przed całym Kronengredem i jestem pewny, że większość mieszkańców miasta pobiegła tam, by się na nią gapić!

Vazul ściągnął wargi, a jego ulubienica wydała cichutki, szczebiotliwy dźwięk, leżąc w swojej ulubionej pozycji wokół szyi kanclerza. Czasami — Vazul uzbroił się w cierpliwość i wysiłkiem woli pohamował irytację — Uttobric niemal doprowadzał człowieka do szewskiej pasji.

— Wasza Książęca Mość... — starannie dobierał słowa — stało się akurat odwrotnie. Jej Wysokość, zamiast sprzeciwić się twojej woli, odegrała swoją rolę tak dobrze, jak gdyby ćwiczyła się w niej od dzieciństwa. Własnoręcznie nakarmiła głodnych, tak jak czynią to pobożne siostry z klasztoru Gwiazdy. Niewiele kobiet z jej rodu uczyniło tak w przeszłości, ale wszyscy, którzy to widzieli, uwierzyli, że dobro Kronenu leży jej na sercu.

Książę zmarszczył brwi; rozchmurzył się dopiero po dłuższej chwili.

— Co o tym mówi dwór? — zapytał. — Czy szepczą po kątach, iż panna z książęcego rodu tak zapomina o swojej pozycji, że zadaje się z żebrakami?

Vazul westchnął w duchu, ale odpowiedział pojednawczym tonem:

— Wasza Książęca Mość, czy już od ponad roku nie słyszemy pogłosek o tym, że twoi przeciwnicy potajemnie zastawiają sieci, chcąc zrzucić cię z tronu? I gdzie jest armia, którą mogliby wezwać? Któż zdołałby zebrać dostatecznie dużo pieniędzy, by sprowadzić nawet jedną kompanię najemników? I jak wszyscy wiedzą, mogą oni wystąpić przeciwko swoim zleceniodawcom, jeżeli ci nie płacą im tak, jak obiecali. W takim razie twoi wrogowie znaleźliby poparcie tylko u niezadowolonych, niesfornych Kroneńczyków i nocnych zbójów z samego Kronengredu. W każdym mieście są tacy, którzy wywołują rozruchy w nadziei na łupy. Jak dotąd poddawaliśmy dokładnemu badaniu wszystkich cudzoziemców przybywających do stolicy. Większość z nich to uczciwi kupcy. Tych pragniemy zachęcać, gdyż nasze istnienie zależy od handlu. Ale... — pochylił się lekko do przodu i wyciągnął zza pasa zwinięty papier, który rozwinął tak, żeby do niego zerknąć — wiemy też, że są tacy, którzy przedostają się przez nasze bramy w obie strony i że w samej stolicy przebywają osoby mające powiązania z rozbójnikami. W ubiegłym roku pięć małych karawan zniknęło tak, jakby zapadły się pod ziemię, a ataki na dwie większe, lepiej strzeżone, odparto za cenę ludzkiego życia i co więcej, dzięki przekonaniu tych kupców, że jesteście dostatecznie silni, by ich chronić. Musimy utrzymać to miasto. Tak jak łaskawie poczyniłaś ustępstwa dla najpotężniejszych kupców i zaakceptowałaś też — przynajmniej na pokaz — sugestie sędziów grodzkich, tak samo twój lud powinien wierzyć, że jego dobro leży ci na sercu. Dlatego postępek Jej Wysokości Mahart w klasztorze Gwiazdy — a zapewniam cię, panie, że wieści o tym lotem błyskawicy rozeszły się po mieście i zostały nawet ubarwione — przysłuży ci się równie dobrze, jak oddział gwardii wychodzący z zamku. Wasza Książęca Mość, powtarzam, że Jej Wysokość jest obecnie twoją najlepszą bronią i powinieneś dobrze ją wykorzystać. Za dwadzieścia dni są jej urodziny — uczyn z nich wielkie święto; niech Jej Wysokość pojawi się, by podziękować ci za twoją wielkoduszność. Książę przeniósł wzrok z wąskiej twarzy swego kanclerza na ścianę, gdzie na wyblakłym gobelinie przedstawiono zwycięstwo odniesione na długo przed jego urodzeniem.

— A więc dobrze: ucza, jałmużny... wszystko jak zwykle, przypuszczam — powiedział niechętnie. — Moja córka i ja udamy się do opactwa Gwiazdy, złożymy

dzięki... Zdajesz sobie sprawę, jaką dziurę to pozostawi w mojej sakiewce?! — burknął na zakończenie.

— Ale za to zostanie przeprowadzone tak, jak należy — obiecał Vazul. Jeżeli miał coś dodać do tej obietnicy, uniemożliwiła mu to jego ulubienica, która ćwierkała tak głośno, że księżę również dobrze ją słyszał.

Zwierzątko określiło się wokół ramienia Vazula i jego spiczasty wąsaty pysk zwrócony był teraz w stronę ściany. Z niezwykłą u niego szybkością kanclerz zerwał się na nogi, podbiegł do ściany z wyciągniętą ręką i nacisnął palcami w pewien szczególny sposób.

Bezdzwięcznie — zamek był dobrze naoliwiony — jakaś płyta odsunęła się, odsłaniając otwór, przez który mógłby przejść rosły mężczyzna, gdyby zgiał się wpół jak nowo przybyły. Nieznajomy wyprostował się na całą swoją wysokość; był wyższy od księcia i nieco niższy od Vazula. Odsuwając lekko oponczę, nakreślił w powietrzu powitalny znak, ale nie okazał w inny sposób szacunku dla osób, z którymi teraz przebywał.

— Księżę Lorien dotarł do domku myśliwskiego — zameldował. — Dwie noce temu zabito tam pasterza nad naszą granicą. Jego stado również wybito, a czyn ten na pewno wzburzy wieśniaków po obu stronach granicy. Zdaje się, że Czerwony Wilk wyprawił też ucztę na cześć któregoś ze swych kompanów.

— To znaczy czyją? — zapytał księżę. — Szlachcica czy kogoś nisko urodzonego?

— Nikt tego kompana nie widział, gdyż przebywał on w kwaterze Wilka, a nikt się tam nie zapuszcza bez rozkazu tego prowodyra. Czerwony Wilk rządzi za pomocą bata i pala.

— Jeszcze rządzi — sprostował spokojnie Vazul. — Utrzymywać żelazną dyscyplinę wśród takich ludzi jak jego podkomendni umie tylko człowiek o niezwyklej osobowości. Czy nie można było zidentyfikować owego gościa? — zwrócił się teraz do przybysza.

— Kanclerzu, jadę w tym celu dziś w nocy. Siatka jest jak zawsze na miejscu, dobrze rozmieszczona.

Po raz pierwszy kwaśny uśmiech wykrzywił wargi Uttobrica.

— Powodzenia! — powiedział na pożegnanie.

Kiedy płyta zamknęła się za gościem, księżę zwrócił wzrok na Vazula.

— Obdarzasz tego swojego Nietoperza niebyszym zaufaniem. Czy nie skarżyłeś się zawsze, że zaufanie bardzo osłabia człowieka?

Vazul głąskał grzbiet swojej ulubienicy.

— Wasza Księżęca Mość, Nietoperz ma ważne powody, by nienawidzić tak jak my. Prawdziwe jest powiedzenie, że ten, kto ma tego samego wroga, w pewien sposób staje się naszym towarzyszem.

Tak, ufam temu nocnemu wędrowcowi, ponieważ nie tylko pali go zawzięta nienawiść, ale także nauczył się ją kontrolować i może wykonać jak najlepiej to, czego się od niego wymaga. Księżę przyglądał się teraz kanclerzowi w zamyśleniu.

— Trzymam cię na tym stanowisku, Vazulu, ponieważ w przyszłości, bez względu na to, jaka ona będzie, czeka nas taki sam los. Powiedz mi teraz, kiedy już wyjaśniłeś znaczenie, jakie moja córka ma dla powodzenia naszych planów, czy w jej otoczeniu jest jakaś zaufana dworka, którą ktoś mógłby nakłonić do zdrady w razie potrzeby?

— Wasza Księżęca Mość, główną dworką, w istocie jedyną w ciągu ostatnich czterech lat, która służy Jej Wysokości, jest Zuta z Lakley.

— Z Lakley? Ale ona jest krewną Darmonda?

— Jest ofiarą chciwości pana Darmonda — odparł spokojnie Vazul. — Wedle prawa powinna być tam panią, ale po ataku zarazy ruszył on na zamek swego dziadka z dostatecznie dużymi siłami, by go zdobyć. Oświadczono, iż wszyscy jego krewni

umarli na zarazę. Szeptano jednak, że nie tylko na zarazę, ale i od stali. Zuta jako kobieta nie mogła odziedziczyć tytułu i rządzić Lakley. Miała jednak prawo do części należącej córce i było to warte niewielkiego rozlewu krwi, gdyż jej ojcu dopisało wyjątkowe szczęście w kilku zamorskich wyprawach. To niańka przekazała ją bezpiecznie do rąk pani Janis z Ule. Kiedy ta ostatnia zmarła na zarazę, moi informatorzy donieśli mi o jej śmierci... — Mówiąc to, kanclerz przez cały czas głąskał swoje zwierzątko. Książę parsknął śmiechem.

— Zawsze dostrzegasz przyszłe znaczenie każdego czynu, Vazulu. Oczywiście, to ty zarządzasz jej majątkiem.

Kanclerz pokręcił przecząco głową.

— Niestety nie, ponieważ Darmond jest tym, kim jest. Opłaceni przez niego fałszywi świadkowie stwierdzili, że Zuta nie jest prawdziwą dziedziczką rodowej fortuny. Jednak, jak każdy z nas, może liczyć na pomyślniejszą przyszłość. Ma fundusze, które może pobierać od rodu swej matki, choć do niego nie należy, i jest bardzo bystra. Jej Wysokości nic nie zagrażało w ostatnich kilku latach właśnie dlatego, że tak blisko były ze sobą.

— Jeszcze jedna para twoich oczu i uszu, Vazulu? Jeśli tak, na pewno się do tego nadaje. Nie żywiłbyś zdrajczyni, tak samo jak ja.

— Nie, ona nic nie wie o naszych tajnych sługach, Wasza Książęca Mość. Jest jednak moim źródłem informacji o Jej Wysokości i o wszystkim, co jej dotyczy. Wasza Książęca Mość, muszę powiedzieć jeszcze o jednej sprawie związanej z Mahart...

— To znaczy?

— Kiedy Jej Wysokość wyruszyła na pielgrzymkę do klasztoru Gwiazdy, szła pieszo. Podróż do środka miasta w niesionej przez konie lektyce nie przyniosłaby takiego efektu. Dlatego teraz... Wasza Książęca Mość, Jej Wysokość musi nauczyć się jeździć konno.

— Jeździć konno! — Książę zamrugał kilkakrotnie. — Ale przecież nie musi odbywać żadnych podróży.

— Po mieście, Wasza Książęca Mość. Pomyśl, teraz kiedy nadejdzie święto, które zaplanowałeś, i ty sam wyjedziesz na miasto, czy wszystkim nie wyda się dziwne, że twoja córka wieszona jest w lektyce? Lud już wie, że nie jest ona kaleką i będzie się zastanawiał, dlaczego podróżuje jakby w ukryciu.

— Jeździć konno! — prychnął książę. — W jaki sposób nauczy się tego wszystkiego w ciągu mniej niż dwudziestu dni? Ta dziewczyna nigdy nie widziała konia!

— Wasza Książęca Mość, twój koniuszy jest uważany za najlepszego w całym Kronenie. Mamy przecież duży dziedziniec, na którym ćwiczą gwardziści — można nikogo na niego nie wpuszczać wtedy, gdy Jej Wysokość będzie pobierała nauki.

— W porządku. Jeżeli trzeba to zrobić, by dogodzić tym prostakom, niech tak będzie. Zawsze masz ważne powody tego, co proponujesz, Vazulu.

— Właśnie dlatego służę Waszej Książęcej Mości — odpowiedział kanclerz.

W taki oto sposób Mahart, bez względu na to, czy pragnęła tego, czy też nie, zapoznała się z czymś, co w przyszłości mogło się dla niej stać jedną z postaci wolności. Jazdy uczył ją starszawy mężczyzna, który najwidoczniej uważał tę naukę za uwłaczającą dla swego statusu. Jednak dobrze znał swoje rzemiosło, a jego uczennica garnęła się do nauki. Zawsze pamiętała o śnie, który przyśnił się jej już trzy razy — że jest wolna i stoi na rozkwitłych łąkach pod gołym niebem. Jeżeli nauczy się kierować zwierzęciem, które przyprowadzano do niej każdego ranka o tej samej godzinie, może zyskać jeszcze jeden klucz do zewnętrznego świata.

Na szczęście okazała się bardzo zdołaną uczennicą. Szybko awansowała od nudnych rund na bardzo spokojnej klaczy do jazdy na młodszym i mniej leniwym wierzchowcu. Chociaż książęcy koniuszy nigdy nie okazał zadowolenia z jej postępów, odgadła po niewielkich zmianach w jego zachowaniu, że jest bliska tego, co uważał za możliwy do przyjęcia wyczyn.

Jeśli Mahart cieszyła się z tej nowej wiedzy, nie mogła powiedzieć tego samego o Zucie. Plac maneżowy rzadko znajdował się w pełnym słońcu i było tam zimno komuś, kto po prostu stał owinięty w szal, obserwując akcję, ale nie biorąc w niej udziału. Gdy Mahart dostrzegła zsiniały z zimna nos i drżące ciało towarzyszkę, zaproponowała w końcu, aby Zuta schroniła się w wozowni za stajnią. A potem tak zaabsorbowała ją to, co musiała zapamiętać, żeby dobrze się spisać, iż całkowicie zapomniała o Zucie. Nikt też nie wiedział, że do damy do towarzystwa przyłączył się mężczyzna odziany w skromny strój, nie ozdobiony żadnym herbem, uszyty jednak z cennych tkanin.

Mahart z powagą raz po raz okrążała dziedziniec. Najwidoczniej wszystko, czego od niej wymagano, to utrzymanie się w siodle po ułożeniu w odpowiednie fałdy szerokiej spódnicy—spodni do konnej jazdy, wyprostowana postawa i umiejętność dawania sygnałów koniowi, żeby był jej postuszny. Z czasem nauka jazdy stała się taką rutyną, iż księżniczka przekonała się, że może sobie pozwolić na rozmyślenia o innych sprawach.

Zbliżały się jej osiemnaste urodziny. Bardzo słabo pamiętała czasy, kiedy miało to jakieś znaczenie. W minionych latach na obchody jej urodzin składały się życzenia Julty, gdy księżniczka wstała z łoża, potem także życzenia Zuty, którym towarzyszył skromny upominek. Tego samego ranka pojawiał się zwykle lokaj z tacą, na której leżał podarunek od księcia, i wypowiadał monotonicznie z pamięci formalne życzenia pomyślności.

Teraz jednak zdała sobie sprawę, że stanie się centralną postacią jakichś uroczystości. Pojawi się w najcięższej ze swoich ceremonialnych sukien w towarzystwie ojca na zachodnim balkonie, by ukazać się wszystkim zainteresowanym w Kronengredzie. Później będzie demonstrowała swoje nowe umiejętności publicznie, jadąc za swoim ojcem do klasztoru Gwiazdy, aby przekazać urodzinowy dar ksieni.

Wiedziała już, że będzie ją osłaniać połowa gwardzistów, chroniąc starannie przed takim kontaktem, na jaki sobie przedtem pozwoliła, kierowana buntowniczymi myślami. Ale przynajmniej ojciec nie zabroni jej spotkania z ksienią i może z niektórymi spośród tych, którzy wspierali tę świątynię.

Mahart już odkryła, że wonne świece i kadzidło palone w wewnętrznej świątyni Gwiazdy pochodzą ze sklepu zielarki Halwice, o której tak wiele słyszała. I jeśli protokół zabraniał jej odwiedzin w sklepie zielarki, istniała duża szansa na takie spotkanie w świątyni — chociaż zdawała sobie sprawę, że sama nie powinna się o to starać.

Po godzinie ćwiczebnej jazdy pozwoliła, by książęcy koniuszy pomógł jej zsiąść z konia. Jak zawsze podziękowała mu uprzejmie za jego trud i skierowała się do wozowni, do której odesłała Zutę. Oczywiście na plac maneżowy prowadziło wiele wejść, nie można jednak było oczyścić koszar z żołnierzy i zarządzić przerwy w wojskowych zajęciach tylko po to, by żaden gwardzista nie przyjrzał się bacznie Jej Wysokości. Ścisłe przestrzegano dekretu księcia w tej materii.

Rozejrzała się, szukając wzrokiem Zuty, ale pomieszczenie było puste i jej dama do towarzystwa pokazała się dopiero po długiej chwili. Nadal osłaniała ramiona szalem, który trzymała ciasno pod brodą; jej twarz pokrywał lekki rumieniec.

— Skończyłam na dzisiaj — powiedziała Mahart. — Co dalej będziemy robić?

— Pójdziemy do garderobianej, Wasza Wysokość. Jak zapewne pamiętasz, przy ostatniej przymiarce tren nie chciał leżeć płasko.

— Równie dobrze mogliby odziać mnie w zbroję! — prychnęła księżniczka. — Te ceremonialne szaty są prawie tak samo ciężkie. No dobrze, chodźmy tam.

Zawsze cieszyła się, gdy mogła się oddalić od koszar. Ta część zamku miała w sobie coś ponurego, co budziło w niej niepokój. Dwukrotnie podniosła do nosa zawieszoną na łańcuszku aromatyczną kulkę, by chłonać jej rzeźwiący zapach.

— Wasza Wysokość?

Mahart spojrzała pytająco na swoją towarzyszkę. Zuta w końcu puściła szal i odsłoniła twarz.

— Tak? — ponagliła księżniczka, gdy dziewczyna milczała. Wreszcie przemówiła:

— To nic takiego, zwykła rozmowa dotycząca balu. Jej Wysokość Saylana... Jej syn czasami doprowadza ją do rozpaczy...

Mahart uśmiechnęła się szeroko.

— I nic dziwnego, to taki niezdarny dureń!

Ku jej zaskoczeniu Zuta szybko rozejrzała się wokoło.

— Wasza Wysokość — wyszeptwała. — Mówi się, a nawet zostało to już udowodnione, że ściany zamku mają uszy i języki.

Księżniczka mocniej ścisnęła aromatyczną kulkę. Zuta wyraźnie ją ostrzegała. Mahart wahała się chwilę, zanim zapytała równie cicho:

— Czy Jej Wysokość Saylana ma jakiś plan?

Małżeństwo, pomyślała, ojciec mówił o małżeństwie! Czy będzie starał się podeprzeć swój chwiejny tron, wydając ją za mąż za Barbrica? Zacisnęła zęby. Dotychczas zawsze stanowiła narzędzie swego ojca, ale są pewne granice...

— Zamierza dać pierwszeństwo panu Barbricowi — szeptała teraz szybko dworka.

— Wszyscy wiedzą, że kiedy otworzysz bal, księżę nie poprowadzi cię do tańca jak zwykle.

— Przecież nie mogę tańczyć sama.

Mahart usiłowała wyobrazić sobie majestatyczne figury taneczne dozwolone członkom książęcego rodu i omal się nie roześmiała, gdy wyobraźnia podsunęła jej obraz ojca biorącego udział w takim widowisku. Nie, on pozostanie na tronie, choć zawsze źle się tam czuł. Wiedział, że powinien być obecny.

— Jego Książęca Mość musi dać znak, żebyś wybrała dla siebie partnera — ciągnęła Zuta.

— A Barbric znajdzie się na czele! — warknęła Mahart.

— Będzie jedynym, którego protokół pozwoli ci wybrać — odparła dworka. — Wasza Wysokość wie, że jej ojciec ma mnóstwo wrogów. Gdybyś wybrała kogoś bez zastanowienia, mogłabyś zrazić jakiś ród, który Jego Książęca Mość chciałby przeciągnąć na swoją stronę.

To prawda, musiała przyznać Mahart. Niech więc tak się stanie — wybierze Barbrica. Na szczęście w uroczystym dworskim tańcu będzie musiała dotykać tylko wyciągniętych rąk partnera. Taki taniec jest śmiertelnie nudny — wiedziała o tym po wielogodzinnych ćwiczeniach majestatycznych póz — głębokie dygnięcie, w odpowiedzi jeszcze głębsze ukłony, a na końcu zostanie odprowadzona na swoje miejsce na podium.

— Postaram się o tym pamiętać, Zuto — odparła, wzruszając ramionami. — Ale co powie mój ojciec na taką dyplomatyczną sztuczkę?

— Jego Książęca Mość nie może odrzucić wyboru Waszej Wysokości. Uzna go za odpowiedni.

W następnych dniach, które minęły stanowczo za szybko, Mahart wydawało się, że

musi pamiętać o zbyt wielu odpowiednich decyzjach. Nienawidziła ciężkich sukien nadmiernie obciążających jej smukłe ciało. Poświęciła kilka godzin na zebranie włosów w taką fryzurę, która pozwoli umieścić na głowie szeroką tiarę. Przynajmniej książęcy koniuszy dał spokój i na pewno zameldował ojcu, że księżniczka nie przyniesie mu wstydu, spadając z konia.

Dwukrotnie poleciła Zucie dostarczyć sobie to palone nocą kadzidło, które przynosiło jej krzepiące, spokojne sny. A ostatnia dostawa była tak duża, że Mahart mogłaby palić ten czarodziejski proszek przez trzy noce z rzędu. Za każdym razem, gdy wracała we śnie na kwitnącą łąkę, czuła się pokrzepiona na duchu, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że na coś czeka. W tym śnie nigdy nie chciała, nawet gdyby mogła, odejść z miejsca, w którym się znalazła. A przecież była coraz bardziej pewna, że ktoś tam jej szuka — choć nigdy żaden cień nie pojawił się na rozległym łągu. Nigdy też się nie bała, czekała tylko niecierpliwie, a teraz obudziła się zawiedziona, kiedy wyczekiwany wędrowiec się nie pojawił.

Odnosiła wrażenie, że czas mknie jak ptak, a kiedy indziej, że pełźnie niemrawo. Vazul zaczął ją prosić o posłuchania i początkowo chciała odmówić. Kanclerz miał w sobie coś, co sprawiało, że w jego obecności nerwy miała napięte i czuła się niespokojna. Później jednak, gdy omawiane podczas tych spotkań sprawy, o których dotychczas nie miała pojęcia, zaczęły budzić w niej coraz większą ciekawość, czekała na niego z niecierpliwością.

Ojciec nigdy nie uważał jej za osobę godną uwagi — zapominał o niej natychmiast, gdy zniknęła mu z oczu. Vazul jednak od samego początku traktował ją jak myślącego człowieka, a nie naiwne dziecko, które zrzędzeniem losu okazało się księżęcą córką.

To nowe i podniecające zainteresowanie obudziło się w niej podczas pierwszej wizyty Vazula i kluczem do niego stało się zachowanie jego dziwnej ulubienicy. Kiedy skinieniem ręki zaprosiła go, by usiadł, niepewna, czy nie przybył z jakąś reprimendą od ojca, to gibkie zwierzątko o czarnej sierści wychylnie z rękawa kanclerza, przebiegło mu po kolanie, zeskoczyło lekko na podłogę i jak błyskawica podbiegło do stóp księżniczki. Usiłowała podkurczyć palce nóg pod fałdami obszernej sukni, nie wiedząc, co robi, jeśli ta istota wskoczy jej na kolana. Dlatego nie odrywała od niej wzroku i pragnęła, żeby kanclerz odwołał swoją ulubienicę. Stworzonko stanęło na tylnych łapkach, skrzyżowało przednie na brzuszku, a jego uniesiona wysoko głowa i falowanie długich wąsów wskazywały, że bada powietrze. Im dłużej Mahart przyglądała się temu dziwnemu zwierzątku, tym lepiej zdawała sobie sprawę, że nie jest groźne. Pod wpływem nagłego impulsu odpięła łańcuszek z aromatyczną kulką od pasa i zbliżyła ją do wężącego nosa zwierzątka.

Rozległ się szczebiotliwy dźwięk, bardzo cichy. Ulubienica kanclerza wbiła pazury przedniej łapki w osłoniętą siateczką część aromatycznej kulki i zbliżyła ją do nosa. Księżniczce wydało się, że małe czarne ciało nadęło się, jakby wzięło najgłębszy oddech, na jaki było je stać.

— To od zielarki Halwice, Wasza Wysokość?

Mahart tak była pochłonięta dziwnym zachowaniem ulubienicy kanclerza, że drgnęła, gdy usłyszała pytanie Vazula.

— Tak, kanclerzu. To jej wyrób. Słynie z takich rzeczy.

— Z uzdrawiania również — skomentował. Ale nie próbował odwołać swojej nierozłącznej towarzyszki.

Smukłe czarne zwierzątko w końcu zrobiło to, czego Mahart tak się obawiała: skoczyło jej na kolana, trzymając kulkę w wyjątkowo ostrych, groźnie wyglądających, choć małych zębach. Później wsunęło główkę w dłoń księżniczki i po prostu musiała pogłaskać jedwabistą sierść. W odpowiedzi wyczuła w małym ciałku vibracje, które



mogły oznaczać tylko zadowolenie. Nie przestając głaskać ufnego stworzenia, podniosła oczy na kanclerza.

— Jak ono się nazywa?

Wszyscy w zamku wiedzieli o jego istnieniu, ale nigdy nie wspomniano żadnego imienia.

Vazul pochylił się do przodu, oczy, zwykle do połowy przysłonięte powiekami, miał teraz szeroko otwarte. Wpatrywał się w Mahart tak intensywnie, jakby chciał policzyć jej kości. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła ze zdumieniem, że zrzucił maskę obojętności, którą zawsze nosił.

— Ssssaaa. — Wypowiedział dźwięk, który raczej był syknięciem niż prawdziwym słowem. Księżniczka jednak uznała, że jest to odpowiedź na jej pytanie. — To przyjaciółka, którą warto pozdrowić.

— Ssssaaa. — Mahart najlepiej, jak mogła, starała się naśladować wymowę Vazula. Poczwała ciepło, gdy zwierzątko w jakiś sposób wśliznęło się na jej ramię i zaświergotało do ucha.

Vazul nadal był tak zdumiony, że wciąż jeszcze nie przybrał oficjalnej obojętnej miny.

— Nie boisz się... — To nie brzmiało jak pytanie, lecz stwierdzenie. — Wasza Wysokość, zdobyłaś pomocnicę. Docenisz ją dopiero wtedy, gdy nadejdą ciężkie czasy...

— Ciężkie czasy?

— Tak, ciężkie czasy, ponieważ sam czas jest naszym wrogiem. Wasza Wysokość, wysłuchaj mnie uważnie, gdyż musisz wiele zrozumieć, zanim całkowicie wchłonie cię ten dwór, gdzie musisz przebywać z konieczności.

Zaczął mówić bardzo cicho, a Mahart słuchała, nie przestając głaskać zwierzątka, które samo do niej przyszło. Spędzone w zamkowej bibliotece długie godziny pozwoliły jej zrozumieć większość spraw, o jakich mówił — ale nie wszystkie, gdyż kroniki opowiadały o czasach znacznie odleglejszych niż niedawna przeszłość. Zawsze zdawała sobie sprawę, że prawo jej ojca do tronu jest kwestionowane i bardzo wcześniej ostrzeżono ją przed panią Saylaną. Teraz jednak usłyszała inne imiona; przy niektórych Vazul zawieszał głos, jakby dawał jej czas na ich zapamiętanie.

Jego monotony głos, ściszony tak, jakby rozmawiał z kimś równym mu wiekiem i wiedzą, działał podobnie jak jej sny o ukwieconej łące — otwierał przed nią nowy, nieznan świat. Był to ponury świat i niewiele dostrzegła w nim tego, co mogłoby ją ucieszyć. Bardzo różnił się od jej snów, ale jej żywa inteligencja, już obudzona, szybko się rozwijała pod wpływem informacji uzyskanych od Vazula.

— Panie, jeśli Kronen jest tak przeżarty zgnilizną, co można zrobić? Jeżeli kupcy nie będą się czuć bezpiecznie na naszych drogach, przestaną do nas przybywać.

Handel upadnie... — Zawahała się, przypomniawszy sobie żebraków u bramy klasztoru Gwiazdy. Od czasu swojej pielgrzymki zrobiła, co mogła, żeby im pomóc.

— Doprowadzi to do katastrofy jak tamta zaraza....

Ssssaaa syknęła jej do ucha, wyprostowała się i jednym skokiem znalazła się na kolanach Vazula.

— Tylko śmierć przyjdzie po dłuższym czasie — odparł kanclerz. — W tej chwili musimy uczestniczyć w grze kogoś innego albo udawać, że to robimy...

— W grze Jej Wysokości Saylany — odgadła, lecz Vazul ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

Odbyła jeszcze trzy takie spotkania z Vazulem. Na drugie i trzecie przyniósł pakieciki ziół, a na ostatnim zgodził się, żeby w swojej urodzinowej podróży do klasztoru Gwiazdy mogła się spotkać z Halwice. Zielarka bowiem jest mistrzynią gildii w swoim zawodzie i jako taka przybędzie do świątyni, by uczcić urodziny

książęcej córki.

Wreszcie nadszedł ten uroczysty dzień — Mahart wiedziała, że będzie długi. Najpierw w majestacie pojawi się u boku ojca na zamkowych schodach. Później procesja do klasztoru, następnie nudna oficjalna kolacja, a na samym końcu bal. Wspaniała ceremonialna suknia już na nią czekała, wisiała na ścianie na grubym sznurze, żeby się nie pognoćła.

Na toaletce leżał jak zwykle podarunek od ojca — cenniejszy w tym roku — flakonik w kształcie na wpół rozwiniętej róży. Mimo korka wydobywał się z niego zapach perfum. Ale w głębi duszy Mahart pragnęła kadzidła, które kryło się w pakietkach przyniesionych przez Vazula — tego, które przenosiło ją gdzie indziej. Nigdy jeszcze nie widziała cudzoziemca, którego miała spotkać w tamtym miejscu. Bardzo ją niepokoiło, że zbyt późno się spóźnia. Wiedziała, że Zuta jest ciekawa, jak to kadzidło do niej dotarło, ale zbyła ją, wyjaśniając, iż otrzymała je na rozkaz ojca, by miała jasny umysł i mogła się przygotować do czekającego ją ciężkiego dnia.

Widziała flagi i sztandary, festony z kwiatów i gałęzi wzdłuż trasy pochodu, gdy później jechała krok w krok za ojcem przez ulice stolicy Kronenu. Zarumieniła się, słysząc wiwatujące tłumy. Słowa Vazula głęboko zapadły jej w pamięć; dobrze wiedziała, na jak kruchym fundamencie spoczywa cała ta gala w Kronengredzie.

Spokój panujący za bramą klasztoru Gwiazdy nie miał w sobie nic z tego gorączkowego podniecenia. Mahart tak jak poprzednio ukloniła się ksieni. Ale teraz ta starsza wiekiem siostra, opierając się lekko na lasce, zaprowadziła ją do nawy Domu Gwiazdy.

Mahart słyszała w pobliżu przytłumiony szmer gawiedzi. Wiedziała, że w klasztorze są mistrzowie z miejskich gildii. Uklękła przed ołtarzem Gwiazdy i ofiara, którą tam złożyła, mogła popsuć humor jej ojcu; nawet nie próbowała dostrzec, czy zmarszczył brwi z niezadowoleniem. Umieściła bowiem buteleczkę w kształcie doskonale pięknej róży w jasnym świetle igrającym wzdłuż wszystkich ramion Gwiazdy.

Ponownie dokonano prezentacji i każdy z mistrzów i mistrzyń z gildii pokazał swoją ofiarę — niektórzy piękne egzemplarze własnych wyrobów. Znudzona ceremonią księżniczka zamyśliła się głęboko. Ocknęła się dopiero wtedy, gdy zbliżył się do niej piąty członek gildii. Była to kobieta, odziana w jaskrawozieloną suknię, nie ozdobioną ani koronkami, ani metaliczną nicią. Z godnością ukloniła się najpierw księciu, a potem jego córce.

Mahart nie potrafiła określić wieku zielarki. Chociaż na jej gładkiej skórze nie dostrzegła zmarszczek, ale oczy, które kobieta podniosła na księżniczkę, sprawiały bardzo dziwne wrażenie. Były żółte? A może tylko brązowe jak jesienne liście?

Mahart nie potrzebowała słów herolda, by wiedzieć, kto przed nią stoi. Nie pamiętała teraz, czego się spodziewała — może jakiejś staruszki, bardziej pasującej do brudnej pracy w ogrodzie, niż tej dojrzałej niewiasty w pięknej sukni. Halwice najwidoczniej czuła się zupełnie swobodnie w dworskim otoczeniu, czego brakowało nawet Saylanie, pomimo jej wszystkich póż i udawania. I to właśnie zielarka obudziła w jakimś głęboko ukrytym zakątku serca księżniczki pragnienie zawarcia prawdziwej przyjaźni.

Willadene odmierzała maleńką łyżeczką porcję jakiegoś proszku, od którego łązały jej oczy. Na pewno pachniał mocniej niż wszystkie gatunki pieprzu, z którymi się zetknęła w kuchni Jacoby. Odmierzyła bardzo starannie wszystkie składniki, a potem zatkała buteleczkę, do której wsypała tę mieszankę. Na ulicy przed domem panował nienaturalny spokój. Połowa sklepów nadal była zamknięta, gdyż ich właściciele poszli przyrzeć się wielkiej procesji.

Willadene na pewno nie miała ochoty przyłączyć się do rozradowanego, wymachującego wstążkami tłumu. W rzeczywistości nie mogła się zmusić do wyjścia na ulicę lub poza furtkę z tyłu za ogrodem. Wprawdzie upłynęło wiele dni, odkąd, drżąc na całym ciele i starając się ukryć strach, stanęła przed sędzią grodzkim i z wdzięcznością usłyszała, że odebrano ją Jacobie — która stała w brudnej, wyblakłej, znoszonej, niegdyś pięknej sukni — i oddano pod opiekę Halwice, jak zawsze ładnie ubranej i spokojnej. Widziała, jak zielarka kładzie pieniądze na stole urzędnika sądowego — dość, by wedle prawa wynagrodzić stratę poniesioną przez karczmarkę. Jacoba jednak każdym gestem, miną i postawą dawała do zrozumienia wszystkim, a przynajmniej Willadene, że jest bardzo niezadowolona z tej transakcji.

Czasami Willadene mogła sobie nawet wyobrazić, że kiedy opuści sklep z jakimś zleceniem dla Halwice, poczuje ciężką rękę karczmarki na ramieniu i zostanie zaciągnięta z powrotem do kuchni, chociaż zdrowy rozsądek mówił jej, że to nigdy się nie wydarzy.

W każdym razie sama czuła się bezpiecznie tylko w sklepie. Pragnęła jednak móc zobaczyć Halwice w jej pięknej, choć pozbawionej ozdób sukni, przed obliczem Jej Wysokości Mahart, jako szanowaną członkinię gildii.

Willadene wielokrotnie opisywano Jej Wysokość Mahart — iż ma tak piękną twarz, że nawet kwiaty bledną w jej obecności, iż ma tak dobre serce, że własnoręcznie karmiła biednych czekających przed świątynią Gwiazdy. Mówiono też, że jest wykształcona — jednym słowem to prawdziwy wzór doskonałości w swoim rodzie. Krążyły też pogłoski, że na pewno wkrótce odbędzie się wspaniałe wesele. Łatwo jest mówić, ale plotka często przeczy prawdzie. Willadene coraz częściej zastanawiała się, jaka naprawdę jest księżęca córka. Prawo zabraniało Mahart dziedziczenia tronu po ojcu, ale może ją zdobyć książę z jakiegoś obcego kraju i po śmierci obecnego władcy włożyć koronę Kronenu.

Jedyną więzią między Willadene a dziewczyną, której urodziny obchodzono tak uroczysto w Kronengredzie, było to, że od czasu do czasu w sklepie pojawiał się paż czy lokaj wysłany po pakiecik, starannie owinięty flakonik lub pachnący jak cały ogród Halwice woreczek zamówiony dla Jej Wysokości.

Z tygodnia na tydzień transakcje te zawierane były coraz częściej i chociaż Halwice zawsze dokładnie instruowała Willadene, kiedy pilnowała płynów przygotowywanych dla innych klientów, a nawet pozwalała jej samej wykańczać mniej ważne mieszanki, własnoręcznie przygotowywała pachnidła i perfumy dla mieszkańców zamku, przeważnie w samotności. Zwykle kazała dziewczynie zebrać jakiś produkt na proszek lub dawała jej podobne zajęcie, sama tymczasem pracowała przy stole oświetlonym przez dwie lampy nawet w najjaśniejsze dni.

Willadene skończyła swoje zadanie i bardzo ostrożnie oczyściła łyżeczkę, którą odłożyła na miejsce wraz z innymi przyborami. Słyszała okrzyki tłumu nawet przez labirynt ulic dzielących ją od trasy przejazdu księcia i jego córki. Nie podeszła jednak do drzwi, tylko wzięła z małej szafki księgę, którą otworzyła z największą

ostrożnością, gdyż zniszczone przez czas okładki ledwie się trzymały.

Nie była całkowitą ignorantką, kiedy los wydobył ją z piekła, za jakie uważała kuchnię Jacoby. Kiedy karczmarza odkryła, że Willadene nie tylko potrafi pisać i czytać, lecz także rachować, chętnie korzystała z jej umiejętności, choć zawsze w takich wypadkach udawała wielką pogardę dla godnej szlachcianki wiedzy swojej pomywaczki.

Natomiast Halwice, dowiedziawszy się, że jej nowa uczennica jest piśmienna, zaczęła systematycznie udzielać jej lekcji i Willadene, od dawna spragniona wiedzy, chłonęła wszystko, co mogła. Potrafiła po zamknięciu oczu cytować całe strony z napisanych prostym językiem zielników, ale starsze księgi stanowiły dla niej zagadkę, którą często starała się rozwiązać, siedząc godzinami w blasku lampy.

Teraz szukała legendy — chociaż była pewna, że Halwice uważa ją za prawdę — historii Władcy Serc, cudownego kwiatu, który rozlewał tak upojny zapach, iż żaden kochanek lub kochanka nie mogli mu się oprzeć. Willadene nie miała ukochanego, na pewno nie dla siebie poszukiwała tej starożytnej receptury. Ona sama pragnęła spędzić resztę swego życia tak jak cały miniony dzień.

Ale przypuśćmy, że znów udałoby się wydestylować takie perfumy i ofiarować je Jej Wysokości Mahart. Wtedy Halwice zaskarbi sobie łaskę księżniczki i Willadene choć w części będzie mogła spłacić dług wdzięczności, jaki u niej zaciągnęła.

Znalazła tę opowieść. Spisano ją niewyraźnym pismem, z użyciem przestarzałych słów — a znaczenia niektórych dziewczyna musiała się domyślać — tylko jako legendę, a nie tak jak starannie przedstawione przepisy w zielnikach, które znała i którymi się posługiwała. Władca Serc to jeden jedyny kwiat, zerwany ostrożnie i przechowywany w urnie z jakimś olejkiem, który Willadene uznała za najdroższy w sklepie Halwice. Sprzedawano go po kropelce i tylko właściciele wypchanych trzosów mogli sobie na niego pozwolić.

Tylko jak można znaleźć jakikolwiek kwiat? Willadene za swej pamięci nigdy nie była za murami Kronengredu. Wprawdzie Halwice utrzymywała kontakty z cudzoziemskimi kupcami, ale to oni do niej przybywali. Sama zaś nigdy nie opuszczała miasta, aby znaleźć to, co jej w końcu dostarczali. Willadene znała kilka kwitnących ziół, jednakże pora roku, w której pojawiają się ich pączki, miała nadejść jeszcze nieprędko. I dziewczyna wiedziała, co to za zioła i do czego służą.

Była pewna tylko jednego — taki cud jak Władca Serc musi rosnąć daleko od krain zamieszkałych przez ludzi. A jak można zapaść się w poszukiwaniu tego niezwykłego kwiatu na takie pustkowia, gdzie teraz rozbójnicy rządzą niemal niepodzielnie?

Willadene czytała po raz trzeci tę krótką relację, kiedy przeszkodził jej jakiś hałas dochodzący z ulicy. Wracali ci, którzy poszli obejrzeć uroczysty pochód. Patrzyła przez otwarte drzwi, jak sędzia grodzki razem ze swoją eskortą przejechał obok, a piesi rozpierzchli się przed końmi. Dziewczyna szybko odłożyła księgę na miejsce.

Żeby dotrzeć na czas do klasztoru Gwiazdy, Halwice musiała wyjść z domu przed pierwszym dzwonem po przelknięciu tylko kawałka chleba i wypiciu kubeczka piwa. Willadene musi szybko podgrzać jedzenie, które dla niej przygotowała.

Ostrożnie próbowała zupy łyżką o długim trzonku, kiedy przybyła zielarka. Otaczała ją grupka sąsiadek, głównie kupieckich żon z tej samej ulicy. Nawet z miejsca, w którym stała, Willadene słyszała, jak zasypują ją gradem pytań.

Tak, Jej Wysokość rzeczywiście była bardzo łaskawa i ci, którzy nazwali ją urodziwą, nie są wyłącznie pochlebcami. Tak, Jasna Gwiazda pobłogosławiła księcia, dając mu taką córkę... W końcu jednak Halwice podniosła rękę do góry.

— Dobre kobiety, zaschło mi w ustach. Powiedziałam wam wszystko, co mogłam. Ona rzeczywiście nadaje się na królową i miejmy nadzieję, że jeśli nią zostanie,

będzie szczęśliwa.

Kilka sąsiadek trochę sarkano, ale w końcu pozwoliły jej odejść i choć Halwice nie zamknęła drzwi, od razu weszła na zaplecze. Nie odezwała się do czekającej z posiłkiem dziewczyny, lecz skierowała się do ogromnej szafy skrywającej składane łoże. Gdy jej głowa i ramiona zniknęły w ciemnym wnętrzu, powiedziała:

— Sprzątnij wszystko ze stołu!

Willadene pośpiesznie odstawiła na bok miski i talerze zjedzeniem. Zdażyła zdjąć ostatnie naczynie, kiedy Halwice wróciła do stołu. Nie patrząc na dziewczynę, postawiła na porządnie wyszorowanym blacie przedmiot, który trzymała blisko ciała w drodze powrotnej ze świątyni, jak gdyby chciała go ukryć przed ludzkim wzrokiem.

Była to biała miska, wielkości obu złożonych dłoni Willadene, oraz woreczek, który dziewczyna już widziała — ten, w którym znajdowały się odłamki oszlifowanych, lecz potłuczonych kryształów.

Następnie Halwice wzięła dwie świece, które, jak pamiętała Willadene, paląc się wydzielają aromatyczny dym. Postawiła je po obu stronach miski i szybko zapaliła. Do miski wlała nieco wody miętowej, której używały przy pracy i która musiała być trzykrotnie zagotowana w celu zapewnienia jej czystości.

Po wykonaniu tych wszystkich czynności zadowolona Halwice przywołała do siebie dziewczynę, kiwając palcem.

— Weź to, co jest w środku. — Przesunęła do przodu woreczek z kryształami. — Ściskaj je mocno przez trzy długie oddechy.

Willadene położyła na dłoni odłamki o ostrych krawędziach, a potem przykryła je drugą, żeby nie wysunęły się między palcami. Wzięła trzy oddechy, wstrzymując każdy, jak gdyby się bała, że wypuszczając powietrze z płuc, może wyrządzić jakąś szkodę.

— Rzuć...

Willadene cisnęła to, co trzymała, na blat stołu. Żaden z kryształów nie potoczył się na podłogę, czego się obawiała.

Halwice pochyliła się do przodu; na głowie miała ciasny, ceremonialny czepiec bez brzegów, które ukrywałyby jej rysy. Przez długą chwilę po prostu patrzyła na rozsypane kolorowe odłamki. Później palcem wskazującym zaczęła je rozsuwać, odpychając jeden po drugim, aż wreszcie na stole pozostał długi, gładki, zielony kamień podobny do łodygi trzciny.

— Weź go i trzymaj! — po raz drugi poleciała Willadene i tym razem dziewczyna naliczyła w myśli siedem oddechów, zanim zabrzmiał następny rozkaz.

— Wrzuć go do miski, a potem patrz w nią, dziewczyno; wyteż wszystkie swoje zdolności i patrz!

Izba zniknęła. Willadene wydało się, że stoi na brzegu bardzo spokojnego jeziora, doskonale gładkiego, bez najmniejszej fali; mijały ją cienie, szybko lub leniwie, o tak zamazanych konturach, że nie miała pojęcia, czym są. Lecz coś w niej kazało jej podjąć próbę zatrzymania tych przemykających obok cieni. Z ogromnym wysiłkiem, tak wielkim, jak gdyby wzięła na plecy ciężką wiązkę chrustu, próbowała dostrzec coś wyraźniej. Ujrzała coś, co zanurkowało i znów wzniosło się do góry, a potem usiłowało odlecieć, walcząc z przeciwnościami, które mogła sobie tylko wyobrazić. Obraz pogłębił się i wyostrzył. Obserwowała nietoperza, tak jak w letnie wieczory patrzyła na jego pobratymców wylatujących na łowy. Choć nie widziała rany, nie miała wątpliwości, że ten był w jakiś sposób okaleczony.

Dwukrotnie przełknęła ślinę, zanim odważyła się przemówić, gdyż mówienie przeszkadzało w patrzeniu. Kiedy wypowiedziała głośno pierwsze słowa, obraz zwierzęcia rozplynął się w nicość.

— Nietoperz, ranny.

Usłyszała niewyraźny cichy jęk, który dobiegał gdzieś z zewnątrz, i poczuła coś dziwnego — ukłucie będące mieszaniną bólu i strachu. Była pewna, że nie pochodziło od okaleczonego nietoperza.

— Patrz dalej, patrz!

Rozkaz był tak stanowczy, że Willadene siłą woli znów zagłębiła się w swojej wizji.

Tym razem obraz stał się wyraźniejszy, wystrzelił z nicości, jakby nagle otwały się jakieś drzwi. Na pewno były to skały, upstrzone porostami, częściowo okolone wieńcem niskich paproci. Nigdy jednak nie widziała w Kronengredzie kamiennych bloków wykutych z takich skał. W szczelinie między nimi (ich zbocza tworzyły w górze łuk, jakby chciały chronić wyrosły na kruchej łądydze kwiat w kształcie gwiazdy) ujrzała Władcę Serc. Czarodziejski kwiat wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobraziła, gdy usłyszała i przeczytała opowieść o jego dobroczynnym wpływie na ludzi.

Musiała wymówić tę nazwę głośno, gdyż nagle coś wyrwało ją z transu. Czyjeś wspierające ręce spoczęły na jej ramionach, ale zanim się całkiem ocknęła, od cudownego kwiatu napłynęła fala niezwykłego zapachu. Wiedziała, że nie zapomni go do końca życia.

— Aha, więc to tak! — najpierw z daleka, a potem z bliska zabrzmiał głos Halwice. — Niech tak będzie... Lecz droga może być długa i pogrążona w mroku.

Willadene widziała teraz tylko stół, na nim zaś miskę z wodą, na dnie której leżał wrzucony przez nią zielony kamień. Musiała jednak oburącz oprzeć się o brzeg stołu, gdyż miała wrażenie, że nadal czuje ten cudowny zapach, tak silny, jak woń najmocniejszego jesiennego piwa.

W zamku położonym znacznie wyżej niż dom i izba Halwice książę Uttobric kulił się w swoim krześle. Był w szatach, które zawsze wyglądały, jakby uszyto je dla innego mężczyzny, i które marszczyły się na całej swej długości.

Uttobric nigdy nie był człowiekiem towarzyskim i im bardziej się starzał, tym bardziej nienawidził tych wszystkich pełnych przepychu parad, w których musiał brać udział. Ale sama władza — co normalne dla kogoś, kogo zawsze pomijano, kto przez większą część życia był pośmiewiskiem całego dworu — upajała go jak mocne wino i nie zamierzał z niej zrezygnować. Teraz wystarczy, że przyłoży swoją pieczęć do jakiegoś skrawka papieru i jeden z tych, którzy drwili z niego tak otwarcie, stanie się niczym.

Ale jeszcze nie przyszedł na to czas. Książę wiedział o tym i poczuł, że wzbiera w nim złość.

— Jak myślisz, czy wywarliśmy odpowiednio duże wrażenie na mieszkańcach Kronengredu? — zapytał, choć nie chciał teraz widzieć wyrazu twarzy Vazula.

— Było to najlepsze posunięcie, jakie mogłeś zrobić, panie — odparł natychmiast kanclerz. — Los sprzyjał Waszej Książęcej Mości. Dał ci córkę, która może być potężną bronią, jeśli zostanie odpowiednio poinstruowana.

Uttobric rzucił się teraz w głąb krzesła, a jego długa szata zmarszczyła się wzdłuż kręgosłupa.

— A ty tego dopilnujesz — skomentował, przyglądając się Vazulowi spod półprzymkniętych powiek. — Pamiętaj jednak, mój kanclerzu, że tylko ze mną awansujesz lub upadniesz...

Nie dokończył, gdyż czarne zwierzątko siedzące na ramieniu Vazula nagle skoczyło do przodu tak szybko i zręcznie, że jednym skokiem przebyło niemal całą komnatę. Kanclerz się odwrócił, aby popatrzeć na swoją ulubienicę, i oparł rękę na rękojęści sztyletu, który nosił u pasa.

Ssssaaa pomknęła prosto do pokrytej ciemną boazerią ściany i stanęła na dwóch łapkach, wbijając pazury w drewno i wydając wysoki syczący okrzyk. Kanclerz zrobił trzy kroki, zanim dotarł do tego miejsca, a księżę musiał wstać z krzesła i szarpnąć zapięcie ceremonialnego płaszcza, żeby się uwolnić od krępujących ruchy fałd.

Ręce kanclerza poszukały ukrytych zamków. Przez chwilę widzieli tylko ciemny otwór, ale Ssssaaa wpadła weń jak szalona, a Vazul poszedł za nią z obnażonym brzeszczotem w dłoni. Potem, gdy z kolei księżę zbliżył się do tajnych drzwi, usłyszał okrzyk bólu nieco tylko głośniejszy od jęku.

Vazul znów był teraz odwrócony plecami do otworu w ścianie i cofał się w stronę komnaty. Nie trzymał już sztyletu, lecz oburącz ciągnął ciało, które szamotało się lekko, jakby chciało się uwolnić. Kanclerz położył zdobycz na podłodze i pośpiesznie zamknął tajne drzwi. Tymczasem Uttobric pochylił się nad mężczyzną, który usiłował usiąść, ale musiał z tego zrezygnować, zgrzytając zębami.

— Byłeś śledzony? — spytał księżę, przenosząc spojrzenie na ścianę, a potem z powrotem na rannego.

— Leżałem tam... — bardzo cicho wykrztusiła ofiara. — Nikt mnie nie śledził.

— I nie mógłby. — Vazul omal nie odepchnął łokciem księcia z drogi i ukląkł, jedną ręką przewracając rannego na plecy. Później zajął się rozwiązywaniem wiązadeł zatłuszczonego kaftana i zdarł go z lewego ramienia przybysza.

Ssssaaa przycupnęła obok głowy leżącego mężczyzny i przednią łapką gładziła go po sztywnych od potu włosach. Ranny zamknął oczy i nagle głowa opadła mu na bok. Zaskoczony księżę cofnął się szybko.

— Skonał? — zapytał.

— Jeszcze żyje. — Kanclerz podniósł opadającą bezwładnie głowę rannego i nachylił się niżej. — Czuję ten smród...

— Trucizna! — Księżę cofnął się jeszcze dalej.

— To sztuczka, często stosowana przez nocnych rozbójników, ale jeśli podejmie się leczenie na czas... Musimy nie tylko spróbować ocalić Nietoperza, lecz także dowiedzieć się, i to szybko, jaką informację starał się nam dostarczyć, walcząc ze śmiercią.

— Można go uratować? — Uttobric nadal wpatrywał się w ciało, jakby spodziewał się, że rozpadnie się w proch na jego oczach. — Potrafiłbyś to zrobić?

— Ja nie, Wasza Książęca Mość. — Vazul pokręcił przecząco głową. — Ale w Kronengredzie na pewno jest ktoś, kto zdoła przywrócić go do życia, jeśli tylko może to uczynić śmiertelny człowiek.

— Tak, zielarka Halwice. — Księżę skinął głową.

— Jednak — podjął pośpiesznie kanclerz — nie możemy go tutaj zostawić. Dziś wieczorem jest bal, przed nim zaś uczta, na której musimy się pojawić obaj, są bowiem tacy, których bardzo zainteresuje, dlaczego nas tam nie ma. Bal przyciągnie większość sług do zachodniego skrzydła. — Vazul dotarł do sztywnej od krwi koszuli i ostrożnie wyjmował tampon wetknięty w krwawiącą ranę. — Pozostaje więc Czarna Wieża.

Księżę szarpnął dolną wargę.

— Tak, nikogo tam nie więziono przez pół wieku albo dłużej. Ostatni był księżę Rotonbric, który zwariował. Ale jak go tam przeniesiemy?

— Tylko tajnymi korytarzami, Wasza Książęca Mość. I ktoś musi mi w tym pomóc, ponieważ Nietoperz waży więcej, niż mogę udźwignąć. Danerks...

Księżę utkwiał spojrzenie w leżącym na podłodze mężczyźnie, jakby chciał, żeby tamten w jakiś sposób znalazł się bardzo daleko od j ego komnaty.

— Danerks — powiedział powoli. — Przynajmniej jest lojalny w stosunku do mnie, inaczej już dawno bym nie żył. — Wydał cienkie wargi. Jego luźna szata

opadła, gdy podszedł do wiszącego na przeciwległej ścianie dzwonka i energicznie pociągnął dwa razy.

Nie musiał się obawiać, że Danerks, jego lokaj, jest gdzie indziej, niż być powinien — parę drzwi dalej wyjmował książęce szaty, w których Uttobric uda się na ucztę i bal. Ileż czasu traci się na ubieranie na takie okazje! Uttobric pomyślał przelotnie, że na nieszczęście będzie ich więcej do chwili, aż ich plany się powiodą.

Halwice została wezwana po zmroku i potajemnie. Willadene usłyszała tylko szybki szept przy tylnych drzwiach, gdyż nocny gość odszedł najprędzej, jak tylko mógł. Potem zielarka zajęła się gromadzeniem jakichś skrzyneczek, flaszeczek i dzbanuszków, które włożyła do podróźnej sakwy bez słowa wyjaśnienia. Dopiero kiedy skończyła i sięgała po opończę, przemówiła wreszcie do Willadene.

— Zaszła nagła potrzeba i nikt nie może się dowiedzieć, co się stało. Jutro oczekuję dostawy z za morza. Otworzysz sklep jak zwykle i przyjmiesz paczkę, za którą już zapłaciłam. Jeżeli ktoś o mnie zapyta, możesz powiedzieć, że przyjmuję trudny poród, że wezwano mnie w nocy, a ty nie wiesz dokąd i nie masz pojęcia, kiedy wrócę.

Nic więcej nie dodała, ale Willadene odgadła, iż jej pani na pewno nie zajmie się porodem. Zauważyła bowiem, jakie leki wybrała Halwice — i jak niedawno się dowiedziała, miały one leczyć rany.

— Idź i niech Gwiazda cię chroni... — Halwice chyba jej nie usłyszała, tak szybko wysliznęła się tylnymi drzwiami.

Willadene wróciła do kolacji złożonej z chleba i sera. Tej nocy w mieście było niespokojnie. Nawet zamknięta w izbie na zapleczu słyszała okrzyki tłumów. Wielu ludzi zgromadzi się na wielkim placu u stóp zamku. Książęcy słudzy obdarują wszystkich darmowym piwem i ciastkami, dając obywatelom Kronengredu przynajmniej przedsmak uczyty i wielkiego balu w twierdzy na górze. Pospólstwo napatrzy się do woli na karety przywożące członków wielkich rodów na to uroczyste zgromadzenie. Willadene omiotła wzrokiem izbę, w której siedziała. Niech Jej Wysokość Mahart skosztuje wszystkich przysmaków, tańczy w rytmie majestatycznej muzyki i cieszy się resztą uroczystości w dniu swych urodzin; ją, Willadene, w pełni zadowala to, co ma tutaj i teraz.

Halwice nie powiedziała, o jakiej porze ma przybyć ta cenna przesyłka, ale kiedy nikt nie przyszedł do sklepu do pierwszego nocnego dzwonu, dziewczyna przestała jej oczekiwać. Każda nagła potrzeba, dla której Halwice opuszcza swój dom, musi być naprawdę poważna. Snucie przypuszczeń do niczego nie doprowadzi — jeśli ma się o wszystkim dowiedzieć, dowie się we właściwym czasie.

Położyła się spać o tej samej porze co zawsze, pozostawiając tylko zapaloną nocną lampę na wypadek powrotu zielarki, i wsunęła się głęboko w podniszczoną, lecz pachnącą lawendą pościel na składanym łóżku.

Dopiero kiedy powieki jej zaciążyły, wróciła myślą do tego, co Halwice robiła z miską i ze świecami. Wspominając dziwną skałę i kwiat, który tam dumnie unosił koronę, usiłowała przywołać każdy zapamiętany szczegół. Szybko jednak zasnęła.

Kiedy Willadene obudziła się rano, Halwice jeszcze nie wróciła i teraz dziewczynę ogarnął niepokój. Zmusiła się jednak do wykonywania codziennych obowiązków w tej samej kolejności co zawsze, gdy zielarka była w domu.

Właśnie otworzyła sklepowe żaluzje i przygotowała się do pracy, kiedy usłyszała znajomy głos.

— Hej, Willa, co słychać?

Figis już nie miał na sobie wypłowiałych łachmanów tak jak w karczmie, lecz znacznie porządniejszy strój, jaki mógłby nosić kupiecki pomocnik w małym sklepie.



Szedł nieco buńczucznie, chociaż jak zauważyła Willadene, ani jego kościste ręce, ani chuda twarz nie były naprawdę czyste.

— Nieźle — odparła lakonicznie. Nigdy nie ufała komuś, kto przebywał pod dachem Jacoby, i nurtował ją coraz większy niepokój. — A co w karczmie?

— Brr! — Figis aż splunął na bruk. — Zaszły tam pewne zmiany... Ta stara maciora już nie kwiczy tak głośno jak przedtem.

Słyszając tak ordynarne określenie Jacoby, Willadene zainteresowała się na tyle, by zapytać:

— Jacoba już nie jest właścicielką karczmy? — Nie dotarła do niej żadna pogłoska na ten temat, lecz czasami wydarzenia wyprzedzały plotki.

— To karczma ją ma — odrzekł dość tajemniczo. — Ale gdzie jest twoja pani? Patrz, mam tu dla niej paczkę.

Sięgnął między rozwiązane rzemyki kaftana i wyjął jeden ze znajomych kwadratowych pakiecików, dobrze owiniętych w natłuszczony jedwab.

— Wezwano ją do porodu — odparła natychmiast Willadene. — Powiedziała mi jednak, że oczekuje dostawy i że mam ją przyjąć.

Figis przyjrzał się jej, mrużąc oczy i obracając w ręce paczuszkę, jakby się zastanawiał, czy może to zrobić.

— Nic o tym nie wiem. Wyche... — Urwał, jakby to imię było ostrzeżeniem. — Ten, kto mnie posłał, kazał mi to oddać tylko twojej pani. Powiedział też, że oberwie mi uszy, jeżeli nie postąpię tak, jak mi kazał. Wyche... Jacoba boi się go i są inni, którzy przychodzą, może po rozkazy. — Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. — Zdaje się, że poczuł do mnie sympatię. Już nie muszę taszczyć brudnych garów! — Podszedł bliżej do Willadene. — Dużo się dowiedziałem, tylko słuchając tego, co się koło mnie mówi. Książę wcale nie jest taki bezpieczny, jak myśli, paradując niczym kogut na podwórku i pokazując wszystkim swoją córkę. Wielu ma ochotę utrzcć mu nosa, o tak! — Przełożył paczuszkę do drugiej ręki i strzelił palcami. — Wiesz, co się teraz mówi? Że młody pan Barbric wpadł w oko Jej Wysokości Mahart. Tańczyła z nim na balu ostatniej nocy, a potem już nie brała udziału w tańcach. Poślubi go i może dużo się wokół zmienić. A co do mnie, będę gotów wziąć w tym udział, przyrzekam ci to. No, dobrze, weź — mam inne ważne sprawy do załatwienia...

Wepchnął jej pakiecik do ręki i odszedł, próbując naśladować głośne kroki strażnika grodzkiego, ale mu się to nie udało.

Willadene nie patrzyła, jak odchodził, gdyż wpatrywała się w paczuszkę.

Wyczuwała w niej zło — wprawdzie ukryte, ale na pewno tam było. Nie zapomniała pułapki, w której wiele dni temu znalazła Halwice i człowieka kanclerza. Czy to było także coś złego, co miało się znaleźć wśród towarów Halwice i zrobić jej krzywdę?

Nasączony olejem jedwab wydał się jej śluzowaty i zapragnęła jak najszybciej się go pozbyć. Nie zamierzała jednak umieścić przesyłki w sklepie. Kto wie — może ona nawet być źródłem jakiegoś zakażenia.

Szybko wyszła do ogrodu, zatrzymując się tylko po to, by wyrwać nieco czosnku. Okręciła jego łodygami kryjącą zło paczuszkę i położyła ją w pustym miejscu, gdzie co rano wysypywały popiół, a potem przykryła doniczką, wciskając głęboko w ziemię.

Tego dnia miała więcej do roboty niż zwykle i nieprzerwany potok klientów. Przychodziły gospodynie domowe szukające przypraw, zadzierające nos służebne i damy do towarzystwa z zamku, które chciały kupić kosmetyki, jakby wczorajszy bal do cna wyczerpał ich zapasy.

Niektórzy pytali o Halwice, ale Willadene zauważyła, że nikt nie podał w wątpliwość wyjaśnienia nieobecności zielarki, którego im udzieliła. Przez cały czas pamiętała o ukrytej pod doniczką groźnej przesyłce, ale nie przyszedł żaden strażnik, który chciałby dokonać rewizji. Dlatego odprężyła się powoli. Halwice będzie

wiedziała, co zrobić; dziewczyna chciała tylko, żeby jej pani już wróciła.

Zielarka przyszła dopiero po zmroku. Nie niosła już sakwy na ramieniu, twarz miała bladą i zmęczoną. Nie była też sama. Towarzyszący jej mężczyzna wyglądał jak gwardzista, może nawet podoficer, ale miał na sobie strój o stonowanych kolorach, jaki zwykle nosili kupcy.

Willadene pośpiesznie podgrzała wodę w kotle i przygotowała ziołową herbatę, która dodawała sił Halwice. Przez cały ten czas czuła na sobie wzrok swojej pani. Gwardzista stał nieruchomo przy drzwiach, jakby pełnił wartę na zamku.

— To, co miało przyjść... — Zielarka mówiła tak powoli, jakby samo wypowiedzenie słów sprawiało jej trudność.

Willadene znieruchomiła z czajniczką w dłoni. Na pewno nie wolno jej opowiedzieć o tym, co się stało, w obecności obcego człowieka. Szybko wybrała odpowiednie słowa.

— Przybyło i zostało zasadzone — oznajmiła, patrząc prosto w zmęczone oczy Halwice — tak jak sobie życzyłaś, w specjalnej, posypanej popiołem ziemi.

Dziewczynie wydało się, że w głębi oczu zielarki zapłonęła jakaś iskierka. Halwice skinęła głową, jak gdyby wszystko dobrze zrozumiała. Wzięła oburącz kubek z herbatą, jakby była zbyt słaba, by trzymać go w jednej ręce.

— A teraz... mamy mało czasu. Weź czystą bieliznę i drugą suknię. I trzecią księgę z prawej na półce. Nie mogę dłużej przebywać poza sklepem, wiedz jednak, że pokładam w tobie pełne zaufanie.

Pamiętaj o swoim darze i posługuj się nim zawsze. Ten, którym musisz się zająć, jest ciężko ranny, ale nie umarł. Przeżyje, jeśli w ogóle ktoś może to sprawić z pomocą Jasnej Gwiazdy. Pójdiesz z tym gwardzistą... — Skinieniem głowy wskazała na mężczyznę, który dotąd się nie odezwał. — Bądź mu posłuszna, gdyż jego zadaniem jest zaprowadzić cię bezpiecznie do celu. Pozostawiłam dla ciebie instrukcje przy tym, który teraz tam jest. Niewykluczone, iż do jutra sprawy przybiorą taki obrót, że znów będę mogła się z tobą zobaczyć. To prawdziwy obowiązek, moje dziecko, i może jesteś za młoda, żeby mu podołać, ale nie mam wyboru.

Kompletnie oszołomiona Willadene pośpiesznie zebrała w węzełek swój skromny dobytek. Kiedy po raz ostatni spojrzała na Halwice, ta stała przy drzwiach, patrząc, jak idą przez jej ogród.

Mahart z powrotem położyła się na poduszkach szerokiego łóża i napięła palce u nóg. Słońce rzucało na nią snopy światła przez szparę w ciężkich zasłonach, nie chciało jej się jednak zmienić tej leniwej pozy. A przecież od jakiegoś czasu słyszała ciche kroki przybywających i odchodzących osób, których nie widziała w swym osłoniętym kotarami łóżu.

Kiedy wracała myślą do ostatnich wydarzeń, wydawało się jej, że nie dwadzieścia, ale kilkakrotnie więcej dni zmieściło się między jej pierwszym balem a tym, co dopiero miało nastąpić. Za każdym razem, gdy próbowała odgrzebać jakieś żywe wspomnienie, natychmiast przywodziło ono za sobą wiele innych.

Jeżeli wczorajszy dzień to przykład tego, czego będą od niej wymagać w przyszłości, wątpiła, czy dorosła do tego zadania. Wtedy z jej zamglonych wspomnień wyłoniły się dwie twarze. Vazul — czego naprawdę od niej chciał?

Dobrze wiedziała, że jej prywatne spotkania z kanclerzem były czymś w rodzaju lekcji. Wprawdzie Vazul nie rozwinął szerzej żadnego tematu w swych opowieściach o sprawach związanych z dworem książęcym, ale dawał do zrozumienia — chyba celowo, pomyślała Mahart, zaciskając wargi — że kryją się w nich ponure głębie i pułapki, których należy unikać.

Powinien był ją ostrzec przed Jej Wysokością Saylaną, a nie zrobił tego, poza kilkoma lakonicznymi komentarzami. Mahart od dziecka wiedziała o istnieniu przepaści między tamtą damą i jej ojcem. Skrzywiła się. Tak, zatańczyła pierwszy taniec z Barbrikiem. Nie miał, jak się obawiała, dwóch lewych nóg, ale czasami, podczas wykonywania majestatycznych figur tanecznych, sprawiał wrażenie, że jest nieszczęśliwy. A jego ręki — Mahart szybko wytarła swoją o fałdę kołdry — nieprzyjemnie gorącej i miękkiej, nikt by nie uściśnął z radością. Przypomniała sobie, że widziała, jak Vazul ją obserwuje, gdy obróciła się, stąpając drobnymi kroczkami w kolejnej figurze. Początkowo pragnęła, by kanclerz był z nią bardziej szczerzy, a potem doszła do wniosku, iż lepiej się stało, że nie wyjawiał swoich zamiarów. Przynajmniej na razie.

Pomyślała teraz o drugiej postaci, którą pamiętała tak wyraźnie: kobiecie wśród rajców miejskich, tak majestatycznej jak dama dworu — zielarce Halwice. Mahart nie odważyła się wezwać jej do zamku, by dowiedzieć się czegoś więcej o niej samej i o jej wyrobach, chociaż uważała, że robiąc to, postąpiłaby rozsądnie. A jednak...

Księżniczka usiadła, odsunęła kołdrę i wsadziła rękę między kotary, w wąski otwór, przez który wpadało słońce. Na razie nie miała pojęcia, jak wielką może mieć władzę — kogo mogłaby wysłać z jakimś poleceniem lub od kogo zażądać takiej lub innej usługi. Była jednak pewna, że prędzej czy później spotka Halwice.

Widok jej palców na brzegu kotary uznano za sygnał, gdyż prędko ją rozsunięto i księżniczka ujrzała coś, do czego nie przywykła — grupkę zwróconych ku niej dworek, jakby to ona miała nimi dyrygować w tym dniu.

Julta stała i trzymała odsuniętą kotarę, jednocześnie składając coś w rodzaju ukłonu. Mahart dostrzegła tam też Zutę; w żółtej sukni (był to jej ulubiony kolor) stanowiła jasną plamę na tle pociemniałej ze starości komnaty. Za nią stały dwie szlachetnie urodzone nieudacznice, które towarzyszyły księżniczce wtedy, kiedy po raz pierwszy wzięła udział w dworskiej ceremonii. Nudziła się z nimi jak mops i tylko sugestia Vazula, iż ich obecność w jej otoczeniu może mieć jakiś cel sprawiła, że nadal witała je co rano sztucznym uśmiechem, który nakładała jak maskę po odsłonięciu łóża.

— Życzę wam pięknego dnia i błogosławieństwa Jasnej Gwiazdy — wygłosiła ceremonialne powitanie, przyzwalając im w ten sposób na wypełnianie nałożonych na nie obowiązków.

Panie Famina i Geuverir, robiąc dużo szumu, zaprowadziły ją za parawan otaczający wannę i złapały koszulę nocną, którą im rzuciła. Julta jak zawsze stała z wielkim ręcznikiem kąpielowym i czekała, aż Mahart włoży majtki i halkę.

W komnacie księżniczki ścierało się teraz wiele zapachów: resztki woni kadzidła, które paliło się w nocy, ziół rozpuszczonych w wodzie i czystej bielizny.

Słyszała szept Faminę i Geuverir, ale zauważyła, że Zuta jak zwykle trzyma się z dala od tej dwójki. Mogła się domyślać, o czym cichutko rozmawiają. Wprawdzie nie były przyjaciółkami, gdy przydzielono je do służby Mahart, ale szybko się zaprzyjaźniły, głównie z powodu wspólnych zainteresowań, czyli mężczyzn.

Księżniczka dobrze wiedziała, że obie, zaręczone, jak kazał zwyczaj, w dzieciństwie, czekają niecierpliwie, aż staną się paniami własnych domów i że czasami to oczekiwanie bardzo je irytowało. Mahart zapytała Zutę, dlaczego jeszcze nie wyszły za mąż, gdyż w ten sposób mogłaby się ich pozbyć. Zuta wzruszyła ramionami i oświadczyła, że w przypadku pani Faminę chodzi o posag — ojciec jej przyszłego małżonka pragnął dodać do swoich włości pewien skrawek ziemi wraz z przybyciem synowej. Natomiast w sprawie pani Geuverir nadal prowadzono rozmowy.

Tego ranka jednak obie damy nie rozmawiały o mężczyznach. O duchach!

Podśłuchane kilka słów tak zaintrygowało Mahart, że przywołała je do siebie, gdy Julta czesała i układała jej włosy.

Księżniczka dobrze wiedziała, że są części zamku, gdzie powietrze zdaje się otulać ludzi w złowieszczy sposób, jakby chciało ich udusić. Istniało nieprzeliczone mnóstwo opowieści o tym lub innym zdymisjonowanym wysokim urzędniku lub damie dworu, których podobno widziano, jak chodzili w nocy po jednym z zamkowych korytarzy. Zazwyczaj były to osoby, pozbawione życia za przeciwstawianie się woli księcia.

Jednakże nowe zjawy najwidoczniej miały coś wspólnego ze światłem dnia i chociaż Mahart usłyszała tę historię z trzeciej ręki, istniały dwa jej warianty, podobne do siebie. Bal trwał do świtu. Księżniczka była wtedy tak śpiąca, że pragnęła tylko położyć się do łóża, ale inni mieli w żyłach więcej krwi nocnych marków — albo z powodu flirtów musieli szukać bardziej ustronnych zakamarków. I stąd te opowieści...

— To Czarna Wieża, Wasza Wysokość. — Głos pani Geuverir zadrzał lekko. — Zawsze mówiono, że jest przeklęta, odkąd szalony książę Rotonbric powiesił się tam na sznurze od kotary.

— Tak — wtrąciła się do rozmowy pani Famina. — Pani Horsetha na własne oczy widziała to coś w bieli kroczące korytarzem. Gwardzista Kylow rzucił temu czemuś wyzwanie i to coś zniknęło w ścianie.

Mahart rozchyliła usta w lekkim uśmiechu.

— O ile pamiętam, pani Horsetha ma męża i nie jest nim gwardzista.

Pani Famina zaczerwieniła się, a nie należała do kobiet, którym rumieniec dodaje urody.

— Byli zgrzani, Wasza Wysokość, i wyszli na krużganek, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Ale to prawda, pani Horsetha po powrocie cała tak się trzęsła, że gwardzista Kylow musiał ją podtrzymywać. A potem zemdląca, kiedy pan Margrave opowiedział, co on sam zobaczył.

— To znaczy co? — Mahart spojrzała w zwierciadło, które Julta trzymała w pogotowiu, by księżniczka mogła obejrzeć swoje włosy z tyłu przed przypięciem do nich spadającego na ramiona welonu. Ten nowy szczegół stroju dodatkowo

komplikował jej życie.

— No cóż... — Pani Famina zachichotała i z kolei to pani Geuverir się zarumieniła, gdy jej bardziej rozmowna towarzyszka podjęła opowieść: — Wszyscy dużo wypili, chyba to rozumiesz, Wasza Wysokość...

— ...i pan Margrave poszukał jakiegoś ustronnego miejsca — dokończyła niecierpliwie Mahart. — Ale dlaczego w tej stronie...? — Teraz na jej policzki wypłynął rumieniec. Wiedziała, że mężczyźni nie zawsze są wymagający w takich sprawach. — No więc, co on takiego zobaczył?

— Dwie ogromne, czarne postacie, Wasza Wysokość. Wychyły z mroku, jakby wyciągnięte z tamtego świata, a potem poszły tym krążankiem. Rozbłysło zielonkawe światło, światło śmierci... — Teraz panią Faminę bawił jej własny strach. — I one również weszły w ścianę!

— Przypuszczam, że w końcu przybyli gwardziści Jego Księżęcej Mości — skomentowała Mahart. — I co znaleźli?

— Nic. — Pani Famina zamilkła, jakby brała głębszy oddech, by podkreślić znaczenie swojej opowieści. — Nic, tylko drzwi, które zostały zamknięte i opieczętowane wtedy, gdy wyniesiono przez nie ciało szalonego księcia Rotonbrica.

Mahart dotknęła palcem matowej buteleczki. Nie wierzę w duchy, powiedziała sobie stanowczo. Była jednak pewna, że znajdzie wystarczająco dużo powodów, żeby nie udać się do Czarnej Wieży, jeśli kiedykolwiek ktoś ją tam zaprosi, i będzie mogła dokonać wyboru. Nie, zdecydowała. Technienie Lilii to zbyt wytworne perfumy, by używać ich poza uroczystościami państwowymi. Zamiast tego odetkała słoiczek z kremem, wciągnęła w nozdrza bijący z niego orzeźwiający zapach, po czym delikatnie dotknęła palcami skóry za uszami i wzdłuż szyi. Duchy w zamku? — zapytała sama siebie. Co na to powie Vazul?

Jacoba bardzo rzadko pozwalała Willadene opuszczać karczmę, a w sklepie Halwice dziewczyna miała tak dużo do roboty, że nie znała tej części Kronengredu. Halwice nie dostarczała sama swoich wyrobów — klienci przychodzili do niej. A ponieważ pochodzili z różnych kręgów mieszkańców stolicy księstwa, Willadene słyszała nazwy ulic, siedzib szlacheckich rodów i różne inne, nie miała jednak pojęcia, gdzie się one znajdują.

Trzymała się blisko milczącego gwardzisty, zwłaszcza że wpadli na powracających do domów ostatnich uczestników wczorajszej zabawy, lepiej lub gorzej trzymających się na nogach. Gwardzista przycisnął Willadene łokciem do ściany, a sam zajął pozycję między nią i przechodzącymi mieszczanami. Dziewczyna naciągnęła kaptur na głowę tak nisko, że ledwie przelotnie widziała zewnętrzny świat.

Ulice i aleje, którymi szli, zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Po zapadnięciu zmroku, zgodnie z prawem, tylko zawieszzone nad drzwiami lampy rozlewały wokół niewielkie kręgi światła między domami. Gwardzista dostosował swoje wielkie kroki do jej wolniejszego tempa i dwukrotnie chwycił ją za ramię, chroniąc przed potknięciem — prawie tak, jakby widział w ciemności.

Nad nimi majaczył w mroku zamek i zbliżali się do niego coraz bardziej. Oświetlone okna w wyższych partiach starej budowli ciągnęły się niemal wzdłuż całej jej długości, a u podnóża wzniesienia, na którym stała, widać było światła i krzątających się, ludzi.

Jej przewodnik skręcił nagle w alejkę tak wąską, że zastanowiła się, czy nie muska on szerokimi ramionami ścian po obu stronach.

Teraz trudniej było iść, gdyż to tu, to tam stały pojemniki ze śmieciami, trzymane z dala od oczu przechodniów z głównych ulic. Przed takim właśnie pojemnikiem, prawie na końcu alejki, gwardzista zatrzymał się tak nagle, że Willadene omal na

niego nie wpadła.

W blasku ognia zapalniczki dostrzegła przelotnie wielką beczkę, tak szeroką, że zadała sobie pytanie, czy ktokolwiek mógłby ją poruszyć. A przecież beczka ta przetoczyła się na bok, gdy tylko przewodnik położył na niej rękę.

Willadene widziała jedynie kamienną ścianę, ale on wcale tam nie patrzył, tylko tupnął w kamienny chodnik w miejscu, gdzie przedtem stała beczka. Trzykrotnie uderzył ciężkim butem w bruk. Później gwardzista cofnął się, pociągając za sobą dziewczynę. Nie rozległ się żaden dźwięk, a mimo to kamienny kwadrat opuścił się, pozostawiając czarny otwór. Mężczyzna przemówił po raz pierwszy.

— Tu jest drabina, dziewczyno. Zejdź szybko na dół.

Wyglądało jednak na to, że nie musi ryzykować życia, schodząc w ciemnościach, ponieważ nagle pojawiło się słabe światło i Willadene zobaczyła drabinę. Choć przeszkadzała jej fałdzista opończa i sakwa przewieszona przez ramię, posłuchała rozkazu.

W dole ujrzała więcej światła. Rozjaśniało ono bardzo mały odcinek korytarza, który zaatakował jej nos odorem stęchlizny i ziemi. Kiedy oboje stanęli na wewnętrznych stopniach, gwardzista podniósł czekającą zapaloną latarnię i żwawo ruszył do przodu. Willadene usłyszała stłumiony stuk i zrozumiała, że to drzwi zamknęły się za nimi.

Szli po schodach naprawdę długo. Dziewczyna mocno trzymała się wyżłobionego w ścianie rowka z prawej, który zapewne miał zapewniać bezpieczeństwo idącym, choć ona sama wcale nie była o tym przekonana.

Przeszli trzy kondygnacje schodów — każda kończyła się szerokim podestem. Na dwóch podestach umieszczono latarnie, ale trzeci wydawał się dziwny. Po pierwsze, był znacznie węższy, miał nierówne boki, a po drugie — odłamki kamieni leżały na kamiennej podłodze, jakby dopiero niedawno je odłupano.

Schody prowadzące w górę były znacznie węższe i trzewiki Willadene wzbijały tumany kurzu, tak że zaczęła kaszleć, podobnie jak jej towarzysz. Dotarli do czwartego podestu, który okazał się tak mały, że ich ciała się zetknęły, gdy się na nim znaleźli. Gwardzista podniósł pięść i lśniący metal zabłysnął w bladym świetle latarni: przewodnik Willadene zastukał ręką w ścianę.

Willadene poczuła woń świeżej oliwy i domyśliła się, że w ten sposób otwarto jakieś dawno zamknięte przejście. Później oślepił ją błysk światła. Trzymający rękę na ramieniu dziewczyny gwardzista popchnął ją do przodu, sam zaś pozostał tam, gdzie stał. Usłyszała szczęknięcie zamka, zanim zdołała rozejrzeć się wokoło.

Trzymała teraz głowę wysoko, gdyż nos dostarczał jej wielu informacji. Ponad odorem zgnilizny i kurzu w od dawna nie używanym miejscu wyczuwała woń balsamów i innych dobrze sobie znanych medykamentów. Docierały też do niej mniej przyjemne zapachy, typowe dla każdego zamkniętego pomieszczenia, w którym znajdował się ktoś chory.

Najpierw skupiła uwagę na mężczyźnie, który wstał z krzesła, by stanąć przed nią. Nie powitał jej, tylko zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głowy i z powrotem. A przez cały ten czas głąskał i poklepywał jedną ręką zwierzątko o czarnym futerku, owinięte wokół jego szyi ponad wspaniale haftowaną szatą jak dodatkowy kołnierz.

Willadene poznała go na pierwszy rzut oka i choć nogi drżały jej lekko od długiej wspinaczki, zmusiła się do ukłonu.

— Wielmożny panie kanclerzu...

— Halwice poręczyła za ciebie — odezwał się nagle kanclerz. — Mówi, że umiesz wykonywać jej rozkazy i milczeć.

Willadene nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, ale ucieszyła się, że zielarka tak wysoko ją ceni.

— Będziesz musiała pielęgnować chorego i to najlepiej, jak umiesz. — Odwrócił się, przywołując ją kiwnięciem palca.

Ujrzała łoże podobne do olbrzymiej jaskini, okolone kotarami przypominającymi najciemniejsze nocne chmury. Ale to nie wokół tego gigantycznego łoża ustawiono rząd lamp, lecz przy składanym łóżku, takim samym, na jakim spała u Halwice. Znajdowało się ono nisko, tuż nad podłogą, i łatwiej było doń dotrzeć. Na łóżku spoczywał jakiś mężczyzna. Od czasu do czasu ręka leżącego niecierpliwie szarpała koc. W zwróconej ku dziewczynie twarzy oczy były zamknięte, jakby chory spał.

Nicolas! W jaką pułapkę wpadł tym razem? — zapytała się w duchu. Sprawiał wrażenie wyjątkowo pechowego młodzieńca.

— Tam. — Kanclerz znów zwrócił na siebie całą uwagę dziewczyny, wskazując na stolik: leżało na nim kilka arkuszy znacznie cieńszego papieru niż ten, którego zwykle używała Halwice. Pokrywały je jednak równe rzędy pisma zielarki. — To rozkazy dla ciebie... — zawiesił głos i ponownie zmierzył wzrokiem dziewczynę. — Gdyby odzyskał przytomność i mógł mówić — dostojnik znów podszedł do ściany i odsłonił sznur dzwonka — użyjesz tego natychmiast. Rozumiesz?

Willadene skinęła głową. Przez ostatnie kilka chwil coś rozpraszało jej uwagę. Wyczuła wtedy nowy zapach, słaby, trudny do rozróżnienia wśród tylu innych, ale w jakiś sposób zdała sobie sprawę, że jest ważny. Przeniosła wzrok z oczu kanclerza na jego żywy futrzany kołnierz i napotkała spojrzenie innej pary oczu...

Nie wyczuła zła w tym stworzeniu — krążące po mieście opowieści o nierozłącznej towarzysze Vazula kłamały. Lecz zwierzątko to było czymś więcej niż zwykłym ulubieńcem. Gdy poczuła jego zapach, zdała sobie sprawę, że nigdy go nie zapomni.

— Rozumiesz, co do ciebie mówię?! — warknął zniecierpliwiony dostojnik. Dziewczyna uświadomiła sobie, że nie odpowiedziała dostatecznie szybko.

— Tak, wielmożny panie. Jeżeli on — skinieniem głowy wskazała na śpiącego niespokojnie rannego mężczyznę — ocknie się i przemówi, wtedy mam pociągnąć za ten sznur. — Wiedziała, że mówi głupawo, jak prawdziwa pomywaczka, ale to nie miało znaczenia. Niech kanclerz myśli, że jest niezbyt rozgarnięta, a wtedy nie uzna jej za niebezpieczną dla siebie.

— Tutaj zaś... — Teraz podszedł do drzwi. Kopnął czubkiem buta w ich najniższą położoną część, która otwarła się pod tym ciosem. — Woda, jadło, w ten sposób można dostarczyć wszystko, co konieczne. Kiedy będziesz czegoś potrzebować, zostaw kartkę na tej tacy. W przeciwległym rogu komnaty jest olej do lamp, wystarczy na długo. A teraz odwróć się plecami i naciągnij kaptur na twarz!

Wydał polecenie tak rozkazującym tonem, że Willadene posłuchała natychmiast. Nie była zaskoczona, gdy odwróciwszy się zobaczyła, że w komnacie oprócz niej przebywa tylko ranny mężczyzna, choć nie dostrzegła żadnego wyjścia, gdyż stała między miejscem, w którym przed chwilą znajdował się kanclerz, a zaopatrzonymi w klapę drzwiami.

Powiesiła opończę wraz z sakwą na rzeźbionym jak tron krześle, którego aksamitne poduszki wyblakły i miały teraz matowoszarą barwę. Oczywiście, najpierw musi się zająć Nicolasem, chociaż nie wątpiła, że Halwice nigdy by go nie opuściła, gdyby nadal groziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo.

W dotyku jego ciało było zbyt ciepłe, ale ranom zawsze towarzyszy gorączka. Na podłodze obok łóżka stały trzy butelki z przymocowanymi drutem łyżkami – dozownikami. Willadene obejrzała je po kolei, rozpoznając od razu ich zawartość i zastosowanie.

Ostrożnie zsunęła koc z rannego, żeby przyjrzeć się bandażom spowijającym prawe ramię i sporą część klatki piersiowej Nicolasa. Jeszcze nie musi ich zmieniać.

Czuła zapach środka nasennego, którego użyła Halwice. W takim razie musi zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, przeczytać instrukcje, pozostawione przez jej panią. Rzeczywiście, znała działanie leków w buteleczkach oprócz jednego lub dwóch zastosowań, przy których jeszcze nie pomagała Halwice. W komnacie paliła się lampa godzinowa i kiedy poziom oleju dotrze do odpowiedniej kreski, Willadene ma obudzić swojego podopiecznego i dać mu łyżkę jednego z tych lekarstw.

Upewniwszy się, że zrozumiała polecenia, dziewczyna postanowiła obejrzeć swoje więzienie. Bo przecież była tu więźniarką mającą spełnić zadanie, które nałożyła na nią jej pani.

Willadene wzięła do ręki jedną z mniejszych lamp i okrążyła pokój, początkowo trzymając się blisko ścian. Dwie ściany były zakrzywione, uznała więc, że komnata znajduje się w jakiejś wieży. Niegdyś były w niej długie, wąskie okna, ale zostały zamurowane i wiele pokoleń pajaków rozwiesiło w poprzek nich swoje sieci. Meble, swego czasu bardzo piękne, zapewne dorównujące tym, które zdobiły komnaty księcia, zmatowiały od kurzu i widać w nich było dziury po komikach.

Obeszła komnatę pewna, że każde wejście do niej musi być tajemne i że przyprowadzono ją tu w taki sam sposób. Nadal niezadowolona z rezultatów, okrążyła swoje więzienie po raz drugi, gorączkowo wyętzając zdolności, które zdaniem Halwice były jej szczególnym darem od losu. Ze wszystkich sił starała się odkryć jakiś odór zła, podobny do tego, który nappełniał sklep zielarki przy jej pierwszym spotkaniu z Nicolasem i który zawsze otaczał Wyche'a i jego kompanów. Nie znalazła jednak nic oprócz zapachu ziół leczniczych.

Willadene była pewna, że Halwice nigdy by nie użyła swojej wiedzy w służbie zła. Zdawała też sobie sprawę — ponieważ uważnie obserwowała Halwice i Nicolasa podczas jego kilku wizyt w sklepie — że łączy ich przyjaźń, a przynajmniej coś w rodzaju sympatii.

Gdy usłyszała pukanie do drzwi, podeszła w porę, by ujrzeć, że kłapa na dole podniosła się i że w otwór wsunięto tacę z jedzeniem. Jednak zanim zdążyła się nachylić, żeby podnieść tacę i choćby przelotnie dojrzeć tego, kto ją dostarczył, kłapa ponownie opadła, uderzyła w tacę i wepchnęła ją dalej w głąb komnaty.

Stało na niej kilka przykrytych pokrywkami srebrnych talerzy, jakie miał każdy szlachcic, i stosik zwiniętych serwetek, wprawdzie pożółkłych ze starości, ale czystych. Willadene postawiła tacę na podnóżku w niewielkiej odległości od swego podopiecznego i usiadła obok na podłodze, krzyżując nogi. Może silny zapach jedzenia, który rozlał się po komnacie, obudził Nicolasa. Odwrócił bowiem głowę i utkwiał w dziewczynie spojrzenie, twarde jak zawsze.

Nie dostrzegła w jego oczach gorączki i uznała, że dobrze wie, kto obok niego siedzi.

— Zupa... — Jedną ręką wzięła miskę z zupą, z której zdjęła pokrywkę, a drugą sięgnęła po łyżkę o ozdobnym trzonku.

Nicolas zmarszczył brwi i powoli odwrócił głowę, najwyraźniej omiatając wzrokiem otoczenie.

— Gdzie...? — wykrztusił cichym, ochryplym głosem. Willadene potrząsnęła przecząco głową.

— Nie wiem. Gdzieś w zamku, ale przyprowadzono mnie tu tajemnym przejściem i nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Na rozkaz mojej pani! — zakończyła wyzywającym tonem, gdyż Nicolas spochmurniał jeszcze bardziej.

Przypomniała sobie instrukcje kanclerza: musi wezwać pomoc, gdyby Nicolas odzyskał przytomność. Tak, ale widziała, że jej podopieczny walczy, by znów nie pograć się w niepamięci i że potrzebuje sił do tej walki. Może dać mu jeden z pozostawionych przez Halwice napojów? Lek ten będzie jednak działał tylko przez



jakiś czas, a jedzenie na pewno doda sił rannemu mężczyźnie. Przynęła się więc bliżej i zanurzyła łyżkę w wonnym rosole.

— Jedz! — starała się mówić takim samym rozkazującym tonem jak Halwice. Mimo to zdumiała się w duchu, gdy Nicolas otworzył usta i mogła wsunąć w nie łyżkę. Po przeknięciu zawartości pięciu łyżek stanowczo zacisnęła wargi.

— Vazul... — otworzył je tylko po to, by wypowiedzieć to słowo.

Willadene podeszła do sznura od dzwonka i pociągnęła go energicznie, po czym wróciła do pacjenta. Tym razem wzięła jedną ze stojących na podłodze butelek i naląła pół łyżki lekarstwa.

— Ono dodaje sił. — Podsunęła łyżkę do uparcie zaciśniętych ust mężczyzny. Nie podziękował jej wzrokiem, pozwolił jednak wlać w siebie płyn.

— Ssssaaa... — Na szczęście Nicolas przełknął ostatnie krople medykamentu, zanim syknięcie zaskoczyło dziewczynę.

Przez komnatę, w jaśniejszym świetle niż to płonące przy składanym łożku, pojawiło się zwierzątko kanclerza. Willadene pierwszy raz widziała je samo. Skuliło się, tak że przednia część jego ciała znalazła się ponad zniszczonymi przez czas dywanami na podłodze. Trzymało wysoko główkę, zdając się węszyć w poszukiwaniu jakiegoś niebezpiecznego zapachu. Widząc to, dziewczyna poszła w jego ślady. Wyczuła mnóstwo woni, ale większość była znajoma i nieszkodliwa.

Skupiła całą uwagę na dziwnym stworzonku, dlatego drgnęła z zaskoczenia, gdy Vazul wychynął znikąd i stanął w pełnym świetle. Bogato zdobiona, strojna szata, którą zazwyczaj nosił, zniknęła i miał na sobie zwykłe, nie wywierające takiego wrażenia, ciemnoszare odzienie — jednym słowem, ubrany był jak kupiec przy pracy.

— Nicolas? — Nie zwrócił uwagi na Willadene, która pośpiesznie usunęła mu się z drogi, gdy podszedł i ukląkł przy składanym łożku.

Na ściągniętej twarzy rannego pojawił się lekki uśmiech, a oczy już nie przeszywały spojrzeniem jak obnażone miecze.

— We własnej osobie, panie kanclerzu — odpowiedział wyraźnie, ale prawie szeptem. — I tym razem mnie nie dostali...

Vazul łagodnym ruchem, do którego, zdaniem Willadene, nie był zdolny taki nieugięty, pełen rezerwy człowiek, podniósł lekko rannego i podtrzymał jednym ramieniem, drugą ręką szukając na łożku poduszki.

— Ssssaaa... — Jego ulubienica skoczyła na łożko i wsunęła wąską główkę pod bezwładną rękę Nicholasasa.

— Tak — powiedział Vazul bez emocji. — Nadal żyjesz, by brać udział w grze, chłopcze. Ale szczęście nie sprzyja nikomu bez końca. Znaleźliśmy cię w tajnym przejściu...

— Przynajmniej nie w jakimś ciemnym zaułku... — Może młodszy mężczyzna próbował się zaśmiać, lecz z jego ust wydobył się tylko dźwięk podobny do krakania. — To miejscy bandyci mnie zranili. Czekali na mnie.

— Ach, taaak! — Kanclerz niemal syknął jak jego ulubienica. — Ale jakie wieści przynosisz? — Wydawało się, że w tej chwili odłożył na bok jeden temat, by skoncentrować się na innym.

— Dla nas jak najlepsze. Książę Lorien niecierpliwie pragnie walki — nigdy bowiem nie interesowało go polowanie... na zwierzęta.

Otrzymał przewodnika i pewne informacje. Z wyrazu twojej twarzy, wielmożny panie, wnoszę, iż jeszcze nie dotarły do ciebie żadne nowiny, ale przysięgam, że są w drodze. Nie sądzę, żeby księcia Loriena, kiedy na swój sposób dostał prztyczka w nos, powstrzymały jakieś granice. To pustkowie i łatwo przez nie przejść z królestwa, gdzie straż nie stoi na głównych drogach.

Vazul uśmiechnął się nieco sztucznie, jakby niełatwo mu było zmienić wyraz

twarży.

— Jego Książęca Mość będzie bardzo zadowolony — skomentował. — A ten książę Lorien, co możesz o nim powiedzieć?

— Jest młody, porywczy i potrzebuje zajęcia.

Nicolas mówił coraz słabszym głosem. Willadene szybko zerknęła na lampę godzinową i odważyła się wtrącić do rozmowy.

— Wielmożny panie, muszę dać mu napój leczniczy. Sam widzisz, jak traci siły...

Kroplisty pot zwilżył ciemne loki nad czołem rannego mężczyzny.

— Dobrze się spisałeś... — powiedział Vazul takim tonem, jakby nie usłyszał słów Willadene, choć była pewna, że do niego dotarły. Kanclerz pogładził lekko ręką bandaż na ciele Nicolasa. Jego ulubienica wzięła to za sygnał, wskoczyła na ramię swego pana i przyłgnęła do jego barku.

— Myśle... — teraz Vazul odwrócił się w stronę Willadene — że pozostawiam cię w dobrych rękach. Halwice jest zakładniczką za tę dziewczynę.

— Chciałbym... — Nicolas próbował się poruszyć, podnieść lekko. To Vazul popchnął go z powrotem na posłanie.

— Wracaj do zdrowia, Nietoperzu. Twoje loty na pewno jeszcze się nie skończyły. Daj mu ten napój, dziewczyno, i dopilnuj, żeby zasnął.

Willadene właśnie stała przy stole i nalewała lekarstwo. Poczula tylko lekki prąd powietrza, a gdy się odwróciła, kanclerza już nie było.

Nicolas z nieszczęśliwą miną przyjrzał się temu, co przyniosła.

— Jak długo będę tu leżał? — Głos mu zadrżał, jakby z trudem wypowiedział te słowa.

Willadene przytknęła mu do ust maleńki kubeczek.

— Tak długo, jak moja pani uzna to za stosowne.

To ona jednak miała ostatnie słowo, gdyż oczy Nicolasa już się zamykały.

Na długo przed pierwszym porannym dzwonem, kiedy noc nadal władała czterema bramami Kronengredu, jacyś podróżni kierowali się w stronę północnych wrót i na pewno nie byli to zwykli kupcy ani galopujący konno posłańcy.

Tych dwóch mężczyzn prowadziło między sobą konia, lecz żaden go nie dosiadał. Wierzchowiec kroczył ze zwieszoną głową i pot zastygł na jego chudych bokach. Na prawo od wyraźnie wyczerpanego zwierzęcia włożył się mężczyzna w kolczudze i hełmie strażnika granicznego; na rękawie okrywającym ramię, w którym zwykle trzymał wodze, widać było zakrwawioną oznakę. Uczepiwszy się teraz łęku siodła, ponaglał konia do dalszego marszu.

Jego towarzysz był w znacznie gorszym stanie; opuścił głowę tak nisko, że podbródkiem niemal dotykał piersi. Dół twarzy pokrywała maska z zaschniętej krwi i z trudem wciągał powietrze przez zmiażdżony nos. Zamiast kolczugi miał na sobie kaftan z utwardzonej w wodzie morskiej skóry, nie nosił też ani miecza, który od czasu do czasu uderzał o udo jego towarzysza, ani żadnej innej broni. Rozczochrane włosy drugiego wędrowca stały się białoszare od kurzu i dwukrotnie tylko koń, do którego przywiązane były jego ręce, utrzymał go na nogach, gdy się potknął.

— Hej, tam, przy bramie! — wychrypiał strażnik graniczny, zdołał jednak zwrócić na siebie uwagę. W górze z jakiejś belki zwisała płonąca latarnia, by lepiej oświetlić podróżnych.

— Kto idzie?

— Vacher z oddziału Górskich Sokołów z jeńcem.

Z góry dobiegło jakieś mamrotanie i strażnik musiał trochę poczekać. Jeniec na pewno by upadł w tym czasie na kolana, gdyby nie opierał się o konia. Potem usłyszeli słowa:

— Tak, to na pewno Vacher, służyłem z nim na drodze do Burges. Wpuść go, głupcze, nie widzisz, że ledwo żyje?

Nie otworzyli wielkiej bramy, ale w bocznym wejściu pojawiło się światło. Nóż przeciął więzy jeńca, który osunął się twarzą do ziemi, a strażnikowi, który go pojmał, wsunęto butelkę do ręki.

Dwóch innych żołnierzy z latarniami zeszło przed bramę; jeden z nich nosił na hełmie ukośną belkę podoficera.

— Co my tu mamy? — przeszedł od razu do rzeczy, czubkiem buta szturchając leżące na ziemi ciało.

Strażnik graniczny przestał pić.

— Ten tam to ktoś, kogo kapitan obejrzy z zadowoleniem. Napastnik...

Dwaj żołnierze ze stojącej przed bramą małej grupy warknęli, a jeden posunął się tak daleko, że do połowy wyciągnął miecz z pochwy.

— Napastnik — mówił dalej Vacher — który może wiedzieć coś, czym powinien się podzielić z uczciwymi ludźmi. Na przykład, dlaczego ja, Samnel i Jas wpadliśmy w pułapkę, jakby jego kompani zostali poinformowani, że przybywamy. Sokolnik mógł wysłać tylko mnie, bo wiedział, że byłem leśnym strażnikiem granicznym u pana Gerorigiusa, zanim umarł, miałem więc najwięcej szans na dotarcie do miasta. I zrobiłem to razem z nim.

Nagle zachwiał się i sam by upadł, gdyby nie podtrzymał go stojący obok żołnierz.

— Zaprowadźcie go do środka — rozkazał podoficer — i postawcie na nogi. Dopilnujcie, żeby ten drugi również doszedł do siebie. — Jeszcze raz kopnął nieruchome ciało. — Idę do kapitana, mam nadzieję, że wrócił z patrolu. Minionej

nocy wiele się działo w mieście i specjalnie nas wezwano.

Posłuchali rozkazów, jak przystało na dobrze wyćwiczonych żołnierzy. Ale tak ich to pochłonęło, że nie zauważyli cienia leżącego na brzuchu na ziemi, który ramieniem osłaniał twarz. Kiedy jeden z żołnierzy chwycił jeńca za czuprynę i podniósł mu głowę, a drugi zbliżył latarnię do jego zakrwawionej twarzy, mięśnie cienia napięły się jak postronki. Nadal jednak tkwił w tym samym miejscu, gdzie się położył na odgłos kroków, aż wszyscy przeszli przez boczne wejście — i pozostał jeszcze przez kilka chwil, licząc oddechy.

Kiedy ukrywający się mężczyzna poruszył się w końcu, przeczołgał się z powrotem wzdłuż muru na odległość kilku kroków, a potem chyłkiem — na łokciach i kolanach — podpełzł pod jakiś wóz. Słyszał chrapanie śpiącego na wozie wieśniaka, który wyrzekł się bardziej wygodnego posłania, by jako pierwszy przyjechać na targ wczesnym rankiem.

Cień nie potrzebował tradycyjnej bramy, żeby przedostać się do miasta. Za wozem wstał i niepostrzeżenie oddalił się od muru. Poprzedni władcy Kronengredu już dawno temu przezornie oczyścili tę przestrzeń ze wszystkiego, co mogło służyć za kryjówkę. A przecież tajemniczy przybysz bez przeszkód dotarł do ogromnego, gnijącego pnia wielkości wieżyczki. Potem rozległ się odgłos drapania i mężczyzna zniknął.

Pierwszy dzwon przekazał swoje codzienne posłanie, kiedy nieznajomy, którego szczupłe ciało pokrywały połatane łachmany, znów się ukazał — tym razem nie za murami, lecz w jakiejś izbie, jakby był tak chudy, że mógł się przecisnąć przez szczeliny między starymi deskami podłogi.

— Hobbert — przepity głos wypowiedział na powitanie tylko jego imię. — Co cię znów wyciągnęło z twojej nory?

Przybysz pochylał się tak nisko, jakby bardzo uroczyście pozdrawiał samego księcia Uttobrica.

— Mam nowiny, Wyche.

— To znaczy?

— Właśnie przybył jeden z Górskich Sokołów. I miał ze sobą Ranny'ego, przyprowadził go przywiązanego do siodła.

— Jeśli to zrobił, to tamten dureń nadal żył i... — skomentował olbrzymi mężczyzna.

Hobbert podszedł troszkę bliżej. Raz nawet ośmielił się zerknąć na wysoki kufel stojący w zasięgu ręki drugiego mężczyzny.

— To znaczy, że on coś wie...

Pokryta popękkanymi żyłkami twarz Wyche'a zamieniła się w złośliwą maskę.

— To, co człowiek wie, może sprawić, że wpadnie w tarapaty, Hobbercie. Tak jak to... — Wskazał na dużego karalucha, który nierozsądnie próbował przebiec przez blat stołu za dnia, i z siłą walnął w niego kuflem.

— Ja tam nic nie wiem — wybełkotał Hobbert pośpiesznie. — Przybyłem tylko, aby ci powiedzieć, panie Wyche.

Tamten prychnął.

— Zawsze kłamałeś od chwili przyścia na świat, Hobbercie. Ale prędzej czy później — gorejącym spojrzeniem zmierzył niższego mężczyznę od stóp do głowy i z powrotem — uregulujesz rachunki. Mimo to tym razem wykorzystasteś tę odrobinę oleju, który chlupocze w twojej pustej głowie. — Jego szeroki uśmiech był niemal tak samo złośliwy jak grymas, który wcześniej wykrzywił mu twarz.

— Idź do kuchni i powiedz tej cholernej Jacobie, że chcę, abys jak najszybciej napelnił brzuch.

Hobbert zniknął, tym razem normalnie, przez drzwi. Krzesło, choć duże,

zaskrzybiało, gdy Wyche zmienił pozycję. Teraz ani się nie uśmiechał, ani nie marszczył brwi.

Trzeba mieć prawdziwego pecha, żeby zostać wplątany w spiski wielmożów, pomyślał. Jeśli jednak jakieś miasto wpadnie w ręce człowieka gotowego poderznąć gardło swemu sąsiadowi, oznacza to dla niego bogate łupy, podczas gdy on sam, nie przelewając swojej krwi, będzie zbierał plony.

Pojmanie Ranny'ego sugerowało, że wielkie niebezpieczeństwo może zagrozić tym, którzy popierali — tymczasowo — tę samą opcję co on. Ale w każdym mieście tak starym jak Kronengred w murach kryje się wiele tajemnic i można na zawsze uciszyć człowieka, zanim zacznie sypać.

Tak. Pociągnął następny długi łyk z kufla. Przekazanie dalej dostarczonej przez Hobberta informacji może obecnie okazać się korzystne. Postukał grubymi, obrzmiałymi palcami w poplamiony blat stołu. W jaki sposób — i dla kogo — nad tym trzeba się zastanowić.

Kiedy Willadene oglądała komnatę, w której leżał Nicolas i w której, jak się wydawało, została na razie uwięziona, natknęła się na jakiś kufer. Może jego zawartość była kiedyś wiele warta, bo krył ceremonialne szaty. Powitał ją czysty zapach cedru, gdy zdołała podnieść ciężkie wieko, ale ubrania, zbyt długo tam leżące, wysliznęły się i rozdarły w jej rękach. Wyjęła ich jednak dostatecznie dużo, by zrobić z nich leże niezbyt daleko od swego pacjenta.

Wedle obliczeń Halwice ostatnia dawka napoju powinna zapewnić mu kilka godzin snu. Zgłodniała dziewczyna skończyła resztę podanego na tacy jadła — bułki nadziewane mielonym mięsem, oczywiście zimne, ale mimo to sycące. I napiła się nieco wody z dzbanka. Butelkę wina, którą też podano, odsunęła na bok.

Przez jakiś czas siedziała na zaimprovizowanym posłaniu i obserwowała Nicolasa. Ranny spał spokojnie, a pod lekkim dotknięciem jego skóra nie wydawała się już tak gorąca. Napoje lecznicze Halwice dobrze działały, pod warunkiem że na czas dotarła do pacjenta.

Jednak teraz nie interesował jej Nicolas pacjent, lecz Nicolas mężczyzna. Nie wiedziała, czy dobrze potrafi określić jego wiek, ale czuła, że nie może być dużo od niej starszy. Sposób zaś, w jaki traktowali go zarówno Halwice, jak i kanclerz, wskazywał, że zna wiele tajemnic, o których istnieniu dziewczyna wiedziała, ale których wcale nie miała ochoty poznać. Gdyby Halwice chciała powierzyć jej jakiś sekret, na pewno by go wyjawiała, a Willadene dotrzymałaby tajemnicy.

Oczywiście, co do tego nie miała żadnych wątpliwości, Nicolas był szpiegiem — oczami i uszami kanclerza, a tym samym księcia. Tylko człowiek o mocnych nerwach i błyskotliwej inteligencji mógł grać tę rolę nawet przez krótki czas.

Zastanowiła się, czy nadal żywi wobec niej podejrzenia, jak na początku ich znajomości. Ona...

Leżąc na posłaniu z wyszywanych metalowymi nićmi szat dziewczyna zeszywniała i gwałtownym ruchem odwróciła głowę w stronę drzwi. Były dobrze zamknięte, z wyjątkiem klapy na dole, przez którą wsunięto do komnaty tacę zjadłem.

Ta kłapa — przyjrzała się jej uważnie i tak ostrożnie, jak to tylko możliwe w słabym blasku lamp. Chyba otwór, który zasłaniała, nie jest dostatecznie duży, by mógł przezeń przecisnąć się człowiek.

Odruchowo zasłoniła ręką nos. Poczowała tak ohydny smród, że omal się nie zakrztusiła. Za drzwiami było coś bardzo niebezpiecznego.

Tak, ma nóż u pasa, ale niewiele nim zdziałała przeciw zdeterminowanemu zabójcy, a w jakiś sposób była pewna, że ten, kto znajdował się na zewnątrz, przyszedł, by zabić.

Nie miała czasu na zgaszenie lamp. Każdy człowiek, klęcząc lub pochylając się, mógł zajrzeć przez otwór w dole drzwi i upewnić się, że zdobycz jest w środku.

Nie nosiła też sakwy z medykamentami, z którą nie rozstawała się Halwice, ale zauważyła teraz — na tacy z pustymi miskami — młynek z pieprzem. Zapewne podano go z jadłem jako rzecz całkiem zrozumiałą.

Rzuciła się ku niemu i chwyciła oburącz tę najżałośniejszą broń. Wyczuła — z pomocą swego niezawodnego nosa — że czekający na zewnątrz człowiek się nie poruszył. Starła się oddychać płytko, nie wciągać do płuc duszącego, wstrętnego smrodu.

Odkręciła szybko pokrywkę młynka z pieprzem. Zrobiła to gwałtownie, lecz w zupełnej ciszy, choć obawiała się, że zgrzyt może ją wydać.

A potem...

Ktoś podnosił klapę! Willadene przybrała pozycję, którą uznała za najlepszą, i czekała...

Na szczęście, pomimo światła lamp, składane łóżko Nicolasa znajdowało się poza zasięgiem wzroku kogoś, kto próbowałby ich szpiegować. Ten nieznany wróg musiałby nieźle się nagimnastykować, żeby zobaczyć, kto tam leży.

Jakaś ręka pojawiła się w otworze w dole drzwi, wprawiając Willadene w zdumienie. Spodziewała się męskiej pięści; zamiast tego ujrzała zadbaną dłoń kobiety, a pojedynczy pierścień z czerwonym kamieniem zalśnił w blasku lamp.

Potem ukazało się ramię w jedwabnym rękawie o barwie rubinu, bark i masa włosów, z których pośpiesznie zdjęto jakieś ozdobne nakrycie głowy, gdyż faliste pasma zasłaniały twarz.

Włosy nieznamym kobiecie nie były jednak przeszkodą dla tego, co trzymała Willadene. Wybrała najlepszy moment i zaatakowała. Zaciskając drugą ręką nos, wydmuchnęła grubą warstwę pieprzu ukrytego we wnętrzu dłoni prosto do celu.

W odpowiedzi usłyszała prawdziwą eksplozję kichania, tak gwałtowną, że musiała zranić pechowy nos. Nieznajoma kobieta cofnęła się raptownie. Klapa w drzwiach wróciła na dawne miejsce. A mimo to rozległa się nowa seria jeszcze bardziej gwałtownych kichnięć, potem zaś stłumiony okrzyk bólu. Może trochę pieprzu dotarło również do oczu intruza.

Skulona przy drzwiach, nadal czuła ten wstrętny odór. Pomimo cierpienia nieznana napastniczka po drugiej stronie drzwi wcale nie zamierzała się wycofać.

— Co mam zrobić...?

Słowa były wprawdzie niewyraźne, ale Willadene je zrozumiała. Odwróciła się w stronę wyrka.

Jej podopieczny miał teraz otwarte oczy i marszczył brwi. Dziewczyna podpełzła do niego na łokciach i kolanach i stanowczym ruchem zasłoniła mu usta ręką, jednocześnie skinieniem głowy wskazując na drzwi.

Z zewnątrz nadal docierały przytłumione dźwięki. Nicolas najwidoczniej zrozumiał ostrzeżenie dziewczyny, która cofnęła rękę, muskając palcami jego nieogoloną szczękę. Położyła się obok niego na podłodze i zbliżyła usta do jego ucha.

— Ktoś jest za drzwiami, próbował wpełznąć przez klapę w drzwiach...

Nicolas otworzył szerzej oczy i bardzo cicho zapytał:

— Kto?

Willadene pokręciła głową. To na pewno nie pora na opowieść o jej niezwykłym talencie. Wiedziała tylko, że od kobiety za drzwiami bije taki sam odór jak ten, od którego dostawała mdłości, kiedy Wyche torturował ją swymi zalotami, a nieznajoma na pewno nie włóczyła się po karczmach.

Gdyby Willadene miała do dyspozycji całe bogactwo produktów, jakie znajdowały się w sklepie Halwice, i trochę czasu, może znalazłaby jakiś sposób obrony. Teraz

jednak obawiała się, że kobieta, która przyszła tu potajemnie, wezwie pomoc i wyważy drzwi.

Pod wpływem nagłego impulsu Willadene zdjęła z szyi amulet, który własnoręcznie sporządziła. Ona sama przynajmniej może się poruszać, ale Nicolas jest całkowicie bezbronny i nie da rady stawić czoła takiemu atakowi. A może jednak? Przecież w swoim maleńkim woreczku, uszytym dla bezpieczeństwa podwójnym ścięciem zaledwie dwa tygodnie temu, zawarła coś, co według bardzo starego przepisu miało chronić przed złem.

Nawet Halwice przyznała kiedyś, że Dawny Lud z odległej przeszłości wiedział o mocy roślin znacznie więcej od współczesnych zielarzy. Wiele przepisów utrzymywano w tajemnicy i te sekrety umarły razem z tymi, którzy je znali. Gdy Halwice przekonała się, że Willadene ciekawie zagląda do najstarszych ksiąg, jakie miała, zachęcała dziewczynę do dalszych poszukiwań.

Władca Serc nie był jedynym żywym darem natury, na którego cudownych właściwościach poznał się świat. Podnosząc głowę Nicolasa, który patrzył na nią ze zdumieniem, włożyła mu na szyję swój amulet.

Kiedy to zrobiła, niemal natychmiast zgięła się wpół z bólu, który przeszywał jej brzuch, poczuła w ustach gorycz żółci. Nieznośny smród otoczył ją, owinał się wokół niej jak koc. Nicolas patrzył na nią najpierw ze zdziwieniem, a potem z niepokojem i z troską. Później z trudem podniósł rękę i wskazał w stronę drzwi.

Światło lamp ledwie tam docierało, a przecież ujrzeli zielonkawą, jarzącą się linię w poprzek podłogi, okalającą dno ruchomej kłapy w dole drzwi. I było to coś więcej niż światło.

Zaciskając teraz mocno ręką nos, Willadene na czworakach popęzła po pozostawione przez Halwice leki. Mogła polegać teraz tylko na jednym z nich. Może właśnie z powodu jej wrodzonego talentu ten atak stał się dla niej taki potworny.

Nie zwracała uwagi na kołyszącą się łyżkę-miarkę, gdy zacisnęła wolną rękę na butelce z lekarstwem. Nie odważyła się jednak wypić za wiele, gdyż mogłoby jej zaszkodzić.

Pociągnęła długi łyk. Mięśnie miała napięte jak struny. Wydawało się jej, że kładzie rozżarzone węgle na języku i starała się zapanować nad odruchem, który zmusiłby ją do wyplucia płynu. Nie zwracała już uwagi na nic oprócz swojego bólu i mdłości, a przecież to, co przybyło wraz z zielonkawym blaskiem, zdawało sienie wywierać żadnego wpływu na Nicolasa. Znajdowało się teraz poza kłapą w dole drzwi, przybrało postać węża, jakby było bardziej materialne niż światło. Jeszcze raz Willadene wysiłkiem woli ruszyła do przodu, przyciskając mocno usta ręką; miała wrażenie, jakby sama wiła się niczym gad po podłodze komnaty.

Pozostała jej tylko jedna szansa i wykorzystała ją jak najlepiej...

Świecąca zielona linia uniosła swój przedni koniec i zakołysała się do przodu i do tyłu, jakby miała oczy i szukała zdobyczy. Willadene już nie mogła wytrzymać. Nachyliła się najbliżej, jak mogła, do wysłannika Ciemności, wypluła wszystko, co miała w ustach — i trafiła!

Wyglądało to tak, jakby cisnęła płonąca pochodnię na zielonego węża. Skręcał się, obracał, wił jak schwyty w płwocinę, szamotał dziko, a potem zniknął.

Dziewczyna skuliła się. Usta miała odrętwiałe, ale do jej udreżonego nosa docierały tylko nieszkodliwe zapachy, informujące o tym, co tu się stało. Przemoczony odór zła ulotnił się i już nie zatruwał powietrza. Willadene w duchu podziękowała Jasnej Gwieździe za zbawienną myśl, że lekarstwo sporządzone przez Halwice do walki z gangreną okaże się również wrogiem wysłannika Ciemności.

Nasłuchiwała. Z zewnątrz nie docierało już kichanie. Ucieczka ohydneho posłańca zła upewniła ją, że tak właśnie było.

Drżąc i nadal czując mdłości, zatęskniła za jednym z kojących napojów Halwice. Skuliła się, wtuliła twarz w kolana i objęła je mocno ramionami. Czeką ją praca, przecież pokój chorego trzeba utrzymywać w czystości. Ale w tej chwili jest zbyt osłabiona, żeby się poruszyć. Ledwie usłyszała za sobą głos Nicolasa.

— Pani, czym było to, co się tu pojawiło?

W jego głosie nie zabrzmiała już znajoma ostra nuta.

Willadene z wysiłkiem odwróciła głowę, by móc go widzieć. Wsparł się na łokciu i patrzył na nią, jakby była nocnym straszidłem, które ma zmusić dzieci do lepszego zachowania.

Choć zaschło jej w gardle, zdołała wydać rozkaz.

— Połóż... się... chcesz... znów... rozerwać... rany?

Mówiła bardzo powoli, lecz znalazła w sobie dostatecznie dużo siły, by zastawić podnóżkiem klapę w drzwiach; wyczerpała w ten sposób wszystkie zasoby energii. Osunęła się potem na zaimprovizowaną zaporę, dysząc ciężko.

Powinna dotrzeć do miejsca na podłodze, gdzie tak niedawno wiło się zło — ale zanim go dotknie, to na wypadek, gdyby coś tam pozostało, musi odzyskać swoją broń.

Ledwie żywa podpełzła do Nicolasa.

— Amulet — wykrztusiła po chwili odpoczynku. — Oddaj... Nicolas już położył rękę na sznurku amuletu. Chociaż nie mógł podnieść zbyt wysoko głowy, jakoś się z tym uporał i w końcu przedmiot ten znów znalazł się w dłoniach dziewczyny.

— Co ty zrobiłaś? — Na pewno był teraz bardziej żwawy niż kiedykolwiek od chwili jej przybycia do ukrytej komnaty. Miała wrażenie, że patrząc na jej walkę, odzyskiwał zdrowie.

— Przeciwno nam wysłano uosobienie zła. — Zwilżyła wodą serwetkę i przetarła nią twarz. Odrętwienie w ustach zniknęło i czuła tylko ból. — Halwice zostawiła coś, co pozwoliło mi się z tym uporać.

Na pewno był to zabójca, pomyślała z lekkim rozbawieniem. Teraz, kiedy ohydny smród zniknął, czuła się dziwnie roztargniona, jakby obejrzała właśnie występ kuglarzy, z którego należy się śmiać.

— A co wyplułaś na tego stwora?

Wyplułaś na tego stwora, powtórzyła w myśli Willadene, to bardzo dworne określenie jej działań.

— Nie wiem, co to było. — Dopiero teraz zdecydowała się pociągnąć łyk z pozostawionej przez Halwice butelki. — Myślę jednak, że dawka napoju sporządzonego przez moją panią położyła mu kres. Kto posiada równie przewrotną, niebezpieczną wiedzę, by przywołać takiego stwora?

— Vazul, wezwij go, pani. Musi się dowiedzieć, co się tu stało. Willadene, ciągle jeszcze zaszokowana, pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

— Lepiej przynieśmy tu szmatę i wiadro...

Odkryła, że może wstać oparta o krzesło. Pchając je przed sobą, ponownie skierowała się w stronę sznura od dzwonka.

— I to wszystko — powiedział Vazul. — Tamten typ miał zablokowany umysł. Książę poruszył się w krzesle.

— Kto włada takimi mocami oprócz Gwiazdy? Na pewno żadna z siostr nie skompromitowałyby w taki sposób swoich wierzeń. Jesteś tego pewny?

— Tak pewny jak tego, że na własne oczy widziałem człowieka, który wyzionał ducha, gdy zadano mu pytanie — odparł kanclerz.

— W takim razie — książę potarł ręką podbródek i wbił przenikliwe spojrzenie w swego sługę — to coś przekracza nasze rozumienie. Co powiedziała ksieni?



— Rzuciła kryształę tej nocy, Wasza Książęca Mość. Pamiętaj jednak, że służebnice Gwiazdy nie słuchają żadnego pana. Trzymają się z daleka od naszych światowych sporów. Przypuszczam, że wstrząsnęła nią wiadomość o leśnym rozbójniku, który władał mocą nieusankcjonowaną przez jej zakon.

— Ufam, że jest dostatecznie wstrząśnięta, aby poszukać jakiegoś sensownego wyjaśnienia — rzekł książę sucho. — I że jak je odnajdzie, zechce się nim z nami podzielić. Nietoperz...

— Znaleźliśmy go w porę, Wasza Książęca Mość. Ale czy wkrótce będzie mógł wykonać inne zadanie, to zupełnie inna sprawa. Halwice zapewnia, że już nic mu nie grozi.

— Ta jej uczennica...

— Tak jak rozkazałeś, Wasza Książęca Mość. Może przypuszczać, że jest w zamku, ale to wszystko, co wie, oprócz tego zna tylko polecenia swojej pani. Chciałbym wrócić do innych wieści, które przyniósł nam ten strażnik graniczny. Wychodzi na to, że Nietoperz odniósł sukces, choć okupił go cierpieniem.

— Nie dowiedzieliśmy się tylko jednego: kto opuścił miasto i kogo Czerwony Wilk może uznać za swego pana? — odparł Uttobric.

— Już go nie uzna. To był wspaniały nocny atak. Nic dziwnego, że nazywają księcia Loriena mistrzem sztuki wojennej. I dlatego teraz, Wasza Książęca Mość, możemy przejść do następnej partii naszej gry.

— Nie będzie żadnej gry — odrzekł kwaśno książę — jeżeli nasz wysłannik i jego eskorta mogą po drodze wpaść w zasadzkę.

— Strażnik graniczny mówi, że północna droga ma być strzeżona. Sokolnik odwołuje większość swoich sił, pozostawiając tylko nieliczną osłonę, aby to osiągnąć. A on, tak jak książę Lorien, zna się na swoim rzemiośle. Mam tutaj — spomiędzy fałd szaty wydobyl zawieszoną na łańcuszku pieczęć — oficjalną pieczęć Kronenu. Na pewno wraz z twoim listem gratulacyjnym, zapraszającym do naszego państwa, który odda mu nasz poseł, zwróci uwagę księcia Loriena. Subtelna sugestia, że chętnie posłuchałbyś rady tego młodzieńca, to prawdziwie mistrzowskie posunięcie z twojej strony, Wasza Książęca Mość. Uttobric uniósł brew.

— No cóż, raz na jakiś czas i mnie również przychodzi do głowy jakaś dobra myśl, prawda, Vazulu? A jeśli Lorien zaakceptuje nasze zaproszenie, by uczcić jego zwycięstwo...

— Kiedy zaakceptuje — gładko wszedł mu w słowa Vazul — wyprawimy ucztę, turniej i oczywiście dworski bal. Książę Lorien lubi takie rozrywki. Przyjmie go Jej Wysokość Mahart i w twoim imieniu ofiaruje mu diadem zwycięzcy, diadem Jasnej Gwiazdy.

Zirytowany władca Kronenu wydał wargi.

— Jeszcze jeden bal!

— Przecież Wasza Książęca Mość dobrze wie, że Jej Wysokość Mahart jest w rozkwicie młodości i że wyjątkowo ładnie wygląda. Oczywiście, są piękniejsze od niej panny, ale ona ma wrodzony wdzięk, który wyróżniają w każdym towarzystwie, nawet jeśli nic nie wiadomo o jej pozycji społecznej. Poza tym bale to odpowiednie miejsce spotkań dla dam i ich przyszłych konkurentów.

Uśmiechał się, lecz uśmiech znikł z jego warg, gdy Ssssaa wpadła jak pocisk — wydawało się, że zeskoczyła z pewnej wysokości i przebyła spory dystans.

Okręciła się wokół ramienia kanclerza i syczała mu otwarcie do ucha, jakby składała meldunek.

Vazul zerwał się na równe nogi, a książę podniósł na niego wzrok z zaskoczeniem.

— Są kłopoty w Czarnej Wieży! Nie — wyciągnął rękę, by powstrzymać księcia, który chciał szarpnąć za sznurek małego dzwonka, by szybko wezwać pomoc. —

Chcesz zaalarmować cały zamek, panie? Pójdę tajnym przejściem, jak zwykle.

Zniknął za parawanem dzielącym komnatę na dwie części. Uttobric zaczął obgryzać paznokcie, oczami wyobraźni widząc wszelkie nieszczęścia, które mogą na niego spaść.

Mahart zrobiła dwa ścięgi w grubym płótnie, które miało stanowić część nakrycia przeznaczonego na nowy ołtarz — obiecała je bowiem klasztorowi Gwiazdy w podzięce za uznanie jej za oficjalną patronkę — a potem rzuciła na stół szorstki materiał. Dzisiaj palce księżniczki po prostu nie chciały słuchać jej rozkazów, a w tej chwili jej myśli błądziły z dala od tej sumiennej pracy. Pani Famina poderwała się ze stołka.

— Czego Wasza Wysokość sobie życzy? — spytała szybko. Mahart patrzyła na nią przez chwilę. Tak, było coś, czego bardzo pragnęła, ale wątpiła, czy Famina może jej tego dostarczyć — to znaczy nowych informacji. Zuta poszła zamówić więcej przynoszącego spokojny sen kadzidła i jeszcze nie wróciła, a na pewno żadna z tych ciamajd na nic się nie przyda. Możliwe, że... Spochmurniała, nie zdając sobie sprawy, iż Famina może wyraz jej twarzy wziąć do siebie.

Dotąd w swoim krótkim życiu miała bardzo mało tajemnic, a większość z nich tak niewinnych, że nawet sama o nich długo nie pamiętała. Oprócz Zuty dzieliła je tylko z Jultą, w minionych dniach, kiedy była zapomnianą więźniarką swego ojca.

Od tej pory jej życie zatoczyło pełny krąg od spokoju do uczestnictwa w życiu dworu. W rzadkich chwilach, gdy były same, wypowiadały opinie — w większości nieprzychylnie — o nowym towarzystwie, w którym się znalazły. Teraz jednak chciała o czymś pomyśleć sama, zanim podzieli się tym nawet z Zutą.

— Wasza Wysokość... — wyjąkała Famina i księżniczka zdała sobie sprawę, iż ta niezgrabna dziewczyna boi się, że w jakiś sposób obraziła swoją nową panią.

— Nic się nie stało, Famino — udała ziewnięcie Mahart. — Myślę, że powietrze w komnacie jest ciężkie i duszne. Przejdziemy się po ogrodzie różanym?

Ogród różany, pomyślała niechętnie; splechetek ziemi między dwoma ponurymi murami porośnięty wybujałymi krzakami róż. Czuwał nad nimi ogrodnik, który bardzo obawiał się o ich przeżycie. Czy może się równać z rozległymi łąkami z jej snów, z ich bogactwem kwiatów? A w ostatnim śnie prawie na pewno był tam jeszcze ktoś — nie wątpiła, że widziała jakiś cień.

— Oczywiście, Wasza Wysokość. — Obie dworki wstały, gotowe iść za nią w odległości zwyczajowych dwóch kroków, jak nakazywała etykieta. W ten sposób jej własne, wypowiedziane niedbale słowa skazały ją na pobyt na otwartej przestrzeni, jeśli istniało coś takiego we wnętrzu zamkowych murów.

Idąc po schodach i przechodząc przez drzwi w dole, przyjrzała się otaczającym ją ścianom z nowym zainteresowaniem. Tak, śniła ostatniej nocy — i znów czekała na takie sny. Obudziło ją jednak coś, czego nie rozumiała, ale to na pewno nie był sen!

Dzięki lekturze ksiąg z wielkiej biblioteki — mimo że nikt jej do tego nie zachęcał i nią nie kierował — wiele nauczyła się o przeszłości i wiedziała, że zamek jest centralnym ośrodkiem sił zbrojnych czuwających nad bezpieczeństwem kupców. Dla niej od dzieciństwa był schronieniem, nie zawsze jednak wygodnym.

Pomyślała, że jego mury są bardzo grube. Grube na tyle, by ukryć — co? Owinęła się ciałniej szalem, gdy przebiegł ją zimny dreszcz. Co z licznymi legendarnymi opowieściami, które przeczytała? Na pewno nie o tym zamku, ale o innych, w których ścianach były sekretne przejścia.

Wieża, gdzie mieszkała, stanowiła tak ważną część jej życia, iż Mahart nigdy nie przyszło do głowy, że otaczające ją mury mogą być czymś więcej niż tym, co widziała i czego dotykała. Tylko co z odgłosami w jej sypialni? Pamiętała je tak dobrze, jakby usłyszała dopiero przed chwilą. Na pewno nie wydawały ich biegające szczury ani

inne szkodniki. Dzięki środkom dostarczanym przez zielarkę Halwice i czujności całego korpusu kotów zamek był od nich wolny.

Przysięgłaby jednak na Gwiazdę, że słyszała dźwięki w ścianach okalających prawie jedną czwartą jej komnaty. Były na tyle głośne, że zerwała się z łoża z nocną lampą w dłoni i obesła podejrzone kamienne mury, ale ucichły tak szybko, że nie potrafiła ich z niczym skojarzyć.

Teraz zaś, stojąc w ogrodzie różanym, odwróciła się powoli wokół nie po to, by spojrzeć na kilka pomarszczonych kwiatów, lecz na sam zamek. Czarna Wieża! Znajdowała się w pobliżu ogrodu, z dala od jej własnych komnat. Ludzie unikali tej części zamku przez tyle lat, że wydawało się, iż prawie o niej zapomniano.

Duchy? Potrząsnęła przecząco głową w odpowiedzi na tę myśl. W ostatnich kilku dniach nie słyszała nowych opowieści o duchach.

Ale ze wszystkich sił zapragnęła dokładnie przyjrzeć się części murów swojej komnaty w najsilniejszym świetle — po odsunięciu wszystkich ciężkich kotar w oknach i umieszczeniu zapalonych lamp w odpowiednich miejscach. Jednak takie postępowanie na pewno dałoby powód do wielu pytań, na które nie знаła odpowiedzi.

Nadal stała, patrząc w zamyśleniu na Czarną Wieżę, kiedy Zuta nadeszła pośpiesznie ścieżką, mijając dwie inne dworki. Te spochmurniały i odsunęły na bok swoje suknie. Na dworze Mahart na pewno nie istniały żadne więzy przyjaźni.

— Wasza Wysokość... — Zuta musiała urwać na chwilę, żeby złapać oddech. — Poseł Jego Książęcej Mości wyjechał z zamku z zaproszeniem dla księcia Loriena. Mówi się, że książe Lorien przybędzie tu za kilka dni!

Mahart zagryzła wargi. Minęło dużo czasu od dnia, gdy Kronengred witał bohatera wojny, kogoś, kto miał wszelkie możliwe walory — odniósł wielkie zwycięstwo, pochodził z wysokiego rodu, wieść niesła, że jest urodziwy i że ma całą resztę zalet przypisywanych legendarnemu księciu. Przypomniła też sobie słowo po słowie, grymas po grymasie, opinię jej ojca o tym wydarzeniu.

Ona, Mahart, miała tak spodobać się księciu Lorienowi, by zechciał się z nią ożenić i w ten sposób stać się narzędziem jej ojca. Księżniczka nie miała najmniejszego pojęcia, jak czegoś takiego dokonać. Domyślała się jednak, że jeśli zawiedzie pokładane w niej nadzieje, jej życie będzie jeszcze gorsze niż przedtem.

— Wasza Wysokość... — Zuta zbliżyła się do Mahart — są pewne sposoby...

— Zaklęcia? — spytała sucho Mahart. — Nie jesteśmy bohaterkami jakiejś starożytnej legendy.

— Wyroby Halwice, Wasza Wysokość. Będzie bal zwycięstwa i masz ofiarować księciu diadem Gwiazdy, prawda?

W tym kamiennym zamczysku pogłoski rozchodzą się błyskawicznie, pomyślała Mahart.

— Tak — odparła.

— W takim razie, Wasza Wysokość, poślij po zielarkę Halwice. Istnieje wiele ingrediencji wykonanych z serc i korzeni kwiatów, które mogą pomóc kobiecie. Jesteś za młoda, żeby dużo wiedzieć o takich sprawach, ale ja widziałam damy w średnim wieku, które przynajmniej na jeden wieczór zamieniały się w niedawno przybyte na dwór panny. Ty nie potrzebujesz takich kremów i fałszywych uroków, są jednak inne sposoby, by sprawić, że jakiś mężczyzna cię zauważy i zainteresuje się tobą.

Mahart również o tym wiedziała. Kochała pachnidła dla nich samych i dla reakcji, jakie w niej wywoływały. Te piękne sny... Nigdy jednak nie próbowała użyć żadnego jako przynęty. Możliwe, że tym razem będzie do tego zmuszona.

— Możesz wezwać tę zielarkę? — spytała księżniczka. — Słyszałam, że opuszcza ona swój sklep tylko w wypadku groźnej choroby lub wielkiego nieszczęścia. Na pewno nie uzna wyrobu nowych perfum za coś takiego. Widziałam ją w klasztorze;

wygląda na szlachetnie urodzoną, w niczym nie przypomina służącej.

— Wasza Wysokość... — Pani Geuverir, powłócząc nogami, podeszła bliżej. Ma bystre uszy, pomyślała szybko Mahart, i gotowa jest się nimi posłużyć; trzeba będzie na nią uważać.

— Wasza Wysokość, ona była w zamku dziś rano. Mówią, że kanclerz niedomaga i że księżę chciał, by właśnie ona postawiła diagnozę.

To prawda. Vazul po raz pierwszy nie uczestniczył w jej spotkaniu z ojcem ostatniej nocy. I jego nieobecność stanowiła wielką zmianę w tym zwyczaju.

— I nadal tu jest? — Mahart zwróciła się do Zuty, próbując dać do zrozumienia pani Geuverir, że zajmuje niższą pozycję od jej zaufanej dworki, przynajmniej w tym towarzystwie.

— Dowiem się, Wasza Wysokość. I jeśli nie zajmuje się kanclerzem, przyprawdę ją tutaj — szybko obiecała Zuta.

— Co to było? — Im dłużej mówił Nicolas, tym silniejszy stawał się jego głos.

Willadene, wstrząśnięta zarówno pojedynkiem z czystym złem, jak i napojem Halwice, z trudem podniosła głowę.

— Nie wiem nic oprócz tego, że było to widoczne gołym okiem zło, które miało coś w rodzaju ciała. Nigdy o czymś takim nie słyszałam, znalazłam tylko kilka aluzji w najstarszych księgach Halwice.

— Ssssaaa... — Coś ciepłego otarło się o jej ramię. Podniosła oczy i ujrzała kanclerza, rozglądającego się wokół z nieskrywanym zdumieniem. Szybko odwrócił wzrok od miejsca tej dziwnej bitwy.

Zwierzątko zwinęło się w kłębek wokół szyi Willadene, trącąc główką podbródek dziewczyny; jego syk nie był :groźbą, lecz miał uspokoić rozstrojone nerwy.

— Co tu przyszło? — Vazul omal nie wyszczerzył zębów jak pies. — Czarne zło...

Willadene nadal wstrząsały dreszcze. Z trudem wydobywając z siebie słowo po słowie, opowiedziała o wszystkim, co się stało, kiedy podniesiono klapę w drzwiach, o swoim ataku za pomocą jedynej dostępnej broni, i co potem nastąpiło.

Vazul podniósł butelkę, którą wskazała, i zbliżył do stojącej obok lampy.

— A co to jest?

— Lekarstwo, które oczyszcza rany i nie dopuszcza do gangreny... — odparła mimowolnie.

— Bardzo skutecznie rozprawiło się z tym stworem, przysłanym nie wiadomo przez kogo — stwierdził Nicolas.

Kanclerz znów popatrzył na plwocinę na podłodze. Wstręt malował się na jego szczupłej twarzy. Willadene mimo woli zarumieniła się ze wstydu. Potem Vazul zwrócił się do niej:

— Twoja pani...

— Wielmożny panie kanclerzu... — Dziewczyna nie czuła się już taka roztargniona; miała wrażenie, że ciepłe ciało zwierzątka przytulonego teraz do jej policzka przywraca jej siły jak kordiał, którego spory łyk wypija. — Niedawno wstąpiłam na służbę do pani Halwice i jestem początkującą uczennicą w jej zawodzie. Nie umiem wyjaśnić, co tu się stało, sam musisz ją o to zapytać. Chociaż...

— Chociaż... — ponaglił ją, gdy nic więcej nie powiedziała.

— W tych ścianach naprawdę kryje się zło. Ono żyje... i poluje! — Nie wiedziała, dlaczego jest o tym tak głęboko przekonana.

Kiedy pojawił się kanclerz, czuła się zbyt słaba, aby wstać; kulila się i odchyłała do tyłu głowę, żeby go widzieć.

— Halwice...

Ledwie zdążył wymówić to imię, gdy Willadene odwróciła głowę. Pomimo miejscowych wyziewów wyczuła ten znajomy zapach. I miała rację. Poza zasięgiem światła lamp nieoczekiwanie pojawiła się ciemniejsza wyrwa w mroku i osoba, która schyliła się, aby wejść przez tajemne drzwi, rzeczywiście okazała się zielarką Halwice. Zatrzymała się jednak, gdy doszła do lamp i uniosła głowę, rozdymając nozdrza.

W zachowaniu Halwice było coś takiego, iż wszyscy obecni milczeli, jakby wiedzieli, że nie wolno jej przeszkadzać. Willadene widziała, jak zielarką wciąga w nozdrza wszystkie zapachy, które mogły się czaić w komnacie, rozpoznaje je i gotowa jest się z nimi rozprawić.

Nie zwracając uwagi na Vazula, który przestąpił z nogi na nogę, jakby irytował się, że zielarka go ignoruje, przemówiła do Willadene:

— Dobrze się spisałaś.

Tylko trzy słowa, a przecież dziewczyna poczuła się tak, jakby włożono jej na szyję łańcuch zasługi. Dopiero teraz Halwice znalazła czas dla kanclerza.

— Sekret dostatecznie znany, by sprowokować atak, to poważne ostrzeżenie, wielmożny panie kanclerzu. Trzeba zabrać stąd Nicolasa, i to natychmiast!

Vazul uparcie zacisnął usta.

— Dokąd?

— Zastanów się, panie. Mówi się, że znasz tajne przejścia równie dobrze jak Nietoperz... — Po raz pierwszy spojrzała na Nicolasa z uśmiechem, na który on odpowiedział tym samym. Willadene zastanowiła zmiana wyrazu jego twarzy — uśmiech stał z niej kilka lat oraz lżejsze ślady cierpienia.

— Jest przecież gołębnik — zauważył Nicolas. Teraz, gdy zwrócił się bezpośrednio do kanclerza, w jego głosie dało się wyczuć niemal złośliwą nutę.

Początkowo wydawało się, że kanclerz z miejsca odmówi, ale potem wzruszył ramionami.

— Może masz rację, jeśli zdołamy cię przenieść. Da się tam dotrzeć przez dach, wraz z karmą dla gołębi. I będziesz go tam pielęgnować — powiedział do Halwice.

Nie można by nazwać tego rozkazem, jak gdyby nawet on nie ośmielił się rozkazywać zielarce. Ta jednak skinęła głową. A potem zwróciła się do Willadene:

— Znów musisz zająć się sklepem. Oprócz tego dziś rano widziano mnie na zamkowym dziedzińcu. Dlatego niech się mówi, że mam pacjenta wysokiej rangi, może... — powiedziała z półuśmiechem do Vazula — ...nawet ciebie. A może wymyślisz jeszcze jakiś inny powód mojej bytności na zamku. Potrafisz znaleźć wyjście z każdej sytuacji, wielmożny panie. Pozostawiam to tobie.

— A teraz, moje dziecko.... — Nie zwracając już dłużej uwagi na Vazula, jakby, skoro już niepotrzebny, rzeczywiście zniknął, ponownie przemówiła do Willadene: — Kiedy wrócisz do sklepu, pociągnij długi łyk mikstury z butelki o barwie bursztynu, stojącej na najwyższej półce drugiej szafki. Nie jedz nic aż do wieczora. Ale jak zwykle bądź w sklepie. Wezwano mnie, żebym zajęła się jakąś wysoko postawioną osobą, nie wiesz kim. Podatek dla dzielniccy jest w szufladzie z pieniędzmi, w sakiewce. Dasz go strażnikowi sędziego, dopilnuj wszakże, by dał ci pokwitowanie, tak jak mnie. I... — Nagle nachyliła się do przodu, garbiąc się nieco, i lekko dotknęła czubka nosa dziewczyny. — I zawsze wierz swemu talentowi.

Sssaaa zsunęła się z ramion Willadene i wdrapała na ramię swego pana. Dziewczyna przyłożyła dłoń do szyi, nadal ciepłej, gdyż rozgrzało ją ciało zwierzątka. Gotowa była wstać i wykonać polecenia Halwice. Im wcześniej opuści tę skalaną złem komnatę, tym lepiej.

Jednak gdy mijąca Nicolasa, zawahała się, niezręcznie szukając odpowiednich

słów. Zawsze w jego obecności czuła niepokój, choć nawet nie próbowała zrozumieć dlaczego.

— Niech Gwiazda będzie z tobą, panie — wypaliła.

Nicolas uśmiechnął się, tym razem do niej.

— I z tobą, pani o wielu talentach.

— Tracimy czas — przerwał im Vazul. — Wezwę pomoc i zaniesiemy cię do gołębnika. I poszukamy źródła tego! — Gwałtownym ruchem głowy wskazał na płamę na podłodze. — A ciebie, pani — popatrzył na Halwice — na pewno zainteresują te poszukiwania.

Dni miały niepostrzeżenie dla Willadene. Po powrocie do sklepu i odesłaniu gwardzisty zastosowała się do instrukcji Halwice, by przynieść ulgę swemu ciału, i położyła się na składanym łóżku. Zielarka zostawiła na drzwiach tabliczkę z napisem, że otrzymała wezwanie, a żaluzje nadal były podniesione. Willadene nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo jest zmęczona, aż zmorzył ją sen. I dopiero ostatni wieczorny dzwon zbudził ją ze snu tak głębokiego, że nic się jej nie śniło.

Zawstydzona, że nadużyła zaufania, jakie pokładała w niej Halwice, spryskała twarz resztą wody z miski i usiłowała uporządkować myśli. Na pewno ktoś złożył zamówienie u Halwice — zawsze tak było — i składano je poprzedniego dnia. Jeżeli ktoś przyszedł po zamówiony towar, trafił na zamknięty sklep i na pewno zjawi się rano. Musi sprawdzić, czy są na to przygotowane. No i, tak, jest jeszcze sprawa podatku.

Zrzuciła pogniecione i poplamione odzienie, w którym spała, umyła się i ponownie ubrała. Po rozpaleniu ognia przez chwilę lub dwie stała przed paleniskiem. Był tam rondel z kaszą, którą mogła ugotować, żeby zjeść szybki i pożywny posiłek, ale nieprzyjemny skurcz żołądka odwiódł ją od tego zamiaru.

Kiedy jednak wyprostowała się, zdała sobie sprawę z jeszcze czegoś. Zawsze wiedziała i akceptowała to, że zarówno każdy człowiek, jak i zwierzę ma swój osobisty zapach, który nie ma nic wspólnego z czystością ciała i odzieży, i jest znacznie bardziej subtelny, dzięki czemu można go zidentyfikować. Od pierwszego spotkania dobrze знаła i bez trudu rozpoznawała woń Halwice. Była teraz pewna, że w razie potrzeby zdoła odnaleźć Nicolasa i Vazula, choć nie jest psem myśliwskim. A sklep Halwice zawsze wypełniała mieszanina najróżniejszych woni. Willadene miała wrażenie, że wszystkie zapachy zielarni — miejscowe i przyniesione — unosiły się na różnych poziomach, jedne mocne i gęste, drugie zaś słabe, rozplywające się w powietrzu.

W kuchni Jacoby czuła się znacznie gorzej, gdyż przeważały w niej ohydne smrody. Willadene znów usiadła na piętach i uniosła głowę, rozdymając nozdrza. Jeden po drugim weryfikowała otaczające ją zapachy — pozostałości gotowania, silniejsze od nich wonie ziół, w pobliżu składanego łoża osobisty zapach Halwice. Liczyła na palcach te, która mogła bez trudu zidentyfikować.

Było jednak coś jeszcze. Wstała. Skoro musi gdzieś zacząć, to najlepiej tam, gdzie nie ma zbyt wielu przemieszanych ze sobą woni. Podeszła do tylnych drzwi. Były zamknięte i założone sztabą, a jedyna lampa, którą przyniosła ze sobą, dawała mało światła. Nie zauważyła, żeby ktoś manipulował przy drzwiach.

A jednak instynkt jej nie mylił. Na Gwiazdę, gotowa była przysiąc, że w tylnej izbie przebywał ktoś, kogo nigdy nie spotkała. Na zaproszenie Halwice? Nic o tym nie wiedziała. Niepokój kazał jej znów wziąć lampę do ręki i wrócić do sklepu.

Na ladzie leżały rzędem zamówione towary w różnych pojemnikach. Większość była taka jak zwykle — przyprawy dla piekarza (który wyrabiał również słodczyce na zamówienie); korzenie; oddzielne paczuszki dla starej pani Lorki, teściowej sędziego,

której w zimne dni i noce bardzo dokuczają stare kości; syrop na kaszel; dwie gałki aromatyczne w pozłaczanych siateczkach (które Willadene zrobiła na początku tygodnia) — te otrzymają od zalotników damy ich serc.

Ostatni był upleciony z wonnych paproci koszyk z rączką owiniętą srebrzystymi wstążkami. Stał na boku — przeznaczony był dla mieszkańców zamku, a nie mieszczan. Tym razem miała go otrzymać Jej Wysokość Mahart, na pisemne zamówienie.

Willadene obejrzała dokładnie każdy z czekających towarów i nie znalazła nic niepokojącego: wszystkie były tym, czym miały być. W końcu zajęła się koszykiem. Znalazła w nim pachnący fiołkami płyn do mycia włosów i krem do rąk, a po nich drewnianą szkatułkę do przechowywania nocnego kadzidła. Wryty na wieczku symbol był bardzo starożytny, a ścianki skrzyneczki tak ciemne, jakby używano jej wielokrotnie.

Dziewczyna delikatnie podniosła wieczko. Płynący ze szkatułki zapach nie był natrętny, gdyż działał tylko wtedy, gdy kadzidłem posypano węgle żarzące się w przenośnym piecyku. Zbliżyła jednak kasetkę do nosa i mocniej ścisnęła ją w dłoniach.

W przeszłości już trzykrotnie uważnie obserwowała Halwice wytwarzającą znajomą mieszankę dla Jej Wysokości Mahart. Willadene mogłaby bez trudu wymienić każdy składnik tego kadzidła. Dzisiaj jednak wyczuwała jakąś zmianę. Z wyboru Halwice? Na rozkaz księżniczki?

Zbyt dobrze pamiętała to, czemu musiała stawić czoło w Czarnej Wieży i czego nie umiała sobie wytłumaczyć. Halwice nie miała czasu na wyjaśnienia; Willadene była jednak głęboko przekonana, iż zielarka nigdy nie zadawała się z czymś takim jak tamten wąż z zielonego światła.

Powoli zamknęła wieczko. Za nią, na czwartej półce, znajdowała się bliźniacza szkatułka. Pamiętała też dobrze przepis na kadzidło dla księżniczki. Może to, że Willadene się wtrąca, zirytuje zielarkę, ale...

Dziewczyna odmierzyła odpowiednią ilość proszków, dodała kilka kropli z dwóch wysokich butelek i suche jak wiór paski skórki z owoców z innej butli stojącej na samym końcu półki. Zmieszała to wszystko bardzo dokładnie i kiedy skończyła, jej wyrób przypominał wysuszoną glinę. Pokruszył się jednak na kawałki, gdy napełniła nim pustą skrzyneczkę szczypta po szczypcie. Oddychając nieco szybciej z przejęcia, Willadene postawiła ją obok tej, którą wyjęła z koszyka. Na pewno nie różnią się wyglądem. I musi wierzyć, że postąpiła słusznie. Prędko ponownie zapakowała koszyk z obawy, iż mogłaby zmienić zdanie.

O dziwo, kiedy umieściła pierwszą szkatułkę na niższej półce, wsuwając ją jak najgłębiej, poczuła tak wielką ulgę, jakby Halwice stała w izbie, obserwując ją, i dała znak, że dobrze zrobiła.

Jeżeli ma otworzyć sklep wraz z drugim dzwonem, musi teraz odpocząć. Nie wie, kiedy zielarka wróci z zamku. Wyglądało na to, że Willadene będzie musiała zajmować się sklepem dłużej niż tylko przez jeden dzień. A jest naprawdę zmęczona. Kiedy położyła odzienie na stołku i wśliznęła się do swojego łóżka, podniosła amulet do nosa, by unieszkodliwić w ten sposób wszystkie zapachy, które przeszkadzałyby jej zasnąć. On też wydzieliał słabą woń innego człowieka. Przypomniała sobie Nicolasa. Vazul wydawał się bardzo pewny, że zagwarantuje mu dobrą ochronę, natomiast Halwice została, gdyż miała dopilnować, by przeniesiono go do nowej kryjówki. A co jeśli miecz lub nóż odbierze mu życie? I dlaczego? Zrozumiała, że Nicolas potajemnie służy kanclerzowi. Ale... Czy zamknęły się jej same i zasnęła.

Rano obudził ją pierwszy dzwon. Najpierw spojrzała na łożo Halwice z nadzieją,



że zobaczy zielarkę w pościeli. Niestety, było gładko zasłane. Poczwała wilczy głód, który stawał się coraz większy, kiedy się myła i ubierała. Wczorajsze mdłości zniknęły.

Kasza smażyła się w rondlu i Willadene zorientowała się, że powtarza starą rymowanekę z któregoś ze starożytnych zielników:

*Dobre dla dorosłych  
I dobre dla dzieci.  
Niech im wszystkim zawsze  
Jasna Gwiazda świeci.*

Powtórzyła ostatni wiersz, przełożyła smażoną kaszę na talerz i sięgnęła po syrop z jagód, by dodać jej smaku. Po spożyciu tego solidnego posiłku uznała, że jej brzuch nie ma powodów do dalszego protestu. Następnie zajęła się pracami domowymi przed drugim dzwonem i zaczęła się zastanawiać, co przyniesie jej ten nowy dzień.

Kiedy opuściła żaluzje i otworzyła drzwi, dręczył ją niepokój. Halwice nie pozostawiła na łupkowej tabliczce żadnego z prostych poleceń, które dziewczyna umiała wykonać. Nie mogła też pielic ogrodu z obawy, że jakiś klient nie zastanie jej w sklepie.

Jednakże już po kilku chwilach była bardzo zajęta. Przyszła pierwsza klientka. Willadene wymieniła pozdrowienia ze służącą piekarza — ślady mąki na okrągłym policzku dziewczyny świadczyły o jej zawodzie.

Realie przyniosła nowiny, którymi pragnęła się podzielić.

— On pojmał Czerwonego Wilka, zabił go jak nędznego owada! — zarechotała. — A teraz książę zaprosił go do Kronengredu na uroczystość dziękczynną. Niech Gwiazda ma nas w swojej opiece! Mistrz ze wszystkich sił stara się wymyślić nowe słodczyce, ponieważ będą tłumy i zabawy...

Nadal gadała, kiedy po zamówiony towar przyszedł pomocnik doktora Kempa, młodzieniec o poważnej twarzy. Dodał kilka makabrycznych szczegółów, które rzekomo przekazał mu pełniący wartę przy bramie strażnik grodzki, o pościgu wysłanym za pozostałymi przy życiu górskimi rozbójnikami.

I tak minął ranek. Willadene uważała, że większość nowin, które usłyszała, ma niewiele wspólnego z prawdą. Tylko dwie wydawały się pewne. Książę Lorien przeprowadził swoich ludzi przez granicę Kronenu i zdobył najsilniejszą twierdzę rozbójników, a teraz — jako zwycięzca — został zaproszony do Kronengredu. Pismo w tej sprawie przywiózł mu wysłannik Uttobrica.

W końcu odebrano wszystkie zamówienia, chociaż od czasu do czasu sklep ponownie napełniał się klientami, którzy chcieli zasięgnąć najnowszych informacji. Szczególnie często wypytywano panią Lowfard, ponieważ jej brat należał do oddziału strażników pilnujących bram miasta. A ponieważ nie powiedziała wiele, jej nieliczne wypowiedzi zrodziły różne koncepcje.

Pozostał tylko koszyk przeznaczony dla Jej Wysokości Mahart. Kreda Willadene zgrzytnęła na łupkowej tabliczce, kiedy wreszcie została sama. Ale nie na długo, gdyż do sklepu wszedł buńczucznie paż z zamkową odznaką.

— Jej Wysokość Mahart czeka na swój koszyk. — Paż oparł się o ladę i obejrzał swoje paznokcie, jakby ich wygląd był ważniejszy od powierzonego mu zadania. — Niecierpliwi się... — Podniósł oczy na Willadene z chytrym uśmiechem. — Z pomocą pewnych napojów masz zrobić prawdziwą piękność ze szkieletu powleczonego skórą, w każdym razie tak się mówi.

— Koszyk twojej pani stoi tutaj.

Po całym dniu krzątający denerwowała ją jego beczelność. Paż rzucił na ladę

małą sakiewkę wyszywaną jedwabiem i sięgnął po koszyk, przesadnie wachając jego zawartość, gdy przysunął go do siebie.

— Twoja pani będzie miała mnóstwo pracy. — Willadene zauważyła, że z namysłem przyjrzał się towarom w koszyku. — Przecież księżę Lorien przybywa na wielki bal i w ogóle. Wielkie wydarzenia czekają nas wszystkich — ciągnął.

— Tak mówiła większość klientów — odparła Willadene. — Zlecono ci jeszcze jakieś inne zadanie?

Chciała się pozbyć tego zadziornego chłopaka, strojnego w kaftan z herbem swego rodu i najwyraźniej zbyt pewnego siebie. Dzień bardzo jej się dłużył i była już zmęczona. Słuchała go tylko dlatego, że przybył z zamku. Może nawet rozmawiał z Halwice, miał do przekazania jakieś przesłanie od zielarki i drażnił się z jej uczennicą dla psoty?

— Tak, pani Zuta poleciła mi przy okazji przynieść szkatułkę z kremem. Chociaż jest wysoko postawiona i potężna, na razie jeszcze nie wysyła nikogo na posyłki dla siebie.

Zuta — pierwsza dama dworu Jej Wysokości Mahart. Willadene słyszała dostatecznie dużo plotek, by znać przynajmniej jej imię. Ale na ladzie na żadnym z przygotowanych na zamówienie wyrobów Halwice nie widniało imię tej dworki.

— Moja pani nie zostawiła takiego zamówienia — odrzekła.

— Może o nim zapomniała. — Paż wzruszył ramionami. — O ile wiem, twoja pani ma teraz wiele trosk. Leczy samego Vazula. Kanclerza powaliła zimnica.

Willadene zdawała sobie sprawę, że ten zuchwały młokos obserwuje ją uważnie, choć pozornie utkwiał spojrzenie półprzymkniętych oczu w kobiałce dla księżniczki.

— Moją panią wezwano wczoraj, gdyż jej umiejętności były potrzebne — odpowiedziała spokojnie. — Nie wiem jednak do kogo. Jeśli kanclerz choruje, oby Gwiazda szybko przywróciła mu zdrowie.

Paż parsknął śmiechem.

— Och, wcześniej czy później na pewno znów będzie kroczył wśród nas dumnie z tym swoim diabelskim stworkiem wokół szyi. Może powinien na niego uważać, bo kiedyś zaciśnie mięśnie i udusi go. — Podniósł koszyk. — Mam zatem powiedzieć pani Zucie, że nic nie wiadomo o jej zamówieniu. A może ty coś wiesz?

— Nie ma go tutaj — odrzekła dziewczyna. — Moja pani na pewno przygotowuje, co trzeba, zaraz po powrocie.

Chłopak znów zachichotał.

— Teraz połowa dam z zamkowych wież będzie przysyłała swoje własne zamówienia. Chociaż sądząc po ich wyglądzie, potrzebowałyby samego Władcy Serc, żeby osiągnąć to, czego pragną — legalnie poślubionego królewicza w swych łóżach. Im bliższy będzie dzień przybycia naszego bohatera, tym więcej pracy czeka twoją panią.

Otwarcie drzwi, gdy wziął wreszcie koszyk i wyszedł. Willadene zdawała sobie sprawę, że w jego drwinach kryło się źdźbło prawdy. Po przybyciu księcia Loriena na pewno wzrosną obroty w handlu luksusowymi towarami. Zamówione zostaną nowe suknie, starsze odesłane do odświeżenia nowymi haftami i koronkami, klientki wykupią mnóstwo ziół i wonności ze sklepu Halwice.

Władca Serc, wciąż miała w pamięci tę nazwę. Odszukała stary zielnik i doczytała do końca opowieść o tym niezwykłym kwiecie. Gdyby taka roślina naprawdę istniała, na pewno ludzie by na nią natrafili w ciągu wieków, które upłynęły od jej odkrycia. Może cała ta historia w istocie jest zaszyfowaną opowieścią o jakimś amulecie i tajemnica w niej zawarta już dawno zaginęła?

Zielnik otworzył się niemal sam na stronie, nad którą biedziła się tyle razy. Pismo na niej było nie tylko niewyraźne i wyblakłe, lecz w dodatku nieznaną autor użył

terminów tak starych, że dziewczyna musiała szukać ich znaczenia w innych księgach, a niektórych dotąd nie przetłumaczyła.

Przesuwała palcem wzdłuż brzegu najważniejszej stronicy, kiedy dokonała nowego odkrycia — że ta pergaminowa karta jest grubsza od poprzedniej i następnej. Willadene właśnie przysunęła bliżej stojącą na półce lampę i zamierzała zapalić drugą, kiedy drzwi sklepu znów się otwały.

Tego smrodu nigdy nie zapomni! Dziewczyna wsunęła księgę pod ladę i odwróciła się w stronę Figisa. Wydawało się, że znów awansował w zewnętrznym świecie, choć wciąż zalatywał dawnymi kuchennymi zapachami. Tak jak ostatnim razem nosił porządniejsze ubranie, zamiast niegdysiejszych łachmanów, ale wcale nie było czyste, gdyż plamy po piwie szpeciły kaftan. Grzywę rozczochranych włosów częściowo przystrzyżono, a na górnej wardze młodzika Willadene dostrzegła kilka włosków, o które dbał lepiej niż o resztę swojej osoby.

Zatrzymał się w drzwiach z rękami na biodrach; jedna ręka wyraźnie wskazywała na ukryty w pochwie brzeszczot, który bardziej przypominał krótki miecz niż zwykły nóż do jedzenia, jakie nosili wszyscy mężczyźni wolnego stanu. W takim razie... Figis zakończył służbę w karczmie. Jacoba zbiłaby go na kwaśne jabłko, gdyby odważył się pokazać z nożem tam, gdzie ona rządziła.

Wciągał głęboko powietrze do płuc, węższąc, a potem wykrzywił usta, jakby chciał splunąć, ale się nie odważył.

— Pana Wyche'a boli brzuch — oświadczył. — Chce na to jakieś lekarstwo. Gdzie jest twoja pani, dziewczyno?

— Zajmuje się ciężko chorym pacjentem — odpowiedziała Willadene, jak robiła to przez cały ten dzień. — A co do choroby pana Wyche'a...

Nie odwróciła się do Figisa całkowicie plecami, jak może tego pragnął, ale szybko wyjęła z szuflady jeden z pakiecików, jakie zielarka zawsze trzymała w pogotowiu.

— Kosztuje dwa miedziaki — powiedziała, kładąc lekarstwo na ladzie.

Chciała pozbyć się go ze sklepu. Wyczuwała bowiem ślady smrodu zła, który zawsze bił od tłustego cielska Wyche'a. Wprawdzie w przeszłości Figis był zawzięty i okrutny z natury, ale teraz jakoś się zmienił.

Chłopak położył miedziaki na ladzie i chwycił paczuszkę.

— Twoja pani posiada głęboką wiedzę tajemną — uśmiechnął się szeroko, ukazując złamany ząb. — Miej nadzieję dziewczyno, że to jej nie zabije.

Willadene nie dowiedziała się, co się kryło za tą dwuznaczną groźbą, gdyż wieczorny dzwon zadźwięczał nad ich głowami, wprawiając w drżenie ściany sklepu. Figis wyglądał na zaskoczonego i szybko zniknął w mroku. Willadene po opuszczeniu żaluzji sięgnęła po ukryty pod ladą zielnik i zamknęła drzwi na sztabę. Z księgą pod pachą poszła na zaplecze, starając się zapanować nad niepokojem, który ogarnął ją po słowach Figisa.

Nie tylko Mahart miała spać głębokim snem tej nocy i zapamiętać to, co jej się przyśniło. Może to bogactwo zapachów otaczających ją przez cały dzień zaprowadziło Willadene do jej własnego, głęboko ukrytego, całkowicie prywatnego zakątka. Miała wrażenie, że tej nocy jest on tak prawdziwy jak ona sama: czuła bowiem pod rękami miękki mech i słaby wietrzyk muskający jej ciało. Leżała wyciągnięta jak na swoim łóżku, lecz twarzą do ziemi, na skraju jakiegoś zamkniętego przez skały uskoku. Choć była to noc, dziewczyna widziała wszystko tak wyraźnie, jakby miała kocie oczy — i jeszcze wyraźniej wyczuwała piękny zapach.

Szczelina, z której wystawała jej głowa, była wąska; nie chciało jej się wierzyć, że zdołała się jakoś do niej wcisnąć. Jeszcze niżej rozlewał się słaby blask i kiedy utkwiała w nim oczy, wydało się jej, że staje się on znacznie mocniejszy.

Blade światło tli się daleko w dole, stwierdził jakiś fragment jaźni Willadene, i uwierzyła w to, gdyż tylko dzięki dziwnie wyostrzonemu wzrokowi mogła dostrzec kwiat na wysokiej, prostej łodydze okolonej rozłożonymi jak wachlarz liśćmi. Nie miał jednolitego koloru, choć wydawał się blady niczym księżycowa poświata, gdyż słabiutkie, wielobarwne cienie falowały na jego płatkach. Kształtem przypominał lilie, które tak starannie namalowano w księgach Halwice, a jego serce ukrywały złożone w pąk płatki.

To serce niezwyklego kwiatu... Nawet z dużej odległości między dnem szczeliny a skalną grzędą do nozdrzy Willadene dotarł zapach tak upajający, iż mogłaby uwierzyć, że Gwiazda pobłogosławiła ją kwiatem, jakie czekają w przyszłym życiu na ludzi dobrej woli.

Najchętniej leżałaby tam, zapominając o czasie. Jednak wbrew woli dziewczyny jej ciało zebrało się w sobie i wyprostowało, aż stwierdziła, że siedzi i widzi szczelinę z cudownym kwiatem tylko jako ciemną linię; nie dostrzegała już jego słabej poświaty, choć nadal miała wyostrzony wzrok. Później wydało się jej, iż jakaś moc odwróciła ją łagodnie, tak że ujrzała stos zwalonych kamiennych bloków porośniętych pnączami, porozrywanych przez drzewa. Nie, to były olbrzymie paprocie! Zrozumiała, że miała widzenie, wizję, o jakich słyszała — że zobaczyła coś, co wydarzy się w przyszłości.

Mahart w swojej komnacie w wieży również myślała o innym świecie. Otrzymała nową porcję niezwyklego kadzidła i czuła, że koniecznie musi tam dotrzeć tej właśnie nocy. Nic o tym nie powiedziała ani Zucie, ani Julcie, udając, że bardzo chce jej się spać. Kiedy jednak drzwi komnaty się zamknęły i świeciła tylko jedna nocna lampa, księżniczka wyśliznęła się z wielkiego łoża.

Przez chwilę stała, wpatrując się w zapamiętany odcinek ściany. Za dnia miała dziwne uczucie, że nie powinna mówić nikomu o tym, co tam usłyszała — albo wydawało się jej, że słyszy. Teraz jednak nie przejmowała się dziwacznymi odgłosami z ukrytych w ścianach korytarzy. Postawiła przenośny piecyk obok swego łoża i wsypała na węgle kilka łyżek kawałecznego proszku ze szkatułki przysłanej ze sklepu Halwice. Proszek zapalił się szybko i Mahart siedziała przez moment na brzegu łoża, przyglądając się kłębowi wonnego dymu, zanim skuliła się w pościeli i z determinacją zamknęła oczy.

Czas nie grał żadnej roli w jej snach. Nigdy nie wiedziała, ile upłynęło chwil lub godzin, zanim stanęła na ukwieconej łące. Tak, stanęła, gdyż tej nocy w pełni zdawała sobie sprawę, że ma ciało; nie musiała nawet się dotknąć, by się o tym przekonać. Jednocześnie wszystkie kolory wydawały się jej jaśniejsze, jaskrawsze, choć nie czuła

ciepła słońca, które przecież musiało płynąć gdzieś po niebie nad jej głową.

Słyszała ptasie pieśni, a wokół niej latały tak wspaniale ubarwione motyle, jakich nigdy nie widziała, zupełnie inne od kilku wyblakłych, skrzydlatych stworzeń, dostrzeganych czasami w ponurym zamkowym ogrodzie różanym.

Nie interesowały jej jednak kwiaty, ptaki czy motyle, które uczyniły ten sen prawdziwszym od innych. Nie, chodziło o to, iż miała pewność, że nie jest już sama. Kiedy jednak szybko obróciła się wokoło, nie zobaczyła nikogo, tylko zagłębienie na skraju łąki, gdzie kępa drzew wyrastała z kwietnego dywanu.

Podniosła ręce do góry i machnęła nimi w powietrzu z nadzieją, że dotknie tego, czego nie mogła zobaczyć. Na oślep szukała kogoś, kto również przybył na łajce z jej snów.

Wyglądało to tak, jakby pragnęła czegoś, czego nie umiała nazwać — może ciepłego uczucia, którego nigdy dotąd nie zaznała? Mahart nie wiedziała, co to takiego. A przecież z czasem znajdzie to, czego szuka, przysięgła sobie w najgłębszym zakamarku swojej jaźni — zdeterminowana, że nic jej nie zmusi do zaprzestania poszukiwań. I w tej samej chwili, kiedy sformułowała to pragnienie, łąka ze snu zniknęła.

Początkowo była zdezorientowana, jak zwykle, gdy nagle obudzimy się ze snu, i rozejrzała się wokoło w mroku. Znajdowała się w swojej sypialni w wieży. Walnęła pięściami w kołdrę. Nie! Nie! Została zabrana stamtąd w taki sposób... Chociaż nie płakała od wielu lat, kiedy po raz pierwszy odkryła, iż nikogo nie obchodzi, że coś sprawia jej ból, teraz poczuła łzy spływające po policzkach.

W tej właśnie chwili znów rozległ się ten sam dźwięk, który wyrwał ją najśrodszego ze snów. Gwałtownie odwróciła głowę ku ścianie. Najpierw usłyszała szelest, a potem ostry szczęk, jakby metal uderzył o kamień. A przecież nie widziała nic oprócz trzech wypłowiałych, tkanych w kwiaty kwadratowych gobelinów, które otaczały ją przez całe życie, odkąd tylko mogła sięgnąć pamięcią.

Gobeliny nie pokrywały całej ściany. Między nimi ciemniała rzeźbiona boazeria. Mahart wśliznęła się w obsyty futrem szlafrok i wsunęła stopy w kapcie. Później zapaliła jedną ze świecących mocniej lamp i podeszła do podejrzanej ściany.

Odsunęła ramieniem wiszący pośrodku gobelin, tłumiąc kichnięcie, gdyż otoczył ją tuman kurzu, i przyłożyła ucho do tego pasa boazerii. Nie, nie myliła się. Po raz drugi usłyszała, choć znacznie słabszy, zgrzyt metalu o kamień.

O dziwo, zamiast strachu ogarnął ją gniew. Jeżeli ktoś chodził po korytarzach ukrytych w ścianach jej sypialni, czy w przeszłości szpiegowano ją przez jakieś tajemne otwory? Spochmurniała. Na tę myśl jej gniew zamienił się we wściekłość.

Mahart zbliżyła lampę do pociemniałej ze starości boazerii. Wyrzeźbiono w niej proste wzory: winorośl biegła brzegiem drewnianej płyty, a środek zdobił pęk kwiatów. Teraz jednak, gdy tak wpatrywała się w boazerię, uznała, że bardziej przypomina ona coś w rodzaju drzwi niż ozdobę kamiennego muru.

Przypomniała sobie przeczytane legendy, które tak ją oczarowały, i zaczęła metodycznie naciskać każdy liść winorośli, do którego mogła dosięgnąć, uderzać mocno w kwiaty. Jeśli jest tu gdzieś ukryte wejście do tajemnych korytarzy, musi je odkryć dla własnego bezpieczeństwa.

Fragment boazerii uparcie pozostawał nieruchomy. Księżniczka postawiła lampę na stojącym najbliżej kufrze i zaczęła wsuwać paznokcie pod brzeg samej płyty. Po złamaniu drugiego paznokcia zrozumiała, że nie tędy droga. Wzięła nożyczki z toaletki, próbując wcisnąć ich ostre końce we wszystkie możliwe szczeliny.

Owładnął nią upór — dowie się, co się kryje za płytą. Dziabnęła nożycami trzykrotnie, zanim przyszedł jej do głowy inny pomysł. Tym razem wzięła z toaletki słoik z pachnącym kremem.

Nie do końca rozumiała, do czego jej się może przydać krem, ale przypomniwała sobie wzmianki o zamkach i zawiasach, otwierających się po naoliwieniu. Stopniowo przesuwała czubek nożyc wzdłuż brzegu drewnianej płytki i musiała porządnie wyciągnąć ręce, by sięgnąć do linii, która pojawiła się w górze. Później jeszcze raz użyła ostrego zakończenia nożyc na prawym skraju boazerii. Omal nie wydała triumfalnego okrzyku, kiedy coś niechętnie ustąpiło pod naciskiem. Lecz zamiast dalej próbować, księżniczka z nożycami w dłoni podeszła do drzwi komnaty. Wprawdzie Julta nigdy nie wchodziła do sypialni swojej pani bez wezwania, ale zawsze istniała możliwość, że nie zamknięte drzwi mogą ją zdradzić — dlatego zasunęła zasuwkę.

Gdy po raz drugi przesunęła nożycami po widocznej teraz wyraźnie szczelinie, otworzyła ją jeszcze szerzej. Na wysokości ramienia Mahart nożyce uderzyły w jakąś zapórę, zaczęła więc nimi kręcić, pchać, dziabnąć. Jednak chyba tylko przez przypadek otworzyła ten starożytny zamek. Nożyce nieoczekiwanie zagłębiły się, więc energicznie pociągnęła je ku sobie.

Wtedy rozległ się tak głośny dźwięk, że omal się nie skuliła, ale ani się nie cofnęła, ani nie poniechała prób otwarcia sekretnych drzwi. Ostry zgrzyt zakończył się trzaśnięciem. Płyta otworzyła się i uderzyła księżniczkę, odrzucając ją w stronę łoża. Dysząc ciężko, Mahart wpatrzyła się w to, co odkryła.

W ścianie rzeczywiście ział otwór, może nie tak duży jak normalne drzwi do tej komnaty, ale na pewno pełnił tę samą rolę. Drżała teraz lekko z podniecenia i niepokoju przed nieznanym.

Z lampą w jednej i nożycami w drugiej ręce zmusiła się, by zajrzeć do ciemnej dziury. Za tajemnymi drzwiami ciągnął się bardzo wąski korytarz. Nawet w słabym świetle lampy widziała, że podłogę pokrywa gruba warstwa kurzu. Lecz coś poruszyło, przemieściło ten kurz, a z nierównego muru w górze zwisała porwana pajęczyna. Mahart zagłębiła głowę i ramiona w mrocznym otworze i ujrzała, że chociaż korytarz biegnie wzdłuż wewnętrznej ściany jej sypialni, niedaleko od niego jakieś schody prowadzą w górę. Wróciła do komnaty i usiadła na brzegu łoża, by się zastanowić.

Ostrożność nakazywała jej wezwać najbliższego gwardzistę i zażądać dokładnego przeszukania odkrytego przez nią sekretnego przejścia. Ale co, jeśli przypadkiem natknęła się na jedną z tajemnic jej ojca? A jeżeli wcale nie jest mu tak obojętna, jak sądziła, i rozkazał, by ktoś czuwał nad nią z tego korytarza?

Uważał ją za narzędzie, z pomocą którego zamierzał umocnić swoją władzę, i księżniczka dobrze o tym wiedziała. Z drugiej jednak strony, Vazul, który podczas spotkań z Mahart okrężną drogą uzupełniał jej wiedzę o intrygach dworskich, dał jej wyraźnie do zrozumienia, iż jej ojciec sądzi, że wielmoże tylko go tolerują i że w każdej chwili mogą się zbuntować.

Nie mogła sobie wyobrazić pani Saylany śledzącej ją z takiego tajemnego przejścia w ścianie. Bez wątpienia miała ona jednak, tak jak Vazul, własnych szpiegów, którzy donosili jej o wszystkim.

Mahart szybko powzięła decyzję. Jeśli zewsząd otaczają ją jakieś tajemnice, będzie miała kilka własnych sekretów. Może nawet okażą się jej tak potrzebne, jak miecz i tarcza gwardziście; nie zamierzała na razie dzielić się nimi z kimkolwiek.

Prędko zdjęła z siebie nocny strój, zamiast tego włożyła bryczesy, które zwykle nosiła pod spódnicą — spodniami, grubą koszulę — gdyż powietrze w tajemnym korytarzu było zimne — i pikowany kaftan myśliwski.

Nie umiała się posługiwać żadną bronią oprócz noża, wybrała więc najdłuższy i najbardziej śmiertelny nóż myśliwski i nawet nie próbowała schować go do pochwy. Po raz drugi podeszła do drzwi sypialni, sprawdziła, czy są zamknięte na

zasuwkę, i wcisnęła w nią dodatkowo długą szpilkę ze stolika do robótek.

Wzięła największą lampę z wygodnym uchwytem i zapaliła ją, upewniwszy się najpierw, czy w środku jest olej. Z lampą i nożem w dłoniach zapuściła się w nieznaną.

Mogła pójść w lewo lub w prawo. Szybko wybrała prawą stronę i schody, które widziała w pobliżu. Tumany kurzu wzbity się spod jej nóg i raz mignęło jej światło z prawa — wtedy szybko przyłożyła oko do otworu, którego istnienia się domyśliła.

Światło było bardzo słabe, ale ujrzała dwa składane łóżka. Jedno było puste i nieużywane, a na drugim, skulona, spała Julta! W ten sposób Mahart zorientowała się, że dotarła na drugie piętro swojej wieży. Schody jednak prowadziły wyżej i poszła nimi, starając się stąpać i oddychać jak najciszej. Zatrzymała się prawie w pół kroku. Usłyszała nad sobą jakieś dźwięki. Na pewno były to głosy, ale tak stłumione, że nie mogła rozróżnić słów. Wyteńczywszy słuch, starała się coś zrozumieć. Nie udało jej się to, nie widziała też światła w górze... Ktokolwiek tam czekał, nie znajdował się na schodach, którymi szła.

Mahart wzięła głęboki oddech. Może łatwo się wycofać. Nie wątpiła, że zdoła ukryć wszelkie ślady tej nocnej wyprawy. Ale nie potrafiła zrezygnować z tego, żeby się dowiedzieć, kim są ci nocni wędrowcy.

Pokonała trzy stopnie do góry. Teraz rozmowa stała się głośniejsza, lecz docierała z prawa, na pewno zza ściany, którą co jakiś czas księżniczka muskała ramieniem. Jeszcze raz dostrzegła oświetlony otwór do zagłądania i zaniechała ostrożności.

W tej komnacie było więcej światła. Zapewne pełniła rolę magazynu wypełnionego skrzyniami i kuframi; odsunięto je na bok, by przygotować miejsce na podłodze — która nie była zakurzona. Dwie skrzynie, ustawione jedna na drugiej, tarasowały normalne drzwi. Najwidoczniej ludzie znajdujący się w tej komnacie przychodzili i wychodzili przez ukryte wejście.

I na pewno ktoś użytkował to pomieszczenie. Pewną liczbę lamp podkreślonych tak, by dawały jak najwięcej światła, ustawiono w dość regularnych odstępach wokół zamiecionego miejsca na podłodze. Środek zajmowało grube pościelone ułożone z wyblakłych i nawet podartych kołder. Leżał na nim jakiś mężczyzna.

W pobliżu jego głowy, na wieku skrzyni, stała cała bateria butelek i jeden lub dwa słoiki, z których większość była otwarta. Klęcząca u boku nieznanego mężczyzny kobieta najwidoczniej, jak przypuszczała Mahart, opatrywała mu ranę. Pomagał jej w tym nie kto inny jak sam Vazul, który podnosił i przewracał ciało mężczyzny zgodnie z jej poleceniami.

Uzdrowicielka przywiązała ostatni bandaż i usiadła na piętach. Mahart po raz pierwszy ujrzała ją wyraźnie — to była Halwice! A Vazul, którego miała leczyć, sam pielęgnował innego mężczyznę pod jej kierunkiem.

— Skończyłaś wreszcie z rozszarpywaniem mnie na strzępy, pani? I jaki jest twój werdykt... Kiedy Nietoperz znów będzie mógł polecieć?

— Sam masz dość zdrowego rozsądku, by odpowiedzieć sobie na to pytanie, młodzieńcze — odpowiedziała swemu pacjentowi. — Przenosząc cię tutaj, pogorszyliśmy trochę twój stan. Zajmiesz się swoimi sprawami, kiedy Gwiazda przywróci ci zdrowie.

Leżący na pościeli ranny odwrócił głowę. Mahart była pewna, że nigdy dotąd nie widziała tej twarzy, częściowo zasłoniętej ciemnym, kilkudniowym zarostem. A przecież nieznanemu leżał w samym sercu zamku i pielęgnowała go nie tylko Halwice, lecz także osobiście kanclerz Vazul. Jest młody, pomyślała, i niebrzydki, choć zaniedbany.

Oczywiście, nie znała wszystkich sług swego ojca — tylko tych, których kiedyś zobaczyła — a leżący w zagraconej komnacie mężczyzna mógł być nawet nieznanym

jej dworzanimem.

Tylko dlaczego ukryto go tutaj, w pomieszczeniu na samym szczycie wieży, w której zawsze mieszkały księżniczki? Nie mogła uwierzyć, że nawet Vazul sprowadziłby go tutaj potajemnie bez wiedzy jej ojca.

Halwice odwróciła głowę i rozglądała się, aż natrafiła wzrokiem na otwór, przez który podglądała ich Mahart. Po wyrazie jej twarzy dziewczyna natychmiast się zorientowała, że została zauważona. Zanim zdążyła wstać, gdyż dotychczas kuliła się przy otworze, zielarka szybko zrobiła dwa kroki i dotarła do przeciwległej ściany.

Rozległ się głośny szcęk i płycina, o którą opierała się Mahart, odsunęła się tak nagle, że dziewczyna straciła równowagę i runęła do przodu. Halwice chwyciła ją w locie.

Ssssaaa... Zwierzątko Vazula uniosło głowę z pościeli na zaimprovizowanym posłaniu, gdzie leżało, przyglądając się księżniczce błyszczącymi jak klejnoty oczkami.

— Wasza Wysokość... — To kanclerz pierwszy odzyskał mowę. — Jak... — zaczął, a potem się zawahał. Mierzył ją teraz przenikliwym spojrzeniem jak wtedy, gdy podczas rozmów z nią sekretnie zwracał jej uwagę na pułapki zastawiane na dworze.

Halwice puściła ramię Mahart, która natychmiast się wyprostowała. Nie wątpiła, że przypadkiem natknęła się na jakąś tajemnicę, ale na pewno nie zrobiła nic złego i nie pozwoli, by traktowano ją jak skradającą się nocą złodziejkę.

— Znalazłam ten korytarz... — Niewyraźnym gestem wskazała na otwór w ścianie — ...ponieważ usłyszałam stąd jakieś odgłosy.

Zaskoczył ją skutek, jaki te słowa wywarły na kanclerzu i zielarce. Równie dobrze mogłaby powiedzieć, że skierowało ją tu jakieś widmo.

— Odgłosy w ścianie? — Vazul pierwszy przerwał krótkie milczenie. — Jakie to były dźwięki, Wasza Wysokość?

— Przypominały ocieranie czegoś o ścianę, a dzisiejszej nocy szcęk, jaki wydaje stal, uderzając o kamień.

— Mówisz o dzisiejszej nocy — wtrąciła Halwice. — To znaczy, że już wcześniej coś takiego słyszałaś? Tak głośnego, że cię obudziło... ? — Szybko ukryła zaskoczenie, ale Mahart zdążyła je zauważyć.

— I metal uderzający o kamień...

To przemówił kanclerz. Teraz, gdy księżniczka widziała go wyraźnie, uświadomiła sobie, że ma on u pasa tylko zwykły nóż i że musiałby niezle się nagimnastykować, żeby uderzyć nim o kamienny mur.

— Tajemnica przestaje być tajemnicą? — Mężczyzna, którego tak niedawno opatrywało tamtych dwoje, uniósł się na posłaniu i utkwiał bystre szare oczy w księżniczce. — Czy uciekniemy teraz chyłkiem do innej nory?

— Pani... — Vazul spojrzał na Halwice — co twoje umiejętności mogą nam podpowiedzieć?

— Nie tak wiele, jak byśmy tego chcieli. Na pewno mam talent, ale nie taki, jakim jest dobry węch.

— Zrób, co potrafisz — polecił Vazul. Nie był to rozkazujący ton, raczej wydawało się, że zwraca się do równej sobie stanem osoby zaangażowanej w to samo przedsięwzięcie.

Halwice przecisnęła się obok Mahart, pochyliła się i weszła do tajemnego korytarza. Wszyscy obecni w komnacie znieruchomieli. Sądząc po docierających odgłosach, wydawało się, że zielarka zeszła w dół o jeden lub dwa stopnie, a potem weszła dwa stopnie wyżej na schody, które musiały prowadzić na dach.

— Ssssaaa!



Ulubienica Vazula przemknęła obok księżniczki i zatrzymała się w sekretnych drzwiach. Unosząc wysoko wąską główkę osadzoną na długiej szyjce, zwróciła ją pod niemożliwym dla człowieka kątem.

Później Halwice wróciła i zwierzątko odeszło na bok, dając jej wolną drogę.

— No więc? — spytał Vazul.

— Tak, tam były inne osoby, przynajmniej dwie — powiedziała z widoczną niechęcią zielarka. — Nie umiem jednak ich wywęszyć. Tylko... — urwała, a potem mówiła dalej monotonnym głosem — ...tylko Willadene mogłaby wyczuć ich zapach. Jak już ci mówiłam, kanclerzu, ktoś tak utalentowany rodzi się raz na sto lat. Wielu potrafi rozróżnić odrębne zapachy za jednym razem, ale jak wiesz, ona jest w stanie wyczuć z daleka odór zła.

— Umie też dobrze walczyć młynkiem do pieprzu — dodał ranny ze śmiechem, choć głos drżał mu lekko. — Tylko co miałyby zrobić? Ustawić rzędami wszystkich dworzan i sługi i wywęszyć winnych? Słyszałem dawne opowieści, że w ten sposób polowano na czarownice, ale to było przed wiekami.

— Nie... — odparła powoli Halwice. — Musimy jednak uwzględnić w naszych planach na przyszłość wydarzenia, które miały miejsce dzisiejszej nocy. Wasza Wysokość — teraz zwróciła się bezpośrednio do Mahart — w przeszłości wysłałaś do mnie wiele zamówień. Teraz czekają nas różne uroczystości i zabawy. A gdybyś poprosiła Jego Księżęcą Mość, żebym to ja dostarczała ci wszelkie dostępne wonności i perfumy? Wtedy wyślę do ciebie Willadene z zamówioną przesyłką i będziesz mogła przyjąć ją na swój dwór jako eksperta w tej materii, przynajmniej na jakiś czas. O ile znam Jej Wysokość Saylanę, pierwsza zauważy taki dodatek do twoich dworek i bardzo będzie chciała się dowiedzieć, jakie nowe towary oferuje. Jeśli jednak wyrazisz zgodę, muszę cię ostrzec, Wasza Wysokość. Już kilkakrotnie dobierano się do moich wyrobów i tylko dzięki czujności Willadene usunęłam zagrożenie. Zielarstwo to bardzo starożytna wiedza i ma również swoją ciemną stronę — może zarówno zabijać, jak i leczyć. Jeżeli zgodzisz się na ten plan, chciałabym ci doradzić, żebyś nie ruszała żadnej z tych mieszanek, których Willadene nie uzna za nieszkodliwe.

Vazul skinął głową. Ssssaaa znowu wdrapała się na jego kołnierz. Na twarzy kanclerza malowało się głębokie skupienie.

— Wydaje się, że twoja propozycja, pani, jest dla nas najlepszym rozwiązaniem. Wasza Wysokość?

— Tak, zgadzam się, ale nie podobają mi się korytarze i schody w ścianach, przez które można łatwo dotrzeć do moich komnat.

Jeżeli sama Halwice poleca tę dziewczynę, Mahart gotowa była jej zaufać i uwierzyć w przypisywane jej moce. Poczuli się jednak narażona na coś, czego nie umiała nazwać po imieniu, kiedy pomyślała o płycinie, którą otworzyła pod wpływem nagłego impulsu. Denerwowało ją, że w ścianach, uważanych przez nią dotychczas za bezpieczne, kryją się tajemnice większe niż przypuszczała.

— Możemy to naprawić, Wasza Wysokość. — Vazul skinął głową. — Znamy sekretne zamki tych drzwi. Dlatego nie musisz się niczego obawiać. Już prawie rano. Kiedy twoja pokojowa przyjdzie cię obudzić, znajdzie list, a w nim wiadomość, że podczas gdy ty będziesz jadła śniadanie z Jego Księżęcą Mością, do twojej sypialni przyjdą robotnicy. Zainstalują dla ciebie specjalną nową komodę, ponieważ z konieczności musi się powiększyć twoja garderoba. Komoda ta całkowicie zabarykaduje tajemne wejście, tak że potrzeba będzie całej brygady robotników, by znowu je otworzyć. Najpierw jednak otynkują ścianę.

Spojrzał na młodzieńca leżącego u jego stóp. — Tobie również musimy zapewnić bezpieczeństwo. Ponieważ tajemnica tego przejścia znana jest poza naszym kręgiem,

umieścimy cię tam, gdzie nikt cię przypadkowo nie odkryje — w moich własnych komnatach. Będę bowiem udawał, że niedomagam przez dzień lub dwa, aż ponownie staniesz na nogi. Wasza Wysokość, czy zechciałabyś wrócić do swojej sypialni...

Mahart poczuła się urażona. Mówił do niej tak, jakby była dzieckiem, któremu kazał grzecznie się zachowywać. Wygląda jednak na to, że nie mam nic więcej do roboty w grze, w którą gra Vazul, pomyślała. I z zaskoczeniem przypomniała sobie, że musi ukryć ślady swojej własnej działalności. Skinąwszy głową na znak zgody, jeszcze raz precyzyjnie przeszła przez tajemne drzwi i wróciła do swojej komnaty, gdzie pośpiesznie zajęła się tym, co trzeba było zrobić.

Willadene obudziła się, ale później odniosła wrażenie, że zapach z niezwykłego snu przetrwał jej poranne prace, nawet otwarcie sklepu. Halwice pozostawiła na łupkowej tabliczce kilka zamówień na proste leki, których zapasy mogły się wyczerpać. Dziewczyna sporządziła je na jakiś czas przed tym, zanim drugi dzwon zadzwieczył nad miastem. Pragnęła jednak, by zielarka powróciła jak najprędzej. Przecież wie tak mało i klienci zaczęli zadawać pytania, jeżeli zobaczą w sklepie tylko ją samą. Była pewna, że część nie będzie miała zaufania do jej umiejętności, a z pewnością nie zaufają jej doktorzy.

Żaden z lekarzy jednak nie rozpoczął tego dnia od zniszczeń. Willadene wykonała już większość zamówień i przygotowała trzy proste leki, kiedy nagle usłyszała ruch przed sklepem. Chwilę później do środka wszedł młody mężczyzna w paradnym stroju wielmoży w towarzystwie dwóch innych młodzieńców, choć nie tak jaskrawo odzianych.

Rozejrzeli się wokół pogardliwie. Jeden z nich pociągnął za spleciony z łodyg warkocz, powąchał go, skrzywił się i rzucił na podłogę, gdzie jego towarzysz nań nadepnął. Przywódca tej trójki oparł się o ladę i zanim Willadene zdołała zrobić unik, ujął jej podbródek dwoma palcami i podniósł jej głowę. Na jego grubych wargach igrał szydery uśmiech, gdy na nią patrzył.

— Gdzie jest ta stara czarownica, dziewczko? — wybełkotał i choć było dość wcześnie, już bił od niego zapach wina oraz słaba woń czegoś innego — Ciemności — co ją przeraziło.

— Zielarka Halwice — odsunęła się, tak że puścił jej podbródek — została wezwana do zamku. Czym mogę wam służyć?

Młody wielmoża wyszczerzył zęby w złym uśmiechu, a jego towarzysze zrobili to samo.

— Gdybyś nie była brudną dziewczką służebną, moglibyśmy cię przelecieć raz czy dwa — wycedził.

— Takie gadanie, wielmożny Barbricu, do niczego cię nie doprowadzi — skomentował jeden z jego towarzyszy.

— Racja — odparł Barbric. Willadene nigdy dotąd go nie widziała, ale słyszała dostatecznie dużo o jego hulankach, złośliwości i złym traktowaniu ludzi z plebsu, by zrozumieć z rozpaczą, z kim ma teraz do czynienia. — Podobno twoja pani dobrze zna Władcę Serc.

Willadene zebrała całą odwagę.

— Wielmożny panie, to tylko starodawna opowieść. Żaden zielarz ani nie widział, ani nie słyszał o tej roślinie przez ponad trzysta lat.

Barbric podniósł rękę i zanim dziewczyna zdążyła się uchylić, spoliczkował ją tak mocno, że wpadła na zastawioną szafami ścianę; ból szarpał jej policzek.

— Powiedz swojej pani — czarownicy, co chcę dostać, i lepiej, żeby o tym pamiętała. A to na dowód, że nie dam się wyprowadzić w pole... — Skinął nagle głową i jego dwaj towarzysze zmiotli z witryny sklepowej piękne buteleczki, z

których każda była innego rodzaju, i rozbili je na podłodze. Zapach wonności, które się z nich wylały, był tak silny, że kręciło się w głowie. Barbric i jego przyjaciele wyszli ze sklepu, deptając rozbite szkło.

Willadene przyjrzała się zniszczonym kosztownym towarom na podłodze. Czuła mdłości. Przyłożyła rękę do piekącego policzka i zdała sobie sprawę, że nie ma po co wzywać strażników sędziego. Ta trójka na pewno ujdzie sprawiedliwości, prędzej wyrosną im skrzydła i odlecą. Żaden kupiec nie może złożyć skargi na syna Jej Wysokości Saylany. Tak, bywały przedtem wypadki, że pijani młodzi wielmoże pastwili się nad kupcami, ale sprawę tuszował po cichu jakiś odpowiedzialny członek ich Domu, załatwiając wszystko z poszkodowanym poza trybunałem grodzkim. Willadene była pewna, że za to zniszczenie nie będzie rekompensaty.

Poszła powoli na zaplecze po miotłę i kosz i wróciła do pracy. Większe odłamki szkła podniosła, tu przesuując palcami po skrzydle bezgłowego łabędzia, tam zaś oburzając się na widok popękanych płatków. Zamiecenie podłogi zabrało jej trochę czasu. Przynajmniej nie przeszkadzali w tym klienci. Początkowo ją to ucieszyło, a potem zdała sobie sprawę, że mieszkańcy sąsiednich domów i kupcy na pewno rozpoznali tych wandalów i nie chcieli mieć nic wspólnego z ich ofiarą. Bezpieczniej było odwrócić wzrok, gdy jakiś członek Wielkiego Domu pastwił się nad człowiekiem z ludu.

Willadene zamiotła podłogę po raz trzeci, próbując wydobyć najmniejsze odłamki szkła, kiedy wreszcie jakaś postać zastoniła wejście. Dziewczyna szybko podniosła oczy.

Stała tam Halwice w grubej podróżnej oponczy z pękatą torbą leków. Widać było, że już zauważyła koszyk napełniony do połowy odłamkami szkła i porcelany, i puste półki w witrynie.

Willadene poczuła się winna, choć wiedziała, że w żaden sposób nie mogła ochronić tych cennych towarów.

— Przynies mokrą szmatę — poleciła Halwice tak spokojnie, jakby była przyzwyczajona do podobnych katastrof. — Połóż ją na deskach i lekko przyciśnij. W ten sposób wydobędziesz część odłamków, ale uważaj na ręce. Komu zawdzięczamy ten atak i dlaczego?

Zdjęła oponczę i postawiła sakwę na ladzie. Willadene tymczasem poszła na zaplecze po szmatę, którą zanurzyła w wiadrze z wodą i wykręciła. Odpowiedziała na pytanie Halwice dopiero po powrocie.

— Jaśnie wielmożnemu panu Barbricowi, pani. Dobrze dymiło mu się z czuba i miał dwóch towarzyszy. Myślę, że to też wielmoże.

— Podejdz tu, moje dziecko. — Halwice zacisnęła palce wokół podbródka Willadene i zwróciła jej twarz ku światłu.

— Czy to on pozostawił ten ślad na twoim policzku? — zapytała. — Czego szukał?

— Pani, mówił o Władcy Serc. A kiedy odparłam, że to tylko legenda, on...

— Szuka tego? — Halwice spochmurniała, ale Willadene wiedziała, że nie na nią się gniewa. — On lub ta, która go posłała, stają się coraz zuchwalsi, dlatego że urosli w siłę, a może mają teraz mało czasu?

Willadene nie umiała odpowiedzieć na pytania, ponieważ ich nie rozumiała. Nie puszczając jej, zielarka sięgnęła po stojący na pobliskiej półce garnuszek i zębami podniosła pokrywkę. Później zanurzyła głęboko palec w gęstej galarecie i pomazała nią policzek Willadene. Dziewczyna skuliła się z bólu, choć dotknięcie było lekkie; Halwice podtrzymała jej głowę, aż skończyła zabieg.

— Dobrze, że cię tu nie będzie! — powiedziała gwałtownie. — Odłóż tę szmatę z

odłamkami szkła i chodź...

Willadene szybko posłuchała i równie prędko poszła za Halwice do sąsiedniej izby.

— Siadaj i słuchaj uważnie — rozkazała zielarka. — Jest coś, co tylko ty możesz zrobić.

Uklękła przed długą skrzynią. Zaczęła wyciągać z niej pościel i stroje znacznie jaskrawsze niż te, które dotąd nosiła w obecności Willadene — prawie tak, jakby była to garderoba jakiejś damy. Podczas poszukiwań mówiła i Willadene podświadomie przysunęła bliżej stół, na którym siedziała, by lepiej słyszeć.

— Twój talent jest naprawdę potrzebny, dziewczyno, i może mieć wielkie znaczenie. Na pewno jest dość kłopotów do zwęszania, takich, z jakimi już się zetknęłaś w tamtych wieżach górujących nad miastem. Księżę ma swoje tajemnice. Jedną z nich niedawno widziałaś w osobie tego, który dobrze mu służył i omal przez to nie zginął.

— Nicolas? — zapytała dziewczyna, gdy zielarka urwała na chwilę.

— Nicolas — potwierdziła Halwice — i powinniśmy podziękować Gwieździe, że został znaleziony na czas. Ale to inna sprawa. Księżę potrzebuje ochrony nowego rodzaju dla Jej Wysokości Mahart. Może jej grozić straszne niebezpieczeństwo, które tylko ktoś z takim talentem jak twój potrafi wywęszyć. Jego Księżęca Mość chce, żebyś na jakiś czas przyłączyła się do dworu jego córki. Wszystkim, którzy będą cię o to pytać, odpowiesz, że przynosisz nowe wyroby i że musisz nie tylko nauczyć jej dworki, jak ich używać, lecz także dopasować perfumy do sukien szykowanych na przyjazd księcia Loriena, na wielki bal zwycięstwa i inne uroczystości. Masz dostateczną wiedzę, by sprostać tym zadaniom. Jeśli to będzie możliwe, postaraj się zdobyć zaufanie Jej Wysokości, choćby w niewielkim stopniu. Ale jedno jest najważniejsze: musisz zawsze być w pogotowiu, by stwierdzić z pomocą swego talentu, czy nie zbliża się do niej jakieś zło — po pierwsze dlatego, że jest córką swego ojca i wielką damą, a po drugie — że ona naprawdę kroczy Drogą Jasnej Gwiazdy i jak sądzę, w przyszłości przyniesie wiele dobrego naszemu krajowi i jego mieszkańcom.

Willadene przypomniała sobie węza z zielonego światła, poszukała po omacku swego amuletu i odniosła wrażenie, iż Halwice czyta w jej myślach.

— Otrzymasz wszelką możliwą ochronę, nie tylko dla siebie, ale i dla niej. A przede wszystkim odkryj zapach nie tylko pachnideł, które lubi, ale również jej własny, żeby poznać ją tak, jak pozwala ci na to twój talent. Teraz zaś...

Wyciągnęła z samego dna skrzyni jakiś płaski worek. Położyła na łożu, rozwiązała i zaczęła zeń wyciągać zwinięty materiał w różnych odcieniach zieleni, od barwy roślin do koloru liści drzew. Ze skrzyni rozszedł się zapach lawendy i drzewa sandałowego, które Willadene знаła jako cenny towar importowany.

Bela materiału po rozwinięciu okazała się naręczem ubrań. Najjaśniejsze, o miękkich fałdach, były dwie koszule. Potem dwie spódnice o nieco ciemniejszym odcieniu i, na samym końcu, dwie suknie, na pozór bez żadnych ozdób. Kiedy jednak Halwice podniosła najbliższą, Willadene ujrzała błysk ciemnej purpury i srebra nieco pociemniałego ze starości... Wysoko, po lewej stronie wiązanego stanika, wyszyto wieniec z fiołków przeplatanych srebrnymi liśćmi.

Osoba wzrostu Halwice nie mogła nosić tych szat, zresztą spódnice nie zapięłyby się wokół jej talii. Zielarka potrząsnęła każdą sztuką odzieży, rozprostowując ją, i przyglądała się uważnie, jakby szukała ukrytej wady, a następnie powiedziała:

— W dawnych czasach, kiedy było nas więcej, członkowie i członkinie naszej gildii mieli własne szaty na spotkania i dni świąteczne. Teraz... — wzruszyła ramionami — pozostałam tylko ja. Po co miałabym sama jedna nosić strój cechowy?

Wkładałam te suknie, kiedy byłam uczennicą, a ty dobrze będziesz się w nich prezentować na zamku, tak by nikt nie szydził z twojego wyglądu.

— To dla mnie? — Willadene wyciągnęła rękę, ale nie dotknęła palcem sukni, którą Halwice nadal trzymała.

— Dla ciebie, żebyś nosząc ją, była z siebie dumna. To — przysunęła bliżej stanik, żeby dziewczyna mogła zobaczyć wieniec z fiołków — posłuży ci jako herb rodu i nikt nie będzie mógł powiedzieć, że jesteś intruzem. A teraz zobaczymy, czy dobrze na tobie leży.

Halwice nie tylko kazała Willadene przymierzyć cały ten bogaty strój, lecz także wzięła igłę z nitką i dokonała drobnych poprawek w różnych miejscach, aż w końcu suknie wyglądały jak przyniesione prosto od krawcowej. Pracę przerwały im wołania ze sklepu. Willadene słyszała zza kotary, jak zielarka zręcznie wyjaśnia kilku klientom, iż zniszczenia w sklepie to dzieło pijaków. Wszyscy zgodzili się, że trzeba coś zrobić, by nie dopuścić do podobnych wybryków. W podtekście tych rozmów wyczuwało się jednak przekonanie, że księżę nie ma dość sił, żeby wymusić przestrzeganie prawa nawet w Kronengredzie.

Halwice poleciła Willadene podłożyć ostatni brzeg sukni. Na szczęście szorstka skóra na rękach dziewczyny po conocnym smarowaniu kremem dostatecznie zmiękła, by nie postrzępić delikatnej tkaniny. Potem zielarka przyniosła ze stojącej dość daleko szafy sakwę podobną do tej, którą zabierała, gdy wzywano ją do chorego, ale większą.

Otworzyła ją, ukazując wiele kieszonek w środku, a w każdej umieściła jakiś słoiczek, pakiecik z natłuszczonej skóry lub buteleczką o grubych ściankach. Mówiła w czasie tej pracy i Willadene słuchała jej uważnie, gdyż wszystko to było przeznaczone dla pani Mahart i powinno się jej spodobać.

Za pierwszym niemal ukryty był drugi rząd kieszonek i Halwice włożyła w nie lekarstwa na drobne dolegliwości — bóle głowy, bezsenność, malarię i tym podobne. Na zapasowe ubranie czekała osobna przegroda.

Willadene już dobrze знаła i sama sprzedawała takie leki. Halwice właśnie sięgała po pakiet suszonych liści, kiedy omal nie zrzuciła ze stołu jakiejś książki. Przyjrzała się jej uważnie, a potem rzuciła ostre spojrzenie na dziewczynę.

— Szukałaś...? — Nie było to oskarżenie, ale raczej pytanie.

— Tak, pani. To opowieść o Władcy Serc. Tyle się o nim mówi, że chciałam dowiedzieć się czegoś więcej.

— Jakież piękne snujemy marzenia, gdy jesteśmy młodzi, moje dziecko — uśmiechnęła się Halwice. — Myślę, iż każda zielarka, odkąd opowiedziano tę historię, żywi w sercu słabą nadzieję, że może, z pomocą Gwiazdy, to właśnie ona znów odnajdzie ten skarb. Weź to ze sobą... Niewykluczone, iż znajdziesz w tej książce coś, co zainteresuje Jej Wysokość Mahart. Mówi się, że ona lubi książki i że spędziła wiele godzin na lekturze.

Ku uldze Willadene, która obawiała się, że dostanie burę za wścibstwo, położyła tę starożytną książkę na dnie sakwy.

Tym razem Willadene weszła do zamku otwarcie, nie kryjąc się w nocnym mroku. Jeden ze starszych paziów w pełnym umundurowaniu przyszedł, by ją eskortować, ale nie oddał mu swojej sakwy do niesienia, bo wiedziała, że Halwice tak by nie postąpiła. Krocząc w nowym stroju cechowym, bo za taki uważała suknię darowaną przez zielarkę, uniosła z godnością głowę, a jej oczy błyszczały dumą. Zaufanie, jakie pokładała w niej Halwice, nie było tak namacalne jak zielona suknia, ale ta ostatnia dodała dziewczynie wiary w siebie i czyniła ją lepiej przygotowaną do tego, co musi zrobić.

Kiedy jednak Willadene wspięła się na górę zamkową i weszła przez boczne

wejście, które otworzył przed nią eskortujący ją paź, obudziły się w niej wspomnienia i ostrożnie rozejrzała się wokoło, szukając wzrokiem wieży z ponurych opowieści. Wyglądało na to, że idą w tym właśnie kierunku, więc dziewczyna mocniej ścisnęła w rękę sakwę.

Tak się zapatrzyła w to, co się przed nią znajdowało, że nie widziała mijających ją osób, nie zauważyła też ich spojrzeń i nie usłyszała szeptów.

Nie szli do Czarnej Wieży; skierowano ją do innej, połączonej murem z tym złowrogim miejscem, ale zbudowanej z mniejszych kamieni. Szeroko otwarte okna wpuszczały do środka słońce i powietrze, a gołębie siadały i wlatywały z dachu. Ta wieża była pełna życia, podczas gdy jej sąsiadka przypominała palec ponuro wskazujący w górę.

Willadene wprowadzono do położonego niżej pomieszczenia, w którym krzątała się służba a potem schodami do znacznie bardziej bogato wyposażonej i spokojniejszej komnaty. Rozlewał się w niej zapach oczyszczającej powietrze mieszanki, takiej jak te, które sama przygotowywała, i słychać było dość nieumiejętną grę na harfie.

Oślepiające promienie słońca wpadały tu przez szeroko otwarte okna i oświetlały jedną ścianę komnaty. Przestrzenie między oknami zawieszono wstęgami o jaskrawych barwach, tu i tam związanymi w kształcie kwiatów.

Grająca na harfie dziewczyna pomyliła się, gdy Willadene weszła, a trzy inne obecne w komnacie panny skupiły całą uwagę na nowoprzybyłej.

Willadene zgięła się w głębokim ukłonie, którego nauczyła ją Halwice, obawiając się, że straci równowagę, gdyż ciężka sakwa ciążyła jej nieco z jednej strony. Zielarka pouczyła ją, że powinna czekać, aż Jej Wysokość Mahart odezwie się pierwsza.

— Jesteś uczennicą zielarki Halwice? — zapytała panna siedząca blisko kręgu słonecznego światła, które zdawało się obsypywać złotymi iskierkami jej włosy, choć były ciasno zaplecione w warkocze i zwinięte nad uszami. Połyskiwały w nich ozdobione drogimi klejnotami główki szpil przytrzymujących tę fryzurę.

— Tak, Wasza Wysokość. — Na szczęście odpowiedziała bez paniki w głosie. — Jestem Willadene, na usługi Waszej Wysokości.

Jej Wysokość Mahart na pewno nie była tak olśniewająco piękna jak inna panna siedząca na stołku blisko niej, przewyższała jednak urodą dwie pozostałe. Jedna z nich, wysoka jak tyczka, miała skwaszoną minę, druga zaś dosłownie wylewała się z ciasnej sukni, a źle nałożony puder nie przysłaniał pryszcza na jej podbródku.

— Możesz usiąść. — Jej Wysokość skinieniem ręki przywołała Willadene do swego krzesła i wskazała na leżącą w pobliżu na podłodze grubą poduszkę.

Willadene mimo zmieszania ponownie złożyła głęboki ukłon i usiadła, najwytworniej jak umiała, na wskazanym miejscu.

— Wyroby twojej pani od dawna sprawiały mi wiele radości — mówiła dalej Jej Wysokość. — Pani Famino i pani Geuverir — zwracała się teraz do dwóch pozostałych dam, z których jedna, ta otyła, odłożyła na bok harfę — obiecałyśmy klasztorowi Gwiazdy nowy obrus na ołtarz przed przybyciem księcia Loriena. Na pewno uda się tam, by podziękować za zwycięstwo. Ponieważ wasza zręczność we władaniu igłą rzeczywiście godna jest pochwały, zechciejcie się tym zająć.

Gestem wskazała na drugą stronę komnaty, gdzie znajdował się naciągnięty i przymocowany do specjalnej ramy kwadratowy płat pięknej srebrzystej tkaniny. Obie damy zgięły się w przesadnym ukłonie, co pozwoliło Willadene przypuszczać, że niezbyt lubią swoją panią i odwrotnie. Tymczasem Mahart już poleciała skinieniem ręki swojej trzeciej towarzysze, by przysunęła bliżej stół, na którym siedziała.

— A teraz... — Księżniczka była naprawdę podekscytowana, jak dziecko przed stosem zabawek, z których musi wybrać jedną. — Co nowego zrobiła Halwice dzięki

swemu bajecznemu kunsztowi?

Willadene podniosła klapę sakwy. Czuła się teraz bardziej swobodnie, gdyż знаła wyroby, które przyniosła, i wiedziała, do czego służą.

Z pierwszej kieszonki wyjęła okrągły dzwonek z matowego, opalizującego szkła, tak mały, że bez trudu zmieścił się w jej dłoni. Przekręciła go szybko i rozpadł się na dwie części. Z jednej strony znajdowała się jasnoróżowa pasta, z drugiej zaś biały jak lilia krem.

— W naszych stronach jeszcze nie nadeszła pora kwitnienia kwiatów, Wasza Wysokość. Ale znajomi kupcy sprowadzają dla mojej pani surowce z innych krajów. Ten... — podsunęła nieco bliżej różową połówkę — pochodzi z dalekiego południa, to suszone płatki tak pachną. Używa się go wtedy, gdy słońce świeci tak mocno, że mogłoby poparzyć skórę. Tym drugim kremem można smarować się na noc, żeby twarz i ręce były gładkie i bez wyprysków...

W ten sposób przedstawiła rezultaty pracy Halwice, która mieszała i robiła maści i napary z różnych składników. Wyjaśniała przy każdym, do czego służy i jak go należy używać. Wreszcie wyjęła z sakwy ostatnią buteleczkę w kształcie maleńkiego, otwartego wachlarza. Był to jeden ze skarbów ocalałych podczas brutalnego ataku w sklepie.

— To — podniosła buteleczkę do góry — działa tak... — Kiedy naciśnęła maleńkie wieczko z perłą w środku, trysnęła spod niego mgielka rozpylonej cieczy.

W przeciwieństwie do kosmetyków o silniejszych zapachach z innych słoiczków i buteleczek, które dotychczas pokazała, te perfumy pachniały znacznie słabiej. Sama Willadene nie potrafiła zidentyfikować ich składników, choć mogła odróżnić jeden od drugiego.

Jej Wysokość Mahart odetchnęła głęboko.

— To! Cóż to może być? Kwiaty... — przymknęła oczy — i pola... wiejący wiatr... — Wydawało się, że poza swymi towarzyszami, poza ścianami komnaty widzi jakieś tylko sobie znane miejsce.

— To aksamitne pnącze, Wasza Wysokość. Pochodzi z za morza i Halwice mówi, że są to resztki z dostawy, którą przysłano jej półtora roku temu. To pnącze kwitnie, ale tylko raz na trzy lata, i kwiaty należy zebrać o świcie, zanim nocna rosa wyschnie na płatkach. Wasza Wysokość, do wyciśnięcia kilku kropli potrzeba pełnego wozu samych kwiatów.

Mahart żywo wzięła od niej buteleczkę. Chociaż zachwycała się wszystkim, co pokazała jej Willadene, najbardziej podekscytowały ją te perfumy. A przecież dama dworu, która wraz z nią okazała zainteresowanie poprzednimi wyrobami, oglądając je uważnie, gdy Mahart podawała je po kolei, spojrzała z lekkim zdziwieniem na to, co teraz trzymała jej pani.

— Ten zapach jest bardzo słaby. Inne wonie w komnacie szybko by go przytłumiły, Wasza Wysokość — skomentowała ze swobodą osoby, którą księżniczka darzyła co najmniej sympatią, jeśli nie przyjaźnią.

— Tak sądzisz? — Mahart wyglądała na bardzo zaskoczoną. — Ale... — Trzymała buteleczkę w dłoni w taki sposób, jakby ciepło jej ciała mogło wydobyć jeszcze więcej zapachu, który tak jej się podobał. — Ale ja uważam... — Potrząsnęła głową z determinacją. — Nie mogę się z tobą zgodzić, Zuto. Zielarko — nie, ty nazywasz się Willadene, prawda? Czy możesz mi powiedzieć coś więcej o tych perfumach?

— Nic ponad to, co powiedziała mi moja pani: że kwiaty aksamitnego pnącza dobrze się łączą z innymi składnikami i pachnidłami. Tylko tyle pozostało w jej sklepie...

Mahart spojrzała na buteleczkę niemal marzycielsko. Ale Zuta podsunęła nieco



bliżej swój zydel.

— Istnieją inne perfumy, jeszcze rzadsze od tych. — W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. — Co słyszałaś o Władcy Serc?

W komnacie zapadło dziwne milczenie, jakby Zuta podniosła głos tak, że zwróciła również uwagę dworek wyszywających obrus.

— Władcy Serc? — Mahart wybuchnęła śmiechem. — To przecież tylko legenda... — Potem nagle rzuciła Willadene ostre spojrzenie. — Tak, to na pewno legenda — powtórzyła, a ton jej głosu wskazywał, że w pełni zgadza się z tym twierdzeniem.

Dziewczyna zawahała się.

— Wasza Wysokość, to, co wiem o zawodzie, który moja pani opanowała tak dobrze, jest owocem nieustannej nauki. I zawsze jedno z niej wynika — że w każdej wielokrotnie powtarzanej opowieści kryje się żdźbło prawdy. Ale...

Dotknęła stopą sakwy, z której wyjęła wyroby Halwice, i przypomniała sobie księgę zabraną na zamek. Nie widziała jednak powodu, żeby podzielić się z Jej Wysokością zawartą w niej opowieścią.

— ...ale każdy, kto wykonuje ten zawód, bardzo pragnie znaleźć nowy skarb, przetworzyć go i przedstawić całemu światu. Legendę o Władcy Serc mogło zrodzić takie właśnie pragnienie.

Pani Zuta poruszyła się lekko.

— Podobno ten kwiat znajdował się na wielkim ołtarzu w klasztorze w Ibarkuanie, kiedy barbarzyńcy z północy wtargnęli tam dawno temu. Dla nich Władca Serc nic nie znaczył i mogli po prostu go rozdeptać.

— Istnieje wiele wariantów tej opowieści — zgodziła się z nią Willadene. — Dlatego teraz dla nas Władca Serc jest czymś nieosiągalnym i zawsze będą go szukać ci, którzy pragną osiąść głębszą wiedzę.

Księżniczka podniosła na wysokość podbródka rękę z buteleczką w kształcie wachlarza. Wygląda teraz tak, pomyślała Willadene, jakby marzyła. Ale kiedy Mahart przemówiła, widać było, że dobrze wie, o czym rozmawiały jej dworka i uczennica zielarki.

— Czy ktoś zawładnąłby czyjś sercem z pomocą czegoś tak ulotnego jak zapach? — Wydawało się, że myśli głośno. — Ale... — spojrzała na Willadene, jakby na moment zapomniała o jej obecności — ...to, co przysłała nam zielarka Halwice, to prawdziwy skarb, większy od pozostałych. — Nadal trzymając w dłoniach buteleczkę, powiedziała do swojej damy dworu: — Zuto, bądź tak dobra i wezwij Jultę, gdyż chciałabym, żeby zabrała wszystkie te skarby do mojej ubieralni, a ty — uśmiechnęła się do Willadene — w odpowiednim czasie wyjaśnisz nam, jak należy ich używać.

Willadene pośpiesznie włożyła szkatułki, buteleczki i słoiczki na swoje miejsce w sakwie. A więc wykonała większą część zleconego jej zadania. Rzeczywiście, należy teraz, przynajmniej na jakiś czas, do dworu Jej Wysokości, tak jak pragnęła tego Halwice.

Kiedy wyciągnęła rękę po wachlarzową buteleczkę, Mahart pokręciła przecząco głową.

— Nie, tej jeszcze nie. Chcę zatrzymać ją przy sobie. — Ostrożnie przyłożyła czubek palca do perłowego guziczka na korku i odetchnęła głęboko, gdy mgielka, która wytrysnęła z buteleczki, pokryła wilgocią suknię wokół jej szyi. — Powiedz mi — ciągnęła — jak zbieracie zioła, Willadene? Czy poza murami Kronengredu rośnie wiele kwiatów i roślin, które są wam potrzebne?

— Nie umiem na to odpowiedzieć, Wasza Wysokość. Jeszcze nie nadeszła pora kwitnienia kwiatów, a ja jestem z moją panią dopiero od niedawna. Nie wiem, jak je zbiera w szczytowym okresie kwitnienia. Za sklepem jest ogród zielny, ale rosną tam

tylko rośliny lecznicze i przyprawy. A kiedy widziałam panią Halwice wytwarzającą perfumy — wskazała na ostatnie, które pakowała do sakwy — zawsze używała do tego własnych surowców. Jedne są suszone, odrywane od łodyg i mielone dopiero wtedy, gdy są potrzebne. Drugie przechowuje się w olejkach, jeszcze inne docierają w postaci pakiecików proszku. Ale jak wyglądają na polach, kiedy rosną, widziałam tylko na obrazkach w księgach mojej pani. Nigdy nie byłam za murami Kronengredu.

— Ze mną jest tak samo — odrzekła Mahart. — Powiedz mi, czy zawsze byłaś uczennicą pani Halwice? Wiem, że często wiedza o ziołach przekazywana jest w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Czy w twoim przypadku też tak się rzeczy mają?

Wydawało się, że naprawdę ciekawi ją przeszłość Willadene. Może będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych, jeżeli od razu przekażę szczegóły, jakie w razie potrzeby można łatwo sprawdzić, pomyślała dziewczyna.

— Nie, nie jestem krewną pani Halwice, chociaż znała ona moją matkę, która była położną w czwartej dzielnicy. Nawet kiedy byłam jeszcze mała, słyszałam o jej napojach leczniczych i o uzdrawiających mocach. Ale to było przed atakiem zarazy...

— Tak, zarazy — skinęła głową Mahart. — Ta straszna choroba zmieniła życie wielu ludzi na gorsze. Czy z tobą też tak było?

Willadene wygładziła materiał najpiękniejszej sukni, jaką kiedykolwiek nosiła, i pomyślała, jak niedawno chodziła odziana w łachmany.

— Stałam się jedną z bezdomnych sierot. Moim ojcem był Hakroine, zastępca dowódcy Pierwszego Oddziału Zwiadu Straży Granicznej. Przebywał poza miastem. Moja matka pielęgnowała chorych, aż sama zmarła na zarazę. Wtedy powiedziano mi, że rozbójnicy zabili mojego ojca i że nie mam żadnych krewnych. Dlatego przyprowadzono mnie do sędziego grodzkiego, by wyznaczył mi opiekuna. — Urwała, bo chciała wymigać się od dalszej relacji na ten temat.

— A on wyznaczył ci panią Halwice? Willadene pokręciła głową.

— Było nas zbyt wiele i sędzia miał za dużo roboty. Oddawał dzieci temu, kto pierwszy zechciał wziąć je na służbę. Ja zostałam pomywaczką u mojej dalekiej kuzynki Jacoby z Karczmy Wędrowców.

Zamilkła. Jak księżniczka mogłaby zrozumieć takiego człowieka jak Jacoba lub wyobrazić sobie ohydną norę, jaką jest jej karczma?

Opuściła wzrok na swoją rękę i na sakwę, którą właśnie zapakowała. Co ona tu robi? Czy dawna pomywaczka Jacoby może rozmawiać z Jej Wysokością Mahart tak, jakby były sąsiadkami? Nabrała jednak odwagi na widok torby z kosmetykami i medykamentami. Tak było kiedyś, ale teraz jej sytuacja jest zupełnie inna. Halwice wzięła ją na uczennicę i ufa jej na tyle, że wysłała ją na dwór ze skomplikowaną misją.

— Ale cieszysz się łaskami Halwice i jesteś teraz jej prawą ręką — mówiła dalej Mahart. — Twoja sytuacja polepszyła się. Tak samo jak moja — dokończyła ciszej.

— Wasza Wysokość... — Pani Zuta stanęła za krzesłem księżniczki. — Julta czeka, by zaprowadzić tę dziewczynę do jej izby i wprowadzić w obowiązki — powiedziała chłodno. Willadene zauważyła chmurną twarz dworki. Na pewno nie spodobała się jej swobodna rozmowa uczennicy zielarki z księżniczką. Ale przecież Willadene tylko odpowiedziała na pytania Mahart.

Wstała z poduszki i znów złożyła ukłon. Zuta może się chmurzyć i okazywać niechęć, za to księżniczka się uśmiecha i kiedy to robi, wydaje się znacznie atrakcyjniejsza niż stojąca za nią ciemnowłosa piękność.

— Nadal będziesz mi opowiadać o zielarstwie — oświadczyła Mahart. — Nie mogę żądać, by robiła to twoja pani, zwłaszcza kiedy kanclerz potrzebuje jej cennych umiejętności. Potrafisz mi jednak wyjaśnić pewne sprawy, co z pewnością stanie się czymś w rodzaju nauki.

Willadene dowiedziała się, że ma zamieszkać z Jultą. Postawiła swoją sakwę z ubraniami obok drugiego wąskiego łóżka w prawie pozbawionej mebli izbie, choć w oknie były zasłony i ręcznie tkany chodnik leżał na podłodze między posłaniami. Nad jednym z łóżek zawieszono półkę, a na niej urządzono zaimprovizowaną kapliczkę z małym, błyszczącym symbolem Gwiazdy; kapłanki sprzedawały te symbole, żeby zebrać pieniądze na jałmużnę.

Julta wskazała Willadene miskę i dzbanek na małym stojącym z boku stoliku i drogę do wygodki na zewnątrz. A potem — Willadene nadal niosła torbę z kosmetykami — zeszyły do położonej tuż pod ich izbą komnaty, która była sypialnią Mahart.

Panował w niej bałagan. Chociaż zakryto płachtami łoże księżniczki, by chronić drogocenne kotary, i postąpiono tak z większością mebli, powietrze przesycił zątechły zapach i wisiał w nim kurz. Rozlegały się też takie dźwięki, jakich Willadene nigdy by nie oczekiwała w apartamentach Jej Wysokości Mahart.

Dwaj mężczyźni pracowali przy przeciwległej ścianie, z której zdjęto gobeliny, i pokrywali grubą warstwą tynku pociemniałą ze starości boazerię; kurz drapał w nosie tak, że dziewczyna kichnęła.

— Twoja pani już nigdy nie przeiębi się od tych przeciągów. — Starszy murarz rozsmarował kielnią następną grudę tynku. — Utrzymanie tego starego zamczyska wymaga dużo pracy. Uważaj, co robisz, niezdaro, ta młoda dziewczka nie chce sobie poplamieć sukienki, prawda, panienko?

Willadene ostrożnie uchyliła się, gdy pomocnik murarza zamachnął się zbyt szeroko. Przybycie dwóch kobiet rozproszyło jego uwagę i zaczerwienił się jak burak, kiedy Willadene spojrzała w jego stronę, po czym szybko sięgnął do wiadra po następną porcję tynku.

— Aleście tu nabrudzili, Jonasie! — prychnęła Julta. — Będziemy musiały sprzątać przez siedem dni. Pani — teraz zwróciła się bezpośrednio do Willadene — na razie włóż tylko swoją torbę do tej szafy. Żaden murarz–niezdara nie przewróci jej, kiedy tam ją schowasz.

Willadene wykonała polecenie. Na pewno w tym zamieszaniu nie ma mowy o rozpakowaniu jej towarów. A potem, gdy włożyła już sakwę do wskazanej przez Jultę ciemnej szafy, wyprostowała się powoli.

Zło! Początkowo myślała, że ten smród wypływa z szafy. Ale nie, jego źródło znajdowało się gdzieś poza nią. Odwróciła się, by zamknąć drzwi szary, i przy okazji szybko powiodła wzrokiem po komnacie.

Komnata — nie, ohydny odór docierał... Spojrzała pytająco na Jultę, jakby czekała na dalsze rozkazy. Ale dobrze wiedziała, skąd się bierze ten fetor. Podobnie jak zło lgnęło do Figisa z Karczmy Wędrowców, tak samo kryło się pod potem i zapachem pomocnika murarza. A przecież nie miał on w sobie nic, co by przypominało chytrą i przewrotną, jaką zawsze okazywał Figis.

Ten odór zła nie był tak mocny i mdlący jak smród, który zaatakował jej zmysły, gdy przebywała w Czarnej Wieży. Willadene nie mogła też uwierzyć, że murarz Jonas ma coś wspólnego z nieznaną niewiastą, która zesłała na nich zło w postaci świecącego węża. Jego ręka nie była podobna do kobiecej, nie przypominał też z wyglądu osoby, którą częściowo widziała przez otwór w dole drzwi. Jednak nie może się mylić.

— Połóż tynk gładko, chłopcze... — Starszy robotnik cofnął się lekko w bok, gdy zauważył, że Julta i Willadene nadal obserwują ich pracę.

Zdając sobie sprawę, że zbyt szybki lub podświadomy ruch mógłby ją zdradzić, Willadene udała zainteresowanie.

— Czy wszystkie ściany zostaną tak otynkowane? — zapytała. — Jeszcze daleko do Wielkiego Zimna, macie więc dość czasu...

Mężczyzna roześmiał się szeroko, ukazując poczerwiałe pieńki zębów.

— Wszystkie ściany, panienko? Do tego potrzebna by była cała armia murarzy. Nie, łatamy to tu, to tam, tak jak zawsze sami robiliśmy i nasi ojcowie przed nami. Na jakiś czas to wystarcza.

Udało się jej zrobić dwa kroki w stronę kubła z tynkiem. Gotowa była przysiąc, że bijące z niego zapachy, choć nieprzyjemne, nie miały nic wspólnego z tym, czego szukała. Nie, słaby odór zła napływał od młodego mężczyzny. Ale co może zrobić? Zdemaskować go tu i teraz? Jakie ma dowody? Nic to jej nie da, wręcz przeciwnie, zdradzi tajemnice, których przysięgła dochować.

Zanim zdołała powziąć jakąś decyzję, sytuacja wymknęła się jej spod kontroli, gdy mistrz murarski wysłał swego pomocnika po więcej wapna. Kiedy Jonas ją mijał, nie spojrzał w jej stronę, ale przeszedł o ciężale, pozornie wpatrując się tylko w pusty kubeł, który trzymał w wielkich rękach.

— Tfu! — Julta wypluła gęstą ślinę przesyconą wszechobecnym białym pyłem. — Zostań tu dłużej, dziewczyno, a ten pył tak cię upudruje, że twoja własna pani cię nie pozna.

Dlatego Willadene wyszła w ślad za pokój ową księżniczki z zabałaganionej komnaty. Halwice powiedziała jej, jak w razie potrzeby może się z nią skomunikować. Kiedy zadzwoni miejski dzwon, wykorzysta tę możliwość, jeśli znajdzie choćby cień dowodu.

Julta nie wyglądała na zaskoczoną, gdy Willadene zapytała, jak dojść do komnat wielmożnego pana kanclerza, którego miała pielęgnować Halwice. Ponieważ Jej Wysokość Mahart odprawiła ją, Willadene mogła wędrować swobodnie po wieży i udać się do komnaty, którą zamierzała odszukać.

Wysłuchiwała uważnie wyczerpujących objaśnień co do drogi do apartamentów Vazula. Miała nadzieję, że dobrze zapamiętała słowa Julty.

— Zbliża się południe — zakończyła pokojowa. — Jeżeli chcesz coś zjeść, zrób to teraz. Potem możesz poszukać swojej pani, gdyż Jej Wysokość wyraźnie nie kazała ci wracać.

Willadene nie mogła skończyć kaszy tego ranka, gdyż denerwowała się zadaniem, które na nią czekało. Pusty żołądek zachęcał, by posłuchała Julty, zesłała więc za nią dwa piętra niżej po schodach, przemierzyła korytarz i dotarła do pomieszczenia, w którym panował głośny gwar i zamieszanie.

Dziewczyna wywnioskowała, że cała zamkowa służba nie jada razem. Wyżsi rangą słudzy, którzy mieli bezpośrednio do czynienia z księciem lub z którąś z wielmożnych

pań z jego rodu, posilali się przy własnym rozkładanym stole ustawionym w jednym końcu pomieszczenia. Właśnie tam Julta ruchem ręki skierowała Willadene, przedstawiając ją niedbale jednemu z lokajów i heroldowi, którzy przesunęli się na długiej ławie tak, żeby nowo przybyłe mogły tam usiąść. Gwar jest tak głośny, że chyba można porozumiewać się tylko krzykiem, pomyślała Willadene, przyzwyczajona do cichej zielarni. Dorównywał zgiełkowi, od jakiego bolały uszy wszystkich tych, którzy obsługiwali podróżnych w karczmie Jacoby, gdy przybyła akurat na posiłek jakaś wielka karawana kupiecka.

Z kilku zasłyszanych słów, które zdołała rozróżnić, Willadene zorientowała się, że temat rozmów był jeden — przybycie księcia Loriena i jego gwardzistów. Wszyscy siedzący przy tym samym stole słudzy na pewno głośno zgadzali się co do wpływu takiej wizyty na Kronengred.

Brzegiem łyżki przebiła skórkę placka z mięsem i z zadowoleniem wciągnęła zapach w nozdrza. To nie nieświeże mięso czy wczorajsze warzywa. Jedzenie okazało się dobre, a porcje duże, choć gdy pociągnęła łyżeczek piwa z kufla, zdała sobie sprawę, że jest dla niej za mocne i zbyt gorzkie.

— Mówią, że on własnoręcznie powalił Czerwonego Wilka! — oświadczył lokaj. — Słyszałem, jak sierżant Henicus powiedział, że księżę Lorien jest podobny do swego dziadka, starego króla Wansala — nie kręci się na dworze i nie stroi dla dam dworu!

Książęcy herold chrząknął, a potem przełknął ślinę, żeby mówić wyraźniej:

— Podobno na królewskim dworze są tacy, którym nie podoba się żołnierka.

Książę Ranald, następca tronu, rusza w pole tylko na wiosenne manewry...

— A i one — wtrącił lokaj — przeważnie są tylko grą, jak twierdził jeden taki, który właśnie wrócił z ostatnią karawaną. Nie ma rozbójników, na których mogliby polować.

— Obyśmy my mogli powiedzieć to samo. Za czasów księcia Wubrica było zupełnie inaczej.

— Tak — przerwał mu inny głos z drugiej strony stołu. Willadene zerknęła prędko, aby zidentyfikować mówiącego, i skromnie spuściła oczy, wyteżając jednocześnie słuch we wszechobecnym gwarze.

— Tak — powtórzył ten sam mężczyzna. — Nasz zmarły książę dzielnie walczył mieczem i włócznią za swoich czasów. Czy jacyś rozbójnicy mają teraz odwagę wabić statki kupieckie na skały wzdłuż Wybrzeża Południowego?

Był młodszy od lokaja i herolda, smukły i ciemnowłosy, i poruszał się dziwnie powoli, jak przekonała się Willadene, obrzucając go szybko zaciekawionymi spojrzeniami. Później popatrzył na nią i omal nie zakrztusiła się kawałkiem słodkiego ciasta, w który właśnie wbiła zęby.

Chociaż miał na sobie stonowany, rdzawobrazowy strój skryby, a nawet plamę atramentu na ręce, w której trzymał łyżkę, to był — ale jak to możliwe? — Nicolas!

Halwice na pewno doskonale zna się na leczeniu, lecz przywrócenie ciężko rannemu pacjentowi pozornie zdrowego wyglądu to więcej, niż Willadene mogła zaakceptować. Zauważyła jednak, że Nicolas trzyma sztywno górną połowę ciała i że je powoli, jakby podniesienie pełnej łyżki lub kawałka chleba do ust wymagało wysiłku.

Udawał, że jej nie poznaje, i uznała to za ostrzeżenie. Jednakże siedzący naprzeciwko niego dwaj słudzy źle przyjęli jego komentarz o zmarłym władcy.

— Wyrażasz się zbyt otwarcie jak na urzędnika pana Vazula — skomentował herold i Willadene zauważyła, że obserwuje on czujnie Nicolasa.

— A to rzeczywiście interesująca uwaga. — Nicolas poruszył się lekko na ławie, jakby chciał usiąść wygodniej, ale nie mógł. — Na pewno tamci rozbójnicy nie

przynosili korzyści Kronenowi, podobnie jak Czerwony Wilk, od którego tak przezornie uwolnił nas ksiązę Lorien.

— Wycofano połowę oddziałów straży przybrzeżnej. Co one teraz robią? Patrolują ulice w pobliżu portu szukając — czego? — szczurów ze statków butwiejących na kotwicach? Z południa przysły meldunki, że znów widziano tam zapalone przez piratów ogniska — powiedział kwaśno herold.

— Och, ale możliwe, że nasz ksiązę już ma gotową odpowiedź na to pytanie — Nicolas uśmiechnął się szeroko. — Po rozbiciu bandy rozbójników może ksiązę Lorien zechce zmienić pole walki i przeciwników.

Lokaj spochmurniał, a herold poczerwieniał.

— Dobrowolnie pozbawiliśmy się ochrony, a teraz staliśmy się zależni od pomocy cudzoziemców. I dlaczego? Jakie niebezpieczeństwo kryje się w Kronengredzie? Czego ksiązę obawia się tak bardzo, że ściągnął wszystkie siły do stolicy? W mieście mówi się, że... Pan Vazul powinien o tym wiedzieć, przecież pochodzi z rodu kupieckiego. Żyjemy z handlu, a nasz ksiązę...

Zawahał się, zaś Nicolas, nadal z uśmiechem, lecz w sposób, który nie spodobał się Willadene, spytał:

— A nasz ksiązę robi wszystko, co może dla Kronengredu, tak jak przysiągł podczas koronacji. Mówicie o szczurach na statkach, przyjaciele. Można je znaleźć również gdzie indziej. Kto wie, jakie wabiące statki na skały ogniska zapalono i gdzie?

Teraz wyraźnie podpuszczał herolda i Willadene nie wiedziała dlaczego. Na pewno jest człowiekiem Vazula, a tym samym księcia, ale jego komentarze można by uznać za ukrytą krytykę ich obu. Czy próbuje uzyskać nielojalne odpowiedzi?

Właśnie wstawał w sposób wskazujący, że zamierza w dogodnej chwili opuścić to towarzystwo. Tylko Willadene dostrzegła oznaki świadczące o tym, iż Nicolas całym wysiłkiem woli kontroluje swoje ciało. Instykt uzdrowicielki nakazywał jej podejść do niego i upewnić się, że jego szaleńczy postępek nie otworzył rany. Pamiętała jednak o swoim zadaniu i konieczności dochowania tajemnicy, pozostała więc na miejscu, choć straciła apetyt. Odprowadziła Nicolasa spojrzeniem.

— To prowokator. — Herold przyglądał mu się, mrużąc oczy. — Mówię wam, że ostatnio za dużo gada się po kątach i próbuje wciągnąć uczciwych ludzi do spisku. Przynajmniej wiemy, że ksiązę Lorien nie uczestniczy w tych grach.

Teraz on wstał, ale Willadene zauważyła szyderczy uśmiešek na otyłej twarzy lokaja, kiedy ten patrzył, jak odchodzi jego niedawny współbiednik. Instyktownie odwołała się do swojego talentu. Nie wiedziała, co naprawdę kryje się w słowach, które przed chwilą usłyszała, domyślała się jednak, że mają podwójne znaczenie.

Lokaj zwrócił się do Julty, jakby pokojowa księżniczki dopiero co się dosiadła. Obrął starannie jabłko, pokroił na cztery części i dwornie podał jedną Julcie na końcu noża.

— Twoja pani przygotowuje się na powitanie bohatera? — spytał żartobliwym tonem.

Julta udała, że nie zauważyła poczęstunku; wstała nagle i Willadene z zadowoleniem zrobiła to samo.

— Tak jak twoja — dworka roześmiała się niewesoło i odeszła. Kiedy Willadene dołączyła do niej, Julta powiedziała niechętnie, jakby nie chciała się dzielić tą wiadomością, ale uznała, że powinna: — To sługa Jej Wysokości Saylany — niedawno przybył do niej z domu pana Brutaina. — Uśmiechnęła się krzywo. — Ta jaśnie wielmożna pani lubi krzepkich mężczyzn noszących jej liberię.

Jeżeli Julta sądziła, że pozbyła się lokaja, bardzo się pomyliła. Odłożył nóż i jabłko i dogonił ją. Szedł tak blisko, że Willadene, idąca z drugiej strony swojej

przewodniczki, słyszała każde słowo, które wypowiedział.

— Jesteśmy drażliwi, moja droga? Są tu tacy, którzy rządzą, zanim twoja pani przysłała na świat. Lepiej uważaj, jak się zachowujesz...

— I ty też, fagasio! — warknęła Julta.

Lokaj nadal się uśmiechał od ucha do ucha.

— Masz kocie pazurki! — parsknął. — Byłabyś całkiem urodziwa, gdybyś się tak nie chmurzyła. Spróbuj kiedyś tego nie robić.

Julta zrobiła duży krok do przodu i pociągnęła Willadene za sobą.

— Powinnaś pójść tędy...

Ignorując służkę Saylany, skinieniem głowy wskazała na inne drzwi niż te, przez które weszły.

Kiedy jednak Willadene zwróciła się w tę stronę, zadowolona, że wreszcie się uwolniła od irytującego lokaja, uświadomiła sobie, iż nie ucieknie odeń tak łatwo. Ten natręt zostawił bowiem Jultę i zbliżył się do niej.

— Ślicznotka z ciebie, Julta powinna się od ciebie uczyć. Dokąd teraz chcesz pójść? Słyszeliśmy, że na jakiś czas zamieszkałaś u Jej Wysokości Mahart... To nie jest droga do jej komnat.

— Ona nie należy do dworu księżniczki — wtrąciła szybko Julta. — Jej pani przebywa tutaj i musi się z nią zobaczyć.

— Tak. Nasz zjadliwy Vazul zachorował. Na pewno ugryzł go ten węzowaty stwór, z którym się nie rozstaje — wycedził lokaj. — To świetnie, panienko, ponieważ idziemy w tę samą stronę. Pójdę z tobą, żebyś nie zabłądziła w labiryncie korytarzy tego starego zamczyska. Willadene nie wiedziała, jak odrzucić taką propozycję. Julta naprawdę sposepniała i dziewczynie wydawało się, że pokojowa gniewa się zarówno na nią, jak i na natrętnego lokaja. Zanim jednak zdołała coś powiedzieć, Julta, szeleszcząc suknią, zamaszystym ruchem odwróciła się i odeszła. Willadene bała się zwrócić na siebie uwagę, próbując za nią iść, zwłaszcza że poinformowano ją, iż komnaty Vazula znajdują się w przeciwnym kierunku.

— Wielmożny pan kanclerz, o którym można by powiedzieć, że wykuto go ze stali, nigdy dotąd nie chorował. — Lokaj chwycił dziewczynę za ramię i popychał ją do przodu. — A teraz zaniemógł tak bardzo, że sprowadził twoją panią, prawda?

— Nie wiem, jak się czuje — odpowiedziała i jakimś cudem uwolniła się z jego uścisku.

— Nikt nie będzie się martwił, jeśli poleży jakiś czas! — prychnął lokaj. — On mówi jak Jemu, a od tego jego węzowatego stwora ciarki człowieka przechodzą. Podobno przybyłaś, żeby zrobić prawdziwą piękność z Jej Wysokości Mahart — zmienił temat i dziewczyna wyczuła, że ma w tym jakiś cel. — Oczywiście, każdy mężczyzna stwierdzi, że Jej Wysokość Saylana na pewno przewyższa ją urodą...

Wydawało się, że w jakiś sposób próbuje przeniknąć jej myśli. A przecież nie wyczuła w nim smrodu zła.

— Nie widziałam twojej jaśnie wielmożnej pani Saylany — odparła.

— Ale ona chciałaby ciebie zobaczyć.

Tym razem Willadene miała się na baczności i uchyliła się, gdy ponownie spróbował złapać ją za ramię. Czy chciał zawlec ją na spotkanie ze swoją groźną panią?

— Ja słucham rozkazów zielarki Halwice. — Starła się powiedzieć to w tak afektowany sposób, aby wierzył, że ma do czynienia ze zwykłą służącą. — Jeżeli Jej Wysokość Saylana chce mnie widzieć — w co wątpię, ponieważ jestem tylko uczennicą i moja pani na pewno lepiej by potrafiła odpowiedzieć na jej pytania — to pani Halwice może mnie do niej posłać.

— Jesteś ciemną dziewczką — odrzekł. — Mogłabyś zdobyć łaski kogoś znacznie

potężniejszego. Lepiej pomyśl o tym, dziewczyno. Nikt nigdy do niczego nie doszedł, odwracając się plecami, gdy nadarza się sprzyjająca okoliczność. Jej Wysokość Saylana byłaby lepszą klientką dla waszych towarów i nawet twoja płaskogęba pani zgodziłaby się ze mną.

W jego głosie zabrzmiała złość, jakby poniósł porażkę tam, gdzie się jej wcale nie spodziewał. Na pewno ich spotkanie przy stole w jadalni musiało być przypadkowe. Ale czy ten nowy lokaj z dworu Jej Wysokości Saylany usłyszał jakieś wyolbrzymione plotki o tym, co Willadene ma do zaoferowania, i postanowił przypodobać się swojej pani, przyprawdzając ją do niej?

— Zawsze idę tam, dokąd mnie posłano — oświadczyła. — A teraz udaję się do mojej pani.

— Jeśli o mnie chodzi, to możesz pójść nawet na Szubienicę Grubbera! — warknął i odwrócił się, ale powoli. Willadene domyśliła się, iż lokaj ruszy za nią, by się upewnić, że istotnie idzie do komnat wielmożnego kanclerza. Teraz jednak musi zastosować się do wskazówek, których udzieliła jej Julta.

Niebawem przekonała się, że miała słuszość: siedł za nią, aż w końcu zniknął w innym korytarzu, chociaż nie była pewna, czy nadal nie idzie jej śladem.

Tutaj stali na straży inni lokaje i możliwe, że sługa Saylany nie chciał, by go zobaczyli. Willadene pocięła drzwi, a potem powiedziała do wysokiego mężczyzny w liberii, który tkwił przy trzecim wejściu:

— Moją panią jest zielarka Halwice. Chce mnie widzieć.

Lokaj zdawał się patrzeć ponad nią, ale zrobił krok w prawo, tak że znalazł się bezpośrednio przed drzwiami, i zapukał cicho trzy razy.

— Imię? — zapytał i szybko mu je powiedziała, gdy ujrzała, że drzwi się lekko uchyliły. Chwilę później wpuszczono ją do środka.

Zamiast leżeć w łożu, kanclerz siedział na krześle niemal tak ozdobnym jak tron, z którego wydawano wyroki. Naprzeciw niego, na znacznie mniej pretensjonalnym siedzisku, ulokował się Nicolas, a z boku Halwice właśnie szukała czegoś w swojej sakwie z medykamentami.

Willadene uświadomiła sobie, że Nicolas stara się trzymać prosto w obecności swego mentora i że wszystko to podkopuje siły, jakie mu jeszcze pozostały. Halwice szybko podeszła do mego z kubkiem w dłoni. ? Nie zwracając uwagi na Vazula, stanęła nad Nicolasem i rozkazała:

— Wypij to do ostatniej kropli!

Sądząc po zapachu, nalała mu silnego leku wzmacniającego. Willadene nie miała pojęcia, dlaczego w takim stanie poszedł do jadalni dla służby. I wyglądało na to, że nikt jej tego nie wyjaśni, gdyż Halwice właśnie na niej skupiła teraz uwagę i zapytała ją:

— Czego się dowiedziałas? Czy Jej Wysokość Mahart przyjęła cię bez pytania?

— Tak, zaakceptowała mnie, pani, i bardzo jej się spodobało to, co przyniosłam. A czego się dowiedziałam... — Zrozumiała, że ma mówić otwarcie w tym towarzystwie. — Zaprowadzono mnie do jej komnaty z tym, co przyniosłam, ale tam byli robotnicy, którzy tynkowali ścianę. Od jednego z nich bił smród zła, niezbyt silny, ale ten murarz w jakiś sposób zadawał się z Ciemnością.

Nicolas odwrócił się i zapatrzył w nią, Vazul zaś pochylił się do przodu w krześle. Halwice nie okazała zaskoczenia, jakby spodziewała się takiej wiadomości. Okręcone wokół nadgarstka kanclerza czarne zwierzątko utkwiło w dziewczynie żółte oczka.

— Ach, taak... — syknął Vazul, jakby naśladował swoją nieodłączną towarzyszkę. Po czym zwrócił się do Halwice:

— Czy można w jakiś sposób zbadać tę ścianę, by się przekonać, że manipulowano tym, co miało chronić?



— Może kapłanka Gwiazdy umiałaby tego dokonać, ale wymagałoby to długiej ceremonii, której nie dałoby się ukryć.

Kanclerz miał taką minę, jakby żuł coś gorzkiego.

— Ach, taak... — znów syknął. — A tego nie możemy zrobić, jeszcze nie.

Jonas... — błyskawicznie skupił uwagę na Nicolasi.

Przez chwilę w komnacie panowało milczenie, po czym młodszy mężczyzna odpowiedział tak, jakby czytał ze spisu mieszkańców zamku.

— Jonas to ten wysoki, o włosach koloru masła, sprawiający wrażenie, że jeszcze nie jest dobrze wyszkolony? — skierował te pytania do Willadene.

— Tak, jest wysoki i jasnowłosy, i jego zwierzchnik zdawał się nadzorować jego pracę, jakby to było konieczne — odparła natychmiast.

— Jonas, drugi syn Wilbara, z majątku pana Vantola, który był...

— ...rozbójnikiem schwytanym dwa lata temu! Tak! — odrzekł niecierpliwie Vazul. — Jeśli dobrze pamiętam, majątek ten opustoszał, gdyż zarówno właściciel, jak i jego syn nie żyją, i nie ma dziedzica w prostej linii. Pozostałych wieśniaków i sługi wziął pod swoją opiekę pan Nemunt.

— Jonas przybył do Kronengredu w ubiegłym roku wraz z rekrutami — ciągnął Nicolas, jakby kanclerz mu nie przerwał. — Sędzia Laprin przydzielił go na ucznia kamieniarzowi Valorowi, gdy ten prosił o pomocnika. Ostatnio reperował balkon nad dziedzińcem, na który wychodzą komnaty Jej Wysokości Saylany.

— Na Gwiazdę, chłopcze, czy ty znasz historię każdego człowieka mieszkającego pod tym dachem? — skomentował Vazul. Wydawało się, że podane przez Nicolasa gruntowne informacje rzeczywiście sprawiły mu przyjemność.

— Obserwacja nowo przybyłych to nic trudnego, kanclerzu — Nicolas wzruszył ramionami. — Jest jeszcze coś. — Teraz ponownie zwrócił głowę w stronę Willadene. — Przyszłaś z Jultą do wspólnego stołu. Czy wydało ci się, że starannie wybrała miejsce, czy też zajęła pierwsze wolne?

— Powiedziałaabym, że to ostatnie.

— Był tam lokaj noszący nową oznakę...

Dziewczyna kiwnęła głową.

— On służy Jej Wysokości Saylanie.

Znów na krótko zapadło milczenie, a potem Vazul zaczął wypytywać Willadene.

— Odnosił się przyjaźnie do Julty?

— Po odejściu pana Nicolasa... — Nie była całkiem pewna, jak ma się zwracać do bladego młodzieńca, który teraz jeszcze bardziej zagłębił się w swoim krześle. — ...usiłował być miły dla Julty. Ona zaś nie chciała mieć z nim nic wspólnego. A potem... — Szybko powtórzyła treść swojej rozmowy z lokajem Saylany do chwili, gdy wreszcie zdołała się go pozbyć.

— To Ringglen, również z Vantolu — powiedział Nicolas. — Ale czy nie wyczułaś w nim tego samego zła?

— Nie. Pani — przemówiła teraz do Halwice — czy można przenieść zło w jakimś przedmiocie albo czy musi ono być częścią osobistego zapachu człowieka?

— To dobra myśl, młoda panno. — Vazul nachylił się do przodu. — Chcesz powiedzieć, że ten Jonas mógł przynieść do komnat Jej Wysokości Mahart coś ohydneho, co mogło się okazać bardzo niebezpieczne?

Willadene myślała o szkatułce, którą zamieniła w sklepie, kiedy odparła:

— Wielmożny panie kanclerzu, już raz podstawiono zamiast towaru mojej pani coś, czego sama nie wykonała, chociaż nie zwierzyłam w nim zła. Ale zmiana w recepturze każdego napoju może wyrządzić zło, choć sama w sobie nie jest złem. — Szybko powiedziała o znalezieniu szkatułki z kadzidłem dla księżniczki.

Halwice odetchnęła głęboko i niezwykle u niej rumieńce zabarwiły jej blade

policzki.

— Nigdy nie zmieniałam tego przepisu, odkąd Jej Wysokość Mahart dała znać, że pomaga jej zasnąć. Żeby coś zmienić, ktoś musiał wejść do sklepu... A przecież wszystko w nim zostało pobłogosławione w imieniu Gwiazdy — ściany, okna i drzwi — na polecenie samej ksieni, kiedy po raz pierwszy zostałam mistrzynią i członkinią gildii. Wielmożny panie kanclerzu, możemy mieć do czynienia z jakimś strasznym niebezpieczeństwem, groźniejszym niż przypuszczaliśmy!

Kanclerz gryzł wargi, a Nicolas znów wyprostował się w krześle, aż Halwice chwyciła go za ramię i przytrzymała tak mocno, jakby był małym, wiercącym się chłopcem.

Ssssaaa zareagowała z niemal piorunującą szybkością. Odwinęła się z nadgarstka Vazula, wyciągnęła jak cięciwa łuku i zeskoczyła z kolan kanclerza na podłogę. W jednej chwili przemknęła przez gruby dywan, wbiła groźne pazury w szeroką suknię Willadene i skoczyła jej na ramię. O dziwo, Vazul skinął głową.

— Tak, mamy coś w rodzaju broni do walki z niewidzialnym złem. Dziewczyno, czy możesz zanieść Ssssaaa do komnat Jej Wysokości Mahart tak, żeby nikt jej nie zobaczył? Potem pozwól jej wędrować do woli. Jeżeli ukryto tam coś, co może zaszkodzić Jej Wysokości, Ssssaaa na pewno to znajdzie. Robiła to dla mnie już wiele razy. To właśnie dlatego — uśmiechnął się ponuro — zdołałem zachować tak długo zarówno mój urząd, jak i życie.

Halwice podniosła odrzucony na bok szal i zarzuciła go na ramiona Willadene, całkowicie zasłaniając leżące na nich zwierzątko.

— Niech Gwiazda ześle ci szczęście, pani.

Dziewczynę zaskoczyła zachęta Nicolasa.

Kanclerz jednak dał jej ostrzeżenie zamiast życzeń szczęścia.

— Gdyby jakiś sługa Jej Wysokości Saylany znów zwrócił się do ciebie... — Wydawało się, że nie wie, co powiedzieć.

Willadene ośmieliła się sformułować odpowiedź, jakiej w takim wypadku zamierzała udzielić:

— Wykonuję rozkazy pani Halwice — oświadczyła. — Tak odpowiem i dodam, że wysłano mnie do Jej Wysokości Mahart i że to jej mam służyć.

— Właśnie tak — uśmiechnęła się Halwice. — Może takie awanse dostarczą nam więcej informacji. Chodzi o to... — mówiła teraz takim tonem jak wtedy, gdy wydawała polecenia. — ...że w tych murach kryje się coś, co częściowo ma związek z naszą wiedzą, na pewno jest niebezpieczne i stanowi część zła, którego nie umiem wykryć. Wyczuwam tylko jego naturę. Musimy najpierw się dowiedzieć, co to takiego, zanim wystąpimy przeciw niemu. A teraz ustalmy, co każde z nas powinno zrobić. Ty, Nicolasie, wrócisz do łoża i możesz być pewny, że nigdy już nie zostawię żadnego środka wzmacniającego w zasięgu twojej ręki. Nie przypuszczałam, że możesz postąpić tak głupio. A ja, Willadene, muszę wrócić do miasta. Jeśli czegoś się dowiesz... — Spojrzała pytająco na Vazula.

— Dowie się tego z pomocą Ssssaaa, która mnie o tym powiadomi — odparł spokojnie kanclerz. Ciepłe futerko Ssssaaa otarło się o kark i policzek Willadene, jakby zwierzątko zapewniało ją, że tak właśnie będzie.

Liczne zamkowe korytarze i przedpokoje były równie zagmatwane jak uliczki Kronengredu i Willadene starała się zapamiętać powrotną drogę do wieży Jej Wysokości Mahart. Niepokoiła się jednak, że lokaj pani Saylany znów może za nią iść. W dodatku była pewna, że dwukrotnie w jakiś sposób skręciła w złą stronę.

W tych dolnych korytarzach nie było lokajów stojących niczym posągi przy drzwiach. Uznała to za znak, że opuściła część zamku zamieszkaną przez wielmożów i wysokich urzędników. Uległa jednak rozpacz, gdy zabłądziła do jakiejś tkalni, gdzie kilka służebnic pilnie pracowało przy krosnach, i zdołała cofnąć się w cień, zanim któraś z nich ją zauważyła.

Opierając się o ścianę w najciemniejszym zakamarku, jaki zdołała znaleźć, nie poddała się panice i usiłowała zmusić pamięć do posłuszeństwa. Wiedziała, że nikt nie powinien znaleźć jej błędzającej bez celu po zamku.

Ciepłe ciało wokół szyi Willadene poruszyło się, spod szala wynurzyła się spiczasta główka i spoczęła na jej nadgarstku. Dziewczyna podniosła skraj danego przez Halwice okrycia i spojrzała w małe, pozornie pozbawione źrenic oczka. Jej wargi wymówiły bezgłośnie:

— Ty wiesz!

Była tego tak pewna, jakby usłyszała odpowiedź zwierzątka. Śmiało pogładziła jego jedwabiste futerko wskazującym palcem drugiej ręki.

— Do wieży Jej Wysokości Mahart — powiedziała w myśli.

Główka Ssssaaa poruszyła się pod jej lekkim dotknięciem. Dziewczyna zauważyła, że zwierzątko spogląda w położony z lewej strony korytarz. Było w nim ciemno jak o zmierzchu, gdyż na jego ścianach umieszczono tylko dwie lampy, a i te migotały, choć najlżejszy powiew nie poruszał powietrza. Ale Willadene, choć mogłoby to komuś wydać się niezrozumiałe, zaakceptowała tę dziwną przewodniczkę.

Zobaczyła drzwi po obu stronach korytarza, wszystkie jednak były zamknięte i nosek zwierzątka wskazywał dalej. To znaczy do...

Willadene zatrzymała się tak nagle, że omal nie straciła równowagi i usłyszała cichy, gniewny syk Ssssaaa. Zło — odwieczne zło — dziewczynę zemdliło na myśl, że gdzieś w pobliżu w mroku znajduje się jakaś sadzawka lub zbiornik, z którego coś się wyłania, ociekając szlamem wiekowej nienawiści i bólu, i rozkoszuje się tym wszystkim.

Ten mdlący smród płynął z drzwi po prawej stronie. Ssssaaa podniosła wyżej główkę i przeniosła spojrzenie z dziewczyny na drzwi. Chyba stworzonko, które w dobrej wierze zaakceptowała jako sprzymierzeńca, nie zachęca jej, by tam poszła?

Dopiero teraz wyczuła drugi zapach, tym razem z fizycznego, a nie duchowego świata. Poznała go — pochodził zza mór. Halwice otrzymała jedną przesyłkę z tym składnikiem i w istocie była tylko pośredniczką, gdyż zamówiła go wcześniej — dostawa do Kronengredu zajęła pół roku — Jej Wysokość Saylana.

Willadene usłyszała teraz dźwięki, bardzo ciche, gdyż drzwi były grube. Dźwięki te unosiły się i opadały w pewnym rytmie, jakby ktoś recytował chrapliwym, zachrypniętym głosem jakieś rytualne formuły.

Dłużej nie mogła tego znieść. Czuła, że zło unosi się wokół niej, by ją pochłoniąć, jakby wpadła do kloaki pełnej kleistych ścieków, które przylgną do niej i ściagną ją w dół.

Jedną ręką odnalazła po omacku swój amulet i szybko przyłożyła go do nosa, choć jego zapach tylko w niewielkim stopniu zahamował to wsysanie. Na Jasną Gwiazdę

— na Gwiazdę...

Uniosła do góry głowę i usiłowała wyobrazić sobie Gwiazdę, świecąca i jasna, czystą i oczyszczającą, jak widziała ją w klasztorze. Mając przed oczami wyobraźni ten obraz, z trudem zrobiła jeden krok, a potem drugi. Ciepło rozchodziło się od ciała Ssssaaa i dodawało blasku wyimaginowanej Gwieździe. A potem w jakiś sposób znalazły się w końcu korytarza. Willadene czuła się tak zmęczona, jakby przemierzyła bez odpoczynku większość miejskich uliczek.

Ledwie zauważała, że zwierzątko kieruje ją w tę lub w tamtą stronę, aż wreszcie dotarła do przedpokoju, który rozpoznała, i stamtąd wróciła do wieży księżniczki. Nie miała pojęcia, na jaką ohydę się natknęła, ale wiedziała, że nie pochodzi ona z tego świata.

Znów mijała stojących przed drzwiami lokajów i doszła do piętra, gdzie po raz pierwszy spotkała Mahart i jej mały dwór. Teraz jednak musi odnaleźć sypialnię księżniczki piętro wyżej. Drzwi komnaty były lekko uchylone i z wnętrza nie dobiegały żadne odgłosy. Willadene nie wyczuła też zapachu żadnego z mężczyzn, którzy tu wcześniej pracowali. Podjęto próbę uporządkowania sypialni Mahart — choć świeżo otynkowanej ściany nie zasłonięte gobelinem. Podeszła do niej, zsuwając szal z ramion i wyciągnęła do przodu rękę, na której spoczywała teraz główka Ssssaaa.

Tak daleko, jak mogła sięgnąć wzrokiem, wszystkie ślady kielni były jednakowe. Ssssaaa wysunęła główkę do przodu i zakotysała nią lekko na boki. Willadene wycelowała jej smukłym ciałkiem jak włócznią w tę powierzchnię, zaczynając jak najwyżej — Ssssaaa zdołała z jej pomocą sięgnąć prawie do sufitu — i zaczęła przesuwając ją tam i z powrotem.

Mimo tych wysiłków dziewczyna nie zdołała jednak wyczuć nic oprócz zapachów charakterystycznych dla niedawno wyremontowanego pomieszczenia. Nic nie wskazywało na obecność zła. A przecież Willadene czuła, że Ssssaaa jest niezadowolona. W syku zwierzątka brzmiała nuta frustracji, jakby coś je zbiło z tropu. Obie dokładnie zbadały podejrzaną ścianę od sufitu aż do podłogi. Uczennica Halwice nie odkryła jednak obecności zła, podobnie jak ulubienica Vazula.

Wreszcie dziewczyna usiadła na podłodze i z konsternacją popatrzyła na tynk. Mogła tylko przypuszczać, że się pomyliła i że to Jonas nosił w sobie skazę zła, a nie materiał, którego tu użyto.

Ssssaaa odwinęła się z nadgarstka Willadene, zeskoczyła na podłogę i pobiegła wzdłuż boazerii w dole ściany. Nagle zatrzymała się i pokręciła główką. Już nie wpatrywała się w ścianę, tylko pomknęła długimi skokami do szafy, do której Willadene wstawiła swoją sakwę.

Dziewczyna natychmiast ją dogoniła. Wprawdzie nie przyniosła nic szkodliwego do tej komnaty, ale kto wie, co od tej pory dodano lub wyjęto z torby, którą tu pozostawiła?

Błyskawicznie chwyciła sakwę i otworzyła ją. Ssssaaa stanęła na tylnych łapkach, ciągnąc przednimi skraj płóciennego worka. Willadene najpierw chwyciła buteleczkę z kremem; drżącymi lekko rękami odkręciła wieczko. Wszystko wskazywało, że zarówno zawartość, jak i sam zbiorniczek, który wcześniej pokazała Mahart, są nietknięte — matowa kula rozwarła się, odsłaniając dwie porcje różnych kremów.

Nos szybko upewnił ją, że wszystko jest w porządku. W szklanej kuli nie było nic więcej ani mniej niż powinno. Całą jej uwagę skupiło teraz zachowanie Ssssaaa. Zwierzątko nie usiłowało dotknąć żadnego z towarów tkwiących w przegródkach wypchanej torby. Zamiast tego wsunęło jedną trzecią swego długiego ciała do sakwy i szarpało pazurami jej dno.

Willadene prędko wsadziła rękę do torby, szukając po omacku wśród ubrań. Ciepłe

futerko Ssssaaa znów niemal owinęło się wokół jej ręki. Potem dziewczyna chwyciła coś i wyszarpnęła księgę, którą Halwice włożyła tam po namyśle.

W momencie, gdy księgę znalazła się w ręku Willadene, Ssssaaa znów zwinęła się w kłębek na podłodze, choć nie odrywała świecących jak drogie kamienie oczek od dziewczyny. Willadene kichnęła, gdyż starożytna skórzana okładka rozpadała się w proch przy każdym ruchu jej palców.

Trzymając księgę jak najostrożniej, dziewczyna zaczęła szukać swego niezwykłego znaleziska — stronicy grubszej od pozostałych. Czy były to dwie złączone ze sobą karty? A może nawet trzy? W każdym razie przyłgnęły do siebie tak mocno, że nie mogła ich rozdzielić ani paznokciami, ani nożem, który nosiła u pasa.

W minionych latach tak wiele brzegów pergaminowych kart tej księgi odpadło, iż Willadene obawiała się, że może zniszczyć właśnie to, czego szuka. Nagle długi, czerwony jęczyczek oblizał brzeg zagadkowej stronicy.

A potem zrobił to po raz drugi, na sekundę przedtem, zanim Willadene zdołała odsunąć księgę na bezpieczną odległość. Dostrzegła teraz lekką zmianę barwy w miejscu, gdzie jęczyczek Ssssaaa dotknął pergaminu, choć wilgotny ślad nie sięgał daleko.

Willadene jeszcze raz spróbowała rozdzielić strony nożem, który zawsze ostrzyła, gdyż spełniał wiele funkcji — siekał, obcinał łądygi, skrobał korzenie i tym podobne.

Czubek noża znajdował się może w połowie strony, gdy nagle się zagłębił, i kiedy dziewczyna niezwykle ostrożnie przesunęła nim tam i z powrotem, stary, sztywny pergamin niechętnie uległ stalowemu ostrzu. Okazało się, że rzeczywiście zlepiono więcej niż jedną kartę. Ale środkową stronicę gładko rozcięto na pół, by ukryć tam cienkie skrawki pergaminu.

Dobrze zachowały się w ukryciu, gdyż znaki na nich były ciemniejsze niż pismo na dwóch sąsiednich stronach. Jednak nie była to receptura, jak się spodziewała Willadene, lecz serie nieregularnych linii nie ułożonych w żadnym porządku, to tu, to tam przerywane kropkami lub krzyżykami, powiększającymi ogólny nieład. Może był to jakiś kod, który Halwice potrafiłaby rozszyfrować, ale nic nie znaczył dla jej uczennicy.

Willadene pogrzebała szybko w jednej z przegródek sakwy i wyjęła z niej kwadratowy kawałek miękkiej cienkiej gazy. Zawinęła w nią znalezisko, które dało się podwójnie zgiąć, i ukryła w staniku. Znalazła więc coś, czego się nie spodziewała, nadal jednak nie przeszukała całej komnaty. Ssssaaa chyba była tego samego zdania, gdyż wspięła się na podwyższenie, na którym stało ogromne łoże, i biegła teraz po pościeli, pod nakryciem mającym ją chronić przed kurzem i pyłem.

Willadene również weszła na podest. Dzięki ruchowi pod płachtą osłaniającą łoże księżniczki odgadła, gdzie jest jej towarzyszka. Ssssaaa skierowała się w stronę wysokiego wezgłowia i teraz wzgórek, jaki tworzyło jej ciało, znajdował się na środku jednej z poduszek.

Dziewczyna odrzuciła narzutę i spojrzała w bystre oczka zwierzątka. Ssssaaa przeniosła wzrok z Willadene na poduszkę i z powrotem. Poduszki — o czym dziewczyna dobrze wiedziała — wypychano często ziołami mającymi zapewnić nieprzerwany sen lub usunąć ból głowy czy zęba. Powąchała wskazaną przez Ssssaaa poduszkę.

Tak, znajdowało się w niej coś więcej niż miękkie pierze. I ziele, które zwęszyła w poduszce księżniczki, na pewno nie powinno się w niej znaleźć.

O ile wiedziała, nie była to ani trująca, ani niebezpieczna substancja. Starannie oddestylowany wywar z tej rośliny podawano niespokojnym i gorączkującym dzieciom. Willadene nie miała jednak żadnych wątpliwości, że Jej Wysokość Mahart nigdy nie zamówiła tego leku u Halwice, a zielarka nigdy by go jej nie poleciła.

Willadene wyniosła poduszkę na środek łóża i uważnie ją obejrzała. Pod pięknie haftowaną powłoczką kryły się pióra niemal tak miękkie jak puch. Już po chwili znalazła brzeg poduszki, który ktoś niedawno zastębnował. Rozcięła nożem dostatecznie dużo tych szwów, by zanurzyć rękę w poszewce. Ssssaaa jednak ją wyprzedziła i wysunęła główkę z rozcięcia: kilka piórek zawadiacko zdobiło jej długi pyszczek, w którym trzymała jakąś paczuszkę.

Willadene szybko wyjęła z sakiewki u pasa pudełeczko z przyborami do szycia i zaszyła rozcięcie w poduszce przed zbadaniem pakieczku. Nikt nie powinien jej zaskoczyć na łóżku Mahart z rozciętą poduszką w dłoni.

Później podniosła mały, miękki zwój znaleziony w powłoczce. Miał wielkość i kształt jej palca wskazującego. Było to zwykłe białe płótno, ale dostrzegła na nim ledwie widoczne kreski, jakby ślady pióra lekko zanurzonego w atramencie. A przecież, gdy zważyła pakieczek w dłoni i kilkakrotnie wciągnęła powietrze w nozdrza, by zidentyfikować jego zawartość, nie wyczuła słabej woni zła, której się spodziewała. Tylko same zioła. Ale Halwice to osądzi, a nie ona. Wiedziała tylko jedno: że chociaż z pomocą swego talentu i Ssssaaa nie znalazła tutaj zła, nie zamierza pozostawić swojej sakwy z lekami w tej szafie, ponieważ ktoś mógłby je zatruć. Jakże łatwo byłoby wprowadzić jeden z pół tuzina niebezpiecznych składników — a Halwice bez wątpienia znała ich z tuzin lub więcej — do kremu już zaakceptowanego przez Jej Wysokość Mahart. Są przecież substancje, które poparzyłyby jej skórę lub gorzej — nawet spowodowały jej śmierć!

Ssssaaa opuściła łóże księżniczki jednym tak długim skokiem, że wylądowała na nadal przykrytej płótnem ławie przy toalecie. Zanurkowała pod drugą szeroką narzutę, którą osłonięte zwierciadło i blat toaletki. Willadene zeskoczyła z łóża i odważyła się odsunąć płachtę.

Ujrzała całą baterię wspaniałych buteleczek i słoiczków, a wszystkim nadano taki kształt, by jeszcze lepiej wyeksponować ich zawartość. Niektóre rozpoznała, gdyż widziała ich odpowiedniki w sklepie Halwice. Tak, to większość z nich zmiażdżyły buty Barbrica i jego kompanów. Nie dostrzegła jednak buteleczki w kształcie róży. Zamiast niej na widocznym miejscu stał flakonik wyglądający jak mocno związany snop paproci.

Z flakonika rozlewał się zapach paproci. Była to odmiana pochodząca z lasów północy, warta więcej niż jej waga w złocie, gdyby zważono ją na jakiejś bardzo czulej wadze. Willadene wiedziała, że Halwice nie otrzymała dostawy tego składnika od kilku miesięcy, odkąd na tamtym terenie rozpanoszyli się rozbójnicy. Może teraz, kiedy książę Lorien pokonał Czerwonego Wilka, będą miały szansę pozyskania takiego rarytasu.

Ostrożnie podniosła buteleczkę. Była pełna perfum i to, sądząc po zapachu, świeżych. Obracając ją powoli w dłoni, szukała jakiegoś identyfikującego znaku. Tak, był tam herb Jej Wysokości Saylany. Podarunek urodzinowy? Bez wątpienia i naprawdę kosztowny, a Mahart dotychczas nie zechciała go otworzyć. Willadene odstawiła perfumy na miejsce.

Ssssaaa stanęła na tylnych łapkach, kierując nosek w stronę buteleczki w kształcie snopu paproci. Kiedy syknęła, Willadene znów tam spojrzała. Podarunek Saylany tylko wyglądał jak cenny i piękny skarb; zwęszyła w nim jedynie zapach paproci i teraz naprawdę się zaniepokoiła. Tak głęboko uwierzyła w swój talent, że może stała się zbyt pewna siebie. Chyba tylko Halwice jest w stanie rozwiązać tę zagadkę.

Nie ośmieliła się jednak wziąć ze sobą niebezpiecznego flakonika. Zbyt rzucał się w oczy wśród innych buteleczek i słoiczków, i księżniczka natychmiast zauważy jego brak. Jakiegokolwiek wyjaśnienia mogą pokrzyżować plany, w realizacji których brała teraz udział.

Patrząc na flakonik z perfumami o zapachu paproci, niechętnie pokręciła głową. Wyglądało na to, że i zwierzątko Vazula przestało się nim interesować, gdyż zeskoczyło na podłogę. I choć kierowało się ku najbliższej ścianie, ta go nie zainteresowała; skoczyło jeszcze raz, uczepliło się kotary i wspięło po niej do otwartego okna.

Zanim Willadene zdążyła zareagować, Ssssaaa prześliznęła się przez okno i zniknęła. Kiedy dziewczyna dotarła do tego miejsca i stanęła na stołku, by lepiej widzieć, zwierzątko nigdzie nie było.

Tylko jakiś szelest przyciągnął uwagę Willadene tak bardzo, że wychyliła się z okna, żeby zobaczyć, co znajduje się w dole. Chociaż nigdzie indziej pnące rośliny nie pokrywały zamkowych murów, w tym miejscu rósł wyjątkowo odporny na mrozy bluszcz o grubych łodygach, na których mimo zimowych wiatrów to tu, to tam zielone kitki pozostawały przez cały rok. Widziała tam też płaty martwych, suchych liści i właśnie między nimi Ssssaaa przedarła się do pewnego miejsca po lewej stronie, skąd w jednym długim, zadziwiającym skoku znalazła się na dachu poniżej.

Willadene w żaden sposób nie mogła przywołać jej z powrotem. Im wcześniej zabierze swoją sakwę z lekami z szafy i wyjdzie z sypialni Jej Wysokości Mahart, tym lepiej. Los sprzyjał jej tego dnia tak bardzo — gdyż dotąd nie wróciła ani Julta, ani żaden z robotników — że nie mogła więcej odeń oczekiwać.

Dziewczyna przewiesiła torbę przez ramię i wyszła spokojnie, wyrzawszy najpierw przez przymknięte drzwi na korytarz. Ponieważ księżniczka nie wezwała jej, tylko poleciła pójść z Jultą do izby, w której miała zamieszkać, może tam odpocząć.

Na brzegu drugiego wąskiego łóżka w pokoju nad sypialnią Mahart leżała zwinięta pościel, więc Willadene przygotowała je do spania, po czym rozwinęła i odłożyła na bok drugą suknię i bieliznę podarowaną przez Halwice.

Ssssaaa bez wątpienia zna zamek znacznie lepiej niż większość jego obecnych mieszkańców. Willadene podejrzewała nawet, że zwierzątko wykonuje misje zleczone mu przez Vazula, ale w jaki sposób kanclerz się z nim porozumiewa?

Zapewne jej nagłe odejście oznaczało, że odkryła to, co jej kazano, i wróciła z wieścią do swego pana. Co to mogło być? Dziewczyna usiadła na pościeli i mała kapliczka Gwiazdy przykuła jej spojrzenie. Lecz zamiast uczucia odnowy duchowej, jakie zawsze przynosił jej ten widok, w jednej chwili dostała mdłości i zawrotów głowy jak wtedy, gdy mijała drzwi, z których buchał tak silny smród zła.

Usłyszała dostatecznie dużo plotek i rozmów, by zdawać sobie sprawę, że książę nie siedzi zbyt pewnie na tronie — ale jaka siła mu zagraża? W mieście szeptano o prawach Jej Wysokości Saylany, miała przecież syna. Jednak rządy Barbrica na pewno nie przyniosłyby nic dobrego Kronenowi.

Gruba okładka starej książki, którą przyniosła na zamek, wpiła się jej w bok, gdy oparła się o sakwę. Przypomniawszy sobie o odkryciu Ssssaaa, Willadene wyjęła z ukrycia te bardzo cienkie paski pergaminu. Rzeczywiście, były stare, w to nie wątpiła, ale ich brzegi nie kruszyły się tak, jak na innych stronicach; sprawiały wrażenie wykonanych z bardzo wytrzymałej skóry, która nie obawia się niszcycielskiej mocy czasu.

Z największą ostrożnością przesunęła po nich palcami. Miały strukturę bardzo różniącą się od wszystkich kart pergaminowych, z jakimi się dotąd zetknęła. Przesiadła się na łóżku na miejsce, gdzie przez okno wpadało światło, i zbliżyła jeden z dwóch wąskich pasków do najsilniejszego snopu promieni słonecznych.

Nie, nie pomyliła się — to nie jest pergamin! Zauważyła bowiem ledwie widoczne żyłki, takie jak na liściu. Ale żaden liść nie mógł przetrwać tyle czasu!

W silnym blasku słońca widziała, że znaki te jedynie przypominają zarysy żyłek. Na pewno nie mogła to być jakaś receptura; nawet najdawniejsi zielarze używali

znaków tworzących symbole lub słowa. Natomiast linie na obu paskach zdawały się związać i pełzać, jakby ktoś leniwie zabawiał się bez celu piórem lub pędzelkiem. Oczywiście Halwice musi to zobaczyć, ale Willadene nie może znów się z nią spotkać w tak krótkim czasie, nie wywołując komentarzy na dworze.

Znów bardzo starannie zawinęła swoje znalezisko i właśnie chowała je do stanika, kiedy do izby weszła Julta, nie zadając sobie trudu, żeby zapukać. Musiała wszakże być pewna, że zostanie w niej Willadene, gdyż powiedziała od razu:

— Jej Wysokość Mahart chce, żebyś przyniosła swoje towary. Jej Wysokość Saylana też o nie wypytuje. Och, czy to twoja sakwa? Przecież ona była w szafie w sypialni... — Julta zmarszczyła brwi.

— Wiele z tych buteleczek łatwo się tłucze. Po namyśle uznałam, że lepiej będzie, jeśli ją stamtąd zabiorę, gdyż pracują tam robotnicy — odparła Willadene.

Pokojowa skinęła głową.

— Na pewno nie obchodzi ich krem do rąk, ale czasami bywają ciekawscy. A wszyscy wiedzą, że wyroby twojej pani warte są wiele sztuk srebra. Weź je teraz, ale...

Stała z pięściami na biodrach naprzeciw Willadene, jakby chciała, by ta ostatnia zaprzeczyła temu, co zamierzała powiedzieć.

— Rozumiem, że to, co masz tutaj, jest przeznaczone dla Jej Wysokości Mahart. Jaśnie wielmożna pani Saylana czasami bardzo nalega, kiedy czegoś pragnie.

— Oczywiście to wszystko, co znajduje się w mojej sakwie — Willadene przewiesiła torbę przez ramię — należy do Jej Wysokości, jaśnie wielmożnej pani Mahart. Moja pani sama to wybrała z myślą o sobie.

Wystarczy, że będzie się tego trzymała. Uczennica przede wszystkim słucha rozkazów tej członkini gildii, której przysięgła służyć. To chyba niemożliwe, żeby Jej Wysokość Saylana wbrew wszelkim obyczajom próbowała wziąć dla siebie coś z tego, co niosła Willadene.

Julta przyprowadziła ją z powrotem do komnaty, gdzie po raz pierwszy spotkała Mahart. Teraz jednak w tym pomieszczeniu panował tak wielki tłok, że wyglądało jak sala tronowa. Ozdobne krzesło stało obok tego, na którym nieco sztywno siedziała Mahart. Chociaż twarz miała spokojną, przymknęła lekko oczy, jakby nie chciała widzieć większości otaczających ją osób. Podłoga komnaty była tak zastawiona stołkami i poduszkami dla dworów, nawet pod ścianami, iż Willadene pomyślała, że chyba nie uda się jej przejść przez ten tłum bez potrącenia nieumyślnie jakiejś damy lub nadeptnięcia na czyjaś rozłożoną szeroko suknię. Tak, na pewno będzie to prawdziwe ćwiczenie zręcznościowe.

Siedząca na drugim krześle kobieta zdawała się dominować nad zgromadzeniem, podobnie jak jej jaskrawo ubrane i malowniczo ustawione damy dworu tak przyćmiewały świętę Mahart, jakby ta ostatnia prawie nie istniała.

Jej Wysokość Saylana wydawała się wysoka nawet wtedy, gdy siedziała. Willadene zerknęła na nią i pomyślała, że może ona wywierać duże wrażenie nawet bez szat i klejnotów, których blask dzieliła ze swymi dworkami. Miała ciemne włosy splecione w warkocz okręcony wokół dumnie uniesionej głowy, jakby to była korona. I rzeczywiście można by tak nazwać tę fryzurę z powodu wpiętych we włosy wielu ozdobionych drogimi kamieniami szpil.

Z ciemnymi włosami kontrastowała twarz podobna do pięknej maski z kości słoniowej; czerwieniły się w niej tylko pełne wargi. Nad oczami brwi unosiły się ukośnie ku skroniom, co zdaniem Willadene nie było dziełem natury. Same oczy miały kształt migdałów i matka Barbrica użyła wszelkich sztuczek kosmetycznych, by sprawiały wrażenie tajemniczych.

Wybrane przez nią perfumy rozsiewały subtelny zapach; Willadene od razu



rozpoznała tę woń podniecającą zmysły. Zapach ten miał działać podobnie jak suknia Saylany — choć niewiele odsłaniała, widz na pewno dostrzeże każdą krągłość ciała jej właścicielki.

Suknia miała dziwny, szary odcień, lecz na szwach i zagięciach to tu, to tam przebijała ciemna czerwień. Szeroki naszyjnik z rubinów, bardziej pasujący do sali balowej niż na co dzień, okalał smukłą szyję wyniosłej piękności. Czas okazał się dla niej łaskawy — a pomagały mu sekrety dobrze znane Halwice — wydawało się bowiem niemożliwe, że to Saylana jest matką draba, który wtargnął do zielarni.

Saylana bawiła się wachlarzem, składając go i rozkładając, gdy Willadene szła ku niej w odpowiedzi na skiniecie Mahart. Wydawało się, że matki Barbrica nie interesuje uczennica zielarki, a tylko to, co z sobą przyniosła. Ale Willadene już wyczuła znajomy smród — nie tak silny i mdlący jak ten, który zwęszyła wcześniej tego samego dnia, lecz równie słaby jak u Jonasa. Willadene odniosła wrażenie, że wszyscy oni — zarówno Jej Wysokość Saylana, jak i tamten robotnik — otarli się o coś złego, co pozostawiło na nich skazę.

Willadene jeszcze raz rozpakowała sakwę i wyjmowała po kolei każdy wyrób, by pokazać go Saylanie tak jak przedtem Mahart. Na ustach matki Barbrica błąkał się uśmiech rozbawienia, jakby patrzyła na dzieci bawiące się w wymyśloną przez siebie grę. Dziewczyna słyszała jednak szelest sukni dam dworu, gdy prezentowała poszczególne specyfiki i zachwalała ich zalety. Saylana nie próbowała sięgnąć po żaden z licznych napojów, a bił od niej jej własny piżmowy zapach tak silny, że nikły przy nim znacznie słabsze, wiosenne wonie, które Halwice wybrała dla Mahart.

— To naprawdę piękny pokaz, księżniczko. — Saylana machnęła leniwie wachlarzem, jakby chciała przegnać rywalizujące z jej własnym zapachem wonie. — Powinnaś przyćmić najpiękniejsze z pięknych, drogie dziecko, jeśli te wszystkie kosmetyki podziałają tak, jak nam tu obiecano.

Willadene zauważyła, że na twarz Mahart wypłynęły ciemne rumieńce. W słowach Saylany kryła się uszczypliwość, przekonanie, że żadne środki nie zamienią córki Uttobrica w baśniową piękność.

— Jestem bardzo zadowolona — odrzekła księżniczka spokojnie. — Zielarka Halwice od lat przysyła mi swoje najlepsze wyroby; te na pewno też dobrze mi posłużą. Jeśli zaś chodzi o najpiękniejsze z pięknych, droga kuzynko, zbyt nisko się cenisz — spójrz sama w zwierciadło i przekonaj się o tym.

Saylana uśmiechnęła się szerzej.

— Dziecko, masz tak niewielkie doświadczenie w dziedzinie dworskich podstępów i intryg. Żadna kobieta nie dzieli się z drugą sekretami swoich zabiegów toaletowych. Możesz być jednak pewna, że Jego Wysokość dopilnuje, aby jego córka prezentowała się jak najlepiej. Wielka szkoda... — z trzaskiem złożyła wachlarz — ...że w starożytnych opowieściach, które słyszałyśmy w dzieciństwie, nie ma nawet żdźbła prawdy i że nie można układać się z potężniejszymi od nas mocami o to, czego najbardziej potrzebujemy w danej chwili. Dziewczyno — skupiła teraz uwagę na Willadene — ponieważ wygląda na to, że na pewien czas wstąpiłaś na służbę do jaśnie wielmożnej pani Mahart, daj jej z siebie wszystko, na co cię stać.

Willadene miała nadzieję, że ani wyraz twarzy, ani odruchowe drgnienie nie zdradziły jej przed wszystkowiedzącymi oczami Saylany. Wraz z tymi ostatnimi słowami od matki Barbrica napłynęła bowiem fala znajomego dziewczynie smrodu, który smagnał ją jak biczem. Zastanowiła się, czy Saylana wysłała go świadomie, czy mimowolnie. W każdym razie była to skaza zła — słabo wyczuwalna, ale Willadene nie pomyliłaby jej z niczym innym.

— Dziękujemy ci, kuzynko — Saylana ponownie zwróciła się do Mahart. — Może kiedy ten sezon zabaw i uroczystości przeminie, Halwice zechce podzielić się swoimi wyrobami z innymi.

Wstała, a jej damy dworu wyraźnie czekały na ten sygnał, gdyż i one zaraz się podniosły, a potem zgięły w ukłonie.

— Wyświadczyłaś mi przysługę, moja droga, i zaspokoiliś w ten sposób moją ciekawość — mówiła dalej Saylana — ponieważ ta uczennica zielarki tak poważnie bierze swoją przysięgę, że nie mogła znaleźć dla mnie czasu. Jest tu jednak nowa i nie wie, jak należy się zachować na dworze. W każdym razie, oby służyła ci najlepiej, jak umie...

— Będzie tak służyć! — odrzekła ostro Mahart, jakby dźgając słowami. — I cieszę się, iż jesteś zadowolona, Saylano, bo przecież wszyscy wiedzą, że po mistrzowsku znasz się na wszystkich ceremoniach dworskich i na etykietce.

Księżniczka nie odprowadziła starszej kobiety do drzwi. Teraz to ona jest najważniejszą damą na dworze i widać było, że chce, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

Po odejściu Saylany i jej licznych dworak Mahart spochmurniała. Machnięciem ręki odprawiła swoje dwie damy dworu, których najwidoczniej nie darzyła sympatią. Z cienia poza jej krzesłem wyszła Zuta. Odziana w żółtą suknię — lubiła bowiem wszystkie odcienie żółci — Zuta mogłaby tak jak Saylana olśniewać pięknnością i zmysłowością, i bardzo się różniła od znacznie spokojniejszej, mniej rzucającej się w oczy, a przecież urodziwej Mahart.

— Wasza Wysokość, ona wpadła w gniew...

Mahart nagle uśmiechnęła się szeroko jak dziecko.

— A czy Saylana kiedykolwiek się nie złościła, gdy tylko znalazła się w moim towarzystwie? Na sam mój widok czuje gorycz w ustach. A więc... — spojrzała teraz na Willadene — ...chciała się z tobą spotkać, odkąd tu przybyłaś?

Willadene szybko opowiedziała o lokaju Saylany. Nie dodała jednak, iż uważa, że szedł za nią, aż dotarła do komnat kanclerza.

— Dlatego przyszła prosto do mnie — Mahart skinęła głową. — Uczennico Halwice, którego z twoich napojów i perfum może się lękać Saylana?

— Nie umiem ci powiedzieć, Wasza Wysokość, jeśli ona rzeczywiście czegoś się obawia. Przecież wszystko, co przyniosłam, to dzieło Halwice, a zielarka nie zadaje się z Ciemnością.

— Saylana jest bardzo piękna — wtrąciła pani Zuta. — Uważa cię za znacznie brzydszą od siebie, Wasza Wysokość.

Mahart znów uśmiechnęła się szeroko.

— W walce nie zawsze używa się taktyki i broni znanych już wrogowi. Dobrze wiem, że Jej Wysokość Saylana zamierza zwrócić na siebie uwagę księcia Loriena. I jej wygląd może to ułatwić...

Zuta wyglądała na zakłopotaną.

— Ale...

— Posłuchaj. — Wydawało się, że Mahart zapomniała o obecności Willadene, ponieważ zaczęła mówić tak szybko, jakby się obawiała, że ktoś jej przerwie, zanim dojdzie do sedna sprawy. — Pan kanclerz ma zespół doświadczonych wywiadowców i co najmniej jeden z jego ludzi z pożytkiem spędził trochę czasu na dworze króla Hawknera. Książę Lorien nie jest kobieciarzem. Och, trafił do łóżka tej lub innej niewiasty, jak to robią mężczyźni, ale trzyma się z daleka od zabaw dworskich i maskarad. Interesują go tylko manewry, polowania lub nawet takie wyczyny, jak wspinaczka na górę Grog. Zrobił to dwa lata temu i dotarł tam, gdzie dotąd nie postąpiła ludzka stopa.

Oswoił trzy dzikie koty i od czasu do czasu zabiera jednego ze sobą, tak jak Vazul swoją Ssssaa. Poluje też z górskimi sokołami. Wytępił większość wilczych stad w lasach pomocy, tak że mieszkańcy terenów przygranicznych już się ich nie boją. O bicie serca przyprawia go świeżo wykuty brzeszczot lub piękny wierzchowiec z jego własnej hodowli. Dla takiego mężczyzny kobieta jest zabawką, a czasami przeszkodą. Istnieje jednak sposób na wzbudzenie w nim zainteresowania. Może się to udać nawet kobiecie, która nie jest w stanie rywalizować z koniem, psem i mieczem. Mówi się, że lubi on słuchać bardów, zwłaszcza opowieści o zaginionych skarbach, dziwnych potworach i tym podobnych. Ci, którzy znają takie historie, są mile widziani w jego pałacu i dokładnie wypytywani o pochodzenie ballad.

Zuta sprawiała teraz wrażenie całkowicie zdezorientowanej.

— Ale dlaczego?

Mahart roześmiała się szczerze.

— Bo myślę, że na swój sposób jest marzycielem. Nie zrywa więc dojrzałego

owocu, który sam spadłby mu do ręki, lecz woli wdrapać się na cienkie gałązki na szczycie drzewa, których nikt inny nie dosięgnie. W takim razie trzeba dać mu coś, czego bardzo pragnie: marzenie oparte na powszechnie znanej baśni, ale obecnie niedoścignione.

— Władcę Serc! — powiedziała Willadene bez namysłu. Mahart zerknęła na nią z zaskoczeniem. A potem skinęła twierdząco głową. — Władcę Serc — powtórzyła dziewczyna.

— Nie wiem jednak, jak osiągniesz swój cel za pomocą tej starożytnej legendy, Wasza Wysokość — zaprotestowała Zuta.

— Ja też na razie nie jestem całkiem pewna, w jaki sposób. Pożyjemy, zobaczymy, gdy nadejdzie ta chwila.

Czas płynął, lecz Willadene nie wiedziała, czy sprzyjał ich planom, czy swoim własnym. Nie otrzymała żadnego posłania ani od Halwice, ani od kanclerza, była jednak pewna, że Sssaaa wróciła bezpiecznie i złożyła meldunek na swój sposób. W międzyczasie spędzała kilka godzin dziennie z główną krawcową i zamkowym złotnikiem. Mahart jako ostatnia instancja oceniała rezultaty ich pracy. Willadene szybko zrozumiała, że księżniczka nie lubi zbyt strojnych sukien i większości klejnotów, do noszenia których ją nakłaniano. Oczywiście szczytowym osiągnięciem miała być suknia na bal zwycięstwa, kiedy Mahart łaskawie włoży na głowę Loriena przysługujący zwycięzcy diadem Gwiazdy i jeśli los tak zechce, jednocześnie skupi na sobie jego uwagę, choćby tylko przelotnie.

Piątego dnia dworki ubrały księżniczkę, uczesały jej włosy i lekko posmarowały kremem twarz, żeby mogła stać obok swego ojca w wielkiej bramie zamkowej i powitać młodego zwycięzcę.

Cały Kronengred szalał, posłańcy przybywali najpierw co godzinę, a potem co pół godziny z wieściami o księciu Lorienie. Uroczystości urodzinowe księżniczki zbladły w porównaniu z dzisiejszym świętem.

Mahart usiadła na łożu bardzo wcześnie tego ranka. Przetarła oczy, a potem zadrzała. Ostatniej nocy nie śniła o obsypanych kwieciami łąkach, mimo że położyła się wcześniej, aby się wyspać przed ciężkim dniem, jaki ją czekał. Chociaż wiele się nauczyła w ostatnich miesiącach, odkąd ojciec wyciągnął ją z ukrycia na światło dzienne, nie przybyło jej wiary w siebie. Och, w rozmowach z Zutą nie okazywała niepewności. Jednak, choć spotkała się prywatnie z Pierwszym Bardem, zdołała obmyślić tylko bardzo mgliste plany. Wiedziała jedno — nie będzie kokietować Loriena i przygotuje się na wszelkie ewentualności.

Po „wyzdrowieniu” z tajemniczej choroby Vazul odwiedził ją raz i przyprowadził ze sobą tego samego rannego młodzieńca, którego widziała w położonej wyżej komnacie w swojej wieży. W świetle dnia, już znacznie zdrowszy, wyglądał młodziej niż przedtem, ale nie brakowało mu pewności siebie. To on na rozkaz Vazula niemal przez cały czas prowadził rozmowę z Mahart i opowiadał jej o księciu Lorienie.

Wcześniej kanclerz zapoznał ją z tymi nielicznymi szczegółami, które wypaplała Zucie i uczniicy zielarki. Teraz zaś usłyszała tak wnikliwą i wszechstronną analizę charakteru księcia, jakiej mógł dokonać tylko jego przyjaciel z lat dzieciennych lub brat po mieczu. Ten Nicolas opisywał każdą cechę charakteru Loriena i robił to tak obrazowo, iż Mahart chwilami miała wrażenie, że była obecna przy danej scenie. Lorien nie miał oficjalnej kochanki, jak kazał zwyczaj dworski; co więcej, mówiono, że raz po raz oganiał się od niewiast jak od gadatliwych kwok, których lepiej unikać.

Tak samo jak Mahart lubił jednak starożytne legendy i opowieści, przede wszystkim o bitwach i bohaterach, a oprócz tego zagadkowe historie o podróżach i

odkryciach. Przed dwoma laty rzeczywiście wspiał się na górę Grog, tracąc w drodze dwóch towarzyszy, którzy zmarli z niejasnych powodów. Zrobił to, ponieważ w swojej bibliotece znalazł opowieść o jakimś starożytnym wielmoży, który dokonał podobnego wyczynu. Magnat ten zdobył wówczas wielką wiedzę, co pomogło mu kontrolować jego królestwo aż do śmierci.

Lorien nie sięgał po żaden tron. Pogardzał swymi trzema braćmi z powodu życia, jakie prowadzili na dworze, ale nie zrobił nic, żeby zaszkodzić następcy tronu. Raczej szukał towarzystwa podróżników, zamorskich najemników i od czasu do czasu, ku zaskoczeniu wszystkich, pewnego starszawego uczonego. W jednej chwili mógł jednak odłożyć księgę i sięgnąć po miecz.

— Jest w nim dwóch ludzi — powiedział Vazul, gdy Nicolas przerwał opowieść, żeby zaczerpnąć powietrza. — Jeżeli ich połączy, stanie się naprawdę potężny. Wasza Wysokość, pamiętaj o tym, co interesuje go najbardziej, ale nie rozmawiaj z nim o sprawach, których sama dobrze nie znasz. Raczej pozwól mu mówić i uważnie słuchaj, gdyż dobry słuchacz lub słuchaczka liczy się w każdym towarzystwie. Mam słuchać, przypomniała sobie teraz w perłowszarym blasku poranka. Każda rozmowa między nimi podczas tej wielkiej uroczystości będzie się toczyć wedle wszelkich wymagań etykiety dworskiej. Księżniczka nie miała pojęcia, jak stworzyć sytuację, w której będzie mogła słuchać księcia Loriena.

Później w drzwiach sypialni pojawiła się Julta, a za nią uczennica zielarki. Pokojowa nadzorowała ustawienie dużego parawanu i wanny za nim. Kiedy Willadene podeszła z całą baterią mydeł i kosmetyków, Mahart przemówiła pod wpływem nagłego impulsu.

— Nigdy nie próbowałam płynu do płukania włosów o zapachu paproci. Tak trudno go otrzymać, że może jest najlepszy na taką okazję.

Willadene podniosła buteleczkę w kształcie snopu paproci i instynktownie przysunęła ją do nosa. Zapach na pewno był prawdziwy i wiedziała, że nikt inny — może oprócz Saylany — nie użyje go dzisiaj. Skinęła głową i podała buteleczkę Julcie.

Ta nęcąca woń Ignęła do skóry i włosów Mahart, które Julta najpierw wytarła kilkoma ręcznikami, a potem czesała tak długo, aż prawie wyschły.

— Myślę, że nie trzeba nic więcej — powiedziała Mahart, gdy skończyły i siedziała w koronkowej koszuli i sztywnej halce, jedząc śniadanie, które przyniesiono do jej komnaty. To jedyny poranek, kiedy nie musiała towarzyszyć ojcu w książęcej jadalni.

— Tak, Wasza Wysokość — zgodziła się z nią Willadene. Zapach paproci przylgnął też do jej rąk. — Jeszcze tylko trochę kremu pod oczy, niech wydają się bardziej błyszczące...

Mahart roześmiała się i zlizła kroplę miodu z dolnej wargi.

— Och, wymaluj mnie tak pięknie jak Saylanę, ale ja nią nie jestem. Pamiętaj o tym. — Po tych słowach spoważniała.

Uplętnęło sporo czasu. Wielokrotnie odwracano klepsydry, zanim Willadene mogła opuścić komnatę, gdzie szelest pięknych tkanin i zapachy mnóstwa cennych perfum i pachnideł sprawiały, że wydawało się jej, iż otacza ją tłum wyfiokowanych dam. Chociaż Saylana się nie pojawiła, przyszły jej dwie dworki, by się przyjrzeć przygotowaniom i jak powiedziała Zuta, wtykać nos w cudze sprawy. Oficjalnie miały podarować Mahart koronkową chusteczkę, którą nosiło się u pasa. I, oczywiście, przekazać najlepsze życzenia swojej pani z tej radosnej okazji.

Suknia Mahart była ciemnoniebieska, przypominała barwę wieczorne niebo. I nie tylko podkreślała smukłość księżniczki, lecz także piękno jej gładkiej skóry. Mahart

pozwoili jedynie musnąć rózem swoje usta — Willadene w pełni pochwałała tę wstrzemięzliwoć — kazała też zapleść sobie włosy w warkocze, jakby była młodsza o kilka lat. Jednakże w jej kasztanowate warkocze wpleciono ostrożnie srebrne łańcuszki z kamieniami księżycowymi; mała tiara i naszyjnik z tych samych kamieni — to było wszystko. Innych klejnotów nie włożyła.

Willadene domyślała się, że Jej Wysokość Mahart celowo wybrała taki kolor sukni i takie ozdoby, by kontrastować z Saylaną, która lubiła obwieszać się klejnotami. I patrząc krytycznie na Mahart, gdy dwie niższe rangą służebne pod sokolim wzrokiem Julty poprawiały ceremonialną niebieską suknię, uświadomiła sobie, że księżniczka dokonała trafnego wyboru, pojawiając się w stroju, który można by nazwać skromnym.

Panie Famina i Geuverir podniosły koniec ciężkiego trenu, przybrały wyniosłe miny i zaczęły odgrywać przydzieloną im rolę w dworskim widowisku.

Willadene nadzorowała makijaż. Zapach paproci na pewno był mocny i trwały, ale nie wiadomo dlaczego, gdy bez przerwy czuła go przez ostatnie godziny, przestał jej się podobać. Przynajmniej jednak nie musiała już wąchać piżma, którego woń lubiły inne dworki Mahart.

Dziewczyna ułożyła już własne plany na ten poranek. Oczywiście nie mogła liczyć na dobre miejsce, skąd widziałyby przybycie młodego zwycięzcy. Poprzedniego dnia zauważyła pewne okno w wieży. Stamtąd, stojąc na stołku i pochylając się do przodu, obejrzałyby z wysoka, okiem ptaka, ceremonialne powitanie przed główną bramą zamkową.

Teraz wymknęła się szybko z nadzieją, że nikt inny nie wpadł na ten sam pomysł, by znaleźć swój punkt obserwacyjny. Musiała bardzo się wychylić, żeby zobaczyć kłębiący się tłum kolorowo ubranych prostych ludzi, i drgnęła, kiedy trębacze z całej siły zadęli w trąby. Wtedy czyjaś ręka chwyciła ją z tyłu za pasek.

— Spokojnie, pani... — Nawet gdyby nie usłyszała tego głosu, bez trudu by rozpoznała, kto za nią stoi. Jak zwykle zapach nasunął jej odpowiednie imię, ale obejrzała się za siebie.

— Jest tu dość miejsca dla dwojga, panie Nicolasiu — powiedziała pod wpływem nagłego impulsu. Nie umiałyby nawet sobie wytłumaczyć, dlaczego czuje się tak swobodnie w jego towarzystwie.

— Mądra z ciebie kobieta — zachichotał Nicolas i zaraz znalazł się obok niej. Poruszał się zręcznie i zdziwiła ją szybkość, z jaką zagoiła się jego głęboka rana, którą widziała na własne oczy, gdy pomagała ją bandażować. Dostrzegła błąd pod jego opalenizną, ale oprócz tego nie znalazła żadnych śladów niedomagania.

Stał teraz obok niej, lecz nie cofnął ręki z jej paska. Wcale jej to nie przeszkadzało, wiedziała bowiem, że nie zamierza się spoufalić, lecz ją przytrzymuje, by nie wypadła.

— „Książę przybywa...” — zacytował początek starej ballady. Rzeczywiście, tłum się rozstał lub rozdzielił go książęcy gwardziści, dając drogę jeźdźcowi. Za nim podążał paradnym krokiem orszak mężczyzn, którzy mogli być tylko doskonale wycwiczonymi żołnierzami.

Książę Lorien miał na sobie kolczugę, na którą narzucił kaftan w jaskrawe wzory. Zawiesił hełm przed sobą na łęku siodła i jechał z gołą głową. Willadene dobrze widziała z góry tylko ciemne, kędzierzawe włosy młodego zwycięzcy, ale Nicolas, jak gdyby czytając w jej myślach, rzekł:

— Jest dostatecznie urodziwy, pani. To prawdziwy książę, który może wpaść w oko każdej damie, jak również zdobyć jej serce.

W jego głosie zabrzmiało coś, co zwróciło uwagę Willadene.

— Ty nie widzisz go takim jak ci w dole? — Wskazała ręką na wiwatujący tłum.

— Nie — odpowiedział. — Nie będę przekomarzał się z tobą, pani, mówiąc zagadkami. Chodzi o to, że nikt nie potrafi odgadnąć, co on naprawdę myśli. W wielu dziedzinach przewyższa innych, jest takim wojownikiem, jakiego w Kronenie nie widziano od pokoleń; cieszy się bezgraniczną lojalnością i oddaniem swoich zwolenników.

— A mimo to — nalegała, wyciągając wnioski nie z jego słów, lecz z tonu — znajdujesz w nim jakieś wady.

Nicolas zmarszczył brwi. Wypowiedział jakieś zdanie, które do niej nie dotarło, więc przysunął się bliżej. Teraz jego oddech muskał jej policzek i usłyszała między głośnymi wiwatami:

— Nie tyle wady, co sekrety. Widziałem go w bitwie z rozbójnikami. Jako przedstawiciel naszego księcia i potomek wysokiego rodu dzieliłem z nim racje polowe przy tym samym ognisku. Rozmawialiśmy o dawnej wiedzy. Lubi ją i jest to jedna z dziwnych cech jego charakteru. Myślę jednak, że prawdziwy Lorien przebywa w ukryciu i że jeszcze nikt go nie widział.

— Podobno księżę chce wydać za niego Jej Wysokość Mahart — powiedziała Willadene i na moment zrobiło jej się zimno koło serca. Na książęcym dworze nie ma miejsca na szczerość (w istocie nawet zdziwiła ją nagła otwartość Nicolasa), ale Mahart — a już dość dobrze ją poznała — zasługuje na kogoś lepszego od mężczyzny, który kryje przed światem swoje prawdziwe ja.

— Panny z wysokich rodów nie mogą wybierać sobie mężów — skomentował Nicolas. A potem, jakby chciał szybko zmienić temat rozmowy, drugą ręką wskazał na tęczową plamę z tyłu i na prawo od księcia Uttobrica. Uttobric szedł teraz do przodu i jak zwykle wydawało się, że się przebrał w czyjś paradny strój, a Mahart o dwa zwyczajowe kroki za nim. — Tam — ciągnął Nicolas, nie okazując odrobiny szacunku dla orszaku prawowitego władcy — stoi tak zwana ozdoba naszego dworu — pan Barbric i jego kompani. Zwróć uwagę na ich kolczugi i miecze! — szydził otwarcie. — Gdyby te tchórzliwe psy choć trochę przypominały starego księcia, już dawno byśmy się pozbyli Czerwonego Wilka i jego naśladowców, nie czekając na obcego królewicza. Ci tam mają własne sposoby walki i nigdy nie walczą czysto.

Willadene przypomniała sobie tamten poranek w sklepie Halwice: potłuczone szkło na podłodze i otwarte groźby.

— Nasz księżę to prawdziwy władca — odparła powoli. — A i kanclerz Vazul jest człowiekiem o silnej woli.

— Nie można zbudować twierdzy na ruchomych piaskach, gotowych pochłonąć budulec — powiedział zmęczonym głosem. — Wiesz, że w zamku rozwija się zgnilizna? — Uderzył dłonią w kamienną półkę. — Twoja pani uważa, że coś takiego nigdy dotąd się nie zdarzyło. Może sama zaraza pozostawiła jakieś ohydne nasienie, które miało zakiełkować w późniejszych czasach? A słyszałaś opowieści o starej niańce Jej Wysokości Saylany? Saylana dała jej mieszkanie i opiekuje sienią. Willadene pokręciła głową.

— Julta nigdy nie plotkuje, ale pani Zuta ciągle przynosi nowiny księżniczce Mahart. Nigdy o kimś takim nie wspomniała.

— Pani Zuta... — powtórzył Nicolas. — A teraz spójrz tam, widzisz tego młodzieniaszka w fioletowo-niebieskim stroju, trzeciego na prawo od Barbrica?

Willadene odnalazła tę osobę z pewnym trudem. Znacznie bardziej obchodziło ją to, co mówił Nicolas, niż przewlekła ceremonia w dole.

— To pan Hulfric. Zapamiętaj to imię. Pochodzi z książęcego rodu, ale nie ma żadnych nadziei na tron. Ostatnio zainteresował się twoją Zutą, gdy ta dwoiła się i troiła w poszukiwaniu plotek. Od czasu do czasu na pewno jest kompanem Barbrica od kielicha, a przecież nie został najważniejszym z jego towarzyszy. Obserwuj Zutę,

jeśli możesz, pani. Ach, właśnie urocząście witają Loriena. Mam nadzieję, iż wszyscy mistrzowie ceremonii czują ulgę, że wszystko poszło tak dobrze.

Zaczął się odsuwać od kamiennej półki, kiedy Willadene chwyciła go za rękaw.

— Robisz wiele aluzji, ale nic nie mówisz otwarcie — powiedziała ponuro. — Właściwie po co mnie odszukałeś?

— Pani, zaliczasz się teraz do najbliższych towarzyszek naszej księżniczki. Pamiętam też pewną noc, kiedy na moich oczach pokonałaś coś, co nie powinno istnieć w naszym świecie. Pod tym dachem przebywa bardzo mało osób, którym naprawdę można zaufać, i myślę, że ty jesteś jedną z nich. Strzeż swojej pani — wszyscy znają plany księcia i opozycja aż kipi ze złości. Musimy być gotowi, kiedy nastąpi wybuch.

Wpatrywał się w jej oczy, jakby wbijał w nie ostrza sztyletów. Tak, brał udział w tajemnych grach o władzę, a przecież ufała mu Halwice, której Willadene bezgranicznie zawierzyła.

Skinęła twierdząco głową. Nicolas wysliznął się i odszedł tak niepostrzeżenie, jakby zniknął w ścianie. Przez sekundę lub dwie czuła się bardzo samotna.

Teraz odbędzie się uroczysta uczta. Po niej Mahart wróci do swoich komnat, by rozpocząć długie przygotowania do balu, który potrwa całą noc. Willadene przypomniała sobie, że księżniczka musi w ciągu jednego dnia uczestniczyć w dwóch takich ceremoniach, a potem tańczyć w nocy na balu. Dobrze się stało, że taki los nie przypadł mi w udziale, pomyślała z radością.

Mahart wyciągnęła się na łożu i zamknęła oczy. Bolały ją stopy i plecy i wydawało się jej, że od rana postarzała się o wiele lat. Już nigdy nie użyje tego pachnącego paprociami płynu! Przynajmniej pozwolili jej na krótki odpoczynek, o ile coś takiego w ogóle jest możliwe — przecież przez cały czas musiała się uśmiechać i uważnie słuchać wypowiedzi księcia Loriena (nie usłyszała od niego nic poza zwykłymi banałami podczas uczty, która zdawała się ciągnąć bez końca), zanim pojawi się w całej swej okazałości na balu.

Teraz pragnęła tylko zasnąć, czując zapach cudownego kadzidła Halwice, i obudzić się na kwitnącej łące ze snów. Pokręciła głową, starając się ułożyć ją wygodniej na poduszce. Dobrze, że nie ma już we włosach sznurów mlecznobiałych kamieni.

Pomyślała o księciu, którego gościli. Czy ktoś kiedykolwiek nazwał go po prostu Lorienem? Tak, uśmiechał się, ale nigdy oczami. Mówił, lecz wypowiadał tylko zdawkowe, poprawne komentarze, wtrącając od czasu do czasu komplement, który na pewno nie był szczery.

Tak, jest przystojny i w stroju wojownika w interesujący sposób odróżnia się od dworskich fircyków. I chociaż siedziała obok niego przy wysokim stole, znacznie uważniej przysłuchiwał się słowom jej ojca. Uttobric co jakiś czas wybuchał potokiem słów, jakby przypominał sobie, że musi rozmawiać z gościem.

Oczywiście ojciec zadał szereg pytań o atak na twierdzę Czerwonego Wilka. Mahart wydało się jednak, że Lorien odpowiadał na nie ogólnikowo, nie wdając się w szczegóły. Przyznał, że wzięli pewną liczbę jeńców, których w swoim czasie, kilka dni temu, wydali gwardzistom gospodarza. I właśnie to ostatnie stwierdzenie sprawiło, że jej ojciec zamyślił się głębiej niż zwykle.

Vazula ceremonialnie przedstawiono królewiczowi, ale potem kanclerz trzymał się z daleka i nie pojawiał się przy Uttobricu jako jego opoka i doradca. Mahart jednak nie wątpiła, że kanclerz i książę Kronenu niejedną raz przećwiczyli tę scenę, powtarzając wiele z tych pytań, które teraz zadawał jej ojciec.

Ponieważ nie mogła nic dodać do rozmowy o mieczach i czynach wojennych,



musiała ograniczyć się do słuchania. Po jakimś czasie odkryła pewną prawidłowość w pytaniach ojca. Chociaż pozornie cieszył się z upadku i śmierci Czerwonego Wilka, niezwykle interesował się też ludźmi pojmanymi w siedzibie tego rozbójnika — nigdy jednak nie zapytał o nich otwarcie.

Wreszcie wszystko się skończyło. Mahart nie smakowało tłuste jado, a towarzystwo uznała za frustrujące. Tylko jedno wydarzenie utkwiło księżniczce głęboko w pamięci: Jej Wysokość Saylana — siedząca o trzy miejsca dalej — nie spuszczała oka z Loriena, a może z nich dwojga. Chociaż kosmetyki pozornie przywróciły młodość Saylanie, jest chyba za stara dla królewicza z sąsiedniego państwa.

Ale kto wie?

W przeszłości zawierano dziwniejsze małżeństwa. Jeżeli jakiś wielmoża, chcąc wprowadzić w życie swój plan, żenił się z dziewczyną niemal tak młodą, że mogłaby być j ego wnuczką — czy kokietka równie doświadczone jak Saylana nie umiałyby zainteresować sobą księcia Loriena, który przecież nie jest z nikim związany? Jakim ciosem byłoby dla władcy Kronenu, gdyby jego zaprzysięgła nieprzyjaciółka przeciągnęła na swoją stronę sprzymierzeńca, którego zamierzał pozyskać! Pokrzyżowałyby mu to wszak zawile plany.

Mahart wpiła palce w miękką kołderkę. Odesłała je wszystkie — Zutę, Jultę i uczennicę Halwice. Ale ta wolność potrwa krótko. Czy książę Uttobric rzeczywiście uwierzył, że jego córka będzie mogła skutecznie rywalizować z Saylaną, gdyby ta zechciała zastawić sidła podczas balu?

Kim jestem? Tak, księżniczką, która skończyła osiemnaście lat i do niedawna była utrzymywana jak we śnie, z dala od prawdziwego świata, pomyślała. Nic nie wiedziała o intrygach ukrytych we wnętrzu innych intryg, jakie knuli dworzanie jej ojca. Dla niej te wszystkie gierki w większości przypadków były tylko niepotrzebną stratą czasu. W starych księgach wszystko działo się w dużo bardziej ekscytujący sposób. Księżniczki często nawet chwyciły za broń i staczały bitwy w obronie swoich praw. Wyobraziła sobie, że stawia czoło księciu Lorienowi z mieczem w dłoni i nagle zachichotała.

Nie, jestem Mahart i jako Mahart zamierzam zrobić wszystko, co możliwe — dla mnie samej! Niech książę Lorien płąsa po sali balowej (choć nie mogła sobie wyobrazić tej sztywnej postaci w tanecznym korowodzie); ja będę patrzeć i jak mi kazano, słuchać.

Naciągnęła ciaśniej kołderkę na ramiona. Postarała się zapomnieć o obolałym ciele i nie snuła już nowych planów, które mogłyby przeszkadzać jej w zaśnięciu. Wreszcie pogrążyła się we śnie.

Ujrzała nie łąki, za którymi tęskniła, lecz gigantyczne paprocie, których wierzchołki zwijały się wysoko nad jej głową. Otaczał ją zielony mrok, miotał nią wilgotny wiatr, chociaż była pewna, że jej prawdziwe ciało nie znajdowało się w tym dziwnym miejscu. Działała tam natomiast nieznaną siłą, która popychała ją, bezwolną, niezdolną do oporu, i im dalej zagłębiała się w ten nieprzenikniony mrok, tym gęściej rosły wokół niej paprocie, jakby te olbrzymie rośliny starały się rozerwać ją na kawałki i pochłonać.

Mahart wielokrotnie miała koszmarnie sny. Kiedy była młodsza, przerażające cienie ożywały i ścigały ją w ciemnych korytarzach. Jednakże ten był inny — wydawał się tak realny, że księżniczka zeszywniała ze strachu.

Otoczające ją paprocie na chwilę albo się rozwarły, albo zniknęły i wtedy ujrzała jakąś starą twarz — tak pobrużdżoną zmarszczkami, że nawet oczy i usta ginęły w ich głębinie. Ale te roziskrzzone oczy spojrzały na nią tak złośliwe, iż wydało się jej, że zadały mocny cios.

Za tym zniekształconym przez upływ czasu potworem znajdował się jeszcze ktoś. Widziała jednak tylko słup mgły, chociaż zauważyła w nim ciemniejsze jądro. Lecz to para złych oczu więziła ją w niewidzialnej sieci. Dwie szponiaste dłonie osadzone na wykrzywionych, kościstych ramionach podniosły się, wskazały na...

— Wasza Wysokość! — Mahart usłyszała krzyk tak głośny, że las paproci rozplynął się w nicość, a wraz z nim monstrum, które zastąpiło jej drogę.

Otworzyła oczy i zdała sobie sprawę, że siedzi na łożu i dyszy ciężko, jakby biegła zamkowymi korytarzami, ogarnięta dzikim przerażeniem.

Ręka Zuty spoczywała na jej ramieniu, a Julta stała w nogach łoża razem z uczennicą zielarki Halwice.

— Nic ci nie jest, Wasza Wysokość? — zapytała Zuta.

Serce Mahart powoli wróciło do właściwego rytmu. Księżniczka wzięła głęboki oddech.

— To był sen! — rzuciła wyzywającym tonem jak ktoś, kto nie ulega żadnym sennym majakom.

Jesteś zbyt zmęczona, Wasza Wysokość. — Zuta łagodnie popchnęła Mahart z powrotem na poduszki. — Zielarko, masz jakiś środek wzmacniający? Jej Wysokość ma mało czasu, ponieważ bal wkrótce się zacznie.

Willadene poszła po swoją sakwę z medykamentami. Tak, wszyscy miewali koszarne sny, ale wydawało się jej, że księżniczce przyśnił się straszniejszy koszmar niż zwykle. Zapach paproci był bardzo silny. Utrzymał się dłużej niż woń jakiegokolwiek pachnidła, z którym dotąd miała do czynienia. Zapragnęła, żeby przyszła tu Halwice. Dręczyło ją bowiem przekonanie, że jej własny talent zaćmiewa coś znacznie odeń potężniejszego. A przecież nie wyczuła smrodu zła.

Mahart prawdopodobnie była tego samego zdania, bo gdy Willadene wróciła z kubeczkiem przyprawionego miodem napoju, księżniczka już siedziała przed stolikiem, na którym stała taca z lekkim posiłkiem.

Tej nocy podadzą jeszcze jedną kolację, ale tylko dla dworzan. Damy dworu są zbyt zajęte strojeniem się, aby tracić czas najedzenie.

Mahart rozczesała palcami rozpuszczone włosy.

— Willadene — zwróciła się po imieniu do uczennicy Halwice jak do zaufanej dworki. — Czy możesz w jakiś sposób usunąć ten zapach paproci? Chwilami mnie odurza. Jeżeli znów się wykąpię — czy zdołasz pokryć go silniejszą wonią, a przynajmniej osłabić?

— Mogę spróbować, Wasza Wysokość. — Willadene usiłowała sobie przypomnieć, co Halwice zrobiłaby w takiej sytuacji. Zwykle jednak zapach, który miał zostać usunięty, był nieprzyjemny; nie miała też pewności, czy ta próba się powiedzie. Rozumiała, dlaczego Mahart pragnie się pozbyć tego zapachu; ją samą też przytłaczał.

Tak, tu konieczna jest kąpiel z dodatkiem pewnych kryształów. Mają jednak mało czasu. Na rozkaz Mahart Willadene zajęła się realizacją jeszcze bardziej skomplikowanego przedsięwzięcia niż rankiem tego dnia.

Zapach paproci zniknął, kiedy Willadene użyła mocnej wody z kwiatu pomarańczy zarówno do kąpieli, jak i do umycia włosów księżniczki. Wprawdzie były to tylko zwyczajne perfumy, ale z fantazją dodała do nich pewnych zamorskich przypraw. Rezultat na pewno nie był taki, jakiego zazwyczaj pragnęły damy szykujące się do spędzenia miłego wieczoru, lecz gdy skończyła, Mahart uścisnęła jej rękę.

— Możliwe, że pachnę jak pudding w Święto Środka Zimy — roześmiała się, ale markotna mina, z jaką się obudziła, zniknęła z jej twarzy. — Przypomniałam sobie jednak stare porzekadło, że droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek. Mam nadzieję, że książę Lorien lubi ciasto z owocami!

— Wasza Wysokość, jesteś pewna, że... Może jest jakiś inny środek? Czego mogłabyś jeszcze użyć, zielarko? — Zuta spochmurniała i patrzyła, jak Julta ubiera Mahart w cienką, przylegającą do ciała bieliznę, którą pokojowa ostrożnie wyjęła z szafy. Na szczęście szafy tej przedtem nie otwierano i wszystkie zgodziły się, że nie bił od niej zapach paproci.

Julta zasznurowała na plecach Mahart suknię, zbyt strojną jak na gust księżniczki, ale taką zamówił dla niej książę Uttobric. Willadene obficie spryskała ją wodą z kwiatów pomarańczy; pomyślała, że Mahart źle wygląda w tym kolorze.

Księżniczce najlepiej było w chłodnych, delikatnych odcieniach. A tę suknię uszyto ze sztywnego, złocistego brokatu, który ukrywał smukłe, młode ciało Mahart i sprawiał, że wydawała się niemal niezgrabna.

Ponieważ księżniczka nadal miała nieco wilgotne włosy, zaczesano je do góry i ukryto pod siatką. Siatka ta była tak gęsto wysadzana drogimi kamieniami, że zaćmiewała delikatne rysy twarzy, włosy zaś upodabniała do peruki.

Mahart miała przewodzić tańcom, oczywiście wraz z księciem Lorienem, dobrze więc, że nie będzie musiała dodatkowo dźwigać trenu i zamiatać suknią podłogi.

— Brrr! — Księżniczka stanęła przed podłużnym zwierciadłem, które Julta ustawiła pod odpowiednim kątem. — Wyglądam jak lalka. Myślę, że Saylana ucieszy się na mój widok.

Wydawało się jednak, że nie przywiązuje do tego szczególnej wagi.

Wielka sala, przygotowana na tę okazję, była wysoka na trzy piętra. Na dwóch balkonach w górze tłoczyli się słudzy najwyższej rangi, którzy teraz nie mieli nic do roboty i dlatego pozwolono im przyglądać się widowisku w dole. Za ich szeregami kłębił się tłum mniej ważnych służących. Willadene miała nadzieję, że zobaczy gdzieś Halwice, wiedziała bowiem, że skromna suknia zielarki będzie bardziej niż zwykle rzucać się w oczy wśród tych wspaniałych strojów. Nigdzie jej jednak nie ujrzała.

Z sukni i włosów Willadene sączył się silny zapach wody pomarańczowej, której na rozkaz Mahart użyły jej dworki i służki. Dziewczyna zauważyła, że kiedy się porusza, sąsiedzi i sąsiadki odsuwają się nieco, jakby uważali jej towarzystwo za uciążliwe. Ale tak samo traktowali Jultę, stojącą obok niej.

Pod pierwszym balkonem ulokowano muzykantów. Ponieważ ksiązę Uttobric nie przepadał za muzyką i nie trzymał grajków na dworze, trzeba było szybko odszukać tych, którzy służyli jego poprzednikowi, i urządzić pośpieszną próbę, a co z tego wyniknie, wkrótce wszyscy się przekonają.

Na podium na pomocnym krańcu tej długiej sali na tronie zasiadł już ksiązę Uttobric, jakby zajmując to wyeksponowane miejsce, mógł w jakiś sposób przyspieszyć początek balu.

Mahart szła do drugiego wysokiego krzesła ustawionego stopień niżej od tronu jej ojca, a tuż za nią kroczyła Jej Wysokość Saylana w zielonej jak morze sukni ozdobionej srebrzystą siateczką, w której tkwiły perełki. Kosztowne naszyjniki z perełk zdobily jej całkowicie odsłonięte białe ramiona, wypływające z zasznurowanego ciasno stanika. Sznury perełki połyskiwały też w jej czarnych włosach, podtrzymując maleńką tiarę, zdumiewająco podobną do korony księcia Uttobrica.

Za tronem księcia stał jego osobisty giermek, który wyglądał wspaniale w ceremonialnym kaftanie z herbem władcy Kronenu. Trzymał ostrożnie poduszkę, na której leżał srebrny diadem, tak zwieńczony i wysadzany diamentami, że wydawał się zaćmiewać niemal wszystkie noszone w pobliżu klejnoty.

Zagrały znów fanfary, tak głośno, że aż uszy pękały. Ich dźwięk był znacznie bardziej uciążliwy dla słuchu w tej zamkniętej sali, niż przedtem na otwartej przestrzeni. Stojący poniżej podium tłum dworzan i dworek szybko się rozstał i zafalował, gdy wszyscy złożyli głęboki ukłon lub dyg przed samotną postacią, w którą wpatrywały się wszystkie oczy.

Tym razem ksiązę Lorien nie miał na sobie rynsztunku wojennego, lecz w przeciwieństwie do zgromadzonych w sali mężczyzn nosił ciemnoszare, niemal czarne bryczesy. Kaftan tej samej barwy prawie zasłaniał płaszcz rycerski tak wspaniale ozdobiony metalowymi nićmi i drogimi kamieniami, że niemal oślepił tych, którzy patrzyli na stąpającego równym krokiem bohatera.

Ksiązę Uttobric poruszył się w krzesło. Vazul postąpił do przodu, by zapowiedzieć przybycie królewicza. Willadene znajdowała się za daleko, aby odróżnić wyraz twarzy znajdujących się w dole osób, ale wyczuła, że władca Kronenu usiłuje pokonać w sobie nienawiść do widowisk, kiedy szybkim ruchem ręki polecił giermkowi stanąć

obok Mahart.

Księżniczka widziała twarze obecnych, ale bardziej interesowały ją ich myśli. Usłyszała, że Uttobric kichnął dwukrotnie i nie wątpiła, iż zrobi jej awanturę za to, że użyła zbyt mocnych pachnideł, których zapach bił od niej.

Saylana uśmiechała się tak obojętnie jak zawsze. Uśmiech ten jednak kierowała teraz do księcia Loriena. Sama Mahart również nie odrywała od niego wzroku, gdy Vazul monotonnym głosem wychwalał jego wielkie zwycięstwo i dług wdzięczności, jaki zaciągnął u niego Kronen.

Bez kolczugi i żołnierskiego ekwipunku królewicz nie wydawał się tak nieprzenikniony jak na uczcie. Lecz Loriena—człowieka zaćmiewał tylko trochę blask wspaniałego płaszcza — jakby i on nosił, nieco niezręcznie, pożyczone szaty.

— Kronen znał wielu bohaterów — powiedział Uttobric. — Mamy wielki zaszczyt powitać w tej godzinie nowego, największego ze wszystkich! Choć nie pochodzi on z naszego kraju, oczyścił go z narastającego zła. Wszystko wskazuje na to, że sprawiła to łaska Jasnej Gwiazdy. I Kronen właśnie jemu ofiarowuje dar Gwiazdy.

Czekająca na tę wskazówkę Mahart wstała i oburącz uniosła z poduszki błyszczący diadem, który książęcy giermek trzymał w pogotowiu. Oczywiście Lorien nie uklęknie, gdyż nie jest wasalem władcy Kronenu. Stał jednak na niższym stopniu podwyższenia, żeby księżniczka łatwiej mogła włożyć mu diadem na lekko pochyloną głowę. Teraz Mahart poczuła rozkoszny dreszczyk. To ona uhonoruje zwycięzcę. Nie musi wywijać mieczem, lecz w znacznie bardziej osobisty sposób weźmie udział w tej ceremonii. Miała wrażenie, iż sztywne rękawy kępują jej ręce, kiedy podniosła je tak wysoko, że oparły się o zdobne drogimi kamieniami ramiona Loriena. Pochyliła się do przodu (chyba mógłby trochę mi pomóc, pomyślała z irytacją) i zdołała złożyć honorowy pocałunek, muskając ustami policzek królewicza.

Lorien uśmiechnął się, ale nie wątpiła, że była to zwykła uprzejmość. Jego nozdrza drgnęły. Może zapach kwiatu pomarańczy działał na niego tak samo jak na jej ojca?

Królewicz wyciągnął ku niej rękę, a książę Uttobric dał znak muzykantom. Lekko oparła palce o ramię Loriena, który sprowadził ją z podium i poprowadził do korowodu, wokół przeznaczonej do tego przestrzeni. Bal został rozpoczęty.

Dla patrzącej z góry Willadene ten taneczny marsz wyglądał jak tęczyowy krąg nakładających się na siebie kolorów. Skupiła uwagę głównie na księciu Lorienie i na księżniczce Mahart. Jak się czuła, spotkawszy kogoś, z kim miała dzielić życie na dobre i na złe?

Przynajmniej jest młody i urodziwy i jego żołnierze są z nim mocno związani. Czy jednak bohater wojenny będzie dobrym mężem? Możliwe, że tylko Jej Wysokość Saylana potrafiłaby na to odpowiedzieć, gdyż w Kronenie krążyło dość plotek o tym, jak ona i jej małżonek spędzali wolny czas w łożnicy.

Tłum stojących za nimi sług niższej rangi napał do przodu i Julta burknęła ostrzegawczo, gdy ją popchnięto. Wielki korowód dobiegał końca i miały się zacząć tańce. Lorien zgodnie z etykietą poprowadził Mahart do pierwszego i uklonił się głęboko, a ona odpowiedziała równie głębokim dygiem.

Możliwe, że częste ćwiczenia z szermierki zapewniają mężczyźnie pełne wdzięku ruchy w tańcu, pomyślała Mahart. Lorien nie pisał niezdarnie — czego się raczej spodziewała, gdyż podobno miał unikać takich okazji na dworze swego ojca. I nadal zachowywał miły wyraz twarzy, skupiając uwagę na swojej partnerce w bardzo pochlebny dla niej sposób. Mahart stwierdziła, że tańczą ze sobą niezwykle zgodnie i że nigdy tak dobrze jej się nie pisało z żadnym młodym wielmożą podczas nauki tańca. Poczuli się zaskoczona i nieco zawiedziona, gdy muzyka ucichła i falujący szereg tancerzy znieruchomiał.

Mahart oparła palce na nadgarstku Loriena, a on zaprowadził ją z powrotem na

podwyższenie, gdzie niepostrzeżenie pojawiło się jeszcze jedno wysokie krzesło, ustawione obok jej własnego. Księżniczka zarumieniła się lekko na tę widoczną aluzję, że łączono jej osobę z Lorienem. Królewicz jednak nie okazał zaskoczenia. Czy Lorien, ojciec i Vazul już zaplanowali jej przyszłość? Na tę myśl ogarnął ją gniew tak gwałtowny, że porównała go z bijącym od niej mocnym zapachem zamorskich korzeni.

Oszołomiona, próbowała wymyślić jakieś zdanie, od którego mogłaby rozpocząć rozmowę. Światy jej i Loriena wydały się jej nagle tak różne, że nic nie przychodziło jej do głowy, co tylko pogłębiło frustrację. Tym bardziej że Saylana zwróciła na milczącego towarzysza Mahart pewne siebie i władcze spojrzenie. Oczywiście, skoro księżę Uttobric nie tańczył, teraz Lorien miał poprowadzić do tańca drugą damę księstwa. Kiedy muzyka znów zagrała, wstał, uklonił się Mahart i podszedł do Saylany, której uśmiech miał w sobie całe ciepło upalnego dnia w środku lata.

Gdy księżniczka patrzyła, jak tych dwoje spotyka się i rozchodzi w figurach dworskiego tańca, zauważyła, że Saylana bez trudu znalazła jakiś temat rozmowy. I Lorien wyraźnie zwracał na nią uwagę. Dwukrotnie uśmiechnął się szeroko, a raz nawet roześmiał głośno. Tak, Saylana dobrze umiała grać w tę grę.

Mahart nagle straciła resztki pewności siebie. Zaakceptowała plany ojca dotyczące ewentualnego małżeństwa tak samo jak wszystkie inne rozkazy dotyczące jej postępowania. Aż do tej nocy była przekonana, że każdy konkurent to coś w rodzaju marionetki, która zatańczy tak, jak jej zagrają Uttobric i Vazul. Lorien wydawał się jednak inny, chociaż o mężczyznach wiedziała tylko to, co usłyszała od Żury. Teraz na moment zwątpiła, czy te wszystkie plotki faktycznie mają coś wspólnego z prawdą.

Nagle odniosła wrażenie, że w wielkiej sali jest za gorąco i zapragnęła z niej wyjść, opuścić zgromadzone tam towarzystwo, znaleźć chwilę spokoju, żeby uporządkować zamęt panujący w głowie. Przede wszystkim jednak chciała osiąść odpowiednią wiedzę, żeby żaden niewłaściwy uczynek, wypływający z ignorancji, nie rozbawił tych, którzy jak od dawna to podejrzewała, tak naprawdę wcale jej nie lubili.

Willadene obserwowała taneczne kręgi, ukłony i dygi, dotknięcia palców, i uznała, że dworski bal może wydawać się nudny, jeśli nie bierze się w nim udziału. Dręczył ją głód i czuła się zmęczona po próbach usunięcia z ciała i włosów Mahart niemiłego zapachu. To było dla niej nowe doświadczenie i bardzo chciałaby podyskutować o nim z Halwice.

Jeszcze raz przyjrzała się szeregowi sług wyższej rangi stojących na przodzie balkonu. Sądziła, że Halwice na pewno będzie wśród nich. Nie widziała jednak jej ciemnej sukni wśród połyskujących oznak z herbami rodów i jasnych połyskliwych strojów. Nawet Julta włożyła rdzawożółtą suknię, zdjęła fartuch i ciasny czepiec; zamiast tego przepasała siwiejące włosy obszytą koronkami wstążką.

Mężczyzna w liberii lokaja przepchnął się do boku Julty i rozmawiał z nią, ale głośna muzyka zagłuszała jego słowa. Willadene nie rozpoznała herbu, który nosił, co nie znaczyło, że nie może być starym przyjacielem Julty. Pokojowa księżniczki skinęła głową, a potem odwróciła się do Willadene.

— W jadalni dla służby trwa uczta. Mój przyjaciel Jacham twierdzi, że warto się tam pofatygować, bo stół jest wyśmienity. Poszłabyś z nami?

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową. Myśl o jadle wydawała się zachęcająca, ale była pewna, iż Julta spodziewa się właśnie takiej odpowiedzi. Uznała, że się nie pomyliła, kiedy pokojowa księżniczki szybko precyzyjnie się przez tłum razem ze swoim towarzyszem. Willadene nie chciała się narzucać tym dwojgu, może jednak pójść i zgubić się w tłumie innych sług, którzy tam podążali.

Gdy dotarła do drzwi jadalni, jej uwagę zwrócił zapach czegoś więcej niż tylko pieczonego mięsa i ostrych sosów. Usłyszała w pobliżu głośny chichot i ujrzała, że to

śmieje się jedna ze służących niższej rangi — czepek zawisł na wiązaniach na pulchnych ramionach, a głupia mina i krwistoczerwone rumieńce jej twarzy świadczyły, że już nadużyła mocnego piwa. Uczepiła się ramienia mężczyzny w stroju starszego stajennego, z szerokim uśmiechem patrząc mu w oczy, i od czasu do czasu szturchając go pięścią w żebra. Ale...

To Figis! Co ten podejrzany mieszczanin tu robi? Kiedy Willadene widziała go po raz ostatni, na pewno nie wyglądał jak obdarty kuchcik, którego znała. Teraz zaś był wystrojony niczym sługa wysokiej rangi z dworu jakiegoś wielmoży.

Połaskotał swoją towarzyszkę pod podwójnym podbródkiem, a potem pocałował ją głośno, co służąca uznała najwyraźniej za dobrą monetę. Teraz, kiedy Willadene podeszła bliżej, rozpoznała ją — była to Hettel, przydzielona do komnat Jej Wysokości Mahart służebna dziewczka, która zbierała brudną bieliznę i pilnowała, żeby ją wyprano. Zazwyczaj sprawiała wrażenie spokojnego popychadła, podporządkowanego żelaznej dyscyplinie jak wszyscy pałacowi słudzy. Jej swobodne zachowanie nieco zaszokowało Willadene. Zdumiała ją zwłaszcza obecność Figisa. Zanim jednak posłuchała pierwszego impulsu i przepchnęła się przez tłum — chciała bowiem podejść tak blisko, by usłyszeć, o czym rozmawiają — rozdzieliła ich roześmiana, rozśpiewana gromada i tamta para zniknęła.

Willadene uświadomiła sobie, że trudno jej będzie zrealizować pierwotny plan i dotrzeć do stołu. Nawet nie próbowała znaleźć wolnego miejsca na ławach — wszystkie były zajęte. Sięgnęła jednak ręką ponad jakimś lokajem, który skulił się i coś nucił pod nosem, i chwyciła placek z mięsem oraz jabłko.

Nigdzie nie widziała Julty i nie podobało się jej coraz bardziej swobodne zachowanie obecnych. Dlatego, zjedzeniem w rękę, wróciła do swojej izby w wieży. Wodą z dzbana zastąpiła tumaniące umysł piwo. Jadła powoli, rozmyślając na temat Hettel i Figisa. Jak ten ostatni zdołał się wśliznąć między służbę pałacową? Już samo to wydawało się niemożliwe — wszyscy oni byli bowiem synami i córkami lub krewnymi swoich poprzedników i rzadko, jeśli w ogóle, dopuszczali kogoś obcego do swego ścisłego grona.

Jeszcze bardziej dziwiło ją, że ktoś pokroju Figisa tak wysoko awansował. Choć informacja ta wydaje się banalna, powinna ją jakoś przekazać albo swojej pani, albo kanclerzowi. Nie wątpiła, że Halwice musi od czasu do czasu spędzić kilka godzin w swoim sklepie. Może więc spróbuje tam pójść pod pozorem uzupełnienia zapasów kosmetyków i leków? Takie rozwiązanie uznała za najlepsze. Czuła się bardzo zmęczona. Rozebrała się powoli i włożyła cienką nocną koszulę. Na szczęście na jej łóżku leżały grube koce, bo już wcześniej zauważyła, że lufcik w wąskim oknie się nie domyka. Bluszcz, który piętro niżej szczelnie pokrywał mur wokół komnaty księżniczki, znalazł nieco wyżej równie dobre punkty zaczepienia na kamiennej ścianie. Kiedy Willadene wyjrzała przez okno, zauważyła w nocnym mroku, że spleciona masa roślin rozciąga się między nią a małym balkonem Mahart.

Później położyła się na łóżku, sięgnęła ręką po amulet i znajome dotknięcie uspokoiło ją na tyle, że zamknęła oczy i zasnęła.

Obudziła się w gęstych ciemnościach. Lampa, która zawsze paliła się przez całą noc, zgasła nie wiadomo dlaczego. Wyczuła coś jeszcze, ciepłe ciało na szyi, usłyszała cichy syk. Otaczał ją — tak! — silny smród zła.

— Julta?! — zawołała i z drugiego łóżka odpowiedziało jej głośne chrapanie. Przyciskając mocno do siebie Ssssaaa, Willadene wysunęła nogi spod koców i palcami nóg poszukała po omacku kapci.

Teraz, kiedy jej oczy przyzwyczyły się do mroku, dostrzegła majaczący w nim ledwie widoczny prostokąt okna. Kierując się nim jak drogowskazem, odeszła od łóżka.

Trzymając się ściany, łatwo znalazła drogę do drzwi, choć raz boleśnie uderzyła się o stołek. Ale drzwi się nie otworzyły, choć szarpała za klamkę. Wreszcie musiała się pogodzić z faktem, że ktoś ją zamknął z pomocą czegoś, czego nie rozumiała.

Podeszła do łóżka Julty. Pokojowa księżniczki nawet się nie rozebrała, Willadene nigdy nie widziała jej w takim stanie: leżała jak wielka bryła, nie przykryta kocem.

Pijana czy nafaszerowana jakimś narkotykiem? W każdym razie nie zdoła jej pomóc. Willadene zlokalizowała teraz źródło tej aury zła pod stopami, jakby docierała z dołu, z komnaty Jej Wysokości Mahart!

Sssssaaa znowu syknęła jej do ucha i dziewczyna zdała sobie sprawę, że zwierzątko nalega, by podeszła do okna. Zadrzała z zimna w cienkiej koszuli, gdy weszła na stołek i wyjrzała przez okno.

Noc była ciemna, bezksiężycowa, ale z zaniku w dole rozlewało się słabe światło, jakby jeszcze nie zgaszono wszystkich świątecznych lamp i pochodni. Willadene wyciągnęła rękę, chwyciła najgrubszą łądygę bluszczu i pociągnęła z całej siły. Łodyga drgnęła, a potem znieruchomiała. Dziewczyna zrozumiała, że ta zaimprovizowana drabina prowadząca na balkon piętro niżej to jedyna droga do zaatakowanej przez zło komnaty Mahart.

Dobrze się stało, że musiała bardziej polegać na dotyku niż na wzroku, bo nigdy nie czuła się dobrze wysoko nad ziemią. Sssssaaa zsunęła się z jej ramienia w gęstwinę bluszczu. Spódnice nie nadawały się do takiej wspinaczki. Willadene wróciła do łóżka i po omacku odnalazła ukryty pod poduszką pasek, przy którym wisiały przybory codziennego użytku. Zapięła go starannie, a potem rozcięła nożem dolną część koszuli nocnej i owinęła oba pasy materiału wokół nóg.

Tak przygotowana otworzyła okno jak najszerzej i w jakiś sposób wygramoliła się na zewnątrz. Desperacko czepiała się bluszczu, usiłując znaleźć oparcie dla rąk i nóg. Uschnięte liście i ostre końce łodyg bardzo to utrudniały.

Znacznie bardziej przerażała ją świadomość, że jakaś niebezpieczna zła moc czeka w dole. A kiedy Willadene dotknęła bosymi stopami lodowatych kamieni, ujrzała, że na balkon pada światło z komnaty Mahart. W sypialni księżniczki ktoś był!

Willadene nie usłyszała żadnych słów, ale zobaczyła co najmniej cztery ciemne cienie górujące nad szerokim łóżem. Jeden z nich odwrócił się nieoczekiwanie, tak że słabe światło lampy padło na jego twarz. Halwice! Z okrzykiem ulgi Willadene chwiejnym krokiem weszła do komnaty.

Nagle Halwice zrobiła coś, co tak zaskoczyło dziewczynę biegnącą w stronę swojej pani, że zatrzymała się w pół kroku. Zielarka bowiem po prostu wskazała palcem na stojący na toalecie kandelabr i cztery świece natychmiast zapaliły się jasnym płomieniem, lepiej oświetlając pomieszczenie.

Ujrzała Sssssaaa leżącą na ramieniu Vazula, ledwie osłoniętym, ponieważ szata zsunęła się, kiedy zwierzątko wspinało się na swoje zwyczajowe miejsce. Nie ulegało wątpliwości, że większość obecnych pośpiesznie zerwała się po nocy. Blask świec odbijał się od obnażonego krótkiego miecza w dłoni zamaskowanej postaci ubranej w czarny, obcisły strój, który czynił ją niemal niewidoczną.

To nagły, szybki ruch Nicolasa, gdyż dzięki swemu talentowi rozpoznała go w odzianym w czerń mężczyźnie, zwrócił jej uwagę na łożę — a raczej na jego szczątki!

Tam gdzie przedtem leżały gładko materac i pościel, teraz Willadene zobaczyła kłębowisko z dziurą w środku, do której zwieszały się kotary łoża, jakby coś wessało je z dołu. Z otworu bił silny odór zła.

Halwice odeszła od pozostałej trójki stojącej obok łoża. Oparła ręce na ramionach Willadene.

— Długo z nią przebywałeś w ostatnich dniach. Znasz ją!

Willadene, drżąca i usiłująca walczyć z mdlącym smrodem, dobrze zrozumiała



słowa zielarki. Tak, doskonale pamięta osobisty zapach Mahart. Nawet zło nie mogło zetrzeć jego śladów z łoża księżniczki.

— Oto tropicielka, której można we wszystkim zaufać — oświadczyła zielarka.

Willadene ujrzała, że Nicolas zacisnął uparcie usta i zadała sobie w duchu pytanie, w jakim stopniu zgadza się on z rekomendacją Halwice. W międzyczasie Vazul głąaskał swoje zwierzątko i mrużąc oczy przyglądał się dziewczynie. Nie wyczytała jednak w nich powątpiewania. Później w krąg światła weszła trzecia osoba, która przedtem stała w nogach łoża.

Książę Lorien — zapewne przed snem — zrzucił uroczysty strój, a teraz wpatrywał się w Willadene.

— Nic nie wiem o takich sprawach — powiedział szorstko, marszcząc brwi.

— Każdy ma swój własny talent, książę — odpowiedziała Halwice. — Ty masz talent do władania bronią i przewodzenia w boju. Lecz są wśród nas inni, którzy ci dorównują. Powiedz mi, dlaczego tu przyszedłeś?

Królewicz rozchmurzył się i rozejrzał wokoło, jakby nagle zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje.

— Ja... byłem potrzebny... wezwano mnie... we śnie...

Halwice skinęła głową.

— Właśnie. Na każde pytanie jest odpowiedź. Tej nocy stało się coś złego, czego nawet my, znawcy Dawnych Praw, nie rozumiemy. Myślę, książę, że ty również miałeś stać się ofiarą, ale ci, którzy grają w tę grę, nadal są tylko amatorami. Uwalniają moce, których w pełni nie rozumieją. Nie uczyniłby tego żaden zdrowy na umyśle człowiek.

— Ja — ofiarą! Czyją i dlaczego? — Twarz mu poczerwieniała. Zacisnął ręce na słupie podtrzymującym baldachim łoża, jakby chciał go użyć jako broni.

Tym razem to Vazul udzielił mu odpowiedzi, ale okrężną drogą.

— Wasza Wysokość, gdyby rano twoi oficerowie stwierdzili, że zniknąłeś, i może znaleźli ślady świadczące, że grozi ci niebezpieczeństwo — co by wtedy zrobili?

— Rozebrali by Kronengred kamień po kamieniu — odrzekł po prostu.

— Właśnie. Ale stałoby się to po okresie rozpaczliwych poszukiwań, rozpętaniu nienawiści. Uwolniłeś nas od tego potwora Czerwonego Wilka. Za nim kryją się jednak inni, którzy nie chcą tu ciebie i twoich doskonale wyćwiczonych żołnierzy. Posiałiby niezgodę i Kronen drogo by za to zapłacił swoją krwią. Nie wiemy, dlaczego ich plany nie powiodły się w pełni, ale nie ulega wątpliwości, że porwali Jej Wysokość Mahart.

Ssssaaa znów syknęła, a kanclerz szybko odwrócił się do Halwice.

— Czas jest naszym wrogiem, pani. Lepiej ruszajmy tropem porywaczy.

Halwice położyła ciepłą dłoń na ramieniu Willadene, dodając jej otuchy.

— Musimy się przygotować, nie możemy wyruszyć na poszukiwania bez tego, czego najbardziej potrzebujemy.

Gdy Nicolas to usłyszał, wykonał taki ruch, jakby zamierzał wskoczyć do dziury na środku łoża, ale Vazul powstrzymał go.

— Nie poluj bez swojego tropiciela.

Nicolas rzucił okiem na Willadene i choć nie widziała wyrazu jego zasłoniętej maską twarzy, wyczuła, że ten rozkaz wcale mu się nie spodobał.

Halwice szybko zaprowadziła ją do jednej z wielkich szaf i szarpnięciem otworzyła drzwi tak, żeby posłużyły za parawan. Szukała wśród mnóstwa strojów, aż w końcu wyjęła spódnicę—spodnie, jakich damy używają do konnych przejażdżek na wsi, z wyglądu zupełnie nową. Dodała też inne części ubioru i kiedy Willadene je włożyła (Halwice pomagała jej wiązać sznurowadła i tasiemki) zdała sobie sprawę, że ten podróżny strój znacznie mniej krępuje ruchy niż codzienne odzienie i że jest też

bardziej ozdobny od wszystkiego, co dotąd nosiła. Halwice obcięła nożyczkami odznaki z ramienia i piersi. Naszyte na nich perły i małe kamienie szlachetne spadły na podłogę. Nie skończyła na tym, lecz zebrała w nieładzie naręcze innych ubrań, które włożyła do jakiejś torby.

Willadene nie ośmieliła się zaprotestować nawet wtedy, gdy Halwice chwyciła ją za włosy i obcięła je na wysokości ramion. Zielarka przez cały ten czas milczała, teraz jednak popchnęła nogą torbę z ubraniami.

— Należą do ciebie — stwierdziła. — Są tam specyfiki, które znasz — użyj ich wtedy, gdy będziesz musiała. Pamiętaj wszakże, że tylko twój nos może pomóc Mahart i ostatecznie zapewnić bezpieczeństwo całemu Kronenowi.

Mahart oczywiście śniła, ale sen ten wydawał się bardzo realny i przerażający. Nic bowiem nie widziała, a kiedy usiłowała podnieść rękę do oślepych nagle oczu, ta nie posłuchała jej rozkazu. Nie była też sama, gdyż od czasu do czasu słyszała niewyraźne rozmowy, i na pewno nie znajdowała się w swoim łóżu — pamiętała, że wśliznęła się tam bardzo zmęczona, pragnąc tylko snu.

Wyczuwała również jakiś nieprzyjemny odór, a przynajmniej różne, kłójące się ze sobą zapachy. Resztki korzennej woni nadal do niej lgnęły, choć powietrze przesycił kwaskowaty smród zgnilizny i jeszcze coś, czego nie umiałaby nazwać, lecz co przejmowało ją dreszczem.

We śnie znów pogrążyła się w gęstym mroku. Następnym razem obudził ją ból, jej plecy ocierały się o chropawy kamień. Nie panowała nad głosem tak samo jak nad oczami i rękami, była więźniem tych nieprzeniknionych ciemności. Kiedy jednak spróbowała uporządkować docierające do niej wrażenia, tępy ból nad oczami znacznie się nasilił.

Czy to, co wyczuwała, wisi w powietrzu?

Ciało jej nie słuchało, była całkowicie bezsilna i owładnął ją zimny strach. Ponownie uderzyła o coś — tym razem głową, w której już i tak jej się kręciło — i wpadła w mrok i niepamięć.

Z tego stanu wyrwał ją dźwięk i nowy zapach, który niegdyś potrafiła zidentyfikować.

— Ty durniu! — warknął jakiś głos i zaraz potem usłyszała plaśnięcie, a odpowiedział mu ostry krzyk.

— Wasza Wysokość, nie tutaj, bo ona... — Słowa przemknęły i wysliznęły się z jej umysłu, zanim zdołała zrozumieć ich znaczenie.

— Trzymaj go, Jonasiu. — W jakiś sposób ten głos przeniknął do świadomości Mahart i zrozumiała, co powiedział. — Robisz to, po co zostałeś wysłany! — Znów ten odgłos uderzenia i wrzask bólu. Rozumiesz? Jeżeli mamy coś uratować z tej spartaczonyj nocnej pracy, musimy działać szybko. Ile czasu mamy, Mądra Pani?

Czyjeś palce dotknęły Mahart, chwyciły jej bezwładny nadgarstek. Zaczęła rozumieć, że nieznani wrogowie sądzą, że jest nieprzytomna. Musi więc taką udawać, zanim nie dowie się czegoś więcej.

— Jeszcze jeden wdech...

To nie był tamten ostry głos. Mahart niemal krzyknęła, kiedy ktoś chwycił ją za włosy i przechylił jej głowę pod takim kątem, że ból stał się silniejszy. Przyciśnięto jej do ust i nosa zwiniętą szmatę, tak że mimo woli odetchnęła i natychmiast znalazła się w mroku niepamięci.

Tym razem mrok nie był pusty. Zaczęła wyczuwać, że coś się w nim porusza, choć nie ona sama. Wyteżyła słuch, aby uzyskać jakiegokolwiek informacji o tym, gdzie się znajduje i dlaczego.

Może w mieszance zapachów lgnącej do jej ciała i włosów po próbach usunięcia woni paproci przez uczennicę Halwicę było coś, co sprawiło, że niewoląca ją siła osłabła. Znów czuła swoje ciało, dziwnie wolne bicie serca i płuca, które usiłowały złapać oddech. Nie wyczuwała już poruszających się w pobliżu istot. Czy to znaczy, że ją porzucono i że ma bezwolnie czekać na nieznany los? Czy to dlatego otacza ją normalna ciemność i nic jej nie przeszkadza?

Mimo tępego bólu głowy Mahart spróbowała zebrać nieliczne informacje, których dostarczały jej działające z trudem zmysły. Po jakimś czasie zaczęła lżej oddychać, a

jej serce biło już normalnie.

Skoncentrowała się na palcu — najmniejszej części ciała, nad którą może zdoła odzyskać kontrolę. I — tak, poruszył się! Bardzo słabo, ale się poruszył. Dodało jej to odwagi do dalszej walki o panowanie nad swoim ciałem. W rezultacie cała ociekała potem, a ból głowy stał się tak nieznośny, że nie mogła już dłużej wytrzymać. Obawiając się, iż ponownie zapadnie w nicość, szybko podsumowała wszystko to, czego się dowiedziała.

Chociaż może poruszać palcami, podniesienie rąk przekracza jej możliwości. Uznała, że nie oślepla, lecz zawiązano jej oczy. Ale jak się dostała w to miejsce ze swojego bezpiecznego łóża? Kto ją tu przyniósł?

Dobiegły do niej jakieś dźwięki, na pewno odgłos ciężkich kroków. Usłyszała też sapanie i wyczuła mocny odór piwa. Nigdy w życiu nie pragnęła tak bardzo mieć wrodzonego talentu, jaki z taką chęcią zademonstrowała jej Willadene, i móc tylko za pomocą powonienia badać otoczenie. Od posuwającego się ciężkim krokiem mężczyzny bił tak silny smród, że na pewno by powalił cały oddział gwardzistów — odór starego tłuszczu, niemytego ciała... Jednak nieznajomy nie kierował się prosto do niej, jak się tego początkowo obawiała. Dotarło do niej coś w rodzaju skrzyknięcia, jakby opadł na krzesło, które ugięło się pod jego ciężarem.

Mężczyzna ten usiadł tylko po to, żeby zaraz się podnieść, gdy Mahart usłyszała kroki dwóch innych osób.

— Życzę ci pięknego dnia, Mądra Pani — wymamrotał gruby głos. Zamiast odpowiedzi do księżniczki zbliżyły się lekkie kroki. Znow wyczuła jakiś zapach, ale ten już знаła. Oczami wyobraźni ujrzała piękną buteleczkę w kształcie snopu paproci i kilka kropli tłustego, zielonkawego płynu wypływającego leniwie, gdy ją przechyliła. Paprocie! Wtedy tamta woń ją zachwyciła, teraz jednak chwyciły ją mdłości.

Napłynął też inny zapach, ostry, nieprzyjemny — odór zgnilizny i ziemi, jakby bił z jamy wykopanej w zamkowym ogrodzie. Przeszył ją ból, gdy ktoś uderzył ją w głowę.

— No, szcurzy wodzu — zakrakał ochryply kobiecy głos, jakby cieszył się z jakiegoś żartu — teraz ją masz. Co zamierzasz z nią zrobić?

— Panie — rozległ się trzeci głos w pewnej odległości od Mahart, która tym razem nie usłyszała niczych kroków. — Polowanie już się rozpoczęło! Ta po trzykroć przeklęta zielarka...

— Och, chłopcze, staraj się nie mówić źle o lepszych od ciebie. Ci, którzy tak czynią, często za to pokutują — powiedział znow ten skrzeczący głos. — Oznajmiam ci, szcurzy wodzu: ona otrzymała całą dawkę napoju, jaką mogę jej dać. Większa ilość spowoduje jej śmierć. A jeśli już o tym mowa, możliwe, że jej umysł umarł. Ta dziewczyna nie otrzymała odpowiedniego wykształcenia i nikt nie dał jej antidotum. Doradziłabym ci coś: jeśli chcesz, aby była posłuszna tym wyrzutkom, którzy ci służą, lepiej zabierz ją stąd jak najprędzej.

— Z miasta — czwartą drogą! — Zabrzmiało to jak rozkaz. — Weź Jonasa i Orthona i ruszajcie! Inaczej przez tydzień nie będziesz w stanie spać na plecach! Uderzenie Jej Wysokości nie było miłosnym klepnięciem, masz podbite oko, ale to nic w porównaniu z tym, co cię czeka, jeśli się nie ruszysz — i to zaraz!

Do Mahart dobiegły odgłosy zamieszania. Tak bardzo się bała, żeby wrogowie nie zauważyli, że odzyskała przytomność! Wytężyła całą wolę, żeby wyglądać na nieprzytomną i nieruchomą. Po chwili księżniczkę chwyciły czyjeś ręce wielkie jak niedźwiedzie łapy. Podniosły ją i poczuła, że jej policzka dotyka jakaś ostra metalowa krawędź, może kolczuga.

Zeszli na niższy poziom. Uderzyła boleśnie ręką o balustradę lub ogrodzenie. Omal

nie krzyknęła, kiedy ktoś z przekleństwem chwycił tę rękę i rzucił w poprzek jej ciała.

Znow miała wrażenie, że znajduje się w jakimś zamkniętym pomieszczeniu, może pod ziemią, potem zaś dodało jej otuchy słabe światło, które kołysało się przed nią w dół i w górę. Potrafi więc aż tyle zobaczyć, chociaż zawiązali jej oczy! Możliwe też, że słabło działanie płynu, którego użyli przeciwko niej.

Dwukrotnie rzucono ją na jakąś nierówną powierzchnię, co sprawiało jej ból. Słyszała też ciężki oddech niosącego ją mężczyzny. Potem przyłączył się do nich jeszcze jeden mężczyzna.

— Dokąd właściwie mamy ją zabrać? — zapytał, kiedy powtórzono mu rozkazy o usunięciu Mahart z dotychczasowego więzienia. — Nie wtrącimy nikogo do Wieży Kruka, słyszałem to z ust naszego pana. Nie dorwaliśmy tego durnego księcia, a teraz w mieście wrze jak w ulu. Chętnie byśmy go załatwili nożem w brzuch i wrzucili tam, gdzie jego zabijaki znalazłyby go za dzień lub dwa. A ty przynosisz nam tą dziewczkę...

— Niewykluczone, iż nasz pan uważa, że mając ją w ręku, będzie mógł pertraktować... — podsunął młodszy głos.

— Na pewno nie zamierza ukryć jej w podziemiu, gdzie niedawno byliśmy. Chcesz, żeby wbili twoją głowę na włócznię? Mieliśmy dobry plan, póki naszemu panu nie zachciało się wziąć udziału w intrygach wielmożów. Uważam, że powinniśmy się przyczaić, poczekać i zobaczyć, co zrobią ci z góry.

— No to dokąd ją zabieramy? — Ten trzeci to musiał być mężczyzna, który przyniósł ją tutaj, gdyż jego głos zabrzmiał znacznie bliżej, jakby przykucnął niedaleko niej.

— Do Iszbi — i guzik mnie to obchodzi!

Ktoś odetchnął głęboko. A potem wysoki głos zapytał:

— Powiesz naszemu panu, dokąd ją zabrałeś?

— Jasne jak słońce na niebie, tam nikt nie będzie jej szukać — oświadczył tamten.

— Wystarczy tylko paru ludzi do pilnowania przejścia, przecież nikt o zdrowych zmysłach nie zapuścił się do tego labiryntu, odkąd zainstalowano zegar w Kronengredzie, a było to diabelnie dawno temu.

Ktoś jeszcze raz podniósł Mahart. Iszbi — usiłowała sobie przypomnieć, co o tym wie, ale ból głowy nasilił się tak bardzo, że postanowiła wytrzymać wszystko, co przyniesie jej los.

Halwice obejrzała Willadene od stóp do głowy. Dziewczyna właśnie chciała podnieść zapakowaną przez zielarkę torbę, kiedy przypomniła sobie o swoim amulecie i liściach z odległej przeszłości, które do niego przywiązała. Nadal nosiła je przy sobie, nie miała jednak dość czasu, by zapytać Halwice o to znalezisko, bo zielarka zamknęła szafę, i nic już nie przesłaniało widoku.

Na podłodze obok podwyższenia leżała kupa zdartej z łoża pościeli — w ten sposób odkryto dziurę w jego środku. Nicolas leżał tam na brzuchu, trzymając latarnię nad ciemnym otworem. Chociaż brzask już zaczynał się wkradać do komnaty, potrzebowali więcej światła.

Vazul i ksiączę Lorien również się do niego przyłączyli. Kanclerz, choć nadal mocno trzymał się słupa podtrzymującego baldachim, nachylił się niebezpiecznie do przodu, ksiączę zaś klęczał na podium z drugiej strony łoża i próbował zajrzeć do tajemniczego otworu.

— Świeżo wycięty — oznajmił Nicolas. — Może przebili się tuż przed jej porwaniem. Na planach zamku nie ma takiego przejścia, kanclerzu.

— Nie ma o czym mówić — skomentował burkliwie Vazul. — No cóż, pani, czy twoja służka przyda się nam na coś w wykonaniu naszych planów? Pozwól jej się zbliżyć, Nicolasie.

Nicolas posłusznie odsunął się na bok i Willadene przyłączyła się do niego bardzo ostrożnie. Powinna przebić się przez ten wszechogarniający smród zła, żeby dotrzeć do znacznie trudniej uchwytnego osobistego zapachu księżniczki.

— Co ona robi? — zapytał Lorien, kiedy Willadene wyciągnęła nad dziurą szyję i ramiona. W blasku latarni ujrzała popękane belki i kamienne ściany.

— Szuka — odrzekła spokojnie Halwice. — Gwiazda obdarzyła ją największym talentem, z jakim kiedykolwiek się zetknęłam. Każdy z nas od urodzenia ma swój własny osobisty zapach. Nie ma on nic wspólnego z naszym materialnym ciałem, z jego stanem ani z odzieniem. Osoby, które mają ten wielki talent, potrafią wyśledzić każdego znajomego człowieka, tak jak psy gończe, niezmordowanie idące tropem przez las.

Willadene usiłowała nie słyszeć ich rozmowy i nie dociekać jej treści, aby wyczuć tylko zapachy. Odnalazła pierwszą warstwę zła, a pod nią ślady silnej woni korzeni, za pomocą której Mahart usunęła zapach paproci. Później — jak pojedynczą nić w tkaninie — odkryła to, co należało tylko do Mahart. Tak, księżniczka tędy przechodziła.

Ale to dopiero początek. Nicolas zawiesił sobie latarnię na sznurze na szyi i nachylił się głębiej, by obejrzeć pierwszą roztrzaskaną belkę. A Willadene poszła w jego ślady, niezbyt chętnie, dlatego że musiała, bo takie było jej zadanie.

Latarnia oświetliła inny otwór pod belkami, których połowa została rozrąbana. Nicolas, kołyszając latarnią, już zaglądał do kolejnej dziury. Kiedy ruszyli w głąb, obłok kurzu wzbił się w powietrze, ale Willadene nie ośmieliła się zatkać nosa, by nie stracić cennego śladu, za którym muszą iść.

— Ach... — Latarnia znieruchomiała. Nicolas chwycił Willadene w pasie i zsunął w dół. — Więc to o to chodzi! — Wydawało się, że niemal podziwiał pracę tych, którzy wybili oba otwory. — Ale musieli mieć przewodnika... — dodał ponuro.

Ponownie chwycił latarnię i zatoczył nią krąg, by lepiej widzieć miejsce, w którym się znaleźli. Stali, jak zobaczyła Willadene, w innym tajemnym korytarzu; otaczały ich kupy gruzu, a w górze widzieli światło docierające z komnaty księżniczki. Zorientowali się, że nie jest to normalne wejście do jednego z wewnętrznych tuneli, lecz że ktoś niedawno je wybił.

— Nikt nic nie słyszał... — Dziewczyna wyraziła głośno swoje zdumienie.

Nicolas podniósł odłamek gruzu i równie szybko odrzucił go z okrzykiem bólu. Nie widziała krwi na jego palcach. Mogła natomiast wyczuć... zapach paproci, ale razem z nim coś jeszcze, z czym nigdy dotąd się nie zetknęła. Chwyciła dłoń Nicolasa i przysunęła ją bliżej latarni. Na koniuszkach jego palców zauważyła czerwone plamy. Przeniosła wzrok na kupę potrzaskanych belek otaczających jej stopy. Nicolas szybko odszedł od tego stosu, pociągając ją za sobą.

— Co... — zaczęła, próbując się uwolnić, ale młodzieniec tylko mocniej ścisnął dłoń jej rękę.

Drugą ręką sięgnęła do torby z ziołami i zdołała jakoś wyjąć mały słoiczek, którego szukała.

— Myślę, że to coś pożera wszystko, co napotka — wyjaśniła. Nicolas stał nieruchomo, gdy smarowała maścią krwawe plamy na jego palcach. — W zeszłym roku do Halwice przybył pewien kapitan statku. U jednej ręki miał tylko trzy palce. Wyrzucone przez fale na pokład wodorosty zjadły mu część dłoni, pożerały nawet sam statek. Kiedy marynarze chcieli wyrzucić je za burtę, ci, którzy dotknęli ich gołymi rękami, zostali okaleczeni. Nie sądzę, aby porywacze kuli w tym miejscu, bo na pewno by ich usłyszano. Bez wątplenia użyli jakiejś mikstury pożerającej drewno i kamień...

Nigdy o czymś takim nie słyszała, ale zawsze można dowiedzieć się czegoś

nowego. Nicolas szybko skinął głową. W słabym świetle, w swoim czarnym stroju był ledwie widoczny, lecz Willadene bardzo wyraźnie wyczuwała jego obecność.

— To dlatego pościel zwisała w głąb dziury! Ale dlaczego coś, co tak wszystko zżera, nie zabrało się też do niej?

— Możesz co do tego snuć różne przypuszczenia, tak jak ja — odrzekła, przewieszając torbę przez ramię. — A teraz... — Zrobiła kilka kroków w mrok i podniosła głowę, odwołując się do swego talentu.

— Tędy. — Smród zła wisiał w tym korytarzu wraz z korzennym zapachem. Nie pozwoliła jednak, by rozpraszały jej uwagę. Szukała woni Mahart i odnalazła ją.

Nicolas zrównał się z Willadene. Wciąż trzymał latarnię, ale poprzesuwał jej osłony w taki sposób, że światło sączyło się bardzo wąskim strumieniem. Kołysał nią lekko w przód i w tył, żeby oświetlić jak największą przestrzeń. Widzieli jednak tylko kamienne ściany, takie same jak w innych korytarzach, nie ukrytych w zamkowych murach, którymi Willadene wędrowała otwarcie.

Spodziewała się, że Nicolas zacznie ją wypytywać o drogę, ale najwidoczniej, przynajmniej na razie, gotów był zaakceptować jej decyzję. Dopiero gdy dotarli do ostrego zakrętu i ujrzeni odgałęziający się drugi korytarz, przystąpił do działania. Nachylił się, aby zbadać wzrokiem grubą warstwę kurzu. Dostrzegli wiele śladów, jakby w tym miejscu doszło do bójki. — Tam...? — Wskazał w bok.

Willadene przystanęła, zamknęła oczy i skoncentrowała całą energię na zmysle węchu. Odór zła zgęstniał i z wielkim trudem przebiła się przezeń do nici przewodniej — zapachu Mahart.

— Nie.

Ubranie miał teraz tak grubo pokryte kurzem, że widziała go lepiej. Zrobił dwa kroki w bok i poświecił latarnią w dół. Nawet z miejsca, gdzie stała, Willadene widziała naruszoną warstwę kurzu. Na pewno niedawno ktoś tędy przechodził. Ale...

— Nie — powtórzyła i ruszyła dalej głównym korytarzem, który obniżał się ukośnie; wyczuła też wilgoć w powietrzu. Willadene domyślała się, że Nicolas się z nią nie zgadza, po chwili jednak poszedł jej śladem.

Nie było tu schodów, ale korytarz wyraźnie opadał. Później światło latarni wyłowiło oświetlony otwór w ścianie. Nicolas powiódł wąskim strumieniem świetlnym wokół nich. Willadene aż jęknęła na widok tego, co zobaczyła.

W kamiennym murze wykuto niszę, w której ledwie mieściło się to, co stało za zardzewiałymi prętami klatki. Kości były niezwykle cienkie i delikatne, a cały szkielet tak krótki, iż Willadene zrozumiała, że łupem starożytnego zła padło jakieś dziecko.

— Athgard! — wystająca z zakurzonego czarnego rękawa ręka Nicolasa wyglądała na tak białą jak kości przed nimi. — Więc tak skończył...

Athgard? Kim był ten Athgard? Willadene raz po raz przełykała i ślinę, usilnie starając się widzieć tylko szkielet na tle muru, a nie przelotną wizję tego, do kogo kiedyś należał.

— Minęło pięćset lat, może więcej... — Nicolas wskazał palcem na czaszkę, która odpadła od kręgosłupa, potoczyła się do przodu i zatrzymała przy metalowych prętach. Czaszkę otaczał diadem z pociemniałego ze starości metalu. Z przedniej części diademowi wydłubano klejnoty, które niegdyś tam się znajdowały, pozostawiając jedynie metalowe oprawki, ledwie widoczne w bladym świetle latarni.

— Athgard syn Wisgarda. — Nicolas podniósł do góry dłoń, jakby pozdrawiał dawno zmarłego chłopca. — Więc w taki sposób wymarł ród Gardów. Spoczywaj w pokoju. — Wydawało się, że zwraca się bezpośrednio do szkieletu, wiedząc, że czarnoksiężnicy z Iszbi zostali pokonani wiele wieków temu, w krwawym boju, i wytepieni do ostatniego. — Pomóż nam pomyślnie zakończyć nasze poszukiwania, a wtedy ty, ostami z Gardów, odzyskasz wolność i miejsce w blasku Gwiazdy.

— Iszbi... — Wszystko, co Willadene wiedziała o przeszłości, zaczerpnęła ze wzmianek w skromnym księgozbiorniku Halwice, które głównie dotyczyły zielarstwa.

— Iszbi! — Złośliwy grymas wykrzywił usta Nicolasa. — To wszystko z powodu królowy Nony. Czarami wabiła do siebie mężczyzn, jednego po drugim, zarówno wielmożów, jak i członków ich dworów. Przywołała też podobnych sobie czarnoksiężników i złe czarownice. Zapomniano o Gwieździe i oddawano cześć innej mocy, która piła ludzką krew. Ostatniego księcia Gardu otruto przy własnym stole, jego następcą zniknął, a księstwem rządziła Krwawa Wiedźma, pani Nona. Nigdy jednak szala dobrego i złego nie przechyliła się w jedną stronę tak bardzo, by z czasem się nie wyprostowała. To z tej samej północy przybył Vulsaden, a z nim ci, którzy głęboko nienawidzili wierzeń Nony. Później Nona straciła władzę, bo wyznawcy Gwiazdy także wezwali na pomoc potężniejsze moce. Z niebios przyszła taka odpowiedź, że zadrżał cały kraj. Vulsaden zgromadził tych, którzy ocalili, i wszystkich wasali Nony pojmano i stracono. Nigdy jednak nie odnaleziono Krwawej Wiedźmy — ich pani. Wtedy Dom Denów rządził przez dwa pokolenia; ostatni książę nie miał syna, a jego siostra poślubiła wielmożę z rodu Briców, dając tym początek nowej dynastii.

Willadene szybko nakreśliła znak Gwiazdy nad żalonymi szczątkami, które odkryli w niszy.

— A przecież walka ze złem nadal trwa — powiedziała.

— Właśnie. I teraz my również w niej uczestniczymy. Czy przysięgniesz, pani, że mamy tędy pójść?

Dziewczyna całym wysiłkiem woli odwróciła się od uwięzionych w klatce kości, starając się zapomnieć o zbyt żywym obrazie, podsunętym jej przez wyobraźnię.

— Tak, to tędy mamy pójść.

Odniosła jednak wrażenie, że smród zła, jaki wcześniej tak bardzo ją nękał, osłabł nieco. Może rzeczywiście tak się stało, a może się do niego przyzwyczaiła. Była jednak pewna, że nadal trzyma się nici, która zaprowadziła ją aż tak daleko, i ponownie skupiła na niej całą swoją energię.

W drodze nie czekały już na nich żadne przykre niespodzianki, chociaż wąski korytarz nadal się obniżał. Kurz też mniej dawał się im we znaki, ponieważ wilgoć unosiła się w powietrzu, leżał jednak tak grubą warstwą, że tłumiał ich kroki.

Raz lub dwa razy owionęła ich fala innego smrodu, kiedy mijali szczeliny znajdujące się w miejscach, gdzie kamienne mury stykały się z sufitem korytarza.

— Jesteśmy pod miastem — szepnął Nicolas. — Ta droga prowadzi wzdłuż wielkiej kloaki. Weź to... — podał jej latarnię, a dziewczyna chwyciła ją mocno. Sięgnął do pasa i wyjął z jakiejś ukrytej kieszeni coś, co wyglądało jak bicz do konnej jazdy. Z biczem w jednej ręce i obnażonym nożem w drugiej znów ruszył do przodu.

— To pozeracze szlamu, chociaż przeważnie trzymają się rur kanalizacyjnych — wyjaśnił krótko.

Po kilku chwilach wskazał na zagłębienia w wilgotnym kurzu, które bez wątpienia były śladami jakiegoś stworzenia. Obok nich widniały odciski butów, potwierdzające słowa Willadene, że rzeczywiście idą świeżym tropem. Woda strumykami spływała po kamiennych murach, sączyła się z wysoko umieszczonych otworów, powietrze przenikał wszechobecny smród. Potem rozległ się przeraźliwy pisk i Nicolas ramieniem przycisnął dziewczynę do przeciwległej ściany.

— Pani — rzekł spokojnym głosem żołnierza szykującego się do bitwy — czy masz w tej swojej zaczarowanej torbie coś, co może posłużyć do obrony? Tylko pośpiesz się, bo tutaj — zakończył ponuro, choć nie bez humoru — nie ma czasu na eksperymenty.

Willadene pośpiesznie przebiegła w myśli listę tego, co dała jej Halwice. Tak, jest



tam pewien specyfik. Wtedy uznała go za niepotrzebny, ale teraz może podziałać. Postawiła latarnię na podłodze i szukała, aż znalazła odpowiednią kieszonkę i cienką, zatłuszczoną rękawicę, w którą był zawinięty ten niezwykły oręż.

— Muszą być blisko. Nie pozwól, żeby cię dotknęło coś takiego. Piski stały się głośniejsze; dziewczyna dostrzegła teraz jakiś ruch w jednej ze szczelin w murze. Trzymając ostrożnie zaimprovizowaną broń w okrytej rękawiczką prawej dłoni, lewą uniosła latarnię i teraz rzeczywiście zobaczyła głowę stwora przeciskającego się przez wąski otwór.

Na moment pomyślała o Ssssaaa, bo to zwierzę zdawało się mieć takie samo długie, giętkie ciało i krótkie łapy. Pozbawione jednak było wspaniałego, jedwabistego futerka i bił od niego smród rozkładu i zgnilizny, a jego sierść wypadła plackami, ukazując zielonkawe wrzody na gołej skórze. Zeskoczyło z plaśnięciem na kamienną podłogę w pewnej odległości od nich. Nicolas spokojnie oczekiwał ataku. Bicz ze świstem przeciął powietrze, owinał się wokół ohydneho stwora i przyciągnął go do miejsca, gdzie młodzieniec czekał z nożem w pogotowiu. Willadene uprzedziła jednak Nicolasa. Wzięła szczyptę proszku, z którym obchodziła się tak ostrożnie, podniosła rękę na wysokość ust i dmuchnęła z całej siły.

Powietrze napełniło się drobinami świecącymi jak iskry. Willadene wycelowwała najlepiej, jak umiała, a Nicolas na szczęście znajdował się w pewnej odległości od małego monstrum. Świecące drobiny opadły na pokrytą wrzodami skórę. Skrzekliwy, ogłuszający wrzask napełnił korytarz. Nicolas potrząsnął biczem i wijący się, skręcający stwór, który teraz wyglądał jak ognisty, matowy zwój, uderzył o ścianę, odbił się i znieruchomiał o krok od niej.

W górze z otworu wysuwała się już inna głowa. Drugi potworek nie poruszał się tak szybko jak jego poprzednik, lecz przycupnął, wyciągając długą szyję i rozglądając się wokoło. Jego pisk zamienił się w skrzeczenie. Ale ten pożeracz szlamu nie zapuścił się dalej. Nicolas przemówił do Willadene:

— Mogę przeciągnąć ten sznur przez to, co masz w ręce?

— Tak, ale uważaj.

Odsunęła osłony latarni, by mogli lepiej widzieć otoczenie w przypadku następnego ataku, i oświetliła rękę w rękawicy.

Nicolas uważnie przyjrzał się proszkowi leżącemu na dłoni dziewczyny, po czym szybko i zręcznie, jak ktoś, kto dobrze zna swoje narzędzie, przesunął bicz przez ten niewielki stożek. Podobnie jak drobiny tej niezwykłej broni zaiskrzyły się w powietrzu, gdy wydmuchnęła je Willadene, tak teraz bicz zalśnił ognistymi punkcikami na całej długości.

Nicolas jednym skokiem znalazł się z drugiej strony korytarza i zamachnął się, celując biczem w górę. Nie trafił tak dokładnie jak za pierwszym razem, ale bicz uderzył w kręcącą się na wszystkie strony ohydną głowę i znów przeraźliwy pisk przeszył powietrze. Małe monstrum nie spadło po ich stronie muru; znajdowało się dostatecznie głęboko w otworze, żeby się wycofać. Rozległy się jeszcze dwa takie okropne wrzaski. Nicolas pilnował w dole. Następna głowa już się nie pojawiła.

Po długiej chwili młodzieniec spojrział na Willadene, trzymając bicz w pewnej odległości od ciała. Chociaż większość drobin zniknęła, to tu, to tam nadal drżało kilka iskerek.

— Myślę, że nie zaatakują nas ponownie — powiedział. — Ten stwór, który się cofnął, mógł zakazić swoich współplemieńców. Jak mam oczyścić mój bicz?

Dziewczyna delikatnie schowała do torby woreczek z tym, co w nim pozostało, po czym podniosła rękę w rękawicy.

— Przesuń przez to, tylko powoli.

Kiedy postuchał jej polecenia, na biczu nie pozostała ani jedna iskierka, choć nadal

jarzyły się na rękawicy. Nie chciała stracić tej broni, ale nie była to odpowiednia pora i miejsce na długie oczyszczanie, żeby rękawica nadawała się do ponownego użytku. Zdjęła ją więc delikatnie i rzuciła na błotnistą podłogę, po czym głęboko wdeptała butem.

— Nadal tędy idziemy? — spytał Nicolas po kilku chwilach, gdy dotarli do dwojga ciemnych, zwieńczonych hakami drzwi na ścianie przeciwległej do tej, która wychodziła na kłoałę.

Willadene zatrzymała się nagle. Z dalszych pomieszczeń buchnęła na nią ta sama mieszanina zapachów, jaka poraziła ją w komnacie Mahart. W jej skład na pewno wchodziła czysta, kusząca woń paproci — ale był też tam smród zła. Wzięła głęboki oddech, potem po omacku odnalazła swój amulet i powąchała go w nadziei, że rozjaśni jej w głowie. Nić zapachu Mahart — nie, nie prowadziła tędy. Coś innego jednak w jakiś sposób skorzystało z tego przejścia — coś do gruntu złego!

Jeszcze raz uniosła wysoko głowę, jakby chciała sięgnąć ponad warstwę tego smrodu. Tak, ma rację! Tutaj włada zło, ale księżniczka nadal znajduje się gdzieś z przodu.

Nie miała pojęcia, jak długo przebywali w tej plątaninie ciemnych korytarzy. Zauważyła, że Nicolas wyjął z sakiewki u pasa mały metalowy krążek i zbliżył go do latarni, której światło znów zawężili do wąskiego strumienia.

— Jesteśmy bardzo blisko murów obronnych miasta — oznajmił spokojnie.

Tym razem tunel nie opadał; dotarli do schodów prowadzących w górę i pięli się ostrożnie, wyęzając słuch. Doszli do małego podestu i stanęli przed jakimiś drzwiami. Nicolas w milczeniu odsunął zasuwkę. Przyłożył dłoń do framugi i z nożem w drugiej ręce uchylił drzwi.

Willadene chwyciła go za ramię i przyciągnęła do siebie. Szepnęła mu do ucha:

— To jest Karczma Wędrowców, a raczej należąca do niej piwnica. Nigdy w życiu nie zdołam jej zapomnieć!

Mahart trzęsa się z zimna, a w ustach czuła taki smak, jakby ktoś napchał jej popiołu do gardła. Próbowwała zebrać siły, żeby choć podnieść palec. Niemal całą jej twarz zakrywała wilgotna, śliska, śmierdząca szmata.

Odczuwała dokuczliwe pragnienie. Gdyby mogła, błagałaby o kroplę wody, ale nawet tego nie była w stanie uczynić. Ze wszystkich stron owiewał ją lodowaty wiatr.

Z pewnością znajdowała się na zewnątrz, poza labiryntem korytarzy, przez które ciągnięto ją jak worek.

Iszbi — on tak powiedział...

To słowo w jakiś sposób przeniknęło do jej umysłu mimo cierpienia.

— Przerzuć ją przez grzbiet jucznej kobyły i ruszajmy.

Podniesiono ją jednym szarpnięciem, a potem rzucono, twarzą w dół, na coś w rodzaju ramy. Ten manewr przysłużył jej się w pewien sposób. Zakrywająca dotąd twarz szmata zaczepiła się o coś i zsunęła. Księżniczka znów mogła patrzeć! Ci, którzy tak bezceremonialnie cisnęli ją na zwierzę juczne, chyba tego nie zauważyli.

Od światła dziennego rozboleły ją oczy. Widziała tylko unoszącą się i opadającą nogę wiozącego ją konia. Pod kopytem nie było kocich łbów, a wiatr, który nadal owiewał jej ciało, przywiązane niczym tusza jelenia, nie niósł zapachów miasta. Na pewno znajdowali się poza Kronengredem.

Usłyszała męskie głosy, ale nie rozróżniała słów i nie potrafiła ich zrozumieć. Potem znowu pogrążyła się w gęstym mroku.

Mahart drgnęła, gdy chluśnięto jej wodą w twarz. Zobaczyła poruszające się wokół niej zamazane postacie. Ktoś ukląkł, chwycił ją za splątane teraz włosy, podniósł jej głowę i mocno przycisnął kubek do ust.

— Niech Grissand was porwie, głupcy! Ona chce ją żywą, nie martwą... Nie można się układać z pustymi rękami! Owińcie ją opończą i przygotujcie trochę gulaszu... Jeżeli nie dotrze do Iszbi, wkrótce przekonacie się, kto za to odpowie!

Pozwolił jej się napić, a potem odsunął kubek, choć zaprotestowała słabym głosem. Ktoś, kogo nie widziała, otulił ją fałdzystym podróżnym płaszczem i zdała sobie sprawę, że jej koszula nocna jest teraz w strzępach. Oparli ją o coś, może o siodło i ponieważ woda dodała jej sił, widziała teraz lepiej porywaczy. Ten, który trzymał bukłak z wodą, ponownie napełnił kubek i przytknął jej do ust.

— Pij małymi łydkami, bo inaczej wróci tą samą drogą równie szybko, jak popłynęła w dół — ostrzegł Mahart.

Chociaż nosił kolczugę pod pikowanym, skórzanym kaftanem i gładki jak miska hełm, na pewno nie należał do gwardzistów, których znała. Twarz tego mężczyzny porastała najeżona, żółtawa broda, a nos nad grubymi wargami był wklęsły, jakby ktoś mu go złamał w jakiejś dawnej bójce. W jego oczach nie dostrzegła nawet cienia współczucia; blizna na policzku ściągała krzywo w dół jedną powiekę. Obchodził się z księżniczką jak ze zwierzęciem, którym kazano mu się zająć.

Było tu co najmniej trzech innych mężczyzn; chodzili tam i z powrotem po tymczasowym obozowisku. Nad ogniskiem grzał się jakiś garnek, słyszała też tupot koni znajdujących się gdzieś w pobliżu.

— Wpadła ci w oko, Rufusie? Jest chuda jak szczapa. Ale nie każdy z Dziesiątki może powiedzieć, że się przespał z jaśnie wielmożną panią...

Nagle znowu zaschło jej w ustach, utkwiała wzrok w twarzy mężczyzny stojącego niedaleko od niej. Porywacz, który wyszedł zza niego, był znacznie młodszy i miał szurzącą twarz o ostrych rysach. Nie nosił zbroi, tylko poplamioną i zabrudzoną w

podróży niebiesko-srebrzystą liberię.

Mężczyzna, który napoił Mahart, bez słowa odstawił kubek i zręcznie walnął na odlew młodzika. Ten krzyknął głośno z bólu i wściekłości.

— Zamknij się, śmieciu! — stwierdził żołnierz. — Gulasz gotowy, Jonasie?

Inny młody mężczyzna zanurzył w garnku małą miskę i przyniósł ją napełnioną do połowy. Przyjemnie pachnąca para napełniła powietrze i tak jak przedtem Mahart dręczyło pragnienie, tak teraz głód skręcił kiszkę. Uświadomiła sobie, że ręce i ramiona znów są jej posłuszne. Jeżeli przedtem były związane, ktoś zdjął z nich więzy, jeśli zaś coś innego ją krępowało, zniknęło bez śladu.

Wyciągnęła po miskę drżące dłonie.

— Jest gorący — ostrzegł ją Żółtobrody. — Jedz powoli. — A potem zwrócił się do pozostałych porywaczy, którzy zgromadzili się przy ognisku i czekali na swoje porcje. — Posłuchajcie mnie uważnie. Otrzymaliśmy rozkazy. Chcecie o nich dyskutować z naszą mocodawczynią?

Młodzik, którego niedawno zdzielił pięścią, mruknął:

— Ja słucham Wyche'a...

Żółtobrody roześmiał się ochryple.

— Udam, że tego nie słyszałem, i zaraz ci wszystko wytłumaczę, ponieważ jesteś niedoświadczonym żółtodziobem. Twój Wyche może udawać ważniaka w mieście, ale tylko dlatego, że na razie jej to odpowiada. A przeciwstawić się jej... — urwał, po czym mówił dalej: — Nie życzyłbym tego najgorszemu wrogowi! Otrzymaliśmy następujące rozkazy: zawieźć tę dziewczkę do Iszbi i wydać ją strażnikowi — ni mniej, ni więcej. I lepiej, żeby żyła, kiedy tak się stanie.

Wyjaśnił swoim kompanom zleczone im zadanie i zwrócił się do Mahart.

— Ona chce ciebie i to mi wystarczy. Utrzymasz się na koniu? Jazda w charakterze ładunku nie należy do przyjemnych.

— Mogę jechać. — Nie była tego pewna, ale jeśli w jakikolwiek sposób może uniknąć takiego losu, wyteży wszystkie siły. Zrobiła pierwszy ruch, odsuwając się od siodła, i podparła się rękami.

Świat wokół niej zawirował. Mahart zagryzła wargę i czekała, aż wszystko wróci do normy. Na pewno znajduje się z dala od wszystkiego, co знаła. Nad tą małą polanką strzelały w górę jakieś drzewa; czuła, że ludzie nie są tu mile widziani.

Przyjrzała się siedzącym przy ognisku mężczyznom. Było ich pięciu, łącznie z Żółtobrodym, który najwidoczniej nimi dowodził. Rozpoznała teraz strój najmłodszego z nich — to liberia Saylany. Czy „Ona”, o której wciąż wspominał Żółtobrody, to Jej Wysokość Saylana? Mahart wydawało się niemożliwe, żeby jej kuzynkę, pomimo najdziwniejszych pogłosek, coś łączyło z tymi wyrzutkami.

Iszbi — ta nazwa nie dawała jej spokoju... Czytała kiedyś o Iszbi...

Teraz czekają coś znacznie ważniejszego — podróż, którą najwidoczniej musi odbyć. Nie może łudzić się nadzieją, że jeśli poprosi porywaczy, zwrócą jej wolność. Musi nauczyć się cierpliwości i czekać na jakieś sprzyjające wydarzenie lub szansę.

Na szczęście porywacze przez jakiś czas jedli posiłek. Niestety, nie sprawiali wrażenia zbyt rozmownych i Mahart nie mogła liczyć na to, że pozna odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

Kiedy byli gotowi do podróży, Żółtobrody polecił usunąć ramę na juki i zamiast niej umieścić derkę na grzbiecie konia, który stał ze zwieszoną głową. Sam wziął do ręki postronek, pociągając wierzchowca Mahart za sobą. Pozostali ruszyli za nim.

Mahart owinęła się opończę najciaśniej jak mogła, bo nie tylko chroniła ją ona przed zimnymi podmuchami wiatru, lecz także w istocie była teraz jej jedynym odzieniem.

Jechali równo, ale niezbyt szybko, i dwukrotnie się zatrzymali. Za każdym razem

jeden z porywaczy skręcał w bok, by zbadać pień drzewa w poszukiwaniu jakiegoś znaku, gdyż najwidoczniej nie podróżowali żadnym utartym szlakiem.

W końcu okolica zaczęła się zmieniać. Było teraz mniej wysokich drzew, a więcej krzaków; musieli omijać większe kępy. Mahart zauważyła też grupy skał, w niczym nie przypominających kamieni z Kronengredu. Tamte były matowoszare, te zaś miały zielonkawy odcień i przecinały je szerokie pręgi tego samego koloru, lecz nieco ciemniejsze.

Czasem skały, podobne do miniaturowych klifów, zamykały ich z obu stron. Ta bezлюдna okolica kipiała bujnym życiem — Mahart widziała podobne do jaszczurek stworzenia, które lgnęły do kamieni głową w dół i bacznie obserwowały jeźdźców podobnymi do paciorków oczkami, jakby w pełni zdawały sobie sprawę, że ludzie wtargnęli na ich terytorium. Ptaki nurkowały w powietrzu i ponownie wzlatywały do góry, czasami tak zniżając się nad ziemią, jakby chciały usiąść na jakiejś skale. Nigdy jednak tego nie zrobiły.

Mahart była obolała od stóp do głów. Porywacze zawiesili przy siodłach bukłaki z wodą i Żółtobrody od czasu do czasu pozwalał jej się napić ze swojego.

Zrobiło się ciemniej i księżniczka zrozumiała, że słońce wkrótce zajdzie, a mimo to porywacze nie zamierzali rozbić obozu. Ile czasu upłynęło, odkąd położyła się do swojego łoża w Kronengredzie? Nie miała pojęcia.

Wreszcie wąwóz zaczął się zwężać, wysokie urwiste ściany zbliżały się do siebie coraz bardziej, aż w końcu utworzyły coś w rodzaju murów, między którymi mknęła gromadka jeźdźców. Natomiast w otaczających ich skałach dokonana się pewna zmiana. Ciemniejsze pręgi nie były już gładkie, lecz pojawiły się w nich głębokie nacięcia, jakby wyryto tam jakieś napisy. Potem wędrowcy dotarli do miejsca, gdzie ciemnozielona żyła była niemal tak szeroka jak skała, którą przecinała, i Mahart zobaczyła, że nieznanne istoty rozumne wyrzeźbiły w niej czyjaś twarz.

Spojrzała w kobiece oblicze naturalnej wielkości, choć nie widziała włosów, które powinny je okalać. Nieznajoma niewiasta miała regularne rysy i była doskonale piękna, ale ta doskonałość... Księżniczka zadrżała. Słyszała, że uczennica Halwice potrafi zwęszyć zło, a teraz ona sama nie miała najmniejszych wątpliwości, że właśnie je widzi!

Za tą piękną, lecz złą twarzą dostrzegła jakiś ruch. W poprzek drogi stała odziana w kolczugę postać w bardzo dziwnym hennie, całkowicie zasłaniającym twarz.

Żółtobrody pociągnął za postronek, na którym prowadził konia Mahart, i zjechał na bok, żeby zwierzę mogło go minąć.

— To właśnie ona — rzekł.

Postać w hełmie—masce wzięła od niego postronek. Nie odpowiedziała, tylko szarpnęła, zmuszając zwierzę do dalszej drogi. Nie przyłączył się do niej ani Żółtobrody, ani żaden z jego kompanów. Iszbi — czy wreszcie dotarli do celu podróży? Mahart minęła wykute w skale niewieście lico; gdyby była wyższa, mogłaby się o nie otrzeć, i ciarki ją przeszły na tę myśl. Nie, to nie Saylana pochyla się nad drogą, która prowadzi gdzieś do przodu, ale ktoś znacznie od niej większy i potężniejszy.

Willadene kurczowo trzymała się Nicolasa. Wytężała słuch w nadziei, że usłyszy jakiś dźwięk dobiegający z przeciwległej strony olbrzymiej piwnicy, gdzie znajdowały się schody prowadzące na wyższy poziom. Postawiona na beczulce u podnóża schodów latarnia była ostrzeżeniem, że albo ktoś tu jest, albo zamierza wkrótce wrócić.

Nicolas skręcił lekko w prawo tak, aby lepiej widzieć te schody. Poza docierającym z oddali odgłosem kapiącej wody nic nie słyszeli.

Nagle Willadene ponownie wyczuła zapach, który zaprowadził ją aż tutaj. Bardzo ostrożnie, żeby oddzielić go od innych, dwukrotnie wzięła głęboki oddech.

Tak, na pewno jest tu mocniejszy, jakby Mahart spędziła jakiś czas w tym miejscu. Tak, to możliwe, chyba że... Willadene odwróciła się od schodów i wpiła palce jak szpony w rękę Nicolasa. Nie próbował się uwolnić, ale poszedł za nią — nie w stronę schodów i światła, lecz z powrotem do wielkich, mrocznych piwnic karczmy. Willadene nigdy dokładnie ich nie zbadała w dniach, kiedy często kazano jej przynosić jedną z zakurzonych butelek ustawionych na chwiejnych półkach.

Obeszła dwie takie sięgające sufitu półki. A potem światło latarni wyłowiło strzęp materiału, nadal dostatecznie biały, by łatwo można go było dostrzec w ciemności.

Nie musiała podnosić do nosa tego miękkiego w dotyku jedwabiu, żeby się dowiedzieć, że jest to skrawek bielizny Mahart — na pewno koszuli nocnej — z którego tak mocno bił jej zapach.

Strzęp koszuli księżniczki wystawał ze ściany, wyglądającej na masywną. Willadene ledwie widziała szczelinę, z której go wyciągnęła. Nicolas znowu przesunął osłony w latarni, posługując się wąskim strumieniem światła jak mieczem, by nakreślić nim jakiś wzór.

— Sssaaa — syknął podobnie jak zwierzątko Vazula. — Trzymaj ją — o, tak... — Wepchnął latarnię do rąk dziewczyny. Patrzyła, jak przesuwa szarymi od kurzu palcami tam i z powrotem po ścianie — najpierw do góry, a potem w dół od miejsca, gdzie znalazła strzęp materiału.

— Tutaj! — Willadene skupiła się w odpowiedzi na jego nagły okrzyk i skierowała światło latarni na koniec kamiennego bloku, który pozornie niczym nie różnił się od innych. Nicolas trzymał teraz nóż i zdołał wcisnąć jego cienki koniuszek w układające się w pewien wzór niewidoczne szczeliny. Wąskie drzwi otwały się bezszelestnie, ukazując następny ciemny korytarz, gdzie mrok jakby wchłonął światło latarni. Nicolas odwrócił się do Willadene.

— Tędy? — spytał.

Nie potrzebowała jedwabnej szmatki, choć wsunęła ją do kaftana, aby zachować słaby osobisty zapach Mahart. Kiwnęła twierdząco głową w odpowiedzi na jego pytanie.

Nicolas mruzczał coś do siebie — z zasłyszanych kilku słów zorientowała się, że przeklina — nie wiedziała tylko, na co lub na kogo się gniewa. Korytarz był prosty i o dziwo, nie pokrywała go, tak jak pozostałych, gruba warstwa kurzu. Blask latarni przesunął się po stosie gotowych do zapalenia pochodni, jakby często korzystano z tego podziemnego przejścia. Korytarz biegł prosto, chociaż dwukrotnie zauważyli inne odgałęzienia, lecz zapach Mahart nie prowadził do żadnego z nich. Znaleźli się u wejścia do trzeciego korytarza, kiedy zobaczyli w oddali słabe światło i usłyszeli zniekształcone przez odległość głosy.

Nicolas błyskawicznie wciągnął Willadene do bocznego tunelu. Zasunął ostatnią osłonę latarni i skulili się obok siebie. Czekali.

— Miasto trzęsie się od plotek — skomentował jeden głos. — Mówię wam, źle się stało, że ten książę-rębajło nie został schwytany. Ten diabelski pomiot Vazul w jakiś sposób wciągnął go w tę grę i to nie tak, jak to było zaplanowane.

W odpowiedzi rozległ się głośny rechot. Było tak jasno, że Willadene widziała obu rozmówców. To ta beka śmierzdzącej słoniny! Może nie znała bardziej barwnych określeń ich sytuacji, których użył Nicolas, ale znalazła własne terminy na to, co budziło w niej mdłości.

Wyche ryczał na całe gardło.

— Niech przetrząsną dokładnie miasto! — Splunął głośno na pobliską ścianę. — Nie znajdą tej dziewczki, a ponieważ nie wiedzą, w czyje ręce wpadła, nie będą

przesadzali z poszukiwaniami. Jej Wysokość Saylana ma oko na księcia Lorienta, na pewno zje go na kolację, zanim ten się zorientuje, co jest grane.

Willadene czuła na policzku szybki oddech Nicolasa i zrozumiała, że miota nim gniew.

— Zbyt dobrze znam Wyche'a! — zgrzytnął zębami.

— A to Iszbi... — zaczął kompan Wyche'a. W tej samej chwili grubasa opuściła wszelka jowialność. — Zamknij gębę, gadzino — powiedział Wyche, a ponieważ w jego głosie nie zabrzmiał gniew, słowa te wydały się jeszcze groźniejsze. — Nigdy o tym nie słyszałeś — rozumiano?!

Minęli wejście do bocznego tunelu, pozostawiając tamtych dwóch w gęstniejącym mroku. Willadene poczuła, że mięśnie Nicolasa napięły się jak struny, gdy usłyszał tę dziwną nazwę.

— Iszbi? — zapytała, gdy wrócili do głównego korytarza.

— Jeżeli chcą ją tam zabrać...! — Nicolas tak przyśpieszył kroku, że Willadene musiała biec, żeby za nim nadążyć, choć przewieszona przez ramię torba z każdą chwilą wydawała się jej coraz cięższa. Czy kiedykolwiek wydostaną się z tego mroku i odpoczną chociaż na chwilę?

Nie zobaczyli więcej szczelin w ścianie, ale nasłuchiwali, czy nie dotrze do nich dźwięk wskazujący na obecność innych wędrowców. Nicolas bardzo się śpieszył i Willadene, mimo że wyteżała wszystkie siły, zaczęła zostawać w tyle. Nagle młodzieniec cofnął się o krok i objął dziewczynę w pasie, podtrzymując ją. Niedługo potem korytarz skręcił w prawo i ujrzeli przed sobą plamy światła dziennego, a nie blask latarni lub pochodni.

Wyszli na zewnątrz w kępie krzaków, które Nicolas odgarnął na bok. Willadene odetchnęła świeżym powietrzem. To dodało jej nieco sił. Powiodła wokół spojrzeniem i ujrzała, że znajdują się w porośniętych bluszczem i krzakami ruinach jakiejś niewielkiej budowli.

Nicolas puścił dziewczynę. Choć bardzo pragnęła iść dalej, osunęła się na ziemię i tylko torba uchroniła ją przed całkowitym upadkiem. Jej towarzysz stał z rękami na biodrach, rozglądając się po . okolicy. Nagle gwałtownie skinął głową.

— To jest ten od dawna poszukiwany podziemny korytarz! Posłuchaj mnie teraz, pani — wbił w nią władcze spojrzenie stalowo-szarych oczu — i powiedz mi prawdę, czy Jej Wysokość Mahart rzeczywiście tędy przechodziła?

Po raz pierwszy Willadene nie wiedziała, co odpowiedzieć. Napierało na nią tak wiele zapachów, część zupełnie nowych, musi więc odszukać woń Mahart. Z nieszczęśliwą miną wyjęła strzęp jedwabiu, powąchała go, a potem usiadła z podniesioną głową i zamknęła oczy na długą chwilę. Powoli odwróciła głowę, choć nie podniosła powiek.

— Myślę, że położyli ją tutaj. Czuję też konie...

— Jak można było przewidzieć! — warknął. — Posłuchaj mnie te raz: muszę powiadomić pana kanclerza o tym, czego się dowiedzieliśmy. Potrzebujemy też żywności i koni. Nie pokazuj się nikomu na oczy aż do mojego powrotu. Możesz to zrobić?

Skinęła głową. Zresztą w tej chwili nie mogłaby poczołgać się dalej nawet o krok. Zaschło jej w gardle, ale ma niewielki zapas kordiafu, który na krótko ugasi pragnienie.

Nicolas, podtrzymując i ponagłając Willadene, zaprowadził ją z powrotem do miejsca, gdzie stykały się dwie zrujnowane ściany, a potem znów zasłonił je krzakami. Następnie zniknął szybko jak sokół i dziewczyna została sama.

Książę Uttobric kulił się w swoim wielkim krześle. Na stole przed nim stał

nietknięty kielich wina, a obok niego, talerz pełen pokruszonych, ale nieruszonych sucharów. Miał przed sobą rozłożoną mapę Kronenu, nie patrzył jednak na ostatnie naniesione kredą znaki, tylko na ścianę, pod którą stali na bacność giermkowie— posłańcy, gotowi w każdej chwili wykonać jego rozkaz.

— Książę... — Nie odwrócił głowy w stronę mężczyzny, do którego się zwrócił, lecz nadal spoglądał przed siebie. — Zawiązano spisek. Intryga nie w pełni się udała, bo nie zostałeś pojmany. Wprawdzie Mahart znajduje się w ich rękach, ale mam nadzieję, że oni...

Zawahał się. Młodszy mężczyzna zakończył za niego:

— ...spróbują jej użyć jako zakładnika w pertraktacjach?

— W tym mieście jest sto, może nawet tysiąc miejsc — mówił monotonnym głosem książę Uttobric — gdzie mogą ją przetrzymywać, tak że nikt nie zdoła jej odnaleźć...

— Księżniczki już nie ma w mieście.

Obaj mężczyźni odwrócili głowy.

Vazul, któremu Ssssaaa syczała głośno do ucha, podszedł do stołu z drugiej strony i spojrzał w dół na mapę. Jego chuda twarz ściągnęła się i poszarzała.

— Musimy polegać na siatce szpiegowskiej Nietoperza.

— A co wie Nietoperz? — spytał Uttobric.

— Na razie nic. Ale doniesiono mi jeszcze o czymś... Wasza Księżęca Mość, Jej Wysokość Saylana również zniknęła, a razem z nią nie tylko część jej dam dworu, lecz także pani Zuta. Jeżeli opuściły miasto, to nie w normalny sposób. I zielarka Halwice chciałaby z tobą porozmawiać, panie...

— Chwytam się każdej wieści jak tonący brzytwy, ty zaś tymczasem zrób, co możesz, w sprawie ucieczki tamtych kobiet. Niech zielarka tu przyjdzie.

Podobnie jak kanclerz postarzał się przez tę jedną noc, tak samo wyostrzyły się rysy Halwice.

— Wasza Księżęca Mość... — Nie zaczekała, aż ją o to poproszą, ale sama zabrała głos. — ...i ty, książę Lorienie. Musimy walczyć z czymś więcej niż z żądzą władzy jednej kobiety. Od dawna wiele na to wskazywało, kiedy tu, w Kronenie, wyginął ród Gardów, i twój własny lud stoczył bitwę z góorskimi rozbójnikami... Pamiętasz Iszbi, książę?

Lorien pochylił się do przodu i oparł pięść na stole.

— To byli potomkowie demonów, pani. Ale w końcu ich zwyciężyliśmy.

— Czy rzeczywiście? — odparła powoli. — A może wróg tylko się wycofał na pewien czas, żeby ponownie się uzbroić i nabrać sił?

Książę Lorienie, ci, którzy uprawiają mój zawód, kroczą wąską ścieżką między Światłem i Ciemnością. W ciągu tych kilku minionych dni dowiedziałam się, że mamy do czynienia z mocami znacznie potężniejszymi od stali i posiadającymi wiedzę o wiele większą od naszej. Mówię o Nonie...

— To tylko legenda... — Uttobric machnął ręką, wywracając kielich z winem, które zalało mapę.

— Iszbi! — Książę Lorien przesunął pięścią po mapie, rozmazując po niej strugę wina. — Moi przodkowie byli tam i choć inni zapomnieli, my nie zapomnimy tak długo, jak rodzą się nam synowie. To przeklęte...

— A może to my jesteśmy przeklęci? — wtrąciła ostro Halwice. — Przez nieczystą moc, która kiedyś tam rządziła?

Lorien poderwał się z krzesła.

— Jeżeli za tym, co się stało, kryje się to większe od wszystkich zło, to, książę panie, twoja sprawa jest również moją. — Zawahał się, po czym dodał cichym głosem, z którego zniknął gniew. — Oby Gwiazda miała w opiece twoją córkę,



książę, jeśli wpadła w niewolę tych złych mocy.

Uttobric ukrył twarz w dłoniach; jego ręce drżały. Mahart... — Do niedawna była dla niego tylko imieniem, irytującą osobką, której obecność musiał tolerować, niewiele dla niego znaczącą. Gdzie jest teraz? Nie miał pojęcia, wiedział tylko, że wszystkie jego chytre plany wzięły w łeb, a nadzieje zawiodły i nic już tego nie zmieni.

Usłyszał jakiś ruch, gdy do komnaty wszedł jeden z posłańców, ale to, co miał dostarczyć, podał kanclerzowi, nie zaś zrozpaczonemu księciu.

Vazul rozwinął niewielki skrawek papieru. Nie podniósł go jednak do własnych oczu, lecz przysunął do bystrych oczek Ssssaaa. Po sekundzie syk zwierzątka stał się tak głośny, że skupił uwagę wszystkich, nawet Uttobrica.

— Wywieźli ją z miasta. — Vazul miał taką minę, jakby tłumaczył na język ludzi syk Ssssaaa.

— Nietoperz donosi, pani — schylił lekko głowę w stronę Halwice — iż twoja uczennica twierdzi, że trop właśnie tam prowadzi. On sam gromadzi zapasy i wierzchowce, by ruszyć na ratunek księżniczce. Słyszeli rozmowę o Iszbi.

To ostatnie słowo odbiło się echem w komnacie, jakby było równie głośne jak któryś z miejskich dzwonów.

Silny zapach paproci przytłaczał Mahart, jakby ktoś przykrył ją stertą koców. Nawet powietrze zdawało się lśnić zielonym blaskiem, gdy koń, stąpając ciężko, szedł za zakutą w zbroję postacią, która go prowadziła. Otoczony z dwóch stron urwiskiem szlak nagle się rozszerzył. Mahart początkowo uznała to miejsce za półkę skalną, a potem ujrzała jak we śnie, że jest to pierwszy z bardzo szerokich stopni.

Wierzchowiec, który ją wiozł, mógł łatwo zejść po nich w dół, w zielony gąszcz.

Na każdym stopniu głęboko wyżłobiono jakiś symbol i strażnik–przewodnik Mahart prowadził konia tak, że zwierzę przechodziło dokładnie przez sam środek znaku. Księżniczka widziała teraz, że zielona gęstwina w dole to nie normalne drzewa i krzewy, lecz las olbrzymich paproci sięgających wysoko ponad jej głowę, choć jechała na koniu.

Nie wiał tu wiatr, nie słychać było śpiewu ptaków ani brzęczenia owadów. Kiedy dotarli do ostatniego szerokiego stopnia, tajemniczy strażnik, który ją tutaj przyprowadził, zszedł na bok. A gdy wierzchowiec Mahart zrównał się z nim, zamaskowany mężczyzna okręcił postronek wokół łęku siodła. Nie podniósł głowy, by spojrzeć na księżniczkę. Zamiast tego stanął nieruchomo, natomiast koń Mahart powlókł się dalej prosto przed siebie.

To wszystko tak bardzo przypominało sen, iż księżniczka poczuła, że nie może zażądać wyjaśnień ani zaprotestować. A mimo to w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że zdąża ku jakiemuś wielkiemu niebezpieczeństwu, którego nawet nie potrafi sobie wyobrazić.

Początkowo ściana paproci sprawiała wrażenie, że jest tylko odstręczającą intruzów zaporą. Ale kiedy koń Mahart zbliżył się wolnym krokiem do tych olbrzymich, pierzastych roślin, paprocie rozstały się przed nimi, dając im przejście, choć powietrza nie poruszył żaden podmuch. To tu, to tam Mahart zaczęła dostrzegać dziwne wyrwy w gąszczu paproci — zrujnowaną ścianę, ostry róg ulicy. I mimo że wokół panowała głęboka cisza, słyszała głośnie tętent swego wierzchowca, jakby jego kopyta uderzały w kamień, chociaż w dole rozpościerał się tylko zielony kobierzec mchu.

Mahart krzyknęła. Jedna z drzewiastych paproci na prawo od niej odchyliła się do tyłu i księżniczka tylko na moment z przerażeniem spojrzała w jakąś twarz. Nie tak piękną jak wykute na ścianie wozu lico, lecz jakby niezdarnie wyrzeźbioną w pokrytym korą pniu drzewa. Później twarz ta zniknęła tak nieoczekiwanie, jak się pojawiła.

Im bardziej jednak się zagłębiali w zieloną gęstwinę, tym więcej pojawiało się śladów pracy czyichś rąk, pozostałości bardzo starych budowli. Las paproci zaczął się przeredzać.

Wreszcie przebyli ostatni rząd pierzastych wachlarzy i znaleźli się na otwartej przestrzeni. Przed Mahart rozpostarła się spokojna gładź jakiegoś jeziora otoczona ruinami z zielonkawego, prążkowanego kamienia. Paprocie ustąpiły miejsca mchowi, który w jakiś sposób przypominał pnącze, gdyż jego wici pełzły do przodu po kamieniach, ale na niewielką odległość. Wydawało się, że nie podoba się podpora, którą musiał zaakceptować.

Na środku jeziora znajdowała się wielka kupa gruzów — może nawet pozostałości zamku, który upodobił się do skalnego rumowiska. Wtedy po raz pierwszy Mahart zauważyła jakiś ruch. Nieznane stworzenia wynurzyły się z wody i rozsyłając na wszystkie strony miniaturowe fale, śmigły między kamieniami. Poruszały się tak

szybko, że nie mogła w tym dziwnym, podobnym do snu stanie, w jakim się znalazła, dobrze im się przyjrzeć. Odniosła jednak wrażenie, że mają cztery kończyny i szeroką, niekształtną, pozbawioną szyi głowę, osadzoną bezpośrednio na ramionach. Barwą przypominały owe kamienie, dlatego kiedy znalazły się na brzegu i zatrzymały się wśród gruzów, zlewały się z otoczeniem i już nie mogła ich dojrzeć.

Koń dowiózł ją do pozostałości wysuniętego w jezioro mola, a potem zatrzymał się i stał z pochyloną głową. Następnie wydał coś w rodzaju żalosego sapnięcia i zaczął się trząść, jakby ciężar ciała Mahart odbierał mu siły.

Obolała, zeszywniała dziewczyna zsunęła się z grzbietu wierzchowca. Dostała tak silnych zawrotów głowy, że musiała przytrzymać się zaimprovizowanego siodła, aby nie upaść.

Koń westchnął głęboko po raz drugi i osunął się na kolana, odrzucając Mahart w bok. Uderzyła się boleśnie o jakąś ścianę i przywarła do niej.

Zwierzę leżało teraz na boku i dyszało coraz ciężiej. Księżniczka cofnęła się, nie wiedząc, co się z nim dzieje i czy ją też spotka taki sam los.

Koń opuścił głowę. Mahart zauważyła, że przestał oddychać. Wbiła paznokcie w niewielką skałę i odsunęła się od zwierzęcia; uznała je za martwe. Zaszło jej w ustach z pragnienia. Nie chciała jednak napić się wody, z której wynurzyły się tamte stworzenia.

Księżniczka oparła się jedną ręką o skałę i zrobiła krok do przodu, a potem drugi. Oddalała się od jeziora, choć zdawała sobie sprawę, że sama nie przedrze się przez las paproci.

— Światło Gwiazdy, Drogo Jasności... — Język miała tak wyschnięty, że z trudem wypowiadała te słowa. — Gwiazdo Łaski, Gwiazdo Podniebna... — Powoli wyrecytowała Pięć Promieni. W tych czasach niewielu wierzyło w cuda, w namacalną pomoc w niebezpieczeństwie. Mahart nie wychowała się w klasztorze Gwiazdy i nawet nie znała dobrze żadnej z Wielkich Prób. W tym miejscu jednak odnalazła i uczyła się jednego wspomnienia — jasnego światła kryształu, z którym ksieni powitała ją podczas pielgrzymki. — Gwiazdo... — wyjąkała ochryple.

Potknęła się o sięgający jej aż do kolan odcinek muru i upadła; uderzyła się tak boleśnie, że przez jakiś czas mogła tylko leżeć w tym miejscu. Kwiaty... kwiaty... i jakaś łąka... i ktoś ma przyjść...

Wydało się jej, że mocny zapach paproci osłabł, a z pobliza jej głowy napłynęła inna, ostrzejsza i czystsza woń. Spojrzała na rękę. Jej dłoń była czerwona i lepka, ale nie od krwi. Ten zapach sprawił, że podniosła ją do ust.

Lammański owoc — i w dodatku dojrzały, choć jeszcze nie nadeszła jesień. Nie zadawała sobie żadnych pytań. Rozgarniała liście pnącza i wpychała jagody do ust, omal nie łykając ich w całości. Zaspokoila w ten sposób pierwszy głód i rozejrzała się wokoło. Padając w jakiś sposób znalazła się w zapuszczonym ogrodzie. Potrząsnęła głową w oszołomieniu. Przecież to niemożliwe! Nawet ona, która nigdy nie stąpała po polu uprawnym i nie oglądała zbiórki plonów, widziała, że otaczające ją pełne życia rośliny owocują jednocześnie, choć powinny je od tego dzielić całe miesiące.

Żyzna ziemia dostała się za jej połamane paznokcie, kiedy zaczęła w niej grzebać w poszukiwaniu długich, podobnych do strąków korzeni salassa. Miażdżyła je zębami, aż sok strumykami spływał jej po brodzie. Później zobaczyła w niewielkiej odległości rząd niskich krzewów, których gałęzie uginały się pod ciężarem dojrzałych złocistych plumfertów. Nawet jej ojciec nigdy nie uczestniczył w takiej uczcie!

Mahart dziwiła się coraz bardziej. Większość zgromadzonych tutaj w takiej ilości owoców zwykle przyciągnęłaby zarówno owady, jak i ptaki. Nie dostrzegła jednak ani jednych, ani drugich. Tuż za plumfertami ujrzała natomiast jeszcze wyższy mur i stamtąd biegł ją pewien dźwięk...

Poszła w tę stronę. Okrążając największe z drzew, zauważyła jakieś zagłębienie w wysokiej, kamiennej wieżyczce. Wyglądało jak wąska jaskinia i światło dzienne pozornie nie docierało do jego wnętrza, a przecież nie było ono ciemne. Wysoko w ścianie nad środkiem tej szczeliny tkwił błyszczący kryształ.

Mahart osunęła się na kolana i po raz pierwszy padł na nią blady strach, poraziły ją wszystkie lęki i obawy. Wybuchnęła płaczem. Nigdy dobrowolnie nie pokazałaby wrogom łez, które teraz jak grad sypały się jej z oczu.

Z dolnego promienia kryształu woda spływała strumykiem, nie szerszym niż najmniejszy palec Mahart, do kamiennej misy. Później przelewała się przez jej brzegi, wsiąkała w ziemię i znikła, nie odpływając na powierzchnię.

Dziewczyna jakimś cudem dopełzła do tej misy i pochyliła głowę przed wiszącym nad nią kryształem. Uwierzyła, że jest to siedziba zła, a przecież, jak nasienie w owocu, w jego wnętrzu kryło się dobro! Nie chciało jej się wierzyć, że te dwie moce istnieją obok siebie — mogła tylko to zaakceptować.

Nie zbruka wody w tym niewielkim kamiennym zbiorniku swoimi brudnymi rękami. Umyła je w wylewających się strugach, a później nabrała w nie wody i podniosła do ust. Napiała się. Nie potrzebowała już słów — nie pasowały do tego miejsca — czuła tylko wszechogarniający spokój, jakby czyjeś miękkie ramiona objęły ją i przytuliły. Nigdy w życiu nie było jej tak dobrze.

Willadene zgarbiona oparła się o torbę i starała się nie myśleć o zaprawionej miodem kaszy, o grubo posmarowanych masłem kromkach świeżego chleba — wszystko to wydawało się jej znacznie smaczniejsze niż resztki uczyty w zamku. Oszczędnie użyła kordiału, po prostu zwilżyła nim czubek palca i dotknęła go językiem. Wielokrotnie widziała, jak przywraca siły, ale teraz nie zaspokoił głodu, który szarpał jej wnętrzności.

Jedyna słoneczna plama padała na szczyt pagórka gruzów nieco dalej od kryjówki Willadene, musiało więc być już dobrze po południu. Od Mahart i jej porywaczy dzieli ich teraz wiele godzin drogi. Jeszcze raz podniosła do nosa strzęp jedwabiu i skupiła na nim wolę, szukając śladów właściwego zapachu.

Była jednak bardzo zmęczona i z trudem unosiła opadające powieki. Mimo to jednak starała się myśleć o tym, co powinna zrobić. Obudził ją tętent koński, który raczej wyczuła jako wibracje gruntu, niż usłyszała. Natychmiast wcisnęła się głębiej w krzaki i czekała.

Później dotarł do niej nie tylko odgłos drapania o ziemię i omszałe kamienie, lecz także znajomy syk. Krzak przed nią zakołysał się lekko, kiedy smukłe ciało precyzyjnie się między ulistnionymi gałęziami. Willadene spojrzała w dół i ujrzała zwierzątko Vazula, które stanęło na tylnych łapkach, sięgając przednimi najwyżej, jak mogło. — Ssssaaa... — Nie zauważyła żadnego innego poruszenia; kanclerz się nie pojawił. Jego pupilka skoczyła w stronę dziewczyny i niemal natychmiast owinęła się wokół jej szyi, przybierając swoją ulubioną pozycję, zupełnie jak na ramionach Vazula.

Willadene głaskała główkę Ssssaaa, która od czasu do czasu ocierała się o jej podbródek. Nagle wyraźnie zobaczyła w słońcu czarną postać — to mógł być tylko Nicolas.

Prowadził trzy konie, dwa osiodłane i trzeciego objuczonego parą sakw. Willadene wyczołgała się z kryjówki i wstała. Zbyt długo siedziała tam skulona, dlatego teraz bolały ją wszystkie mięśnie.

Nicolas przywiązał wodze dwóch koni do stosów gruzu i zajął się trzecim: otworzył jedną z sakw, wyjął szorstką serwetkę, z której coś rozwinął; wyglądało to tak apetycznie, że Willadene oblizwała wargi.

Podał jej zawiniątko z burknięciem:

— Zjedz to!

Zauważyła, że omiata wzrokiem otoczenie i pomyślała, iż czyta w krajobrazie tak jak skryba w księdze.

Usiadła na kamiennym murku i zaczęła jeść, starając się nie łykać łąpczywie. W zawiniątku znalazła też flakonik — jego zapach poinformował ją, że jest to jedna z ziołowych herbatek Halwice. Pociągnęła łyczek.

Nicolas krążył po ich zaimprovizowanym obozowisku. Dwukrotnie przyklęknął, żeby zbadać wzrokiem pozornie nagą połąć gruntu. Kiedy wrócił do Willadene, miał ponury wyraz twarzy; przywykła do takiej miny od czasu ich pierwszego spotkania. Oblizła usta i ponownie związała mały tobołek, w którym pozostała jedna trzecia jego pierwotnej zawartości. Zdała sobie sprawę, że za chwilę jej własne słowa z kretesem pogrążą ją w oczach Nicolasa.

— Nie umiem jeździć konno — powiedziała śmiało i spojrzała czujnie na najbliższej przywiązanego wierzchowca.

Nicolas spochmurniał jeszcze bardziej i mruknął coś pod nosem, ale nie rozumiała co. Później odpowiedział tak, jakby tylko on miał nad nią nieograniczoną władzę.

— Pojedziesz! Jest tu szlak, którym może jechać ktoś, kto potrafi tropić ślady w lesie. Trzymaj się łęku siodła; podaj mi wodze. Będzie to nam bardzo przeszkadzało, ale pojedziemy.

Pomógł jej wsiąść na konia. Ogarnął ją niepokój, omal nie zakreśliło się jej w głowie — ziemia wydawała się tak odległa i twarda. Zdjął torbę z jej z ramienia i przywiązał za siodłem. Koń pod nią przestąpił z nogi na nogę; ze wszystkich sił starała się zachować równowagę. Posłuchała jednak rozkazu i mocno chwyciła łęk siodła, niemal wbijając weń paznokcie.

Nicolas szedł pieszo. Trzymał wodze jej konia, który na szczęście miał chyba spokojne usposobienie i zaakceptował ciężar na grzbiecie. Ponieważ młody wywiadowca określił wodze swego wierzchowca wokół łęku siodła, zwierzę to zajęło drugie miejsce w szeregu, jakby było dobrze wyćwiczone w podróży tego rodzaju. Objuczony kuc kroczył na końcu.

Początkowo Willadene myślała tylko o tym, jak utrzymać się na koniu, ale ponieważ dotąd nie spadła, zaczęła obserwować Nicolasa. Co pewien czas opuszczał ją na moment. Bacznie spoglądał na ziemię, krzaki lub pnie drzew, między którymi kluczyli, idąc śladami porywaczy księżniczki. Wreszcie powiedziała cicho:

— Jesteś dobrym tropicielem.

W karczmie Jacoby słyszała o przewodnikach; musieli im zaufać kupcy, kiedy zbaczali z głównych szlaków.

— Czy czytasz w tym, co nas otacza, równie biegle jak skryba w księdze? — powtórzyła głośno myśl, która wcześniej przysła jej do głowy.

Ku jej zaskoczeniu i sekretnej uldze spojrzał na nią przez ramię i jego wargi wykrzywił wymuszony uśmiech. Zrzucił czarną maskę i dlatego w jakiś dziwny sposób wydawał się jej bliższy od wszystkich ludzi, których знаła.

— Czytam, jak to nazywasz, w taki sposób... — Wskazał na przeorany czymś skrawek gruntu usłanego zeszlórocznymi liśćmi. — To łatwy trop, ponieważ niektórzy ze ściganych to mieszcuchy i nie mają pojęcia, jak zatrzeć za sobą ślady. Widzisz tę gałąź przed nami? Jakiś głupiec ją złamał, ponieważ przekrzywiła mu czapkę lub coś podobnego. Jest jednak wśród nich ktoś, kto umie podróżować na otwartym terenie i to on im przewodzi.

W owej chwili Willadene nie umiała powiedzieć, czy kierują się na pomoc, czy na południe, na wschód, czy na zachód. Wiedziała tylko, że Kronengred leży na

zachodzie i że na pewno tam się nie udają.

— Dokąd oni jadą?

Nicolas znów się zasepił.

— Na północ. Ale jeśli sądzą, że ukryją się w jakiejś norze Czerwonego Wilka, to są skończonymi durniami. Nasz dzielny książę Lorien nie tylko oczyścił kwatery główną tego zbója, lecz także pozostawił własny oddział, wraz z doświadczonymi strażnikami granicznymi, których nie odwołał nasz władca, żeby wykurzyli kompanów Wilka ze wszystkich kryjówek. I książę Lorien znów wyrusza w drogę — na północ. Jego zwiadowcy rzeczywiście są dobrze wyćwiczeni i doświadczeni. Popatrz teraz, co ja robię.

Przykłęknął w miejscu, gdzie kępa mocnej trawy wyrastała pomiędzy naziemnych korzeni bardzo wysokiego i starego drzewa. Delikatnie rozdzielił źdźbła i ściał kilka z nich nożem. Trzymając je ostrożnie w dłoni, drugą ręką pogładził kępę trawy, która znów się wyprostowała. Chociaż Willadene niewiele widziała z wyżyn siodła, przypuszczała jednak, że doświadczony tropiciel odnajdzie ten ślad. Nicolas zwinął ścięte źdźbła trawy, a potem sięgnął tak wysoko, że prawie musiał stanąć na palcach, by dotknąć suchego ptasiego gniazda z ubiegłego roku. Wplótł w nie świeżą trawę — ale tylko z jednej strony, tak że mała zielona plamka wskazywała kierunek, w którym jechali. Później odwrócił się do Willadene.

— Udaję teraz rozbójnika, pani — powiedział ze śmiechem. — Takie umiejętności nie są nam potrzebne, przynajmniej na razie. Przyjrzyj się jednak uważnie temu, co robię, bo może nadejść taki czas, kiedy sama będziesz musiała jechać jakąś drogą i pozostawić swoje przesłanie.

O zmierzchu pozwolił jej odpocząć od jazdy; bardzo tego potrzebowała. Pomyślała o pewnym kremie, który przyniesie ulgę jej pokaleczonej i obolałej skórze. Nicolas wybrał miejsce na obóz w pobliżu niewielkiego strumyka, a plusk wody również uspokajał.

Tutaj burza powaliła jedno z ogromnych drzew z kurczącego się lasu; pociągnęło ono za sobą kilka mniejszych. Wszystko to wyglądało jak niezdarnie uwite z boku traktu gniazdo jakiegoś olbrzymiego ptaka. Nicolas sprytnie wyciął w nim przejście. Konie przywiązał w pobliżu, wyjaśniając, że zaalarmują ich, jeżeli coś będzie się do nich zbliżało.

Willadene chodziła tam i z powrotem, starając się rozprostować zeszywniałe, obolałe mięśnie. Zeszła nad strumyk, gdzie z radością znalazła sporą połąć dojrzewającej rzeżuchy. Przypomniła sobie jednak ostrzeżenie Nicolasa i zastosowała w praktyce jego wskazówki. Nie wrywała roślin z korzeniami bez ładu i składu, co pozostawiłoby wyraźny ślad, lecz wybierała je w zapadającym mroku tak, by pozostałe zasłaniały powstałą wśród nich pustą przestrzeń. Kiedy skończyła, z zaskoczeniem ujrzała obok siebie Nicolasa. Oczy, które tak często spoglądały groźnie, teraz miały inny wyraz.

— Witaj na szlaku, pani — powiedział powoli.

Znaleźliśmy go tam, gdzie nam powiedziano, w Brązowej Bessie. — Dowódca oddziału kopnął wzmocnionym metalową skuwką butem leżącą u ich stóp postać. Człowiek jęknął, usiłując jeszcze bardziej się skulić. Książę Lorien spojrział na ich zdobycz, krzywiąc pogardliwie wargi, ale kanclerz pochylił się do przodu w krzesło i zmierzył więźnia taksującym spojrzeniem.

— Popatrz na mnie! — rozkazał nagle. Głowa ze skudłaconymi j włosami podniosła się i chytre, wodniste zielonkawe oczy napotkały badawczy wzrok Vazula.

— Komu służysz? — Gdyby te słowa były biczem, smagnęłyby leżącego na podłodze zrozpaczonego młodzika. — A może nosisz liberię, którą ktoś wyrzucił?

— Gadaj, łotrze! — rozkazał dowódca oddziału. Chwycił więźnia za włosy ręką w grubej rękawicy i uniósł jeszcze wyżej jego głowę, prawie podnosząc go z podłogi.

— Jestem... posłańcem... — Widać było, że bardzo stara się nie ulec tym, w których mocy się znalazł.

Oficer potrząsnął nim gwałtownie. Młody mężczyzna wydał cichy okrzyk rozpaczny. Łzy popłynęły mu z oczu, złościąc rowki w brudzie pokrywającym policzki.

— Nie mamy czasu do stracenia — powiedział lodowatym tonem książę Lorien.

— Istnieje wiele sposobów na przywrócenie komuś pamięci i rozwiązanie języka. Słyszałeś, co powiedział kanclerz — czym jesteś posłańcem?

— Jej...

— To znaczy czym?

— Jej Wysokości Saylany. Posłała po Wyche'a, a ja byłem wtedy jego sługą. Powiedziała, że potrzebuje kogoś chytrego i przebiegłego...

Kiedy urwał, by przełknąć ślinę, rozległ się śmiech księcia Loriena.

— I w ten sposób pomogłeś zastawić pułapki... — ciągnął Vazul.

— Nosilem wieści do Wyche'a, to on posłał mnie do podziemnych korytarzy — wyszlochał więzień. — I to ja miałem usunąć z drogi tę służebną dziewczkę. Przysięgam na Rogi Gratcha, że tylko wykonywałem rozkazy...

Książę Lorien, który przyglądał mu się, mrużąc oczy, zaatakował go z szybkością polującego kota.

— Wykonywałeś tylko rozkazy i Jej Wysokości Mahart już nie ma w mieście? Tak? W czyich rękach się teraz znajduje?

Więzień skulił się jeszcze bardziej, o ile to było możliwe, bo oficer nadal trzymał go za włosy.

— Mówili, że w Iszbi — szepnął.

— Dlaczego? — Teraz Vazul prowadził przesłuchanie. — Podaj nam prawdziwe fakty i możesz liczyć na szybką śmierć. Dochowaj tajemnicy, a przekonasz się, że opuścisz ten świat po długich, strasznych torturach.

— Kiedy nie wiem! — wrzasnął przerażony nie na żarty więzień. — Otrzymałem rozkazy, nic więcej mi nie powiedziano.

— Iszbi — powtórzył powoli Lorien. — A dokąd się udała ta wielmożna pani, której służyłeś?

— Książę panie, skąd mam wiedzieć? Ja, Jonas i Gorger wynieśliśmy tę drugą wielmożną panią z miasta, jak nam kazano, i więziliśmy ją przy pomocnym tracie, aż przyszły wieści, że mamy ją odesłać do Iszbi. Ale ja nie pojechałem z tymi, którzy ją zabrali.

Wróciłem tutaj. I czekałem, tak jak mi kazano, aż złapał mnie twój oddział.

— Myśle, że schwytaliśmy tylko płótkę, kiedy mieliśmy nadzieję na pojmanie

grubej ryby. Może dostarczyć trochę informacji, panie kanclerzu, ale w niczym nie ułatwi nam poszukiwań. Tymczasem... — Dotychczas Lorien bawił się wąskim sztyletem, takim, jaki można wbić w otwór w osłaniającym całą twarz hełmie, by trafić w oko. Teraz wsunął go z powrotem do kieszeni naszytej na pasie, u którego nosił miecz. — Pójdziemy na pomoc. Już wysłałem tam zwiadowców i jeśli zostały jakieś ślady, na pewno je znajdą. Zresztą twój Nietoperz również odgrywa pewną rolę w tych poszukiwaniach. — Uśmiechnął się. — Panie kanclerzu, darzę go wielkim szacunkiem z powodu jego niezwykłych zdolności.

— Jego Wysokość Uttobric poprosił o audiencję w klasztorze Gwiazdy i niedawno właśnie tam się udał — powiedział Vazul. Ponieważ nie był w prostej linii następcą tronu i zdobył władzę dzięki wyrokowi losu, nie zna wielu spraw z przeszłości. Poszedł więc do świątyni, żeby je poznać.

— To mądre posunięcie. — Książę Lorien pokiwał głową. — A tymczasem, Mattew, zabierz stąd to łajno i oddaj je ludziom pana kanclerza. Może jeszcze coś z niego wycisną.

Mimo jęków więźnia dwaj żołnierze Loriena na skinienie dłoni swego dowódcy wywlekli nieszczęśnika z komnaty.

Mahart popatrzyła na łachmany, które pozostały z jej koszuli nocnej. Ma wprawdzie koc, ale nadal znajduje się on na grzbiecie martwego konia poza strefą bezpieczeństwa. Nie zdołała jednak odnaleźć opończy — swego jedynego możliwego okrycia — a wraz z nadejściem nocy znacznie wiać zimny wiatr, od którego spierzchnie jej podrapana, brudna skóra.

W takim razie muszę wziąć koc, postanowiła, starając się powściągnąć strach, jaki budziła w niej konieczność opuszczenia ogrodu. Wiedziała bowiem, że narazi się na nieznanie niebezpieczeństwo. W sercu Mahart nadal gościł łagodny spokój tego miejsca, ale czuła, że jakaś część jej umysłu ocknęła się z wywołanego narkotykiem snu i że znów może myśleć i czuć normalnie.

Po raz drugi poszła do kamiennej misy i ponownie umyła twarz i ręce w spływającej z niej wodzie, a potem, nie czekając, aż lęk ją powstrzyma, skierowała się do niższego odcinka muru, o który przedtem się potknęła.

Słońce już zaszło i zapadał zmierzch. Po przejściu przez murek usłyszała plusk w jeziorze. To na pewno stwory z tamtej wyspy, a ona nie ma nawet zwykłego noża! Musi jednak odzyskać koc przed nadejściem nocy.

Podniosła z ziemi niewielki kamień. Był gładki i zaokrąglony, z nierównymi, poszarpanymi brzegami po obu końcach. Najwidoczniej stanowił niegdyś część większej rzeźby. Trzymając go w ręce, ruszyła przez splątany mech w stronę nabrzeża.

Nad jeziorem wydało się jej, że poświata księżycowa — choć to ciało niebieskie nie świeciło w górze — została uwięziona w ruinach na wyspie. Poświata ta miała jednak zielonkawy odcień, różniący się od krystalicznego blasku, jaki Mahart tak dobrze знаła. Zauważyła tam wielkie poruszenie. Stworzenia, które jeszcze trudniej było dostrzec w zielonkawym świetle, wskakiwały z pluskiem do wody, że aż burzyły się i kipiała.

Mahart zacisnęła zęby, ścisnęła oburącz ciężką, zaimprovizowaną maczugę i pośpieszyła do konia. Po raz pierwszy obudziło się w niej nowe uczucie — litość. Wierzchowiec ten był takim samym więźniem porywaczy, którzy ją tu przywieźli, jak ona sama, i choć nie wiedziała, co go zabiło, czuła zarówno gniew, jak i smutek.

Uklękła przy nieruchomym ciele, położyła kamienną maczugę w zasięgu ręki i pociągnęła za rzemienie, przypasujące koc do grzbietu zwierzęcia. A potem — Mahart nie wiedziała, dlaczego to zrobiła — przesunęła się do przodu, położyła głowę



konia na kolanach i przycisnęła dłonie do grubej skóry tuż nad jego przymkniętymi oczami.

Nigdy nie słyszała o żadnych uzdrowicielach mogących odegnać śmierć ani o żadnym leku, który by przywrócił do życia martwą istotę. A jednak poczuła przypływ nowej siły, jakiej nigdy dotąd nie знаła. Zdała sobie sprawę, że nuci bardzo starą piosenkę ze swojej przeszłości. Miała bowiem kiedyś pochodzącą z północy niańkę, która traktowała ją jak samotne dziecko — bo przecież nim była — nie zaś jak nietykalną wielmożną panią.

Usłyszała głębokie westchnienie, lekki podmuch poruszył strzępy jej prawie już nieistniejącej koszuli nocnej. Wyływała z niej energia — jak woda z tamtej kamiennej miski — i zwierzę na nią reagowało. Może jednak nie było martwe, tylko bardzo, ale to bardzo zmęczone.

Kiedy koń podniósł głowę z jej kolana, na krańcu mola rozległ się przeraźliwy, ogłuszający wrzask, który parokrotnie odbił się echem. Jakieś stworzy wyłaziły z wody. Na powietrzu zawahały się i zbiły w gromadę, zamiast ruszyć do przodu, jak się spodziewała księżniczka.

Mahart stała z kamieniem w ręku, ledwie postrzegając konia, który gramolił się i wierzgał, próbując się podnieść. Skupiła całą uwagę na stworzeniach mieszkających w jeziorze. Zielonkawy blask z wyspy zdawał się lgnąć i do nich, dlatego widziała je znacznie lepiej.

Na pewno nie przypominały z wyglądu żadnego zwierzęcia, o jakim słyszała lub którego wyobrażenie widziała w starych księgach. Każde z nich miało cztery długie, cienkie kończyny. Para wyrastająca z górnej części ciała — gdyż po wyjściu z wody stały na tylnych nogach — wyglądała nie jak łapy, ale ręce o spiętych błoną palcach. Istoty te miały szerokie, okrągłe głowy, zaokrąglone brzuchy, a rysy jak u ropuchy, którą raz znalazła zagubioną w żałosnym ogrodzie zamkowym. Usta były bardzo duże, tak samo jak oczy; zamiast nosów widniały między nimi tylko wąskie szczeliny. Ohydna, nie osłonięta odzieżą śliska skóra sprawiała wrażenie posmarowanej tłuszczem. Mahart nie umiała też rozróżnić ich płci, chociaż zdawała sobie sprawę, że we wciąż rosnącym tłumie są zarówno samce, jak i samice.

Ku jej bezgranicznemu zdumieniu mieszkańcy jeziora nie próbowali podejść do niej blisko, chociaż nowi przybysze bez przerwy napierali na pierwsze szeregi, pchając je do przodu. A przecież była pewna, że mają wobec niej złe zamiary i że planują atak.

Poszukać jakiejś kryjówki? Zakłętego ogrodu? Koń parsknął, a potem zarżał. On również stał naprzeciw wodnych stworów, przewracając oczami tak, że widać było białka, i grzebnął kopytem w omszały kamień.

Mahart jedną ręką chwyciła wiszące luźno wodze. Wierzchowiec nie próbował się uchylić, lecz oparł się o nią barkiem, jakby czuł się przy niej bezpieczny.

Księżniczka powoli wróciła do okalającego ogród muru. Czy znajdą tam dość miejsca, żeby koń nie zniszczył tego bogactwa jadalnych owoców i korzeni? Zwierzę zdawało się znać jej zamiary. Gdy na moment rozluźniła uścisk, wysunęło wodze z jej dłoni, cofnęło się nieco i bez trudu przeskoczyło przez kamienne ogrodzenie.

Z jeziora dobiegło teraz zawrodo, w którym wyczuwało się artykułowane dźwięki. Mahart z całej siły chwyciła się najbliższego fragmentu muru. Coś ją ciągnęło, wzywało do miejsca, gdzie czekały tamte ohydne potwory, i tylko w ten sposób mogła stawić opór. Czepiając się górnej partii ogrodzenia, z trudem zrobiła w jego stronę jeden krok, potem drugi, aż wreszcie zdołała przedostać się na drugą stronę i ponownie padła twarzą na rosące gęsto warzywa. Nacisk obcej woli natychmiast znikł.

Zawrodo trwało jeszcze przez kilka chwil, a potem umilkło. I znów słyszała

tylko plusk wody w jeziorze. Miała nadzieję, że dziwaczne stwory się wycofują.

Kiedy odwróciła głowę, zauważyła, że koń kroczy wokół wewnętrznej strony muru, celowo omijając owocujące rośliny. Wreszcie dotarł do miejsca, gdzie opuścił głowę i zaczął się paść, szybko i łapczywie, jakby się bał, że coś odbierze mu pokarm. Niezdarnie zdjęła z niego wodze i ściągnęła koc po obluźowaniu ostatnich rzemieni.

Szorstka tkanina pachniała koniem i kurzem, ale była ciepła. Otuliwszy się nią, księżniczka wróciła do źródła. Przemówiła teraz głośno, jakby dźwięk jej głosu miał dać jej odpowiedź, jakiej potrzebowała.

— Kim jestem? — zapytała i w jakiś sposób skierowała to pytanie do kryształu, z którego tak miarowo kapała woda. — Rozumiem, że jest coś, co muszę zrobić. Czuję to tu — dotknęła najpierw piersi, a potem czoła między brwiami. — Ale kim jestem? Na pewno nie kimś, za kogo zawsze się uważałam.

Z niszy nie nadeszła żadna odpowiedź... Nie, musi poszukać jej w innym miejscu — w swojej jaźni. Znów ogarnęło ją uczucie, że czeka na coś lub na kogoś, to samo, które tak długo nawiedzało ją w snach o kwitnących łąkach. Ale jeszcze nie pora na to. Znalazła nieco dalej inne miejsce przy murze, gdzie nie docierała wsiąkająca w ziemię woda z kamiennej miski, i ciasniej owinęła się kocem. Natychmiast zmorzył ją sen.

Willadene ujrzała jakąś twarz — a raczej parę utkwionych w siebie oczu o władczym spojrzeniu. Kryła się w nich wewnętrzna moc, jaką zawsze wyczuwała u Halwice. Siła ta groziła jej, a nie tylko mierzyła ją wzrokiem. Stare, bardzo stare oczy jak jamy, w których wirują wiecznie płonące ognie. Spalają, jeśli w nie wpadnie...

Walczyła nie pięściami, tylko wolą i myślami...

A potem zorientowała się, że siedzi w mroku i że Ssssaaa cicho syczy jej do ucha. Ciepło, znacznie większe, niż mogłoby wydzielić takie małe ciało, rozchodziło się od ramienia dziewczyny, do którego przytuliło się zwierzątko Vazula. Nie widziała już żadnych oczu, tylko ciemność. Obok niej ktoś się poruszył, momentalnie więc oparła dłoń na rękojęści noża.

Na ramieniu dziewczyny spoczęła czyjaś ciężka ręka. Jednocześnie uczennica Halwice usłyszała szept jeszcze cichszy od syku Ssssaaa.

— Zachowaj spokój!

Willadene nie potrzebowała tego ostrzeżenia. Usłyszała bowiem w ciemności inne dźwięki — z dala od podobnej do jaskini kryjówki z gałęzi, którą dla siebie przygotowali. Konie. Nicolas puścił jej ramię i odszedł szybko. Oczy dziewczyny przyzwyczyły się już nieco do mroku. Wyciągnęła rękę, ale za późno, by powstrzymać Ssssaaa, która również ją opuściła.

Kimkolwiek byli ci nocni wędrowcy, nie próbowali się ukrywać i znajdowali się znacznie dalej, niż początkowo sądziła. Dobięł ją plusk wody, jakby wierzchowce nieznanymi jeźdźców weszły do strumienia, w żaden jednak sposób nie mogła się dowiedzieć, ilu ich jest.

Wyczuła towarzyszący przybyszom smród zła. Po omacku odnalazła amulet i zbliżyła go do nosa. Jeszcze w Kronengredzie przymocowała do niego zawiniątko z dwoma pradawnymi liśćmi wyjętymi ze starej księgi, a całość przewiązała strzępką nocnej koszuli Mahart. Miała głębokie przekonanie, że każda z tych części czerpie siłę od pozostałych i że należy trzymać je razem jako jedną całość.

Tętent końskich kopyt ucichł. Nocni wędrowcy nie zbliżyli się do zarośli, w których ukryli się Willadene i Nicolas. Ale w głębi duszy dziewczyna zdała sobie sprawę — i odruchowo mocniej ścisnęła amulet — że przynajmniej jedna osoba spośród nieznanymi wyczuła ich obecność. Nie miała pojęcia, dlaczego nie wypędzili ich z kryjówki...

Nicolas wczuł się na swoje dawne miejsce obok Willadene. Widziała zamazaną plamę, która była jego twarzą, ale reszta postaci zlewała się z nocnym mrokiem.

— Mamy towarzystwo... — szepnęła.

Ssssaaa zeskoczyła z gałęzi i znów przytuliła się do dziewczyny.

— Jeden z nich wiedział, że tu jesteśmy — powiedziała cicho, pewna, że się nie myli.

— W takim razie albo się śpieszą, albo... — W tej chwili mimo woli porównała zimne spojrzenie Nicolasa, które tak często na nią zwracał, z lodowatym tonem, jakim wyszeptał te słowa. — ...uważają nas za łatwą zdobycz, którą bez trudu złapią w wolnej chwili. Ssssaaa zdołała uspokoić nasze konie, Vazul na pewno ma w niej wspaniałą sojuszniczkę. Widać jednak było, że jadą dobrze sobie znaną drogą — pięciu mężczyzn i dwie kobiety...

— Jedna z nich to Jej Wysokość Saylana — szepnęła Willadene. Nie wiedziała, dlaczego właśnie to imię przyszło jej na myśl.

Znów zacisnęła palce na jej ramieniu.

— Jak się o tym dowiedziałaś?

Wsunęła nos w niezgrabne zawiniątko, w jakie przemienił się jej amulet.

— Czuję zapach paproci z północy i smród zła!

— Nie próbowali zacierać śladów — Nicolas rozluźnił nieco uścisk. — Pojechali na północny zachód. Wprawdzie księżę Lorien wykończył Czerwonego Wilka, ale nie wyłapał wszystkich jego zwolenników. Ci rozproszyli się i czekają, aż znów zostaną wezwani. Tych siedmioro podąża w stronę Iszbi.

— Czym jest to Iszbi? — spytała w końcu. Słowo to zdawało się mieć jakąś straszną moc. Uważali tak wszyscy, którzy wymówili je przy niej.

Nicolas milczał długą chwilę, jakby się zastanawiał, co powinien powiedzieć, a kiedy się odezwał, odniosła wrażenie, że się wymiguje od odpowiedzi.

— Czy widziałaś Gwiazdę w klasztorze?

Willadene przypomniała sobie swoją jedyną wyprawę do tego świętego przybytku razem z Halwice, kiedy zielarka pozostawiła ją w świątyni, a sama udała się na naradę z ksienią. To cudowne miejsce napełniło ją takim zdumieniem i zachwytem, że nie zapamiętała żadnego szczegółu oprócz silnego zapachu, który uspokajał umysł i serce, który ją otulił i nią zawładnął. Dlatego Halwice musiała mocno potrząsnąć Willadene, zanim ta przyszła do siebie. Pozostał jednak w jej pamięci ów wspaniały zapach. Ożyło też blade wspomnienie czegoś świecącego w przeciwległym krańcu długiej sali.

— Nasz świat — mówił dalej Nicolas tak powoli, jakby szukał odpowiednich słów — jest otwarty, tak jak my od chwili narodzin. Zawsze musimy dokonywać wyborów i nasz świat także. Czasami wydaje się, że na te decyzje wpływa jakaś obca, silniejsza od nas wola. Jak wyglądałoby twoje życie, gdyby nie atak zarazy?

Willadene pogłaskała miękkie futerko Ssssaaa.

— Ja... moja matka była położną, znajomą Halwice, a ojciec strażnikiem granicznym. W tamtych dniach, za rządów poprzedniego księcia, ludzie wędrowali na pomoc. Były tam dobre pastwiska dla owiec, mówiono nawet o zbudowaniu miasta. Zamieszkaliby w nim strażnicy graniczni i ich rodziny, i stałoby się ośrodkiem handlowym dla nowych osadników. Mój ojciec przeniósł się do oddziału, który miał tam pełnić służbę, a matka uznała to za szansę na nową pracę. — O dziwo, nie myślała o tym od lat, niewolnicza praca w kuchni Jacoby zatarła w jej pamięci takie miłe wspomnienia.

— Twoje życie potoczyłoby się więc inaczej i stałabyś się kimś innym.

Nie ścisnął już jej ramienia tak mocno i władczo; od jego ręki płynęło ciepło tak jak od Ssssaaa. Teraz Willadene odważyła się zadać Nicolasowi to najważniejsze

pytanie.

— A kim byłbyś ty?

— Pochodzę ze starego rodu, niegdyś dobrze znanego wśród naszych wielmożów. Przyczyniliśmy się do upadku Iszbi. Mówiono, że ktoś rzucił na nas jakąś klątwę, choć walczyliśmy w imieniu Gwiazdy. Dlatego było nas coraz mniej. W dodatku ataki z dalekiego zachodu niszczyły nasze dobra, a nie mieliśmy pieniędzy na wynajęcie żołnierzy, gdy nasze siły z czasem się zmniejszyły. Synowie i córki — oprócz kilkorga — umierali młodo i bezpotomnie, aż do moich czasów. Mojego ojca okaleczył w walce niedźwiedź ors, który napadał na nasze ostatnie stado koni. Odtąd ojciec nie mógł już ani walczyć, ani przewodzić swoim drużynom; nie był też w stanie zwerbować nowych. Tymczasem rozbójnicy urosli w siłę i napadli na nas tuż przed atakiem zarazy. Nasz zamek padł, a moi rodzice zginęli razem w płonącej wielkiej sali. Już wcześniej jednak krążyły pogłoski o zarazie, dlatego oddali mnie na wychowanie pewnemu strażnikowi granicznemu, bo mój ojciec nie widział mnie w roli wielmoży. Zawsze będę mu wdzięczny za jego zdrowy rozsądek. Byliśmy dalekimi krewnymi Vazula i po przejściu zarazy, kiedy zostałem sam na świecie, odważyłem się powołać na to pokrewieństwo. Vazul to wszechstronnie uzdolniony człowiek, bardziej, niż mogą przypuszczać jego najwięksi krytycy, i nie żałuję, że stałem się jego oczami i uszami w dziwnych miejscach. Taka jest moja historia, pani.

Gdyby rozbójnicy nie zdobyli Farholmu, gdybym nie został wysłany do strażników granicznych na przeszkolenie i gdybym nie odszukał kanclerza — wtedy nie byłbym tym, kim dzisiaj jestem.

— Iszbi — powtórzyła powoli. — Co to jest? Nie mówi się o nim w Kronengredzie, a nawet jeśli tak, to ja nigdy tego nie słyszałam.

— Musimy jeszcze raz wrócić do równowagi Światła i Ciemności. Wiele pokoleń temu na zachodzie powstała potęga, która utrzymywała więzi z siłami niezrozumiałymi dla zwykłych ludzi. Była tam pewna kobieta, Nona, z królewskiego rodu Harkmarów. Mówi się o nim — choć niewykluczone, że to tylko legenda — że miał przodków nie będących ludźmi. Ale któż potrafi powiedzieć, jak taka potworna rzecz w ogóle jest możliwa? Ta nieznaną siłą przyciągnęła do siebie Nonę i odwrotnie; Nona zgromadziła wokół siebie ludzi o podobnej naturze i razem założyli dziwną twierdzę — właśnie Iszbi. Już prawie o nich zapomniano — aż do chwili, kiedy wypróbowali swoje moce. Mieszkańcy naszego księstwa i sąsiedniego królestwa Oberstrandu w imieniu Gwiazdy położyli kres, jak sądzili, takim związkom z Ciemnością. Stoczono ostatnią bitwę, w której zginęli wszyscy żywi słudzy zła. Ale czy ono samo zostało pokonane, nikt nie wiedział. A teraz krążą pogłoski, że zaraza była dziełem zwolenników Ciemności i że miała nas osłabić przed drugim takim starciem zbrojnym.

— A co oni chcą zrobić z Jej Wysokością Mahart? Zatrzymać ją jako zakładniczkę?

Świtało już i widziała Nicolasa znacznie lepiej.

— Być może. Ale najwyraźniej ci, którzy minęli nas tej nocy — a przewodzi im pani Saylana — zamierzają udać się do Iszbi. Właśnie tam kryje się źródło wszystkich naszych kłopotów.

Willadene jeszcze raz przycisnęła amulet do nosa. Bił od niego tak silny zapach Mahart, iż dziewczynie na chwilę się wydało, że księżniczka stoi obok niej.

— W takim razie my również tam wyruszymy — oświadczyła kategorycznie i zrozumiała, że muszą tak postąpić.

Posilili się racjami podróżnymi, które Nicolas zabrał z Kronengredu. Willadene poszła sama na brzeg strumyka, ściągnęła spódnice-spodnie oraz luźne reformy i posmarowała obolałą skórę ud maścią, starając się zużyć jej jak najmniej.

Był piękny, jasny poranek i przebijające się przez gałęzie słońce zdobiło plamami powierzchnię wody. Okolica kipiała życiem — Willadene słyszała głosy ptaków, szelest jakichś małych zwierzątek w trawie. Ssssaaa przycupnęła nad strumieniem i ugasiła pragnienie, a potem szybkim jak błyskawica ruchem łapki wyrzuciła na brzeg trzepoczącą się rybę, po której niebawem pozostało tylko parę ości.

— Pozostawili niezatarty trop i jadą na północny zachód, nawet nie próbując się ukrywać. — Nicolas powiedział o tym Willadene, gdy wróciła do obozowiska. — W takim razie musimy zachować czujność. A ponieważ oni niczego się nie boją, możemy się natknąć na niebezpieczeństwa różnego rodzaju. Wprawdzie rozbójnicy Czerwonego Wilka poszli w rozsypkę, ale umieją wyżyć z tego, co znajdą w lesie i na polach, i dobrze znają te strony.

Willadene bardzo nie chciała znów dosiąść konia. Nie miała jednak wyboru i była równie pewna jak Nicolas, że muszą się śpieszyć. Iszbi czekało albo coś czekało w nim.

Smukły zwiadowca, którego plamisty strój trudno było dostrzec nawet wtedy, gdy znalazł się w pełnym blasku słońca, podniósł oczy na swego dowódcę, gotów meldować.

— To prawda, Wasza Wysokość, ale są trzy tropy, które nakładają się na siebie. Ostatni to dzieło pewnego strażnika granicznego.

Książa Lorien pociągnął starannie odmierzony łyk wody z manierki.

— Dzieło strażnika granicznego? — spytał.

— W każdym razie kogoś, kto zna wiele sztuczek niezbędnych na szlaku, Wasza Wysokość. Niektórzy rozbójnicy Czerwonego Wilka posiadali taką wiedzę, ale nie wierzę, by celowo pozostawiali tropy tak dobrze ukryte jak te.

Książę skrzywił się lekko.

— Nie, bo żaden pościg z miasta nie umiałby ich odczytać. W takim razie, Truforsie, odnalazłeś trop człowieka pana kanclerza. A przed nim jechały dwie grupy, które nie próbowały zatrzeć śladów?

— Druga grupa jechała szybko i nocą, musiała jednak dobrze znać drogę, Wasza Wysokość, jakby to rzeczywiście był utarty szlak.

— Zwołaj wszystkich, Truforsie. Zaalarmuj też zwiadowców.

— Ruszamy za nimi, Wasza Wysokość?

— Na pewno do Iszbi — odparł Lorien. Dobrze widział cień na twarzy rozmówcy. Nikt nie mógłby posądzić Truforsa o brak odwagi, ale on także pochodził z Dawnego Ludu. Mężczyźni z jego klanu maszerowali tą drogą równie dwieście lat temu, by stoczyć zacięty i niemal śmiertelny bój.

Zwiadowca zasalutował i odszedł, zniknął w listowiu, jak gdyby nigdy go tu nie było. Lorien pozostał, wpatrując się w ślady końskich kopyt pozostawione na zeszłorocznych suchych liściach wśród drzew. Prawda jest taka, że żaden człowiek nie powinien pozostawić na swoim ciele ropiejącego wrzodu. Natomiast potomkowie starożytnych rodów nie mogą zostawić jęczącej się rany w samej ziemi. Jego ojciec — no tak, wysłał do niego giermka z wieściami. Ale zgromadzenie dostatecznie dużych sił, by przeczesać ten nierówny teren pełen jarów i wąwozów, grubych drzew oraz przechodzących w góry wzgórz, wymaga czasu.

Książę wiedział, że potrzebuje posiłków z Kronengredu i nie wątpił, iż Vazul ma dostatecznie duży wpływ na swego pana, aby dopilnować również ich wyjazdu. Lecz zamieszki już wybuchły w dwóch dzielnicach stolicy Kronenu. Spłonęła cała ulica magazynów kupieckich... Zdumiało go, że pożar, jak się zdaje, powstał w sklepie zielarki Halwice. To dziwna kobieta, w jakiś sposób przypominająca Vazula, o silnej woli, dobrze znająca się na wielu sprawach. A teraz udała się do klasztoru Gwiazdy. Ludzie mówią, że modlitwy dodają sił wojownikom — jeśli to prawda, będą ich bardzo potrzebowali.

Wyglądało na to, że porwanie Mahart najbardziej dotknęło Halwice. Lorien nie wątpił, iż księżniczka miała być zakładniczką, atutem przetargowym... Spojrzał znowu na zrytą kopytami drogą. Mahart jest bardzo młoda i sądząc ze słyszenia, niewiele widziała poza swoim rodzinnym zamkiem. Usiłował sobie przypomnieć jej twarz, lecz zamiast niej ciągle widział lico dojrzałej piękności, która otwarcie próbowała go złapać w swoje sidła. W jego pamięci ożyło wspomnienie tańca; zgodnie ze zwyczajem miał być taki nudny i ceremonialny, ale nagle stał się równie wesoły jak wiejskie pląsy, kiedy jej dłoń spoczęła w jego ręce. Nigdy czegoś podobnego nie przeżył... A księżniczkę porwano z jej łoża, gdzie powinna być

bezpieczna... Lorien zacisnął zęby. Iszbi — nie, tak niewinna panna nie powinna znaleźć się w Iszbi. Nie pozwoli, by pochłonęła ją Ciemność.

Wstał blady świt i pierwsze zorze zajaśniały na niebie, kiedy Willadene, starając się ukryć niechęć do następnego dnia w siodle, pozwoliła, by Nicolas pomógł jej wsiąść na konia. Ruszyli w dalszą drogę. Tym razem jej towarzysz nie podążał tropem ich poprzedników. Zamiast tego jechał równoległe do niego, kryjąc się tam, gdzie to było możliwe. Zatrzymywał się od czasu do czasu i Willadene siedziała, drżąc nerwowo, gdy ją opuszczał, żeby przyjrzeć się śladom. Była przekonana, że robi coś więcej — pozostawia takie same ledwie dostrzegalne znaki, na jakie wczoraj zwrócił jej uwagę, i oskarżyła go o to, gdy wrócił do niej.

— Właśnie tak czynię. Książę Lorien wyśle zwiadowców. Ci, których tropem jedziemy, nie zacierają go, gdyż uważają, że za nimi mogą podążyć tylko im podobni i może zgromadzą się, by im towarzyszyć i ich wspierać. Ale książę powinien znajdować się niezbyt daleko za nami. Jeśli dopisze nam szczęście, jego zwiadowcy dotrą do nas.

Wyglądało jednak na to, że się pomylił. Czasami robili przerwy i Nicolas pozwalał koniom paść się lub pić wodę ze strumieni i potoków, które najwidoczniej znał od dawna. Tego ranka był bardzo spokojny i ucinął rozmowę, jeśli próbowała ją nawiązać. Willadene uznała, że jej towarzysz żałuje szczerości z poprzedniej nocy i że nie chce dalszych opowieści o przeszłości lub czegoś więcej niż przelotnej znajomości na dzień dzisiejszy.

Zaciskała jedną rękę na łęku siodła, a w drugiej trzymała amulet i od czasu do czasu wachała go. Przez cały czas obawiała się, że czas lub odległość rozproszą osobisty zapach Mahart i że nie będzie miała pewności, czy nadal jada śladem jej porywaczy.

A przecież nawet wtedy, kiedy Willadene całą siłą woli starała się skupić uwagę na celu podróży, badając zmysłami otoczenie, zdawała sobie sprawę, że świat, w którym się znalazła, powoli staje się częścią niej samej. Mocny zapach roślin, brzęczenie owadów i śpiew ptaków... Wydawało się jej, że przez całe życie przebywała w czymś w rodzaju więzienia, a teraz jest wolna.

W tamtych bladych wspomnieniach, o których opowiedziała Nicolasowi — i które prawie się zatarły w budzącej grozę kuchni Jacoby — były takie krajobrazy i znała je kiedyś w dzieciństwie. Czy rzeczywiście chodziła z matką zbierać zioła? Bardzo możliwe, ponieważ jej matka była dobrze znaną uzdrowicielką i wzywano ją do chorych mieszkających poza Kronengredem. Nie próbowała sięgać dalej pamięcią. Teraz liczy się tylko wyprawa, która ma na celu uwolnienie porwanej córki władcy Kronenu. Tak, księżniczce świat poza murami miasta musi wydawać się równie dziwny jak samej Willadene. Dziewczyna krzepiła się nadzieją, że porywacze uznają Mahart za zbyt ważną, by źle się z nią obchodzić.

Ssssaaa niemal sennie syczała jej do ucha. Willadene pod wpływem nagłego impulsu zbliżyła amulet do małego, ostro zakończonego noska, by zwierzątko mogło go powąchać. Zanim zdążyła cofnąć rękę, cienkie jak igły zęby wbiły się w liście znalezione w starej księdze.

— Nie! — powiedziała tak energicznie, że Nicolas odwrócił głowę i rzucił jej pytające spojrzenie. Willadene łagodnie odsunęła główkę Ssssaaa od zwiniętego jedwabiu i rozłożywszy go na siodle, puściła łęk. Zauważyła na materiale ślady zębów, ale dwa dziwne liście pozostały nietknięte.

— Co to takiego? — Nicolas podjechał do niej.

— Nie wiem.

Szybko opowiedziała mu o tym, jak Ssssaaa odnalazła liście w sklejonych stronach

butwiejącego zielnika. Młodzieniec nie próbował odebrać dziewczynie znaleziska, lecz pochylił się niżej.

— To liście... — mówiła Willadene. — Spójrz na żyłki. Widziałam wiele suszonych roślin, ale wszystkie tak stare jak te rozpadały się w proch przy dotknięciu. A przecież noszę je przy sobie od tamtej pory i dotąd nawet nie popękały.

Nicolas opalonym palcem lekko dotknął jej rozwartych dłoni, na których leżały tajemnicze liście. Nie odsunęła się, pozwoliła, by znacznie bardziej się do niej zbliżył.

— Mówisz, że to są liście... — odezwał się po chwili. Poczuli się urażona, ponieważ zakwestionował jej talent.

— Ależ to prawda, każdy może to zobaczyć!

— A ja twierdzę, że to wygląda jak mapa. Wspomniałaś o Władcy Serc — może wskazuje ona miejsce, gdzie rośnie ten czarodziejski kwiat?

Willadene szybko cofnęła dłonie i zawinęła liście w jedwabną szmatkę.

— My nie szukamy żadnych kwiatów! — stwierdziła stanowczo. — Władcę Serc oddano Gwieździe, aż...

— ... aż — przerwał jej — zbójcy zesłali z zachodnich wzgórz i zrównali klasztor z ziemią. Jeżeli zło się budzi, podobnie musi czynić dobro. Przez ile lat te liście tkwiły ukryte w księdze Halwice? Dlaczego Ssssaaa zdołała je wydobyć nietknięte?

Dziewczyna starannie na nowo zawinęła amulet i jego dwa dodatki.

— Chciałbyś, żeby kierowała nami obca wola, a nie nasza własna! — powiedziała ostrym tonem.

Co do Halwice, tak, Willadene chętnie wykonałaby każde polecenie zielarki. Czy teraz nie cierpiała, jadąc konno, ponieważ Halwice odwołała się do jej talentu? Wzdragała się jednak przed myślą, że wola nieznannej, przekraczającej ludzkie rozumienie istoty używa jej teraz tak, jak ona sama maści do wyleczenia jakiejś choroby.

Nicolas wzruszył ramionami.

— Pani, jednego nauczyłem się w życiu: nic nie dzieje się tylko dzięki przypadkowi. Twoje znalezisko może być większym skarbem niż zawartość książęcego skarbcza. Pilnuj go dobrze.

Później podniesioną ręką nieoczekiwanie zatrzymał jej wierzchowca.

Ostrzegła ich cisza, która nagle zapadła. Przed chwilą ptaki głośno śpiewały na pobliskim drzewie. Willadene instynktownie posłużyła się swoim talentem. Tak, wyczuła zapach mężczyzny, i to znajomego. Oburącz mocno przycisnęła amulet do piersi i przełknęła ślinę.

Zapach mężczyzny zmieszany ze smrodem zła stał się znacznie mocniejszy, odkąd zwęszyła go po raz ostatni. Zauważyła pytające spojrzenie Nicolasa i powiedziała bezgłośnie:

— Wyche.

W odpowiedzi Nicolas tylko leciutko skinął głową. Słyszeli teraz odgłos końskich kopyt, równie głośny jak tętent wierzchowców grupy, która minęła ich wcześniej. A potem do Willadene dotarł znajomy, gruby głos.

— Dobrze sobie radziliśmy w mieście. Powinna była nas tam zostawić. Tego zakichanego księcia już dawno należało wyprowadzić na Wzgórze Straceń i skrócić o głowę.

— Przeceniasz się, miejski szcurze — powiedział drugi głos tak lodowatym tonem, jakby ich twarze smagnał podmuch mroźnego wiatru. — Ona czegoś potrzebuje i to powinno wam wystarczyć. Gdyby twój podwładni nie schrzanili roboty, złapałibyśmy również Loriena — dodał z wściekłością.

— A teraz on poluje na nas, my zaś nie mamy czasu, żeby z kolei zapolować na niego.



Głos Wyche'a dobiegł teraz z większej odległości, podobnie jak tętent kopyt. Nicolas uśmiechnął się szeroko.

— Wężę z podziemnych korytarzy szukają kryjóWKI...

— Powiedział, że w mieście wybuchły walki... — Willadene znów z całej siły trzymała się łęku siodła.

— Tak, tego się spodziewaliśmy, nie wiedzieliśmy tylko kiedy. Nasz książę ma ludzi, którzy służą mu mieczami, choć nie noszą ich publicznie. Wyche to chwalipięta i pozwalaliśmy mu na wiele, by się dowiedzieć za jego pośrednictwem, jak daleko rozprzestrzenił się spisek. Stajemy do walki twarzą w twarz z tym, co chciałoby pochłonąć nas wszystkich, i nie zrobiłoby tego łagodnie. Lubi bowiem występować przeciw własnym sługom, kiedy nie są mu już potrzebni. Dziękuję ci, maleńka...

Willadene zrozumiała, że zwrócił się do Ssssaaa. Później dodał:

— Ona chroni lepiej niż najlepsza zbroja. To wielki zaszczyt, że ją nam pożyczono. A teraz zacznijmy płacić za ten zaszczyt.

Dziewczyna nadal tuliła do piersi amulet jak wojowniczkę tarczę. Nicolas ponaglił konie i te ruszyły stępą. Teraz jednak skierowali się nieco dalej na północ, oddalając się od tropu tych, którzy ich wyprzedzili.

Mahart obudził dźwięk przypominający pyknięcie. Spojrzała w niebo rozjaśnione słońcem, a mimo to zamglone. Księżniczce wydało się, że jakaś zasłona rozpościera się między jego promieniami a miejscem, w którym leżała. Usiadła, odrzucając koc. Koń pał się w pobliżu, chciwie szczypał zwilżone wodą rośliny rosnące wokół źródelka; najwyraźniej nie chciał pić bezpośrednio z kamiennej misy.

Wierzchowiec Mahart na pewno nie był wypielegnowanym rumakiem z książęcych stajni. Widziała wystające żebra w jego boku, jakby od dawna źle go karmiono, choć teraz najwidoczniej starał się to sobie powetować.

Jedzenie! Ruszyła w stronę najbliższych miniaturowych drzewek i wybrała dla siebie dwa okrągłe plumferty. Po powrocie na miejsce spoczynku musiała się jednak zastanowić nad swoją obecną sytuacją i nad przyszłością.

Obdarzyłaś mnie Twą łaską, Gwiazdo — powiedziała półgłosem i wykonała ręką gest wdzięczności, nie z grzeczności, lecz ze szczerego serca. — Wyrwałaś mnie z rąk nieprzyjaciół i zaprowadziłaś do tego schronienia, ale na pewno uczyniłaś to z jakiegoś powodu.

Zamilkła. Spróbowała objąć wzrokiem jak największą część ogrodu, w którym się ukryła. Nie miała pojęcia, dlaczego wszystkie rosnące w nim rośliny owocują jednocześnie. Zlizwała z palców sok plumfertów, starając się połączyć wszystkie posiadane informacje.

Czy miała być zakładniczką, bronią, której wrogowie zamierzali użyć przeciw jej ojcu? Niewiele zapamiętała z podróży podziemnymi korytarzami pod Kronengredem. Później znalazła się w obozie, gdzie porywacze przerzucili ją przez grzbiet jucznego konia i właśnie tam usłyszała słowo Iszbi...

Skupiła na nim myśli. Zamknęła na moment oczy i znowu znalazła się w zakurzonej, ciemnej bibliotece zamkowej, po której błądziła bez niczyich wskazówek, biorąc stąd jakąś kronikę, stamtąd pamiętnik, czytając beztrasko, bez żadnego ukierunkowanego zainteresowania. Legendy łączyły się z faktami historycznymi, fakty zamieniały w legendy — potwory walczyły z bohaterami i skarby wysypywały się z ciemnych jaskiń dla każdego, kto miał dość szczęścia lub sił, by je znaleźć.

Tak, Iszbi. Mahart nagle tak mocno ścisnęła w dłoni drugi plumfert, że skórka owocu pękła i miąższ wśliznął się jej między palce.

To coś z zachodu... A przecież każdy, kto o tym pisał, nie nazwał go po imieniu, tylko napomykał, iż nie należało do rodzaju ludzkiego — że w rzeczywistości od

ludzi dzieliła go ogromna przepaść i że to coś starało się ją przebyć, pokonać... Była tam jakaś kobieta... — Mahart potrząsnęła głową, jakby starała się uporządkować wspomnienia. Tak — ona była człowiekiem. Ale czy rzeczywiście? Mówiono o jakiejś domieszce nieczłowieczej krwi w jej rodzie. Ta kobieta jednak nie pochodziła z Kronengredu — raczej z królestwa. Miała na imię Nona...

Mahart wydało się, że lodowaty palec dotknął jej czoła. Przebiegł ją dreszcz. Tak, to ta kobieta ze skazą zła w krwi, choć była królową, zawarła tamten pakt. I to ona i jej zwolennicy użyli zamku Iszbi jako punktu oparcia do przyciągnięcia mocy, które może tylko ksieni z klasztoru Gwiazdy potrafiłaby choć w części zrozumieć. Mahart z irytacją uderzyła w kolano lepką od soku pięścią. Wtedy wszystko to uznała za legendę! Gdyby tylko wiedziała więcej!

Umyła ręce w kamiennej misie, a potem, pod wpływem nagłego impulsu, zerwała kilka kępek trawy rosnącej pod kamiennym ogrodzeniem i ostrożnie zaczęła obrządzać konia. Praca przynosiła jej ulgę, odpędzała natrętne myśli i wspomnienia. Kiepski był z niej stajenny, ale koń najpierw parsknął, potem zaś pokiwał głową na boki, jakby dziękował za jej trudy.

Nadal nie widziała słońca ani, jak mogła sięgnąć wzrokiem, żadnych żywych istot, oprócz swego cierpliwego wierzchowca i siebie samej. Owady, brzęcząc, nie przelatywały z kwiatu na kwiat, ptaki nie śpiewały. Chociaż Mahart tak niewiele wiedziała o zewnętrznym świecie, zdawała sobie sprawę, że coś tu jest nie w porządku. Zrobiła, co mogła dla swego konia, a potem podeszła do niższego odcinka muru, przez który weszła wraz z nim do tego miejsca. Widziała w oddali molo i poza nim wyspę. Chociaż jeszcze się nie ściemniło, dostrzegła wokół niej słabą zieloną aurę. Woda była nieruchoma; nigdzie ani śladu istot, które przedtem przemykały między skałami na brzegu.

Las paproci otaczał ruiny z trzech stron. To wielkie rumowisko rozpadło się na tak niewielkie stopy gruzu, że nikt by nie mógł powiedzieć, czy są to pozostałości stolicy granicznej, zamku, czy niewielkiego miasta. Jeżeli jednak to było Iszbi, pasowały do niego wszystkie trzy określenia. Mahart nie zamierzała wszakże opuszczać bezpiecznego schronienia, by to zbadać.

Spojrzała na siebie. Z powodu panującego w zamku chłodu nosiła grubą, ciepłą koszulę nocną, uszyto ją z miękkiego materiału, żeby dobrze się w niej spało. Teraz resztki koronki nadal trzymały się na kilku nitkach, ale dziury i rozdarcia zamieniły koszulę w łachmany. Na noc Julta zaplotła jej włosy w warkocze, które później się potargały o ciernie i gałęzie. Mahart zaczęła je rozplatać i wyjmować liście i gałązki; skóra bolała ją w miejscach, skąd je wyciągała. Użyła palców jako kiepskiej namiastki grzebienia, próbując wygarnąć wszystkie śmieci stamtąd, dokąd mogła dosięgnąć.

Kiedy wreszcie doprowadziła włosy do względnego porządku, zdjęła łachmany, zwinęła je w kłęb i wróciła do kamiennej misy. Przecież tylko koń oglądał jej nagie ciało.

U podnóża zbiornika rosła gąbczasta roślina, która wchłaniała wodę i wydawała się miękka w dotyku, Mahart nabrała wody w dłonie i zaczęła się myć najlepiej jak umiała. Krzywiła się, gdy dotykała bolących zadrapań i otarć, lecz z determinacją nie przerywała ablucji.

Kiedy skończyła, przyjemne ciepło wysuszyło jej skórę równie dobrze, jak ręcznik przed ogniskiem. Poszukała w miarę otwartego miejsca, rozłożyła tam pozostałości swego jedyne go odzienia, by przyrzeć mu się krytycznie.

Na chwilę lub dwie znów znalazła się gdzie indziej — z powrotem w książęcym zamku przed podłużnym zwierciadłem w swojej komnacie i oglądała w nim swą piękną suknię balową.

Suknię balową... Zamknęła oczy. Jeszcze raz czyjaś silna ręka zacisnęła się wokół

jej dłoni, poprowadziła ją do tańca takim lekkim krokiem, że wydałoby się to niemożliwe. Przypomniała sobie teraz pewną twarz. Na jakiej podstawie ona, która znała tak niewielu mężczyzn, mogła powiedzieć, czy jej partner jest urodziwy? Wiedziała tylko, że kiedy patrzy mu w oczy, odpowiada uśmiechem na jego uśmiech, przenika ją ciepło i że sprawia jej to przyjemność.

Oczy księżniczki zwiłgotniały; łza spływająca po obolałym policzku przywołała ją do brutalnej rzeczywistości.

Ależ głuptas z niej! Przeszłość jest przeszłością, zresztą nie były to prawdziwe wspomnienia. To nie starożytna rycerska legenda — któż mógłby jej szukać, jak nie wasale ojca? Zapytała się ponuro w duchu, ilu z nich godnych jest zaufania?

Wróciła do sprawy przyodziewku. Może oderwać te długie rękawy? Jeden z nich był rozdarty prawie do połowy. Wstała i przymierzyła to, co pozostało z nocnej koszuli.

Jeżeli podrze ją umiejętnie, uzyska coś w rodzaju przepaski biodrowej zamiast bielizny, sięgającą prawie do kolan halkę oraz kilka pasków, którymi będzie mogła się przewiązać. Mahart zabrała się do pracy. Przeprowadzenie tych wszystkich zmian bez nożyczek czy choćby noża było bardzo trudnym zadaniem.

W końcu ponownie przymierzyła to zaimprovizowane odzienie i tym razem naprawdę się ucieszyła, że nie musi patrzeć w podłużne zwierciadło i oglądając rezultat swoich krawieckich poczynąń.

Tak była zajęta pracą, iż zaskoczyło ją, gdy zauważyła, że zamglone światło dzienne gaśnie. Nie, jeszcze nie zapadła noc, nie straciła w takim stopniu poczucia czasu. Ale bardzo się tego bała.

Koń podniósł głowę. Przedtem zdawał się drzemać obok muru. Teraz parsknął, spoglądając ponad kamiennym ogrodzeniem. Mahart pośpiesznie zaczęła szukać w zagłębieniu, w którym spędziła noc, aż wreszcie zacisnęła dłoń na gładkim kamieniu, zamiastce broni.

Trzymając go w rękę, ostrożnie okrążyła cały ogród, przyglądając się jezioru i lasowi paproci. Łatwo jej się szło po trawie i bujnych roślinach, ale kilkakrotnie boleśnie potknęła się o kamień. Zrozumiała, że musi również znaleźć coś, co zastąpi jej buty.

Panujący w ogrodzie dziwny spokój wydał się jej teraz groźny. Usłyszała rzenie konia, który cofnął się w róg ogrodzenia i stał, drżąc cały. Jakaś siła najpierw poraziła zwierzę, a teraz sięgnęła po nią.

Musi pójść, jest bardzo potrzebna. Nic w świecie się nie liczy poza tą potrzebą!

Na oczach Mahart paprocie rozchyliły się, tworząc otwartą bramę. Na jej przeciwnym krańcu znajdowało się coś równie zielonego, ale nie była to roślina. W jakiś sposób — może sprawił to refleks światła lub stwór, który wystąpił przeciw niej — widziała dalej i wyraźniej niż zwykle.

Na wyspie nie było ruin. Stały tam nietknięte mury zwieńczone okrągłym, bulwiastym dachem. Lekka mgiełka, przedtem przesłaniająca wyspę, teraz też tam wisiała, ale nie zasłaniała otwartych drzwi w dziwnym budynku. W drzwiach Mahart ujrzała jakąś postać, która wzywała ją ruchem ręki, wołała bezgłośnie, tak cicho, że zaimprovizowana maczuga omal nie wysliznęła się z rąk księżniczki. Mahart gotowa była przeskoczyć przez mur ogrodu, by tam dotrzeć.

— Przybądź!

Czy to była prośba, czy rozkaz?

Mahart jak szalona skoczyła w stronę kamiennej miski. Wypuściła z rąk kamień, zanurzyła obie dłonie; prysnęła wodą w twarz. Woda spłynęła strumykami po jej rękach, zmoczyła włosy i zrosiła ramiona.

Księżniczka oburącz chwyciła się krawędzi kamiennego zbiornika i próbowała się

obrócić, żeby znów spojrzeć na postać, która na nią czekała, która ją wzywała...

Która żądała! Tego Mahart była teraz pewna. To zasadzka i tylko dzięki łasce kogoś znacznie potężniejszego, niż mogła pojąć umysłem, nie wpadła w tę pułapkę.

Było to coś w rodzaju polowania i każdy uczestniczący w nim mężczyzna, który przemykał się jak najciszej przez rzadki las, unikając otwartych przestrzeni, równie dobrze mógłby ścigać dzikie zwierzęta. Od jakiegoś już czasu teren podnosił się stopniowo: początkowo zbocza wzgórz opadały tak łagodnie, że z trudem można to było zauważyć, a teraz prowadziły coraz wyżej i wyżej.

Lorien przykucnął za jakąś skałą i słuchał uważnie. Nie pomylił się, gdyż znów usłyszał te ciche trele — wołanie czarnej sójki wzywającej swoich pobratymców na jakąś nieoczekiwaną ucztę. Ale ten szczególny dźwięk nie wydobył się z gardła żadnego ptaka. Mattew znajdował się dalej na południe, a Jasper i Timous towarzyszyli mu z prawej.

Żołnierze gorąco protestowali, lecz ksiązę zmusił ich do zaakceptowania jego propozycji — jeżeli rozproszą zwiadowców na dużej przestrzeni i będą się porozumiewali za pomocą dobrze znanych sygnałów, łatwiej odkryją każdy nowy trop. A ponieważ zamierzał się przyłączyć do tropicieli, musiał użyć całego swego autorytetu, by się z tym pogodzili.

Początkowo szedł starszymi tropami, ale w pewnej chwili dostrzegł ślady jeźdźców z południa, jadących ciężko i nawet nie próbujących zacierać odcisków końskich kopyt. Było ich pięciu...

Nagle zauważył jakiś kolorowy błysk. Drogę zagroziła mu nieprzenikniona zapora z kolczastych zarośli. Jeźdźcy, których śledził, musieli tutaj zawrócić i pojechać wzdłuż jej skraju. Jeden z nich popełnił błąd, zbyt blisko się zbliżył do jakiegoś krzaka i zapłacił za ten brak ostrożności.

Lorien zdjął skrawek cienkiej koronki. Nie nosiłby czegoś takiego żaden leśny wędrowiec, nawet dworski strojniś. Nie wiedząc, czemu to robi, podniósł strzępek do nosa i wyczuł resztki zapachu, z którym już się zetknął. Nie była to korzenna, niemal kręcąca w nosie woń perfum, jakie, co go trochę zaskoczyło. Jej Wysokość Mahart wybrała na bal zwycięstwa. Przywodził raczej na myśl czystą wodę, mroźne powietrze zimowego poranka... Użyła go druga wielmożna pani z Kronenu, Saylana! Dama o płomiennych oczach i kształtnym ciele, którego krągłości tak subtelnie podkreślała suknia barwy wina i złota — takiej, jak ta koronka.

Nie miał ochoty zostać wciągniętym w dworskie intrygi. Kanclerz Vazul zdawał się jednak wierzyć, że to pani Saylana jest sercem tego całego zamieszania. Lorien nie mógł jej sobie wyobrazić jadącej przez ten las, ale na własne oczy przekonał się, że to zrobiła. Wsadził za pas kawałek złocistej koronki i okrążył kraniec ciemnej bariery w odpowiedzi na wezwanie; zadźwięczało po raz trzeci i już się nie odważył go zignorować.

Kiedy tak się prześlizgiwał między drzewami, las zrzedł. Ksiązę znalazł się wśród skał i głazów o barwie, z jaką nigdy dotąd się nie zetknął — były matowozielone. Przecinały je jeszcze ciemniejsze pręgi. Z oddali widział teraz ostre zbocze skarpy i jeszcze dalej góry. Dwie z nich oznaczały teren, na którym kiedyś polował, chociaż nigdy jeszcze nie zapuścił się tak daleko na ziemie sąsiedniego państwa.

Zauważył lekki ruch z prawej, sygnał, który sam wymyślił. Krył się, jak mógł, bo nie został otwarcie powitany, a to oznaczało kłopoty. Dobrze, że szedł tak ostrożnie, ponieważ dotarł na skraj wielkiego zagłębienia terenu, jakby jakiś olbrzym zgarnął ziemię gigantyczną chochlą.

Jasper leżał na brzuchu na brzegu tego jaru i szybko przeniósł spojrzenie ze zbliżającego się Loriena na coś w dole. Wyglądało jak rodzaj garbu. Minęła minuta,

zanim księżę rozpoznał w nim skulone ciało mężczyzny w plamistym mundurze maskującym, jakie nosili jego gwardziści.

— Timous — wyszeptał. — Kto... — Porwał go wściekły gniew.

— Tak go znalazłem, Wasza Wysokość. Nie żyje... — odparł Jasper bezbarwnym głosem.

— Spadł? — zapytał Lorien, ale zdawał sobie sprawę, że prawda jest inna. Timous, chyba że ktoś go ścigał, nigdy by się nie zapuścił tak blisko stromego zbocza tego wąwozu.

— Ślady? — Następne pytanie było rozsądniejsze.

— Jest trop, ale tylko jego własny — odrzekł Jasper.

— Idź do Mattewa, przyprowadź cały oddział.

— Zostaniesz sam, Wasza Wysokość? — Gwardzista wyraźnie oczekiwał, że księżę zaprzeczy.

— Stanę na straży. Znajdziesz mnie tutaj. Pośpiesz się jednak. Potem powiedz Mattewowi, że będą potrzebne liny — są w jukach na grzbietach kuców.

Zwiadowca nadal miał taką minę, jakby chciał wyperswadować Lorienowi tę samotną wartę, ale dostatecznie długo służył pod jego rozkazami, żeby wiedzieć, że księżę nie zrezygnuje.

Jasper mówił o jakimś tropie. Lorien oderwał wzrok od skulonej postaci w dole. Timous był spokojnym człowiekiem, miał wiele umiejętności, które im wszystkim dobrze służyły. Zawsze jednak, kiedy go chwalono, sprawiał wrażenie, że źle się czuje, i nigdy nie zaprzyjaźnił się z nikim w swoim oddziale. Zaraza odebrała życie jakiejś bliskiej osobie, o której nigdy nie wspominał, i Lorienowi wydawało się, że Timous w pewien niezrozumiały dla innych sposób pozostawał poza ścisłymi więziami łączącymi towarzyszy broni. Ale Timous był jego żołnierzem, służył mu umiejętnie i lojalnie. A teraz księżę, jako jego dowódca, będzie musiał na kimś pomścić jego śmierć, ponieważ nie zginął przypadkiem.

Lorien ruszył czujnie skrajem wąwozu. Trop powinien być niezbyt daleko, bo inaczej Timous nie spadłby w dół.

Tak, znalazł go i nachylił się nad nim; nie mógł odczytać znaczenia śladów. Ktoś samotny biegł tędy nieostrożnie, nie zważając na to, co się przed nim znajduje. Księżę zauważył połamane gałęzie, co dowodziło, że biegnący człowiek upadł, podniósł się i co sił w nogach popędził dalej. A przecież kiedy Lorien zaczął się cofać, nie znalazł tropów świadczących, że ktoś ścigał uciekającego. Żadne ślady nie pokrywały odcisków stóp Timousa.

Oddalił się znacznie od skraju klifu. Na prawo od niego strzelały ku górze skały, które, jak się zdawało, stały ramię w ramię, wreszcie łączyły się w wysoką ścianę. Trop Timousa prowadził wzdłuż tej ściany.

Lorien wyciągnął miecz z pochwy. Postąpił głupio, idąc dalej, ale w niezrozumiały dla siebie sposób czuł, że musi wyjaśnić, co się stało na początku tego tropu. Później ślady Timousa nałożyły się na odciski końskich kopyt prowadzące prosto do przypominającej bramę szczeliny między ścianami z zielonego kamienia.

Lorien przystanął. Zdrowy rozsądek walczył w nim z tym dziwnym przyciąganiem. A mimo to bez namysłu wyszedł na pozostawione przez nieznaną jeźdźców ślady, usiłując zobaczyć, co się znajduje poza wąwozem.

Zauważył jakiś ruch... Szybko przemknął na prawo, wstyd z powodu własnej głupoty podsycił w nim gniew, który go ogarnął na widok ciała Timousa. Jest doświadczonym zwiadowcą, wojownikiem uznawanym za sprytnego i przebiegłego. Ostrożność kazała mu się oddalić, uciec chyłkiem...

Chciał to uczynić, jednak nogi nie posłuchały rozkazu jego woli. Na moment zdał sobie sprawę, jakie to potworne — ale jeśli zawładnęła nimi jakaś dziwna siła, nie

kontrolowała ona reszty ciała. Wyciągnął miecz...

Ten, kto mu groził w tak ledwie uchwytny sposób, wyszedł na otwartą przestrzeń. Na moment Lorien poczuł ulgę. Postać w zbroi, nawet jeśli nosiła hełm, który całkowicie zasłaniał jej rysy, nie była dla niego niczym nowym. Zaskoczyło go, że zdawała się nie mieć żadnej broni — nie widział ani miecza, ani uniesionego do góry topora, którym by zagroziła mu drogę.

Strażnik — jeśli to rzeczywiście był strażnik — podniósł ramię, opierając rękę na własnym barku. Po sekundzie zamachnął się i rzucił w powietrze błyszczący, jaskrawozielony sznur, a z nim...

Lorien mimo woli omal się nie skulił ze strachu. Tak, to tylko świetlna lina falowała w powietrzu, ale przed nią nadchodził mrok, śmierć i coś gorszego od śmierci. Odzyskał władzę w nogach — zamaskowany stwór chciał zmusić go do biegu. Jednak książę nie ruszył się z miejsca. Nie widział ani włóczni, ani strzał, a postać w zbroi nie cisnęła następnego straszliwego sznura.

Lorien zamachnął się mieczem. Walczył teraz z własnym strachem, trząsł się tak bardzo, że nigdy przedtem nie przypuszczał, iż jest do tego zdolny. Jego miecz błysnął w powietrzu. Powinien uderzyć w ten niesamowity zielony promień, rozrząbać go...

Zamiast tego świetlista lina owinęła się wokół brzeszczotu, jakby żadne stalowe ostrze nie mogło jej przeciąć. Książę, którym owładnął paniczny strach, odrzucił od siebie miecz, zanim zielonkawy sznur zdołał dotknąć jego ręki. Spróbował się wycofać.

Strażnik w zbroi nie ponowił ataku. Po prostu stał i czekał, jakby wiedział, co się dalej stanie. Kiedy brzeszczot ze szczękiem odbił się od skały i spadł na ziemię, świetlna lina odwinęła się i choć nie wzleciała w powietrze, popęzła szybko po skalistym gruncie jak atakująca zdobycz zmija.

Lorien skulił się, opierając się o jeden z wysokich skalnych filarów, a następnie spróbował się przemknąć obok niego. Później na moment pociemniało mu przed oczami i zszokowany zdał sobie sprawę, że za skałami znajduje się inne zagłębienie terenu — nie tak szerokie jak to, które pochłonęło Timousa, lecz na tyle głębokie, że potłukłyby się, spadając w dół. Przyszło mu jeszcze na myśl, że tamten zielony sznur podąży za nim, po czym uderzył głową o kamień i choć nosił hełm, ogarnął go mrok.

Długie palce siedzącej przy stole kobiety poruszały się szybko. Po obu stronach stał rząd pociemniałych ze starości i od długotrwałego użycia miseczek, każda wypełniona jakimś proszkiem. Nie mieszała ich jednak, starannie odmierzając dozy, jak miała w zwyczaju. Zamiast tego położyła przed sobą na stole kwadratowy kamień, w którym to tu, to tam połyskiwały iskierki jak gwiazdy na nocnym niebie.

— Musicie zrozumieć — powiedziała spokojnie Halwice — że to, co robię, jest zabronione i mogę to uczynić tylko jeden raz. Otrzymałam rozgrzeszenie, pościłam i spędziłam ostatnią noc na pokucie w świątyni Gwiazdy. Reszta już nie ode mnie zależy, jestem tylko narzędziem.

Książę Uttobric zagryzł dolną wargę i nic nie odrzekł. Natomiast kanclerz poruszył się lekko w krześle, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmilczał.

Halwice brała w palce, szczyptę po szczypcie, różnobarwne proszki — szare jak popiół, czerwone niby zakrzepła krew, zielone niczym żywe liście, niebieskie jak morze, białe niczym piasek lub muszle małży morskich.

Pracowała uważnie, usypując kolorowe linie na kamieniu z ołtarza, który z taką niechęcią pożyczyły jej kapłanki Gwiazdy. Halwice zawsze wiedziała, że kobiety w jej rodzie dziedziczyły po sobie różne talenty. Niektóre nie chciały ich rozwijać, aby nie zapłacić za to zbyt wysokiej ceny. Tak stało się i z nią — szczyciła się tym, że jest

uzdrawiaczką i aż do tej pory nie próbowała być niczym więcej. Różnobarwne drobiny poruszyły się same z siebie, zdawało się, że się łączą z tymi iskierkami lub ich unikają. Czerwone i szare skupiły się razem i trzymały z dala od uwieczonych w kamieniu świetlnych błysków. Przemieszczały się, ziarenko po ziarenku, tworząc jakiś obraz. Księżę Uttobric i jego kanclerz pochylili się teraz do przodu, wstrzymując oddech, by w jakiś sposób nie przeszkodzić temu, co się działo.

Inne kolory, podobnie jak czerwony i szary, odnalazły, jak się wydawało, swoich partnerów. A później troje ludzi ujrzało na kamieniu prawdziwy obraz.

— Na Gwiazdę! — powiedziała rozkazująco Halwice. Proszek znieruchomiał.

Zielarka patrzyła na niewieście lico, tak dokładnie odtworzone przez czerwony i szary proszek, jakby świeżo namalował je dobry malarz.

— To Saylana — szepnął Uttobric. Ale tylko przez chwilę miał rację. Twarz traciła urodę, skóra się marszczyła, odpadała, usta zapadły się nad bezzębnyymi szczękami. Żyły tylko oczy, które zamieniły się w jamy z iskierkami na dnie. I to życie trwało uparcie. Natomiast w dolnej części kamienia iskierki łączyły połyskliwe linie o innych barwach — zielone, niebieskie i białe — które pozostały widoczne tak długo, aż wszyscy troje dobrze zobaczyli.

— Nie mamy już na to wpływu, wszystko jest w innych rękach. — Halwice opadła na krzesło. Kolorowy proszek uniósł się z poświęconego kamienia, tworząc tęczy obłoczek, a potem zniknął. — To oni dzierżą miecz i los zależy od nich, nie od nas. Oczyszczyć swoje księstwo, Uttobricu — to twoje zadanie. O tym, co wydarzy się gdzie indziej, dowiemy się z czasem.

Nicolas zwolnił tempo i Willadene była bardzo z tego zadowolona. Chociaż tego ranka posmarowała maścią otarte uda, szarpał nimi piekący ból. Robiła co mogła, by nie odczuwać tego dyskomfortu, skupiając uwagę na otoczeniu i na docierających zewsząd zapachach. Raz Nicolas zatrzymał nagle oba rumaki na skraju jakiejś polanki, gdzie przed pnem największego drzewa spośród tych, które okalały tę niewielką przestrzeń, na tylnych łapach stał brązowy niedźwiedź ors, drąc pazurami grubą korę. Na szczęście lekki wiatr dął w ich stronę — Willadene poczuła ostry zwierzęcy odór — i niedźwiedź nie zwrócił na nich uwagi. Później opadł na cztery łapy i odszedł rozkołysanym krokiem na południe.

— Oznacza swoje terytorium — wyjaśnił Nicolas. — Może w pobliżu jest jakiś młodszy osobnik z tego samego gatunku. Jeżeli trafi na to drzewo i nie dosięgnie z łatwością do tych śladów pazurów, wycofa się przezornie.

Zwinięta wokół szyi Willadene Ssssaaa poruszyła się lekko. Dziewczyna początkowo myślała, że zwierzątko zaniepokoił odór niedźwiedzia, ale ostry nosk szturchnął zawiniątko z amuletem wysunięte teraz spod kaftana.

Willadene wiedziała, że Ssssaaa ma własny sposób porozumiewania się z ludźmi, zbliżyła więc torebkę do jej noska. Poprzez cuch niedźwiedzia, który nadal wisiał w powietrzu, wyczuła nagle jakiś inny zapach. Trwało to zaledwie sekundę lub dwie, ale wystarczyło, by odwróciła głowę pod ostrzejszym kątem. Potem dziwna woń się rozwiła, lecz przypominała wołanie o pomoc. Willadene zameldowała o tym Nicolasowi. Przez chwilę myślała, że wywiadowca jej nie uwierzy, bo jego oczy znów spoglądały ostro i przenikliwie. Później jednak skinął lekko głową, zmienił kierunek jazdy, a nawet nieco przyspieszył tempo.

Las wokół nich zrzędł i pojawiły się skały. Nicolas ściągnął wodze przy olbrzymim głazie, który górował nad nim, choć siedział na koniu. Dziewczynę zaskoczył wygląd tej kamiennej ostrogi, ponieważ nigdy dotąd nie widziała skały o takim kolorze. To nie porastający ją mech, lecz sam kamień miał tę niespotykaną barwę. Głaz przecinał ciemniejszy, również zielony pas.



— Przed nami przekłete Iszbi — powiedział Nicolas. Willadene nadal mocno ścisnęła amulet, ale teraz zamknęła oczy i posłużyła się swoim talentem. Badając zapachy warstwa po warstwie, nie zwracając uwagi na te, które zrodził otaczający ją świat — zwierzęta, Nicolas, jej amulet. Było to bardzo trudne, miała wrażenie, że walczy, szukając na oślep we wszystkich kierunkach, chwytając włókienka tak cienkie, że wyślizgiwały się jej, choć starała się je pochwycić. Na zewnątrz, na zewnątrz, w dół, w dół...

Nagle zeszywniała. Wyłowiła coś, co wywodziło się z ciemności i strachu. Zapach przelanej krwi! Mahart? Czy nagły przypływ jej zapachu oznaczał, że coś grozi życiu lub zdrowiu księżniczki? Nie, Willadene w jakiś sposób zdała sobie sprawę, że woń ta nie pochodzi od Mahart. Ale wyczuwała wyraźnie przemieszany zapach krwi i bólu napływający gdzieś z bliska.

Dziewczyna otworzyła oczy.

— Tam jest ktoś ranny!

Chociaż nie umiała jeździć konno, chwyciła postronek, który Nicolas trzymał teraz luźno w ręce, i udało jej się skierować swego wierzchowca poza skalną ostrogę. Na szczęście koń stapał ostrożnie, wybierając drogę. Poczowała ciepłe futerko na grzbiecie dłoni: to Sssaaa zbiegła po jej ramieniu i przywarła do szyi wierzchowca. Możliwe — nie była tego pewna — że zwierzątko w jakiś sposób kontrolowało konia. Zaraz po tym odkryciu wszyscy nagle się zatrzymali.

W odległości zaledwie kilku kroków teren się urywał, kończył poszarpaną szczeliną, wypełnioną skałami, które były zwałone w taki sposób, jakby wrzuciła je tam jakaś ogromna siła. Willadene usłyszała cichy jęk.

Chociaż szybko zeskoczyła na ziemię, zrobiła to tak niezręcznie, że Nicolas ją wyprzedził i znalazł się na samym skraju rozpadliny. Willadene odwiązała swoją torbę z lekami i po chwili dołączyła do niego.

Ostra skała rzucała cień na większą część tego, co znajdowało się w dole, ale dziewczyna dostrzegła przelotnie czyjeś ramię i rękę czepiającą się jednego z kamieni, jakby jej właściciel próbował wstać.

Nicolas odszedł szybko, gdy Willadene uklękła jak najbliżej skraju szczeliny, aby się zorientować, w jaki sposób dotrzeć do rannego. Ściany rozpadliny były popękane i pełne szczelin; ktoś zręczny potrafiłby zapewnić zejść na dół w miejscu znajdującym się blisko nieznanego mężczyzny. Nie wiedziała, czyjej się to uda. Potem wrócił Nicolas, ciemna plama na tle zielonej skały, z przewieszonym przez ramię zwojem liny.

Willadene posłusznie wykonywała jego polecenia i pracowali najszybciej, jak mogli. Ciągnąc i wiążąc linę, niejasno zdała sobie sprawę, że Sssaaa ją opuściła. Dostrzegła przelotnie smukłe ciało zwierzątka bez trudu zbiegającego w dół zbocza jaru, jakby to była prosta gładka droga.

Nicolas zawiązał pętlę na końcu sznura, wielokrotnie ze wszystkich sił sprawdzając jego wytrzymałość. Drugi koniec przymocował do łęku siodła Willadene, resztę zaś zwiesił nad szczeliną i w końcu włożył jej do ręki postronek.

— Kiedy powiem „ciągnij”, odprowadź konia od skraju rozpadliny — rozkazał. Później, znajdując oparcie dla nóg i rąk niemal tak łatwo jak Sssaaa, zniknął w dole.

Zszedł na dno jaru w odległości kilku kroków od nieruchomego teraz i prawie ukrytego wśród kamieni rannego i zniknął między głazami. Zaraz potem znów się pojawił, zgięty pod ciężarem mężczyzny odzianego w kolczugę i krótką opończę, zwykle noszoną na zbroi, bez żadnego herbu. Ranny lekko poruszył głową — osłaniająca ją misurka pozostała na miejscu, lecz hełmu nie było, a rozmazana na bladej twarzy krew nie pozwalała dojrzeć rysów.

Nicolas oparł ciało o ścianę rozpadliny, a potem Willadene usłyszała niewyraźnie,

że coś powiedział. Zapewne ranny okazał się dostatecznie przytomny, by zrozumieć jakiś rozkaz, gdyż podparł się rękami w naszywanych metalowymi płytkami rękawicach. Nicolas, podnosząc najpierw jedną jego rękę, a potem drugą, owinał go pętlą tak, że zacisnęła się tuż nad talią.

Nicolas podniósł oczy na Willadene.

— Ciągnij, ale powoli — rozkazał i jego słowa odbiły się echem w wąskiej szczelinie.

Tymczasem dziewczyna już odwróciła konia tyłem do klifu, a teraz poprowadziła go do przodu. Lina napięła się po chwili. Później Willadene zwolniła tempo, ale nadal ponaglała zwierzę, coraz bardziej oddalając się wraz z nim od skalnej ostrogi strzegącej tej pułapki. Widziała ruchy liny — czasem się obluźniała, to znów napinała, jakby ranny pomagał sobie rękami i nogami. Dziewczynie wydawało się jednak, że upłynęło dużo czasu, zanim w jej polu widzenia najpierw pojawił się Nicolas, a potem zakrwawiona głowa rannego mężczyzny.

Widać było, że uratowany żołnierz należy do wojsk księcia Loriena. Nie nosił jednak maskującego stroju zwiadowcy, który miał się zlewać z listowiem, lecz kolczugę, a u pasa — pustą pochwę miecza.

Zdołał wszakże utrzymać się na nogach. Nicolas otoczył ramieniem jego szerokie bary, gdy potykając się zrobił krok do przodu.

— Tutaj! — Teraz to Willadene wydawała rozkazy. Wskazała na otwartą przestrzeń, gdzie ranny mógłby się położyć; musi przecież obejrzeć jego obrażenia. To cud, że nic sobie nie połamiał pomimo takiego upadku.

Położyła obok siebie torbę z lekami, naląła wody z manierki, którą trzymał Nicolas, i zaczęła zmywać krew ze zwróconej ku niej twarzy. Nieco wcześniej Nicolas zdjął misiurkę z głowy żołnierza i teraz Willadene znalazła tuż za linią włosów spory guz i ranę, jakby brzeg hełmu rozciął tu skórę.

— Kim... — Ranny otworzył oczy, gdy naląła do rany nieco sporządzonego przez Halwice leku przeciwko zakażeniu. Potem zmrużył je i rzekł: — Uczennica zielarki...

— To prawda, Wasza Wysokość — odpowiedziała, starając się opanować. Oparła dłoń na jego piersi, gdy chciał się podnieść. — Pozwól mi skończyć.

Bez dworskiego stroju królewicz wydawał się młodszy, a przecież bardzo pewny swoich umiejętności. Jak sam jeden znalazł się na tym pustkowiu? Na pewno nie spodziewała się, że zastanie go tutaj bez eskorty.

Nicolas cofnął się nieco, zwijając linę, żeby ponownie ją schować. Później coś go zaskoczyło, bo na moment zniknął dziewczynie z oczu. Księżę Lorien spojrział na nią, marszcząc brwi.

— Powiedziano mi, że możesz odnaleźć jej ślad... to znaczy księżniczki Mahart... tak jak pies — powiedział powoli. — To dlatego tu jesteś? — Przez jego twarz przemknął cień, nie strachu, w każdym razie nie o siebie, a potem wypląnął na nią ciemniejący rumieniec gniewu.

— Jest w pobliżu, ale gdzie? Tego musimy się dowiedzieć. Rozległ się syk i Ssssaaa wychynęła jakby znikąd, wskoczyła na ramię dziewczyny i poty ocierała się o jej policzek, aż Willadene zwróciła ku niej głowę. Księżę przyglądał się tej scenie, mrużąc oczy.

— Jest gdzieś tam, za tymi skałami... — powiedziała dziewczyna. Czy to jej talent, czy też coś innego poinformowało ją o tym? Nie mogłaby przysiąc ani na jedno, ani na drugie.

Zobaczyła wracającego Nicolasa. Trzymał — z dala od siebie — jakiś miecz. Ostry brzeszczot pociemniał, miał barwę dymu i, o dziwo, wydawało się, że przedtem owinięty był czymś w rodzaju liny. Na ten widok księżę Lorien nagle usiadł.

— Pozbądź się, go, człowieku. Zatrął go tamten przeklęty stwór!

Nicolas odrzucił od siebie miecz; ten ze szczękiem uderzył o kamień, rozpadł się na części wzdłuż linii o barwie dymu i leżał tak, jak gdyby porzucono go przed wielu laty w jakiejś zapomnianej bitwie.

Lorien odepchnął Willadene, która usiłowała go powstrzymać, i wstał. Przeniósł wzrok poza dwójkę wybawców i uważnie spojrział w górę zbocza, gdzie strzelała ku niebu skalna ściana ze szczeliną w środku.

— Cofnijcie się! — Odwrócił się do nich. — Nie wiecie, co pełni tam straż...

— Ale ty spotkałeś to coś albo tego kogoś — powiedział spokojnie Nicolas. — W takim razie podziel się z nami swoją wiedzą.

Chociaż książe Lorien nawet na moment nie oderwał oczu od szczeliny w skalnej ścianie, zaczął mówić krótkimi zdaniami. Pobrzmiwały w nich ostre nutki rozkazów wydawanych w bitwie. Opowiedział o znalezieniu martwego Timousa i o przerywanym tropie tego zwiadowcy, jakby ścigało go coś potwornego, o zakutej w zbroję postaci, której hełm zasłaniał twarz i która zdawała się nie mieć żadnej broni do chwili, aż wyszarpnęła z powietrza zieloną, świetlną wstęgę...

Gdy Willadene usłyszała o tym niezwykłym orężu, jęknęła i chwyciła Nicolasa za rękę, ponieważ bardzo dobrze zapamiętała tamto spotkanie ze złem w Czarnej Wieży, kiedy Nietoperz leżał bez sił, a ona sama zrobiła tylko to, co mogła. Nawet teraz na myśl o tej bitwie poczuła mdłości i ze wszystkich sił starała się powstrzymać wymioty.

Widząc wyraz twarzy swoich wybawców, książe Lorien przerwał opowieść i zapytał:

— Znacie tę broń?

Willadene poczuła, że nie panuje nad sobą na tyle, by skinąć twierdząco głową, Nicolas jednak przekazał królewiczowi swoją wersję tego spotkania ze złem.

— Ale to było w Kronengredzie, w zamku. I mówisz, że tamten oręż został zniszczony — powiedział Lorien. — Jak więc tu się znalazł?

— Wasza Wysokość, jakiś miesiąc temu, kiedy przyniosłem ci wieści, które doprowadziły do rozprawy z Czerwonym Wilkiem, znalazłem zwłoki jednego z naszych strażników granicznych, tak ulokowanego, że mógł dobrze widzieć, kto przybywał i opuszczał to gniazdo rozbójników. Jego szyję otaczał pierścień wypalonych ciał, który niemal odciął mu głowę. Wtedy zrozumiałem, że żadna znana broń nie jest w stanie zadać takiej rany. Myślę jednak, że to, co zaatakowało nas w Czarnej Wieży, co ścigało i uśmierciło twój zwiadowcę i próbowało cię zabić, było żywe. Czy jadowite węże nie wydają na świat potomstwa?

— A jeśli odważymy się znów przejść przez tę bramę... — powiedział powoli książe. — Widzieliście, co zrobiło z moim mieczem wykutym przez naszych najlepszych kowali? A przecież ciało to nie stal.

Na wargach Nicolasa zaigrał dziwny uśmiezek.

— Jeżeli kiedyś gdzieś tam było Iszbi, to na pewno prowadziło do niego więcej niż jedno wejście. Zastanawiałem się... Strażnicy i zwiadowcy graniczni przekazują sobie wiele informacji, o których gdzie indziej dawno zapomniano. Pani — zwrócił się teraz do Willadene — chodzi mi o twoją mapę.

Dziewczyna natychmiast zaślониła dłońmi amulet.

— Wyobraźnia cię poniosła... — Ale kiedy dotknęła tego zawiniątka, zrozumiała, że Nicolas powiedział prawdę. Ona sama zawsze w głębi duszy wierzyła, iż to niezwykle znalezisko może ją zaprowadzić do Władcy Serc. Władca Serc należy jednak do odległej przeszłości...

— Mapę? — Lorien patrzył teraz na Willadene. — Mapę, która co pokazuje, Nietoperzu?

— Może inne wejście do miejsca, do którego chcemy się udać. To Ssssaaa

przyczyniła się do jej znalezienia, a ona zawsze pragnie tego co kanclerz — żeby w Kronenie panował spokój.

Willadene powoli rozwinęła oba liście i cofnęła się nieco, gdy Nicolas i książę Lorien ostrożnie położyli je na jakiejś skalnej półce. Książę zawołał nagle:

— Przecież ta linia to na pewno Vars w pobliżu swych źródeł! W zeszłym roku wędrowałem razem ze zwiadowcami granicznymi, żeby sprawdzić nasze stare mapy, ponieważ okazało się, że wiele z nich jest niedokładnych. Ale przysięgnę na Gwiazdę, że to jest Vars!

— Twój ludzie są w pobliżu — odezwał się Nicolas. — Możemy poprowadzić jakiś oddział tędy...

I co znajdą, pomyślała Willadene, kiedy inni strażnicy z równie niezwykłą bronią zagrodzą im drogę? W głębi duszy wiedziała, że ona sama może wejść do Iszbi jedynie przez bramę, która znajduje się w górze zbocza. Nic jednak nie powiedziała, tylko zaczęła układać własne plany. Gdzieś tam jest Mahart, i to niedaleko. Raz już sobie poradziła z zielonym wężem, więc zrobi to ponownie. Przecież w podróжной torbie niesie flaszkę z tym samym płynem. Tak, ona ma własne plany, o ile w tej sytuacji zdoła je obmyślić.

Wycofali się z okolicy zielonych skalnych wieżyczek i założyli tymczasowy obóz. Willadene demonstracyjnie przejrzała zawartość swojej torby z medykamentami, chociaż nie musiała dotykać żadnego z nich, gdyż miała w pamięci całą ich listę. Zrobiła, co mogła dla księcia Loriena. Książę na obandażowaną głowę znów włożył — nieco obluzowaną — misiurkę.

Dziewczyna wyciągnęła racje podróżne i nalegała, żeby wszyscy się posilili, mimo że przez cały czas musiała walczyć z wewnętrznym impulsem, który kazał jej opuścić towarzyszy podróży i zająć się tym, co ją tutaj przyciągnęło. Ssssaaa zwinęła się w kłębek na zacienionym wierzchołku pobliskiego kamienia, lecz nie spuszczała wzroku ze szczeliny w skalnej ścianie. Dzięki takiej strażniczce Willadene czuła się w tej chwili bezpieczna.

Książę i Nicolas prawie zapomnieli o Willadene, tak zainteresowały ich mapy—liście. Lorien zdołał zidentyfikować jeden punkt na mapie, natomiast Nicolas odnalazł jeszcze dwa, które odkrył podczas działań wywiadowczych przeciwko rozbójnikom Czerwonego Wilka.

Jeśli wielu z tych ostatnich uciekło ze swego gniazda, musiało skierować się na południe, ponieważ obozująca przy skalnych wieżyczkach trójka miała wrażenie, że przebywa na wyludnionym terenie. Nie dostrzegli też zakutej w zbroję postaci, której stawił czoło książę Lorien.

Kiedy zjedli wydzielone im przez Willadene skromne porcje, książę wstał i spojrzął na szczątki swego miecza. Później podniósł wzrok na dziewczynę, pakującą z powrotem zapasy do sakw przy siodle.

— Pani, wiem, że wy, zielarze i zielarki, wiecie o wielu sprawach, które wydają się dziwne innym ludziom. Czy zastanawiałaś się, czym może być ten świetlny wąż?

— Wasza Wysokość, jestem jedynie uczennicą zielarki, nie urodziłam się w rodzinie trudniącej się tym zajęciem. Wiem tylko jedno — ten stwór jest bezgranicznie zły i reaguje na wezwanie innego umysłu.

— Jej Wysokości Saylany?

Willadene chciała przytaknąć, lecz coś sprawiło, że się zawahała. Tak, Saylana stała po stronie Zła, ale czy ktoś kierował jej umysłem?

— Nie mam co do tego pewności, Wasza Wysokość. Nie wątpię jednak, że ma ona w tym swój udział i przysięgłabym, że jej knowania były nasieniem, z którego wyrosło to wszystko.

— Obserwowałem cię. Patrzysz tam! — Przeniósł wzrok na daleką bramę w skałach.

Nagle Willadene ogarnęło zniecierpliwienie.

— Wasza Wysokość, posłano mnie pewnym tropem. Zrobiłam to dobrowolnie, gdyż to, co zobaczyłam, i to, czego się dowiedziałam o Jej Wysokości Mahart, sprawia, że pragnę jej pomóc. Uważam, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo.

— Jako zakładnicze?

— Nie, całkiem inne, którego natury nie rozumiem. — Willadene potrząsnęła przecząco głową. — Wiem tylko, że otacza ją zło.

— Wydostaniemy ją stamtąd... — oświadczył Lorien. Dziewczyna pomyślała, że jest zbyt pewny siebie. Nagle rozległo się świergotliwe wołanie Nietoperza i pojawił się oddział książęcych żołnierzy. Willadene cofnęła się, odruchowo zabierając swoją torbę, natomiast Lorien wyszedł na spotkanie nowo przybyłym.

— Ssssaaa. — Czarne zwierzątko wskoczyło dziewczynie na ramiona. Jego syk

zabrzmiął jak wołanie o pomoc. Z amuletu napłynął wyraźny, osobisty zapach Mahart, niczym błagalny zew.

Nie wolno zapomnieć o strażniku skalnej bramy. Tak, książę Lorien zniszczył jeden złowrogi oręż, ale sługa zła może dysponować innym. Willadene wiedziała, że musi się przygotować. Jej własna broń jest ukryta za pazuchą, w górze kaftana. Wyjęła ją spokojnie, na uboczu, pozwalając swym towarzyszom zajmować się starożytnymi mapami. Oderwany od koszuli pasek materiału obwiązała jak najciaśniej na końcu ułamanej gałęzi. Łała nań podarowany przez Halwice silnie działający płyn tak długo, aż przynajmniej jego połowa wsiąkła w szmatkę.

Słyszała głośnie rozmowy w dole. Wysłano dwóch zwiadowców, żeby sprowadzili więcej książęcych żołnierzy; Lorien i Nicolas nadal przyglądali się dziwnym mapom. Od czasu do czasu wzywali któregoś z czekających wojów, aby i on z kolei obejrzał znalezisko.

Willadene podniosła torbę z lekami i, jak już przywykła, przesunęła ją w odpowiednie miejsce ruchem ramienia. Ssssaaa nie próbowała wskoczyć jej na szyję, tylko wiła się jak wąż wśród kamieni. Willadene spodziewała się, że zwierzątko ostrzeże ją w razie niebezpieczeństwa.

Przynajmniej nie jadę konno, pomyślała z ulgą. Kluczyła między głazami, szła najszybciej jak mogła, wciąż w górę. Skalna ściana znalazła się na prawo od niej — widziała wyraźnie przed sobą ciemny otwór i obserwowała go uważnie, szukając wzrokiem jakiegoś ruchu.

Nagle z dołu dobiegł ją głośny krzyk. Nawet się nie obejrzała, lecz rzuciła się do przodu. Przyciągała ją jakaś rosnąca z każdą chwilą siła, czuła, że jest potrzebna. Nic się jednak nie poruszyło, strażnik w zbroi również się nie pojawił, jakby ktoś celowo pozostawił otwartą bramę w skalnej ścianie.

Może tak właśnie było. Willadene musiała jednak ulec nieznannej mocy, która zmusiła ją do przejścia przez zacieniony otwór. Ssssaaa wyprzedzała ją o kilka kroków. Kiedy dziewczyna znalazła się w skalnej bramie, wokół niej zaległa martwa cisza. Okrzyki zamilkły, jakby ktoś zatrzasnął za nią jakieś wrota.

Willadene chwyciła mocniej kij owinięty szmatką nasączoną płynem Halwice. Szła po czymś w rodzaju bruku, a z obu stron wznosiły się wysokie skały, tak że mogła iść tylko w jedną stronę — do przodu.

Nicolas rzucił się ku dziewczynie. Biegł najszybciej jak umiał. Potem jednak całym ciałem zderzył się z jakąś materialną zaporą z taką siłą, że odbił się jak piłka, uderzył w idących tuż za nim żołnierzy, przewrócił ich i razem z nimi runął na ziemię.

— Willadene! — Zdołał wciągnąć do płuc dostatecznie dużo powietrza, żeby wykrzyknąć jej imię. Wstał z trudem, ale tamto uderzenie było tak silne, że chwiało się na nogach. Zapora? Nie widział nic oprócz ciemnego wejścia. Nie stał też w nim żaden strażnik, gotów znów go odepchnąć.

Książę Lorien nie upadł. Przesuwał w powietrzu wyciągnięte ręce tam i z powrotem, jakby obmacywał jakąś powierzchnię. Po chwili Nicolas dołączył do niego. Tam coś było! Jakaś niewidoczna ściana, której nie mogli przebić w żaden znany im sposób, chociaż spróbowali wszystkiego: rzucali głazy tak ciężkie, że musiało je podnieść dwóch mężczyzn, przynieśli też z dołu drzewo i posłużyli się nim jak taranem.

Niczego nie widzieli, tylko czuli — zamknięci z tej strony tajemniczej bariery, nie mogli pójść za Willadene.

W końcu Nicolas powiedział ponuro:

— Wasza Wysokość, wydaje mi się, iż pozostała nam tylko nadzieja, że tak jak przypuszczasz, w innym miejscu znajdziemy wejście do tego przekłętą miejsca.

— Przeklętego, po trzykroć przeklętego. — Lorien grzbietem dłoni otarł pot z piekących policzków. — Iszbi ma swoje tajemnice, a my tylko nasze ludzkie umysły i wolę. — Popatrzył na Nicolasa. — Ale ludzie niegdyś oczyścili to miejsce i żadne mury nie są w stanie powstrzymać naszej woli. Zobaczymy, na co nam się przyda ta mapa.

Dlaczego tę dziewczynę opętało takie szaleństwo? Nicolas zacisnął pięści. Gdyby Willadene stanęła przed nim w tej chwili, z trudem by się powstrzymał przed zadaniem jej ciosu. Mówiono, że w zielarstwie kryją się czary — na pewno przyprowadziło ich tutaj to, co nazwała swoim talentem. I może będzie zmuszona stawić czoło złym czarom poza tą niewidoczną zaporą. A oni w niczym nie zdołają jej pomóc — mogą tylko próbować odnaleźć jakąś dawno zapomnianą ścieżkę. Obawiał się, że przybędą za późno, aby udzielić jej pomocy w walce ze sługami Ciemności.

Ruszyli w drogę. Nicolas prowadził, gdyż najlepiej znał te leśne ścieżki. Przez cały czas dręczyło go wspomnienie o tamtym zielonym, pełzającym stworze, który zaatakował ich w Czarnej Wieży, i rosnący strach przed czymś znacznie gorszym, co może na nich czekać.

Mahart nabrała w dłonie wody ze zbiornika i pociągnęła długi łyk. Poczowała, jakby ten życiodajny płyn nie tylko wypełnił jej usta i gardło, lecz także dotarł w najskrytsze zakamarki umysłu, zmywając strach.

Odwróciła się od źródła w stronę ogrodu. Wyglądał jak zawsze od chwili, gdy szczęśliwym trafem natknęła się na niego. Koń wyszedł z rogu ogrodzenia i znów pał się spokojnie.

Księżniczka zmusiła się, by podejść do muru i ponownie zaczęła obchodzić go powoli, bardzo powoli, wypatrując nie tego, co znajdowało się w środku, ale na zewnątrz. Kilkakrotnie przystanęła i przetarła oczy, bo dostrzegła opary dziwnej mgiełki oddzielającej ją od lasu paproci. Przez moment widziała zarysy budynków, jakby znalazła się w Kronengredzie lub w Breście. Zawsze jednak po chwili gigantyczne paprocie znów lśniły zielenią, a tamte przemijające szybko wizje pojawiały się coraz rzadziej i w końcu zniknęły.

Wreszcie ulokowała się w gnieździe wymoszczonym z koca i zerwanej trawy, która rosła w pobliżu muru. Uważała jednak, żeby nie zerwać zbyt wielu roślin z tego zdziczałego ogrodu. Poczowała, że musi odpocząć, zapaść w pokrzepiający sen, aż wreszcie nie mogła dłużej mu się opierać i zasnęła.

Usłyszała świdrujący w uszach płacz, jakby to szlochało zrozpaczone, porzucone dziecko. Płacz napełnił mrok, napełnił jej serce i zrozumiała, że musi odpowiedzieć na tę żalną skargę. Mahart otworzyła oczy i zdała sobie sprawę, że już siedzi i wyczuwa słuch. Ten płacz nie był częścią snu — naprawdę go słyszała. Rozdzierał jej serce.

Zerwała się z ziemi, potknęła przy tym lekko — jej gołe nogi były posiniaczone i obolałe, ponieważ do tej pory nie znalazła czegokolwiek zastępującego obuwie. Teraz jednak nie miało to żadnego znaczenia — ważny był tylko płacz.

— Gdzie jesteś?! — zawołała. — Gdzie jesteś? — Nie odpowiedział jej nawet szelest paproci. Dotarła do niższego odcinka muru i przeszła na drugą stronę.

Iść nad jezioro? Czy możliwe, że poza podobnymi do ropuch stworami żyje tam jeszcze ktoś i że jakieś dziecko wpadło w ich ręce? W tym pełnym żalu głosie wyczuła teraz ból.

Zawodzący płacz przyciągnął jej wzrok poza koniec mola. Popatrzyła na jezioro. Jego powierzchnia była gładka. Nie zauważyła też żadnych ruchów wśród skał na brzegu. Nie, płacz dobiega z innego kierunku. Kulejąc lekko, obeszła róg muru

okalającego ogród i nagle uświadomiła sobie, że stoi naprzeciw miejsca, gdzie wczoraj paprocie rozstały się przed nią, ukazując jej drogę w mrok. Podświadomie spodziewała się, że znów zrobią dla niej przejście. Ale nawet nie drgnęły; tylko nadal słyszała płacz dziecka.

— Gdzie jesteś? — zawołała bezradnie jeszcze raz. Nie może przecież przedzierać się przez gąszcz paproci, nie wiedząc, dokąd ma iść.

Nie miała żadnej broni oprócz kamienia, na który natknęła się przypadkiem — i wątpiła, czy okaże się skuteczny w razie prawdziwego ataku.

— Wasza... Wasza Wysokość...

Mahart z zaskoczeniem zauważyła jakiś ruch na skraju lasu paprociowego. Jakaś czarna plama czołgała się, przedzierała przez gęstwinę na otwartą przestrzeń. Głos był ochrypliwy, rwał się, jakby wydobywał się z ust staruszki.

Mahart zaczęła się cofać, aż oparła się o mur ogrodowy, który w tym miejscu był za wysoki, żeby mogła przezeń przejść na drugą stronę.

Czołgająca się postać poruszała się powoli, z wyraźnym trudem, i chociaż tamten żalony płacz ucichł, w głosie, który znów się odezwał, zabrzmiała niemal taka sama nuta rozpacz.

— Wielmożna pani... litości... zlituj się nade mną...

Zgarbiony kształt zatrzymał się i skulił jeszcze bardziej, tak że księżniczka nie mogła mu się lepiej przyjrzeć. Później cienkie jak patyk ramię odsunęło do tyłu obszerną opończę, odsłaniając głowę i barki.

Tę na poły widoczną nieznaną istotę otaczała niesamowita zielonkawa poświata, jakby złożone ze świetlnych drobinek cząstki paproci wtarły się w jej skórę, kiedy czołgała się przez ten zwarty gąszcz.

Mahart jęknęła i odruchowo nakreśliła w powietrzu starożytny znak chroniący przed złem.

— Na światło Gwiazdy! — wykrztusiła cienkim, rwącym się głosem i zaczęła się cofać wzdłuż ogrodzenia, nadal zwrócona w stronę tego stwora, jakby nie odrywając od niego oczu mogła trzymać go z dala od siebie.

— Pani... — To słowo zakończyło żalony zawrodo. Wychudłe ramię — skóra i kości — opadło wzdłuż podobnego do tłumoka ciała tej istoty.

To, co Mahart wtedy ujrzała, uznała za część koszmarnego snu, ponieważ pomimo obwisłej i niewiarygodnie pomarszczonej skóry i białych pasm w zmierzwiionych włosach, poznała tę skuloną postać! A gdy poznała... Przełknęła ślinę. W jakiś sposób przypominało to spotkanie z jednym z ropuchowatych mieszkańców jeziora, tylko było znacznie, znacznie gorsze.

Dwukrotnie próbowała, zanim zdołała wymówić imię, które znała tak dobrze.

— Zuto... — Ale przecież to nie mogła być jej towarzyszka z lat młodszych! To tylko straszliwa wizja tego, co może przynieść starość.

Z ust tej istoty wyrwał się nieartykułowany okrzyk. Wydobyła teraz obie ręce spod fałd, pod którymi dotąd były ukryte, i objęła nimi swoje ciało, nadal zasłonięte przez luźną opończę lub szatę.

Mahart przypomniała sobie zarazę — jedyne straszliwe nieszczęście, o jakim słyszała przez większą część swego życia. Czy w jakiś sposób ta groźna choroba przetrwała właśnie tutaj, by znów zaatakować młode, zdrowe ciało? I kto zabrał i przyprowadził tu Zutę?

Mahart wysiłkiem woli zmusiła się, by odejść od muru. Zuta jest przecież nieodłączną częścią jej przeszłości, musi więc...

— Wasza Wysokość! — Wołanie to zagłuszył głośny, wyzywający syk. Sssssaa otarła się o kostki księżniczki, po czym wysłiznęła się na otwartą przestrzeń, żeby stawić czoło stworowi, który wyszedł z lasu paproci. Zuta — ale jak to może być



Zuta?!

Ktoś mocno chwycił Mahart za ramię i odsunął od czołgającej się istoty. Księżniczka rozejrzała się i od razu rozpoznała nowo przybyłą — uczennicę zielarki Halwice. Willa...

— Willadene — powiedziała triumfalnie na głos.

Później Mahart bezradnie machnęła ręką w stronę w tak niezwykły sposób postarzałej Zuty. Usłyszała znów szloch, rozpaczliwy płacz dziecka lub zgrzybiałej staruszki, opuszczonej przez wszystkich i zagubionej. Księżniczka spojrzała pytająco na Willadene.

— Czy to tamta zaraza?

— To bezgraniczne zło — odparła tamta. — Zostań tutaj. Dobrze się stało, że tu przyszłaś. Ja wezwę...

Willadene puściła Mahart i ruszyła w stronę zgarbionej postaci, wokół której krążyła Ssssaaa. Zwierzątko dobiegło do dziewczyny, wskoczyło na jej rękę i po rękawie ponownie wdrapało się na ramię.

Willadene zsunęła z ramienia torbę z lekami; oburącz trzymała zawieszony na szyi amulet.

Stwór, który mógł być Zutą, wrzasnął głośno i pochylił się do przodu, aż dotknął głową ziemi niedaleko od miejsca, gdzie stała uczennica Halwice.

— To nie jest ta zaraza, która nas zaatakowała, Wasza Wysokość — powiedziała stanowczym tonem Willadene. — Ale na razie trzymaj się od niej z daleka.

Sama też nie próbowała podejść bliżej Zuty, tylko wyjęła z torby coś, w czym odbiło się jasne, czyste światło, padające nie wiadomo skąd. Wyciągnęła to coś przed siebie, ale nie dalej niż na skraj koła nakreślonego przez Ssssaaa.

Tak mało wie... Willadene miała ochotę wykrzyknąć na cały głos frustrację, jaka nią owładnęła. To na pewno jest zło, ten silny fetor przyprawiając mdłości, ale chyba jakieś nowe. — A może nie? Wyczuwała ten sam smród, który dusił ją w obecności Wyche'a — tutaj jednak był znacznie ostrzejszy, przesycił powietrze. Próbowała teraz zastosować w praktyce sposób znany tylko z opowieści starych kobiet i nigdy nie słyszała, żeby ktoś podjął taką próbę. A przecież to Halwice zapakowała do torby Willadene środki, które jak uważała, mogły się przydać jej uczennicy. Ta zaś ufała instynktowi swojej pani ponad wszystko na świecie.

Trzymała w ręku coś w rodzaju zwierciadła — nie z wypolerowanego metalu, jak zwykle, lecz z przejrzystego kryształu. Z tyłu oprawka miała barwę nocnego nieba. Willadene już nie obserwowała Zuty, lecz skoncentrowała się na tym odłamku kryształu.

Najpierw ujrzała w nim to wyschnięte, zgrzybiałe ciało, tak stare, że mogło powstać z jakiegoś zapomnianego grobu. A potem otaczająca je zielonkawa poświata stała się mocniejsza. Willadene w rzeczywistości widziała tylko cień podobny do okrywającej Zutę kołderki lub sieci. To coś uctowało na ciele nieszczęsnej dworki!

Ssssaaa syczała teraz tak głośno, iż Willadene wydało się, że ogłuchnie. Nie umiałaby nazwać tego, z czym miała do czynienia, użyła wszakże jedynej broni, jaka przyszła jej na myśl — tej, którą przygotowała przeciwko zielonemu wężowi z opowieści księcia Loriena.

Ściskając w ręku zwierciadło, nadal zwrócone kryształową powierzchnią w stronę Zuty, Willadene zawołała na całe gardło, tak głośno, że zagłuszyła syk Ssssaaa.

— Na Gwiazdę, dla Gwiazdy, przeciw Ciemności, która pożera i czeka na zdobycz, niech się stanie światło, niech powróci życie, niech to się skończy!

Sięgnęła ponad skrajem nakreślonego przez Ssssaaa koła i dotknęła zaimprovizowanym orężem wykrzywionego ciała Zuty. Wydało się jej, że kryształowe zwierciadło, które trzymała w drugiej ręce, buchnęło płomieniem. Ogień

ten jednak nie parzył, mogła więc nadal ścisnąć w dłoni magiczny kryształ. W miejscu, gdzie owinięty szmatką kij dotknął skulonej postaci, trysnęło światło. Przez chwilę Willadene czuła woń będącą częścią mocy, która jej odpowiedziała, czegoś nie z tego świata — czego zło nie mogło ani skalać, ani dotknąć.

Zuta przestała jęczeć. Nagle jej skręcone ciało wyprostowało się, jakby chciała się położyć i wypocząć. Obie dziewczyny nic już nie widziały w wiszącej wokół nich mgiele, ale pod tą mgiełką rozlało się coś płynnego i dymiącego, a wysłany przez kryształowe zwierciadło błysk — choć Willadene nie ruszyła ręką — padł na tę ohydny maź, która zaraz potem zniknęła.

Słyszały, czuły, jak się oddala — podmuch powietrza, smród, siła, która przygięła paprocie, zanim się wycofała. Później przez długą chwilę poza czasem widziały Zutę, w całej jej krasie, leżącą wygodnie. Emanował z niej wielki spokój. A potem mgiełka zbiła się w kulę i kiedy się rozwiła, na tym miejscu nic nie pozostało.

— Co to było? — zdołała wykrztusić Mahart.

— Los zrządził — Willadene sama szukała wyjaśnienia, dopasowując strzępy swojej skąpej wiedzy — że coś, co nadal tam się czai — skinieniem głowy wskazała na las paproci — odebrało twojej dworce młodość i wysssało jej życiowe siły. Wasza Wysokość, wygląda na to, że znalazłyśmy się w świecie legend i magii, choć podobno nie istnieje on od wielu pokoleń.

Księżniczka usiadła obok uczennicy Halwice.

— Ja jestem Mahart, a ty Willadene. Niech w tym dziwnym świecie, o którym mówisz, różnice społeczne przestaną istnieć, bo twoja wiedza sprawia, że jesteś silniejsza ode mnie. Zuta... — Księżniczka zdała sobie sprawę, że wysławia się z trudem. — ...była moją przyjaciółką od lat. A przecież zawsze wiedziałam, czułam, że jest w niej coś, czego nigdy nie poznam, i może ona powiedziała by to samo o mnie. Dziękuję ci, Willadene, że teraz znalazłaś spokój. Oby blask Jasnej Gwiazdy obdarzył nas tym samym i nie możemy prosić o więcej niż o ten wieczny odpoczynek.

— Nie stałaś się jednak ofiarą tego zła... — Willadene zauważyła, że drżą jej ręce. Szmatka, którą owinęła wokół kija, odpadała płatami, spalona; unosił ją wiatr, a kryształowe zwierciadło pociemniało i zgasło.

— To coś próbowało. Ale chodź, proszę cię, chodź — tu jest bezpiecznie!

W taki oto sposób Willadene znalazła się w magicznym ogrodzie. Mahart miała rację — dziewczyna poczuła, że jest bezpieczna, że otacza ją ciepło i miłość. Nie wątpiła jednak, iż wygrały tylko potyczkę, a nie decydującą bitwę.

Książę Lorien uważnie przyjrzał się poszarpanej skarpie przed nimi. W przeciwieństwie do dziwnych zielonkawych prążkowanych klifów z drugiej strony tej okolicy, znajdowali się przed zwyczajną szarawą, strzelającą w górę skałą. A przecież, odkąd opuścili tamtą złowrogą, strzeżoną przez zło bramę, jechali wzdłuż tej samej ściany skalnej.

Było ich teraz więcej, bo przybyli żołnierze Loriena, których poinformowano o tym, czemu mają stawić czoło. Dołączyła też do nich garstka kroneńskich zwiadowców granicznych. Ci ostatni poprosili Nicolasa o wyjaśnienie sytuacji. Największą trudność sprawiało im odkrycie prawdziwej natury wroga. Dwukrotnie tego dnia wybili do nogi grupki wojowników — źle uzbrojonych, a mimo to gotowych umrzeć, jeśli zdołają zabrać ze sobą na tamten świat chociaż jednego przeciwnika. Niektórzy niezdarnie posługiwali się bronią, jakby bardziej przywykli do wbijania noża w plecy niż do walki na miecze. Nicolas był pewny, że są rzezimieszki z Kronengredu; nie wiadomo, dlaczego sprzymierzyli się z nielicznymi, walczącymi zaciekle rozbójnikami. Nie brali jeńców, gdyż nieprzyjaciele nie chcieli się poddać nawet wtedy, gdy zostali ciężko ranni. A Nicolasa, przyzwyczajonego do

przypominających wilcze wycie okrzyków wydawanych w boju przez zbójców, niepokoiła głęboka cisza, w jakiej teraz walczyli.

Jechali wzdłuż skalnej ściany przez cały dzień, kiedy ta nagle skręciła ku północy i po raz pierwszy jej powierzchnia stała się tak nierówna, że może udałoby się na nią wspiąć. Raz po raz naradzali się nad starożytną mapą z liści. Wreszcie Nicolas i książę Lorien zgodzili się, że dotarli do miejsca zaznaczonego na końcu tajemniczej mapy.

Książę uznał jednak, że wspinaczka w ciemności jest niewskazana, przynajmniej dla nich. Ale Nicolas, który uważał, że nie służy pod rozkazami Loriena, już chodził przy urwisku, szukając wzrokiem oparcia dla rąk i nóg.

Coś mu mówiło, że Willadene nie dotarła do żadnego bezpiecznego miejsca. Mijał już drugi dzień, odkąd powzięła tę nierozważną decyzję i nic nie mógł na to poradzić, przynajmniej na razie.

Książę podszedł do niego i uderzył pięścią w skalne wybrzuszenie. Jego ręce chroniły rękawice naszywane metalowymi płytkami.

— Samotna wędrownka...

— Samotna wędrownka — odpowiedział Nicolas, nie odwracając głowy, by spojrzeć na Loriena. — Właśnie tego mnie uczono, Wasza Wysokość. A ponieważ wiem co nieco o mocach, które Halwice i Willadene umieją przywołać z nasion, korzeni i liści roślin, wierzę, że Jej Wysokość Mahart jest tutaj. I że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Działają tu siły, z którymi się dotąd nie zetknęliśmy...

— I nie można z nimi walczyć stałą. Ale uczono nas różnych rzeczy, przyjacielu. Nie jesteś też moim wasalem. Jeśli chcesz tak postąpić ... — Zawahał się. — Pozostaw ślad, ruszymy za tobą o świcie.

Nicolas uzbroidł się lekko, żeby broń nie przeszkadzała mu we wspinaczce. Nosił swój ulubiony długi nóż, wraz z nieco mniejszym brzeszczotem w podwójnej pochwie, a wokół pasa owinął długi sznur to tu, to tam ze znanstwem zawiązany w węzeł; umiał nim zabijać cicho i niepostrzeżenie.

Wierzył też w swoje umiejętności zdobyte podczas lat spędzonych w wywiadzie. Nie zmarnował tego czasu. Jego ciało było doskonale wytrenowane, gdyż ćwiczył również mięśnie, o których istnieniu większość mężczyzn nie miała pojęcia. Nigdy dotąd go nie zawiodło. Musi uważać na bok, ponieważ rana jeszcze się goi, ale za sprawą Halwice zasklepiła się tak dobrze, iż wierzył, że zielarka pomogła mu nie tylko ziołami, lecz także czymś ponadto.

Niecierpliwie przełknął skąpą rację żywnościową książęcych żołnierzy i po zapadnięciu zmroku zaczął się wspiąć. Jak się spodziewał, powierzchnia urwiska była tak nierówna, że zapewniała dobre oparcie dla rąk i nóg i niebawem dotarł na szczyt. Bok bolał go trochę, wciąż jednak mógł poruszać się równie zręcznie jak kiedyś.

Znalazł wolne miejsce między dwiema ostrogami skalnymi i usiłował dojrzeć, co się teraz przed nim znajduje. Na niebie świeciły już gwiazdy i wschodził księżyc, a Nicolas zawsze dobrze widział w nocy, gdyż jako zwiadowca i szpieg zwykle działał po ciemku.

W dole rozciągał się jeszcze jeden jar w tym strzeżonym przez tajemnicze siły kraju. Zaraz potem młodzieniec zdał sobie sprawę, że nie dotarł na szczyt klifu, a tylko na wierzchołek muru, który zaplanowały i zbudowały jakieś istoty rozumne, by je bronił.

Stroma skała, obok której się zatrzymał, okazała się zrujnowaną wieżą strażniczą. Jeśli więc byli tu kiedyś nieznani strażnicy, musieli w jakiś sposób przybywać do tego miejsca i z niego odchodzić. Strażnicy czy tacy jak ów człowiek z metalu, który pilnował tamtego wejścia? Nicolas zważył na dłoni spory odłamek skalny z nadzieją,

że gojąca się rana w boku nie przeszkodzi mu w celnym rzucie. Potem ruszył dalej.

Początkowo niezwykle cisza w dole wywarła na nim duże wrażenie — nie słyszał brzęczenia owadów ani nawet szelestu liści na wietrze. Równie dobrze mógłby podążać martwym od dawna szlakiem. Ale uznał tę okoliczność za najlepsze ostrzeżenie, że powinien iść tak cicho, jak to tylko możliwe.

Znalazł drogę prowadzącą w dół. Zaczynała się w środku drugiej strażnicy, na którą się natknął. Schody niewiele różniły się od drabiny, schodził więc bardzo ostrożnie, choć wąskie szczeble były dostatecznie mocne. Później przez otwór w murze wyszedł na otwartą przestrzeń.

Ujrzał tam rozległe ruiny. Wyglądały na miasto tak wielkie jak Kronengred, które zniszczyła jakaś katastrofa. Tu także panowała głęboka cisza, choć normalnie powinien słyszeć stapanie nocnych myśliwych, skwir sokołów i wiele innych odgłosów żywych istot.

Zamiast tego gdzieś z przodu dobiegł go jękliwy krzyk tak przerażający, że Nicolas natychmiast oparł dłoń na rękojeści noża. A potem owo wołanie zagłuszył szelest, który stawał się coraz głośniejszy, jakby jakaś wielka miotła zamiatała teren przed nim.

Minął ruiny. W pewnej chwili poczuł tak silny zapach paproci, z jakim nigdy dotąd się nie zetknął. I rzeczywiście, mimo mroku dostrzegł paprocie. Takich jeszcze nigdy nie widział. Były wysokie niczym drzewa i rosły tak blisko siebie, że nikt nie mógł wtargnąć na ich terytorium.

Nicolas nie zamierzał tego uczynić, przynajmniej dopóki trwa noc. Rzucił szybkie spojrzenia na boki i zauważył pokrytą kupami gruzu przestrzeń, rozciągającą się wzdłuż zrujnowanego muru. Zaczął kluczyć między nimi.

Wyteżał słuch w nadziei, że znów usłyszysz tamto dalekie zawodzenie, ale już się nie powtórzyło. Willadene...

Z determinacją przegnał wszelkie obawy i dalej powoli kroczył wśród gruzów, a mur stawał się coraz wyższy i prowadził go do przodu.

Szum paproci ucichł i Nicolas zdał sobie sprawę, że ogarnia go narastające zmęczenie. Nie zdoła dłużej iść bez odpoczynku, bez łyeczka kordiału, który Willadene dała mu jako środek wzmacniający, zanim się rozstali.

Dość łatwo znalazł miejsce, gdzie mógł się ukryć i przespać bez obawy, że ktoś zajdzie go z boku, od strony lasu paproci. Spał jak rasowy zwiadowca graniczny: drzemał i budził się co chwila. Dobrze wiedział o tym, że znajduje się na terytorium wroga, choć żaden rozbójnik nie grasował tej nocy.

Był jednak ktoś, kto nie pragnął odpoczynku, komu nie podobało się, że jacyś zuchwalcy krzyżowali mu plany, i pienieł się z wściekłości z powodu tego, co już stracił.

Willadene?

Uczennica Halwice nawet nie czuła, że zdrzemnęła się na wspólnym zaimprovizowanym posłaniu. Mahart chwyciła ją za nadgarstek i Willadene szybko oprzytomniała. Podniosła głowę, całkowicie już rozbudzona i tak czujna, jakby czekało ją jakieś zadanie, o którym na swoje nieszczęście zapomniała.

— O co chodzi? — spytała, usiłując wyczuć powód tego niepokoju.

Mahart usiadła. Zastąpiła wprawdzie pozostałe po nocnej koszuli łańchmany dodatkowym odzieniem, przyniesionym przez Willadene, ale gałązki nadal tkwiły w jej włosach i tylko w niewielkim stopniu przypominała jaśnie wielmożną panią z Kronengredu.

— Nie czujesz tego? — spytała drżącym głosem księżniczka. Po powrocie do ogrodu długo rozmawiały. Dzieliły się myślami, których, jak sądziły, nigdy by nie wyjawily innemu człowiekowi. Willadene od razu zrozumiała, co Mahart ma na myśli.

W ich schronieniu zaszła jakaś zmiana. Mgliste światło, które raczej trudno było nazwać dziennym, przygasło. Jak pociągnięta niewidzialnym sznurem, Willadene zwróciła się w stronę niewielkiej kamiennej misy. Mahart już tam podążała. Płynąca dotąd nieprzerwanie i wylewająca się z niewielkiego zbiornika woda znieruchomiła; ani jedna kropla nie kapała z kryształu.

A przecież Willadene nie wyczuła ostrzegawczego smrodu zła. Zamiast tego odetchnęła głęboko, wdychając nie tylko mieszaninę zapachów wszystkich rosnących w ogrodzie roślin, lecz także znacznie bardziej od nich subtelną woń.

Mahart nie odrywała oczu od spokojnej teraz powierzchni kamiennej misy. Woda, która tam pozostała, lśniła jak zwierciadło. Co w nim zobaczyły? Później żadna z dziewcząt nie umiała opisać tego dokładnie, może nawet te obrazy nie były identyczne, gdyż zostały zmienione przez ich tak różne charaktery.

— Nie — szepnęła Mahart, cofając się o krok.

— Musimy! — odpowiedziała Willadene i ogarnął ją lęk. Z jakiegoś powodu ich dotychczasowe schronienie zamykało się przed nimi; teraz już nie będą mogły do niego wrócić.

Willadene, mimo instynktownej obawy, dotknęła kryształu, z którego przedtem spływała woda; szukała po omacku, jakby spodziewała się znaleźć rękę nieznanego obrońcy.

Rozległ się dźwięk dzwonu. Oślepiło ją ostre światło, miała wrażenie, że dotknęła serca burzy. Kryształ rozprysnął się, jego odłamki jak grad wpadły do kamiennej misy. Willadene spojrzała ze zdumieniem na to, co pozostało w jej palcach — mogło bowiem równie dobrze pochodzić z jednej z szuflad w sklepie Halwice. Był to spory, zaokrąglony strąk.

Podświadomie podniosła go do góry i ten nieuchwytny zapach, który tak drażnił jej powonienie od momentu przebudzenia, na chwilę lub dwie stał się silny, niósł pociechę, dodawał otuchy.

— Dar Gwiazdy... — powiedziała cicho Mahart. — Na pewno podarowała go nam Gwiazda. — Nieśmiało, jakby musiała zdobyć się na odwagę, dotknęła strąka czubkiem palca. Znów napłynęła ta dodająca sił woń. Potem księżniczka spojrzała na Willadene.

— Musimy więc Jej służyć — powiedziała tak, jakby składała przysięgę przed ołtarzem w klasztorze.

Zaspokoili głód, może po raz ostami, owocami i korzeniami z czarodziejskiego ogrodu.

Willadene przewiesiła przez ramię torbę z lekami i obie jeszcze raz przeszły przez niższy odcinek muru i szły obok niego, aż znalazły się przed lasem paproci, z którego wcześniej wypęzła Zuta.

Wydawało się, że ich przybycie to rodzaj sygnału — paprocie rozchyliły się, dając im przejście, z którego jednak nikt nie mógłby zejść na bok. Zapach paproci był bardzo mocny, ale nie tłumił innej woni — potężniejszego smrodu zła. Pod nogami wyczuwały omszałe kamienie, którymi kiedyś wybrukowano jakąś ulicę, i od czasu do czasu poprzez zasłone paproci widziały morze ruin.

Mahart zerknęła przez ramię, zamknęła na moment oczy, a potem z determinacją spojrzała przed siebie. Gąszcz paproci zamknął się za nimi tak, jakby się dostosowywał do sytuacji, wykonywał czyjeś rozkazy.

Wreszcie wyszły z zasnutego mgłą lasu na otwartą przestrzeń. Czas zniszczył wszystko, co tu przedtem było, ale wznosząca się przed nimi budowla przetrwała nietknięta.

Trzy szerokie stopnie prowadziły do portyku z podtrzymującymi dach kolumnami, na których wryto napisy w dawno zapomnianym w zewnętrznym świecie języku.

W portyku znajdowały się pojedyncze wielkie drzwi; buchał z nich smród zła tak mocny, że prawie widoczny. Za drzwiami panował jednak mrok, nowo przybyłe nie widziały tam żadnego światła.

Willadene wyciągnęła rękę do Mahart i obie zacisnęły dłonie na czarodziejskim strąku.

Weszły po stopniach jak wojowniczkę maszerujące do boju. Teraz we wnętrzu budowli pojawił się słaby blask. Jakaś siła popychała je do przodu i muszą jej ulec, aby dokonać tego, po co tu przyszły.

Znalazły się w długim pomieszczeniu, które równie dobrze mogło być salą audiencyjną jakiegoś władcy. Kiedy światło wokół nich pojaśniało, rozbłysły drogic kamienie i zalśnił metal; zauważyły też postacie — nadal sprawiały wrażenie zamazanych, jakby musiały pozostać ukryte przed ich oczami.

— Witajcie, nareszcie was tu widzę!

Kobieta siedząca na tronie blisko końca tej wielkiej komnaty pochyliła się lekko do przodu. Jej zielona suknia lśniła od drogich kamieni i srebrnych nici; w istocie obciążała jej ciało, podobnie jak maska młodości, która zaczynała pękać.

— Czego od nas chcesz, Saylano?

Głos Mahart nie zadrżał. Zatrzymały się w niewielkiej odległości od tronu. Willadene zauważyła, iż po obu stronach tego ozdobnego krzesła leżą bezwładnie dwa ciała. Zorientowała się, że są martwe. Rozpoznała też śmierć nowego rodzaju, której należało się obawiać znacznie bardziej niż pchnięcia mieczem czy czary z trucizną. A jednak stała, wiedząc, że jej siła łączy się z siłą Mahart i że ta ostatnia umacnia jej własną.

— Czego od was chce? — zarechotała Saylana. Tym razem nie był to dźwięczny, srebrzysty śmiech. — Twojego życia, moja słodka. I zdaje się, że z łaski Pradawnej Mocy Ciemności przyprowadziłaś tu jeszcze kogoś — tę dziewczkę, która otrzymała znacznie więcej, niż prawnie należy się każdemu z ludzi. Dlatego mój posiłek będzie dwakroć smaczniejszy... — Znowu zarechotała, a potem nagle odwróciła lekko głowę, jakby usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu.

W tej właśnie chwili Willadene, która czuła się tak bardzo zmęczona tym wszystkim, co się wydarzyło po jej przebudzeniu, przypomniała sobie Sssssaaa. Uprzytomniła też sobie, że nie widziała jej od tamtej chwili. Jednak to nie zwierzątko kanclerza zwróciło uwagę Saylany. Kobieta ponownie odwróciła się do nowo

przybyłych, szczerząc w szerokim uśmiechu czarne pieńki zębów.

— Na Drimona, ten, kto jest cierpliwy, zyskuje wszystko. Tak, czeka nas prawdziwa uczta!

Poruszyła prawą ręką z nadzwyczajną, wręcz nadprzyrodzoną szybkością. Z jej palców wystrzelił sznur z zielonego światła. Mahart i Willadene nawet nie zdążyły się poruszyć, ale przynajmniej na razie ta potworna broń nie miała ich zabić. Zwinęła się, tworząc koło, które wirując w powietrzu stawało się coraz większe, a potem opadło na podłogę wokół nich. Saylana na ten widok skinęła głową i znowu uśmiechnęła się szeroko. Obie dziewczyny zrozumiały, że uznała je za więźniarki, które nie umkną z zaklętego kręgu.

Nicolas obudził się, zanim pierwszy brzask rozjaśnił niebo. Wstał czujny, gotów do walki, znał bowiem dobrze uczucie, które tak często ratowało mu życie: intuicyjną świadomość, że grozi mu niebezpieczeństwo. Trzymał już nóż w ręce, kiedy porośnięte ciemnym futerkiem zwierzątko wychyło się zwinnie pomiędzy gruzów i skoczyło ku niemu.

— Ssssaaa! — Poglaskał główkę zwierzątka. Nigdy się nie dowiedział, jak kanclerz znalazł to stworzenie lub jak zawarł z nim przymierze. Już od pierwszego spotkania Nicolas zrozumiał, że Ssssaaa jest bezgranicznie oddana tym, których sama wybrała — między innymi Vazulowi. Wiedział też, że takich szczęśliwców jest bardzo mało. Ssssaaa wyprzedziła ludzi tylko o kilka minut; przez ten czas Nicolas zdążył opuścić swoje zaimprovizowane schronienie. Nie zaskoczyło go, że Lorien prowadził żołnierzy prawie tym samym szlakiem, jakim on sam szedł. Była to niewielka grupa — sześciu ludzi królewicza i trzech kroneńskich strażników granicznych. Kiedy Lorien ujrzał Nicolasa, podszedł do niego szybko.

— Tam jest jakaś moc, której nie rozumiem! — wybuchnął. — Zaczęliśmy się wspinać, ale tylko ci — machnięciem ręki wskazał na towarzyszących mu żołnierzy — dotarli na szczyt. Pozostali zachowywali się tak, jakby coś ich związało, kiedy spróbowali. Jeżeli to jest Iszbi, w takim razie mamy do czynienia z przebudzonym pradawnym złem.

— Mamy do czynienia z porywaczami księżniczki — odrzekł ponuro Nicolas, a potem dodał nieco innym tonem — i Willadene...

— Ależ ona sama dokonała wyboru... — zaczął Lorien.

Nicolas roześmiał się pośepnie.

— Wasza Wysokość, żaden mężczyzna nie może kontrolować takiej kobiety jak Willadene. Ma ona w sobie coś, co sprawia, że zawsze jest wolna i kroczy ścieżką, którą uzna za swoją. Popatrz — poglaskał główkę Ssssaaa. — Oto ktoś, kto powie nam, że tak właśnie jest. A to, czego szuka, znajduje się tam — skinieniem głowy wskazał na las paproci; sposepniał, bo wydało mu się, że ich silny zapach powoduje gnicie samego powietrza.

Nicolas całą siłą woli zmusił się, by śmiało ruszyć w stronę zielonej ściany paproci. Była to chyba najtrudniejsza decyzja w jego życiu. A przecież nie dostrzegał tam żadnego niebezpieczeństwa. Tylko te przeklęte olbrzymie paprocie, za nimi zaś — gdzieś tam — dwie dziewczyny. Nie wątpił bowiem, że Willadene w jakiś sposób dotarła do Mahart.

— Padnij, panie! — To krzyknął jeden z żołnierzy, którzy znajdowali się nieco z tyłu. Książę ukrył się równie szybko jak Nicolas, który zaklął w duchu, że ktoś inny wcześniej od niego zauważył grożące im niebezpieczeństwo.

Nad ich głowami, kiedy schronili się wśród walących się murów, zaświszczała strzała. Nie została wszakże wymierzona w ich stronę, ale w jakiś cel ukryty wśród paproci.

Przez długą chwilę panowała złowroga cisza — nikt nie potknął się o rozrzucone w nieładzie kamienie. Najlżejszy wiaterek nie poruszał wysokimi paprociami.

Nicolas dotknął ręki Lorienta, skinieniem głowy wskazując na las paproci. Nie wątpił, że książę umie wędrować po zwyczajnym borze, ale w tej krainie obowiązywały inne prawa, których nie znał nikt z obecnych tu ludzi. Lorient wpatrywał się w niego uporczywie. Nicolas był pewny, że książę nie chce pozwolić, aby sam wyruszył na zwiady. W końcu jednak Lorient skinął przyzwalająco głową. Nicolas skręcił w prawo i podczołgał się do skraju lasu. Usiłował przegnać wszystkie niepotrzebne myśli, skoncentrować się tylko na tym, co musi zrobić. Niech królewicz wędruje tak szybko, jak mu się podoba, on, Nicolas, zawsze go wyprzedzi.

Spodziewał się, że otoczy go rój komarów, których zawsze jest pełno w normalnych lasach, ale tutaj nic nie było. Tylko...

Przylgnął do ziemi, zasłonił twarz rękami i patrzył przez palce. Jego czarny jak noc, obcisły strój był tak zabrudzony, że miał barwę otaczających go kamieni, może więc z łatwością udawać jeden z nich.

Co teraz widzi — żywego mężczyznę czy zwłoki, które osunęły się bezwładnie w chwili śmierci, a teraz podtrzymywały je paprocie? Czy ów mężczyzna zginął od tamtej strzały? Nie, nie zauważył żadnego drzewca, był jednak pewny, że nieznajomy nie żyje.

Czy zmarły był przedtem samotnym strażnikiem, tak jak zakuta w zbroję postać, która strzegła pierwszego wejścia do tej doliny? Ten jednak nie nosił kolczugi i, co ciekawe, podciągnął kolana do chudej klatki piersiowej, jakby kulił się bezsilnie, czekając na śmierć. Nicolas nie usłyszał żadnych dźwięków, zobaczył tylko zwinięte w kłębek zwłoki. Trzeba jednak się dowiedzieć, kto lub co zabiło nieznajomego, gdyż może sami pójść tą drogą.

Młodzieniec poczołgał się dalej, chociaż dusił go przekłety zapach paproci.

Nagle stwierdził, że przecież zna tę ofiarę! Nie bez powodu krążył w nocy po uliczkach i ukrytych zakamarkach Kronengredu, podobnie jak po otwartych przestrzeniach poza stolicą księstwa. Tę twarz, wykrzywioną w grymasie obłądnego przerażenia, ostatnio widział w stolicy Kronenu. Willadene wspomniała o nim — nazywał się Figis — śmieć wyrzucony na brzeg przez zarazę, bez krewnych i pana... Nie! Figis był z Wyche'em, kiedy Nicolas ujrzał go przelotnie po raz ostatni. Ze zgromadzonych przez wywiad informacji wynikało, że Wyche zniknął z Kronengredu tej samej nocy, gdy porwano Jej Wysokość Mahart.

Jeśli trafił tutaj jeden z tych dwóch złoczyńców, równie dobrze mogą się natknąć i na drugiego. Ssssaaa przemknęła obok jak błyskawica, obwąchała zwłoki, syknęła i ponownie wróciła do Nicolasa. Czy to znaczy, że nie grozi im tu żadne niebezpieczeństwo?

Młody wywiadowca jak zawsze zachowywał ostrożność i nie zamierzał się ujawnić, jeśli nie musiał. Im dłużej wpatrywał się w twarz zmarłego, tym bardziej dziwiła go ta śmierć. Figis umarł śmiertelnie przerażony, tego Nicolas był pewny, nadal jednak nie dostrzegł żadnej rany ani rozlanej krwi.

Poza tym Figis, którego przedtem widział, był młody, o kilka lat młodszy od niego, Nicolasa. A teraz na jego twarzy oprócz grymasu strachu zauważył coś dziwnego: głębokie bruzdy po obu stronach nosa, zapadnięte usta. I jeszcze coś — z bujnej czupryny Figisa pozostały tylko rzadkie kosmyki rozrzucone po łysiejacej głowie. Nicolas gotów był przysiąc, że to jest ciało Figisa, ale Figisa, który bardzo się postarzał w ciągu zaledwie kilku dni.

Ssssaaa wybiegała do przodu i zawracała, jakby chciała zachęcić Nicolasa do dalszej wędrowki. I podczas któregoś z takich powrotów ujrzał przelotnie w oddali jeszcze jedną postać. Młodzieniec znieruchomiał. Nie umiał kontrolować Ssssaaa tak



jak kanclerz, a teraz zwierzątko zmieniło kierunek i biegło w stronę tej ciemnej plamy. Zachowując wszelkie środki ostrożności, Nicolas poszedł za swoją przewodniczką.

Tym razem był to Wyche, uwięziony między pniami paproci. Olbrzymi brzuch i cielsko zmarłego skurczyły się — wyglądał tak, jakby umarł z głodu. Na jego twarzy, podobnie jak u Figisa, malowało się przerażenie. Zmarł ciężką śmiercią i może konał powoli.

Obaj mężczyźni nie żyli i ich zabójca lub zabójcy zawładnęli tym terytorium. Jeżeli przybędzie tu ze swymi ludźmi niczego nieświadomy książę Lorien, nie znajdzie gniazda rozbójników, lecz narazi się na niebezpieczeństwo, którego nie umieli ani zrozumieć, ani przewidzieć.

Kto wie, może Willadene i Jej Wysokość Mahart też już się zamieniły w takie wyschnięte skorupy jak te, które znalazł w lesie paproci? Zawsze łatwo wpadał w gniew, ale szybko nauczył się go wykorzystywać do swoich celów, dlatego nigdy nie pozwolił, by popchnął go do nieobliczalnych postępów.

Nicolas wrócił najszybciej, jak mógł, i przykucnął obok księcia Loriena i dowódcy oddziału. Myśl o śmierci, która wysysa z człowieka wszystkie siły witalne, nie dodawała nikomu odwagi. Dlatego młody wywiadowca zauważył cień powątpiewania na ich twarzach.

Ssssaaa wróciła razem z nim i wdrapała mu się na ramię. Podobnie jak często robiła to z kanclerzem, przysunęła teraz ostro zakończony pyszczek do ucha Nicolasa i zaczęła syczeć tak cicho, jakby pogwizdywała. Usiłował odgadnąć, jakie posłanie przynosi, kiedy przemówił książę Lorien.

— My również coś odkryliśmy, Nietoperzu. Tylko ja sam mogę bezpiecznie podejść na skraj lasu; pozostałym to się nie udaje.

— Co im przeszkadza? — Nicolas uznał, że ta nowa informacja nie pasuje do tego, co zobaczył, bo przecież tamci dwaj nie żyjący już mężczyźni zagłębili się w gąszcz paproci.

Hełm Loriena zasłaniał większą część jego twarzy, ale nie ukrył determinacji, z jaką książę zacisnął zęby.

— To coś jest jak ściana, taka sama, jaką większa grupa naszych ludzi napotkała na dole. Coś lub ktoś wyraźnie dąży do tego, żeby nas było mniej. Jeśli nie znasz jakiegoś zapomnianego sposobu wędrówki po lesie, zatrzyma nas powietrze albo mur, którego nikt z nas nie potrafi dostrzec.

Ledwie skończył mówić, gdy z lasu paproci dobiegł ich wrzask przerażenia i bólu. Nicolas zerwał się z miejsca. Dziewczęta! Jeśli tylko on sam może tam wejść, niech tak będzie. Kiedy jednak ruszył pędem z Ssssaaa, która przywarła do jego szyi, zobaczył, że Lorien zbliża się do niego, i razem przedarli się przez pierwszy rząd paproci. Nicolas usiłował się opanować, gdy znów rozległ się krzyk. Tylko szalenieć mknie na oślep w nieznaną — tej lekcji nauczył się wiele lat temu. Zatrzymał się i chwycił księcia za ramię. — Tędy? — wskazał palcem prosto przed siebie. Lorien, dysząc ciężko, skinął głową. Potem zaczął iść wolniej, podobnie jak Nicolas.

Przez zasłonę paproci majaczyły ruiny jakiegoś budynku pozbawionego dachu. Było tam jaśniej niż w lesie. Rosnące w ruinach paprocie niedawno zostały skoszone i usłały ziemię jak dywan. Na środku pomieszczenia pozostała, nadal mocno osadzona na podstawie, kolumna z zielonego, prążkowanego kamienia. Ktoś ją wykorzystał do swoich celów.

Przywiązany do kolumny mężczyzna nadal żył, skręcał się i obracał, usiłując się uwolnić z więzów. Nicolas również go znał. Przez długi czas nie reagował na okazywane mu przez tamtego lekceważenie, spokojnie znosił afronty, nie brał się do bitki w odpowiedzi na drwiny i szyderstwa.

Zgodnie z prawem Barbric nie mógł zasiąść na tronie Kronenu. Ale każdy, kto choć trochę znał syna Saylany, wiedział, że ma on własne zdanie o tym, kto powinien nosić książęcą koronę.

Teraz jednak miał taką minę, jakby był bliski szaleństwa. Wydawało się, że zobaczył coś, czego nie mógł zaakceptować żaden z jego zmysłów.

Naprzeciw niego stała zakuta w zbroję postać, która nie wpuściła Loriena do skalnej bramy. Wokół osłoniętego kolczugą ramienia okręcił się zielony, świecący wąż i szykował się właśnie do ataku.

— Na Gwiazdę! — wykrzyknął błagalnie Barbric, pryskając śliną na wszystkie strony. — Nie pozwólcie jej ucztować na mnie! Jestem jej synem! Nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, że ta, która mnie urodziła, już dawno opuściła ciało, gdy zaczęło się strzępić jak znoszona suknia. Kiedyś, gdy ludzie nazywali ją Noną, to miejsce należało do niej i chciałaby je odzyskać.

Wydawało się, że podczas tej błagalnej przemowy odzyskuje panowanie nad sobą.

— Nie rozumiecie? Ona wysysa życie z ludzi, a teraz szykuje się do przejęcia innego ciała — młodego ciała Mahart, które zapewni jej wiele lat życia.

— Popierałeś ją — odpowiedział Nicolas. Przez cały czas nie spuszczał oka z metalowej postaci ze świetlnym wężem. Nie był bowiem pewny, kiedy jeden z nich, a może obaj zaatakują.

— Nie wiedziałem, co zamierza. Popierałem odebranie tronu temu staremu durniowi, ale ona zawarła pewien pakt, za który drogo zapłaciła, a ja dowiedziałem się o tym za późno.

— Szkoda, że nie umiemy trafniej przewidywać rozwoju wydarzeń — zauważył Lorien.

Twarz Barbrica wykrzywił gniew.

— Nie bądź taki śmiały, bohaterze. Twoją siłę wchłonie na deser i bądź pewien, że już czeka na ciebie razem z tymi, które schwytała.

— Ona je uwięziła... — powiedział Nicolas. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

— Schwytała obie tak zręcznie, jakby wyłowiła je ze strumienia Gladden — Barbric kiwnął głową. — A teraz sami się przekonacie, czy możecie zawrócić, żeby się uratować!

Nagle jego ponura mina ustąpiła miejsca obłędnemu przerażeniu. Pojedyncza paproć, która nie została ścięta wraz z innymi, ugięła się jak pod podmuchem wiatru. Kiedy znowu się wyprostowała, w powietrzu płynęły cienkie nitki, zielone jak paprocie, a przecież prawie niewidoczne.

Barbric wrzeszczał bez przerwy. Sssaaa zeskoczyła z ramienia Nicolasa i jak strzała rzuciła się na zakutego w metal strażnika. Nieoczekiwany atak tak małego stworzenia na moment całkowicie go oszołomił. Strażnik ciężko postąpił do przodu, potknął się o stertę skoszonych paproci i runął na wznak. Zielony stwór, dotychczas owinięty wokół jego ramienia, wpełznął wyżej i jakby wlał się do jednego z otworów na oczy w metalowej masce. Wprawdzie świetlny wąż już się więcej nie pojawił, ale Barbrica szybko oplotły zielone wstęgi, mimo że szamotał się i wił jak szalony.

Nicolas podszedł do niego z nożem w ręce, a książkę Lorien z mieczem, który wcześniej wziął od swojego oficera. Chociaż Nicolas i Lorien starali się zadać jak najcięższe ciosy, jednak ich ostre brzeszczoty po prostu odskoczyły od niesamowitych więzów.

Później zielone pasma rozwinęły się, złączyły w jedną wstęgę i odpłynęły do lasu. Zwłoki Barbrica wisiąły na kamiennej kolumnie.

Obaj mężczyźni nadal szli ostrożnie i czujnie rozglądali się wokoło. Nicolas czuł, że powinni rzucić się do ataku. To, co usłyszeli od Barbrica, wydawało się

majaczeniem szaleńca — ale przecież widzieli jego śmierć. Nie chciało im się wierzyć, że Saylanę coś opętało, a jej ciało nosi, niczym odzież, jakaś legendarna czarownica.

Coś jednak zamieniło ciała Figisa i Wyche'a w puste skorupy, wysało z nich życie i zrobiło to samo z Barbrikiem. Nie mogli też zrozumieć upadku metalowego strażnika. Czy został w jakiś sposób ukarany za to, że pozwolił Nicolasowi i Lorienowi odnaleźć Barbrica i dowiedzieć się czegoś o tej makabrycznej pułapce?

Las paproci znów stał się rzadszy i w niewielkiej odległości ujrzeli niebo i wysoki budynek, który miał w sobie prostotę świątyni. Nicolas nie wątpił, że to właśnie tam zasiada w majestacie Saylana, a raczej ta, która ją udaje.

Żadna z dziewcząt nie spróbowała swych sił i szczęścia w walce z zieloną zaporą w kształcie pierścienia. Światło w długiej sali napływało jak fala, a potem nieco się cofało. Willadene w dziwny sposób wyczuwała obecność magicznego strąka, który obie ścisnęły w dłoniach. Była niemal przekonana, że przyjdzie im z pomocą, chociaż jeszcze nie nadeszła odpowiednia pora.

Saylana z powrotem skuliła się na tronie. Fałdziste suknie, jakie nosiła, wydawały się teraz za duże i za ciężkie dla jej smukłego ciała.

Zamknęła oczy, które zapadły się w oczodoły. Uwięzione dziewczęta widziały, jak nadal starzeje się jej twarz i zbytnio odsłonięte ramiona. Willadene nie wierzyła, że ta moc śpi albo że się wyczerpała.

Może na jakiś czas opuściła to wędrujące ciało, aby dokądś się udać?

Uczennica Halwice czuła, że powinny przystąpić do działania, ale nie wiedziała, co mają zrobić i w którą stronę uciekać.

Stały teraz z Mahart ramię w ramię. Instynktownie zbliżyły się do siebie jak towarzysze broni czekający na atak wroga. Tak, Willadene czuła zapach strachu i nie wątpiła, że obie są w tym samym stopniu przerażone, ale nie ogarnęła ich panika.

Ciało na tronie drgnęło, kiedy powróciła ożywiająca je energia i koścista ręka dotknęła zrytego zmarszczkami czoła. Dotknięcie to oderwało od czaszki długi, zakurzony lok, który zsunął się po ramieniu Saylany. Zapadnięte ze starości usta uśmiechnęły się lekko, a oczy otworzyły, by napawać się widokiem uwięzionych dziewcząt.

— Uczta! Na korzenie przeklętego po wsze czasy Yastara, uczta! Przyjrzała się Mahart i Willadene jak ktoś, kto ma przed sobą dzieci, które już pokajały się za swoje winy i teraz czekają na wybaczenie. Czarodziejski strąk grzał ich zaciśnięte dłonie. Willadene zdała sobie sprawę, że przez chwilę stały w jakimś miejscu przesyconym orzeźwiającymi, przyjemnymi zapachami, mieszanką woni trawy, kwiatów i nagrzaną słońcem ziemi...

— Ty jesteś Nona — powiedziała Mahart, jakby ktoś rozwiązał za nią jakiś problem.

Odpowiedział jej głośny rechot.

— Nona? Moja mała, sięgasz daleko w głąb wieków w poszukiwaniu tamtej kobiety. Nie mogę dokładnie pamiętać każdego, kto zaopatrzył mnie w odpowiedni strój. Rozumiem, że pamięć o Nonie przetrwała wśród ludzi, pomyślcie jednak, że znacznie wyraźniejszy ślad pozostanie w historii po waszych usługach.

Przestała szczyrzyć zęby w upiornym uśmiechu i znów rozsiadła się na tronie. Tym razem jednak dokonała się w niej jakaś zmiana. Na ich oczach jej ciało odzyskało jędrność, a oznaki starości zniknęły.

Kiedy ponownie się do nich odezwała, była Saylaną, ale Saylaną, która postarzała się o jakieś dwadzieścia lat od czasu, gdy Willadene widziała ją tańczącą w sali balowej na zamku w Kronengredzie.

— No, no — skomentowała. — Kochany Barbric odnalazł w sobie nieoczekiwane zasoby energii. Jak prawdziwy syn jest teraz ze swoją matką. — Poklepała się po piersiach, które znów wypełniały jak należy wydekoltowany stanik. — Mamy jeszcze więcej gości, moje drogie, — choć nie wiem, czy powitacie ich z radością. Ale oni wyświadczą mi naprawdę wielką przysługę.

Smukły cień wybiegł spoza tronu długimi skokami. Zbliżył się do dziewcząt, aż znalazł się na odległość dłoni od otaczającego je zielonego kręgu. Tam odwrócił się,

przykucnął, unosząc jak najwyżej główkę, by lepiej się przyjrzeć siedzącej na tronie kobiecie.

— Mahart!

— Willadene!

Ich imiona padły tak szybko jedno po drugim, że prawie zwały się w jedno słowo. Podobnie jak Ssssaaa, Nicolas okrążył podwyższenie z tronem czujnie, niczym nocny łowca. Obok niego szedł mężczyzna w kolczudze i półpancerzu, z obnażonym mieczem w dłoni.

— Stójcie! — zawołały jednocześnie obie dziewczyny. Ten krzyk zatrzymał biegnących ku nim mężczyzn. Nicolas rzucił szybkie spojrzenie na podłogę, zauważył zielony pierścień, a potem jednym skokiem zastąpił drogę idącemu wielkimi krokami Lorienowi.

Willadene wolną ręką starała się rozwiązać torbę z lekami, której nie chciała porzucić. Po omacku znalazła jakąś buteleczkę. Z nadzieją, że trafnie wybrała, szybko podniosła naczynie do ust i chwyciła zębami korek.

Zastanowiła ją cierpliwość Saylany. Pozwoliła jej się w taki sposób uzbroić, ponieważ miała pełne zaufanie do swoich mocy. Może myśl o czyjejs interwencji dodatkowo rozbawiła ją grze, jaką zamierzała prowadzić.

Willadene wyciągnęła korek. Później obróciła buteleczkę w dłoni i chlusnęła j jej zawartością w stronę najbliższego odcinka zielonego pierścienia. Większość płynu rozlała się na podłogę i przez krótką chwilę dziewczyna bała się, że nie trafiła. Potem jednak zauważyła smużkę pary unoszącą się z zielonej wstęgi. Wstęga utraciła już kształt koła, spadła na podłogę i rozpadła się na dwie części; rozcięły ją krople, które na nią kapnęły.

Unikając wijących się zielonych sznurów, Lorien wielkimi krokami podszedł do dziewcząt i wyciągnął rękę do Mahart. Nicolas zaś nie odwrócił się plecami do siedzącej na tronie postaci, tylko bokiem zbliżył do tamtych trojga.

Karykatura Saylany zwróciła się do Willadene: — Czegoś jednak się nauczyłaś od swojej pani. No cóż, jeśli tak jest, będziesz dla mnie tylko smaczniejszym kąskem.

Chociaż ręce tego stwora nadal spoczywały na poręczach tronu, dolna część jego ciała zaczęła się skręcać i obracać. Szeroka, postrzępiona spódnica wydeła się, zachwiała i spod jej skraju wysunęły się jaskrawozielone końce wstęg.

Wstęgi wydłużyły się i skierowały w stronę stojących niżej ludzi. Wyglądały jak bezlistne pnącza i rosły niewiarygodnie szybko. Lorien stanął między dziewczętami a zbliżającymi się zielonymi węzami.

W sali znów rozległ się rechot.

— Tak, potężny zabójco banitów, użyj swego miecza. Moje węże już zniszczyły ci jeden. Może myślisz, że tym razem będziesz miał więcej szczęścia?

Księżę zacisnął usta. Nicolas i Willadene odgadli, że przypomina sobie to, co się stało przy skalnej bramie. Jedna z pełzających wstęg skierowała się nieco dalej w bok, a potem znów zaczęła się zbliżać, zaganiając Nicolasa do stojącej przed tronem grupki ludzi. Zerknął w górę, ale nie zobaczył sieci, która mogłaby na nich opaść.

Mahart poczuła, że musi zacząć działać. Zbierała w sobie odwagę. Głos jej nie zadrżał, kiedy powiedziała:

— Ty, która służysz Ciemności, wiedz, że my stoimy w blasku Gwiazdy. Dlatego jest nas więcej, niż widzisz.

Na chudą twarz siedzącej na tronie kobiety wypłynął ciemny rumieniec.

— Wzywaj swój żalosny blask, wielmożna pani. Nie sędzę, żebyś otrzymała odpowiedź...

— Och, to całkiem możliwe — wtrącił Nicolas. — Już raz Gwiazda odpowiedziała w tym miejscu i...

— Zamilcz! To było dawno. Z upływem czasu każdy się uczy. Siostry z waszych klasztorów siedzą na pradawnej nauce jak kury na jajach i boją się posłużyć nawet tym, co wiedzą. Nie sądzę, by którekolwiek z was miało w zanadrzu coś nowego.

Podniesioną ręką uczyniła jakiś gest.

Zielone pnące, które podpełzło do boku Nicolasa, nagle podskoczyło. Willadene jęknęła. Była pewna, że napastnik owinie się wokół Nicolasa. Ten jednak zręcznie się uchylił i znalazł się niemal ramię w ramię z uczennicą zielarki.

— Wesolek z ciebie! — zauważyło monstrum na tronie. — Próbuście wszystkiego. Im dłużej będziecie się starali uniknąć losu, jaki was czeka, tym smaczniejszy stanie się mój posiłek. A gdybyś użył teraz miecza, księżę? Kto wie, może ten ma wytrzymałszy brzeszczot?

Willadene kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Saylana skupiła całą uwagę na więźniach — możliwe, że zupełnie zapomniała o Ssssaaa. Dziewczyna nie wiedziała, jaką bronią dysponuje to zwierzątko, ale zbliżało się prosto do tronu.

— Ach, sprawiasz mi zawód, księżę... — zdążyła jeszcze powiedzieć Saylana. Zielony wąż, który zapędził go do grona innych więźniów, podniósł się z podłogi i kołysał jak ślepa głowa olbrzymiego robaka.

Lorien nie próbował użyć stali przeciwko temu napastnikowi. Zamiast tego wyszarpnął spod kolczugi łańcuszek, na którym wisiał połyskujący kryształ. A później, szybko i nieoczekiwanie, zakreślił łańcuszkiem nad głową i rzucił go. Kryształ uderzył we wciąż pęczniejące zielone pnące.

— Na Moc Gwiazdy! — zawołał.

Stracili z oczu mknącą w powietrzu iskrę prawie w tej samej chwili, kiedy ją zauważyli. Starzejącą się twarz Saylany wykrzywił grymas, upodabniając ją do maski jakiegoś potwora. Wyciągnęła przed siebie ręce. Zielone pnąca skrzyły się, zaczęły wirować i utworzyły wokół czwórki ludzi sięgającą do pasa ścianę, zbijając ich w ciasną gromadę. Teraz zioła Willadene na nic się nie zdadzą. Nie miała już tych, za pomocą których odparła poprzedni atak.

Saylana powoli kołysała się z przodu w tył, w kącikach jej ust pojawiła się piana. Piana ta rozprysła się na wszystkie strony, kiedy służka Ciemności zawołała coś w niezrozumiałym dla uwięzionych ludzi języku — bez wątpienia było to przekleństwo z innego czasu i miejsca.

Całe jej zniekształcone ciało zwijało się z wysiłku, jakby walczyła z czymś więcej niż tylko z bezsilnymi więźniami.

Omijając z niezwykłą zręcznością smagające powietrze zielone liny, Ssssaaa zbliżała się do podnóżka tronu. W pewnej chwili Willadene zdała sobie sprawę, że ktoś jeszcze włączył się do walki. Nadal z Mahart mocno trzymały się za ręce, ukrywając w nich magiczny strajk. Uczennica Halwice poczuła w dłoni rosnące ciepło; owiał ją znajomy, pochodzący z innego świata zapach. Z drugiej strony dostrzegła przelotnie smukłe ręce Nicolasa, który coś robił przy swoim nożu. Przecież stał nie da rady niesamowitym pnącom, które znów się podnosiły po krótkiej przerwie! Co on zamierza uczynić?

Na tronie ciałem Saylany wstrząsnęły konwulsje. Wskazała prawą ręką na Loriena.

— Nie uśmierciłeś mnie, głupcze, jako pierwszy zapłacisz za swoje szaleństwo!

Otoczający ich zielony mur wypuścił z prawej strony długi, wirujący wąż. Zanim król zwrócił się uchylić, macka spadła mu na ramię i owinęła się wokół niego. Zrobił to, co mógł w tej sytuacji — jak najdalej odsunął się od Mahart.

Podobnie jak wcześniej Lorien rzucił kryształ, tak teraz Nicolas cisnął swój nóż w stronę ich nieprzyjaciółki. Ale Willadene nie zobaczyła obnażonego stalowego brzeszczotu — młody wywiadowca w jakiś sposób owinął go matowoszarą powłoką.

Rzucony wyćwiczoną ręką nóż spadł na falujący podołek Saylany.

Wszystkich ogłuszył jej wrzask. Twarz służki Ciemności przypominała teraz trupią czaszkę, w której żyły tylko oczy. Gorączkowo odrzuciła na bok oręż Nicolasa. Broń ta jednak pozostawiła tłące się dziury w jej podartej i zmiętej sukni.

Strąk, którego Willadene strzegła wraz z Mahart, stawał się coraz gorętszy — jeszcze trochę, a poparzy jej rękę. Odwróciła głowę i spojrzała na księżniczkę. Mahart nie odrywała oczu od Loriena. Książę stał nieruchomo jak posąg, wszystkie mięśnie jego ciała były napięte jak druty; wydawało się, że toczy bój z jakąś nienaturalną siłą.

— Mahart! — Willadene gwałtownym ruchem uniosła pięść. Księżniczka znów skupiła na niej uwagę. — Teraz!

Nie wiedziała, czy ten myślowy rozkaz dotarł do towarzyszki, ale w jakiś sposób była tego pewna. Podniosły razem ręce i rzuciły czarodziejski strąk w duszne, cuchnące powietrze długiej sali.

Zobaczyły jednak, że zaraz spadł, jakby uderzył w jakąś niewidoczną zaporę. Mahart krzyknęła cicho, z rozpaczą, ale Willadene skupiła uwagę na czymś innym. Sssaaa natychmiast znalazła się w miejscu, gdzie upadł strąk. Chwyciła go w zęby i jednym długim, niezwykłym skokiem znalazła się na tronie, na kolanach stwora, z którego ciała i energii rodziły się coraz silniejsze i dłuższe macki.

Czaszka Saylany pochyliła się na moment, gdy monstrum przyjrzało się nowemu napastnikowi i temu, co trzymał w pyszczku. Oburącz chwyciła zwierzątko w pół i zakreśliła nim w powietrzu, ale strąk pozostał na jej ciele.

Saylana wrzasnęła. W tym okrzyku zabrzmiał nie tylko ból, lecz także potworny strach. Żaden z więźniów nigdy nie słyszał nic podobnego. Z całej siły cisnęła Sssaaa w powietrze.

Willadene dostrzegła obok siebie jakiś ruch. Nicolas wychylił się niebezpiecznie ponad zielonym murem, zdołał złapać bezwładne ciało zwierzątka i przytulił je mocno. Sssaaa jednak nie poruszyła się ani nie wydała żadnego dźwięku.

Z piersi siedzącego na tronie stwora wydarł się jeszcze jeden, znacznie bardziej przerażający krzyk. Na podłożu Saylany, tam gdzie leżał zaklęty strąk, rozblęsnęło światło, które z każdą chwilą stawało się coraz jaśniejsze.

Otoczająca więźniów zielona ściana zadrżała, zwarła się i próbowała wchłonąć ich wszystkich. Ten ostatni atak załamał się jednak. Zielone macki pośpiesznie wciągnęła ta, która je zrodziła. Jej postać znów się wypełniła, stała bardziej podobna do znanej im kobiety z człowieczego rodu. Twarz Saylany miała teraz rysy rzeźby strzegącej wejścia do tej zaczarowanej krainy.

Saylana już nie próbowała się uwolnić od wciąż rosnącej świetlnej plamy, która prawie sięgała jej do piersi. Siedziała tylko nieruchomo i przyglądała się jej szeroko otwartymi oczami.

Lorien potknął się i omal nie upadł, gdy oplatające go zielone pnącze wycofało się nagle. Stojąca w pobliżu Mahart szybko go podtrzymała. Miał ściągniętą, poszarzałą twarz, ale powoli pokręcił głową, jakby chciał się uwolnić od jakiejś koszarnej wizji, i wraz z innymi skupił uwagę na ich nieprzyjaciółce.

Wydawało się, że leżące na jej kolanach nasienie znalazło odpowiednią glebę, aby zapuścić korzenie. Poprzez świetlistą mgiełkę widzieli rosnącą łodygę i rozwijające się długie liście. Żyłki na tych liściach zapłonęły złotym blaskiem, odcinając się ostro od zielonego tła, jak ich odpowiedniki na tamtej starożytnej mapie.

Widzieli wyraźnie tylko nieruchomą twarz Saylany i oczy, które po kolei wbijały w nich wściekłe spojrzenie, jakby rzucały na nich kłątwe.

Kwiat wciąż rósł. Willadene aż westchnęła z zachwytem. Nie spodziewała się trafić na taki cudowny zapach. Pochodził przecież z innego świata.

— Władca Serc!

Mahart wciąż podtrzymywała Loriena, chociaż już tego nie potrzebował.

Doskonale piękna maska siedzącej na tronie kobiety popękała, rozpadła się w proch. Uderzył w nich potężny wiatr. Najpierw był lodowato zimny i groźny, a potem stopniowo osłabł i stał się ciepłym, letnim wietrzykiem z ich świata.

Sala zniknęła. Mahart otworzyła szeroko ramiona, pragnąc objąć rozpościerające się przed nią ukwiecone łąki. I ten, na którego czekała, był tu — wyciągał do niej rękę.

Willadene stanęła na skraju klifu i patrzyła na rosnący w dole biały kwiat w kształcie gwiazdy. To Władca Serc. Nie chciała jednak go zerwać. Jego miejsce było w ludzkich sercach i wyrósł w jednym z nich.

Objęły ją ramiona Nicolasa i poczuła ten szczególny zapach, który, jak wiedziała, zawsze będzie oznaczał dla niej ciepło i bezpieczeństwo. Miękkie futerko musnęło jej policzek.

Później światy, które każde z nich znalazło osobno, zawirowały i znów znaleźli się w Iszbi. Tam jednak również zaszła pewna zmiana. Na tronie nie siedziała już potworna kobieta; jej ciało popękało i rozsypało się w proch.

W powietrzu wisiał słup światła. Choć nie wiedzieli, co się kryje w jego wnętrzu, byli pewni, że to kwiat. Wypełniający dawną salę tronową Saylany smród zła zniknął i przeniknął ich pochodzący z innego świata cudowny, przyjazny zapach.

Powoli, nie wiedząc, czy to nie jakiś sen, odwrócili się i wyszli ze zrujnowanego budynku, zamienionego teraz w kupę gruzu. Tam gdzie przedtem rosły gigantyczne paprocie, rozpościerały się ruiny wielkiego miasta, które już nigdy się nie odrodzi. Powitała ich z radością grupa mężczyzn. Stali na tej równinie, patrząc szeroko otwartymi oczami, i nie mogli uwierzyć w to, co widzieli.

— Czy ona spróbuje znów tu wrócić? — spytała Mahart, gdy szli do czekających na nich żołnierzy.

— Zło rodzi zło — odpowiedział jej Lorien. — Musimy pełnić straż.

— W jaki sposób?

Królewicz spojrział na Willadene. Dziewczyna półgłosem mówiła coś do Ssssaaa, trzymając ją w ramionach. Nicolas szedł obok niej jak zawsze lekkim krokiem.

— Z pomocą dawnej wiedzy — odrzekł Lorien powoli. — Legendarnej wiedzy, której pozwolono zaginać. Nadal są wśród nas ludzie obdarzeni różnymi niezwykłymi talentami. Musimy ich odnaleźć, wykształcić i postawić na straży...

— Czy to ma być nowy rodzaj strażników granicznych, Wasza Wysokość? — roześmiał się Nicolas. — Nie zdziw się, jeśli twoja propozycja zostanie wprowadzona w życie. Strażnicy ci będą uzbrojeni nie tylko w miecze i włócznie, lecz także w oręż, który nie roztrzaska się i nie zardzewieje.

Komnata była duszna. Mahart miała wrażenie, że wepchnięto ją do celi więziennej i że utraciła tak drogo okupioną wolność. Chodziło jednak o jedną z niezmiernie ważnych spraw, jakie zamierzano rozstrzygnąć właśnie tego dnia. Wyczuwała bliskość Loriena. Dobrze wiedziała, że on też czuje jej obecność, chociaż nie patrzył w jej stronę, lecz dwornie poświęcał całą uwagę księciu Uttobricowi.

W zamku zebrała się grupa ludzi, którzy mogli zdecydować o całej przyszłości Kronenu. Oczywiście był Vazul, choć ostatnimi czasy wyglądał na osieroconego, bo Ssssaaa nie wróciła do niego. Przyszła też uczennica zielarki oraz sama Halwice, a na honorowym miejscu siedziała ksieni, która tak rzadko opuszczała klasztor. Nicolas już nie nosił czarnego stroju, pozwalającego mu skryć się w mroku, tylko rdzawobrazowy mundur kapitana strażników granicznych.

Na środku księżę Uttobric jak zwykle wiercił się na krześle, ponieważ ciągle źle się na nim czuł.

Opowiedzieli swoje historie i połączyli je szczegółami w jedną całość. Chociaż



dziwne to były opowieści, nikt nie wątpił, że powiedzieli prawdę. Teraz, kiedy skończyli, władca Kronenu najpierw zwrócił się do ksieni.

— Wasza Świątobliwość, wydaje się, że to zło mocno się zakorzeniło wśród nas, a my czuliśmy tylko dziwny niepokój. Czy istnieje jakiś sposób, abyśmy mogli strzec i baczenie obserwować to, co kryje się w umysłach mężczyzn i kobiet?

— Taka ingerencja również jest złem — odparła spokojnie. — Jednak rzeczywiście musimy postawić strażę. Nasze uczone siostry wertują już najwcześniejsze relacje, szukając wzmianek o tym, jak można wykryć Ciemność, zanim się rozprzestrzeni. Kiedy się tego dowiemy, podzielimy się naszą wiedzą ze wszystkimi.

— Na Gwiazdę, dziękujemy za to Waszej Świątobliwości.

Ksieni przeniosła spojrzenie z Uttobrica na Loriga. Patrzyła długo, jakby musiała powziąć jakąś decyzję, a nie była pewna, czy może to zrobić.

— Jakiego amuletu użyłeś przeciw tamtej służce zła? — zapytała.

— To był kryształ, na który ślubowałem.

Ksieni skinęła głową.

— I nawet jego dotknięcie wystarczyło, żebyś mógł zyskać na czasie. Wobec tego, Wasza Książęca Mość — ponownie zwróciła się do Uttobrica — wydaje się, że Gwiazda wysłuchała naszych próśb. Ale podarowała nam coś potężniejszego... — Teraz skupiła uwagę na Mahart i Willadene. — Z waszą pomocą ożywiła to, co dawno temu utraciliśmy. Możliwe, że ten cudowny kwiat znowu opuścił nasz świat, ale jakaś jego część pozostanie. Władca Serc nie należy bowiem do konkretnej osoby, lecz do nas wszystkich, którzy żyjemy, umieramy i próbujemy ulepszyć to, co się znajduje wokół nas. Władca Serc... — rym razem zwróciła na siedzącą za stołem czwórkę takie samo badawcze spojrzenie, jak przedtem na Loriga — ...objawił się wam, łącząc was tak silnymi więzami, że nie rozerwie ich żaden cień. Wasza Książęca Mość pragnie mieć strażników. Chociaż uważam, że zło ponownie pojawi się nieprędko, przynajmniej nie za naszego życia, to właśnie oni są twoimi strażnikami.

Trzymała dotąd swoją różdżkę na kolanach; teraz podniosła ją i powoli przesunęła obok tamtych czworga. Kryształ na czubku różdżki rozjarzył się i Willadene westchnęła z zachwytem, ponieważ dotarła do niej woń z tamtego świata — świata pięknych snów, bezpiecznych dni i spokojnego szczęścia.

Ksieni jeszcze nie skończyła.

— Halwice — skierowała teraz różdżkę w stronę zielarki i czubek znów zabłysnął światłem — pochodzisz z Dawnego Ludu, choć z ostrożności zaprzeczałaś temu, posługując się tylko niewielką częścią twego talentu. Powiadam ci, zrzuć więzy, które nałożyły na ciebie poprzednie pokolenia jeszcze przed twoim urodzeniem. Na Gwiazdę, bądź tym, kim miałaś być!

— Wasza Książęca Mość — tym razem spojrziała w oczy władcy Kronenu. — Ta kobieta będzie taką strażniczką, jakich zabrakło w naszym księstwie podczas rządów Domu Gardów. To właśnie odrzucenie takich talentów doprowadziło do upadku ich rodu i utraty władzy. Myślę, że już wiesz, co jeszcze trzeba zrobić. Tych czworo twierdzi, że Iszbi zostało oczyszczone. Możliwe, ale skaziło je zło. Wybierz inną siedzibę dla swoich strażników. Znajdzie się tam również miejsce dla kilku obserwatorek z naszego klasztoru, bo my także musimy zachować czujność przez jakiś czas.

Ponownie położyła różdżkę na kolanach i zamilkła. Książę Uttobric odchrząknął i wyciągnął rękę do Vazula. Kanclerz szybko podał mu pergaminową kartę opatrzoną pieczęciami.

— Wasza Wysokość — zwrócił się Uttobric do Loriga. — Nie pochodzisz z

Kronenu i nie musisz brać na swoje barki kłopotów naszego państwa. Możemy cię tylko o to poprosić. Na podstawie tego — machnął lekko ręką w stronę dokumentu — na północnej granicy, w najbliższej części Kronenu, o najsurowszym klimacie, w miejscu, gdzie może czaić się Ciemność i źli ludzie, powstanie strażnica. Obsadzą ją prawdziwi strażnicy. Będą nas strzec nie tylko przed rozbójnikami, ale także przed Ciemnością. Jeśli udasz się tam z trójką twoich towarzyszy, w których żyłach płynie nasza krew i którzy zostali powołani do tej służby, będziemy ci bardzo wdzięczni.

Lorien jedną ręką wziął od niego statut, drugą zaś ujął dłoń Mahart. Księżniczka odpowiedziała uściskiem.

— Wasza Książęca Mość — powiedział stanowczym tonem. — Myślę, że znalazłem tu kogoś, kogo nigdy nie opuszczę. Dlatego wyrażam zgodę.

I tak wszyscy czworo podpisali ten dokument. Willadene, która już planowała naradę z Halwice, aby zielarka zdradziła jej nowe tajemnice; Mahart, która czuła się wolna, choć znajdowała się w murach zamku; i Nicolas, przenoszący szybko spojrzenie z Willadene na swojego byłego pana, kanclerza Vazula. Na pewno mają wiele do zrobienia; niezbyt dobrze też wiedzą, co powinni uczynić. Może będzie to inna praca od tej, którą wykonywał jako Nietoperz przez ostatnie kilka lat, ale nie mniej absorbująca. I — znowu popatrzył na Willadene — nie jest już sam, czekają go więc nowe i jak wierzył, przyjemne przeżycia.

Musi jednak powiedzieć Vazulowi o pewnej sprawie, zanim się rozstaną. Zrobił to, kiedy wstali, żeby wypić za nową podróż ze złotych kielichów używanych podczas uroczystych okazji, przyniesionych na polecenie Uttobrica.

— Ssssaaa poszła za Władcą Serc. — Mówił to z przykrością, bo wiedział, jak wiele to małe zwierzątko znaczyło dla kanclerza. Jednak, ku jego zaskoczeniu, Vazul uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

— Nie martw się. Ale przyślij mi wybrane przez ciebie młode, kiedy Ssssaaa wyda na świat potomstwo. Czasami jest mi naprawdę zimno bez porośniętego futerkiem obrońcy.

W taki oto sposób powstała kroneńska Marchia Graniczna i odtąd dumnie pojawiała się na każdej mapie jako Kraina Straży. Możliwe, że Kroneńcy nie do końca rozumieli, z jakich korzeni się wywodzi, ale tym, którzy pełnili tam straż, wiatr od czasu do czasu przynosił mocny zapach Władcy Serc.